

Liczba inwentarza

8097

15

Szafa

45

Półka

C

Miejsce

6

15 C. 36





54-5

DRAMATA i KOMEDYE

ADAMA BEŁCIKOWSKIEGO.

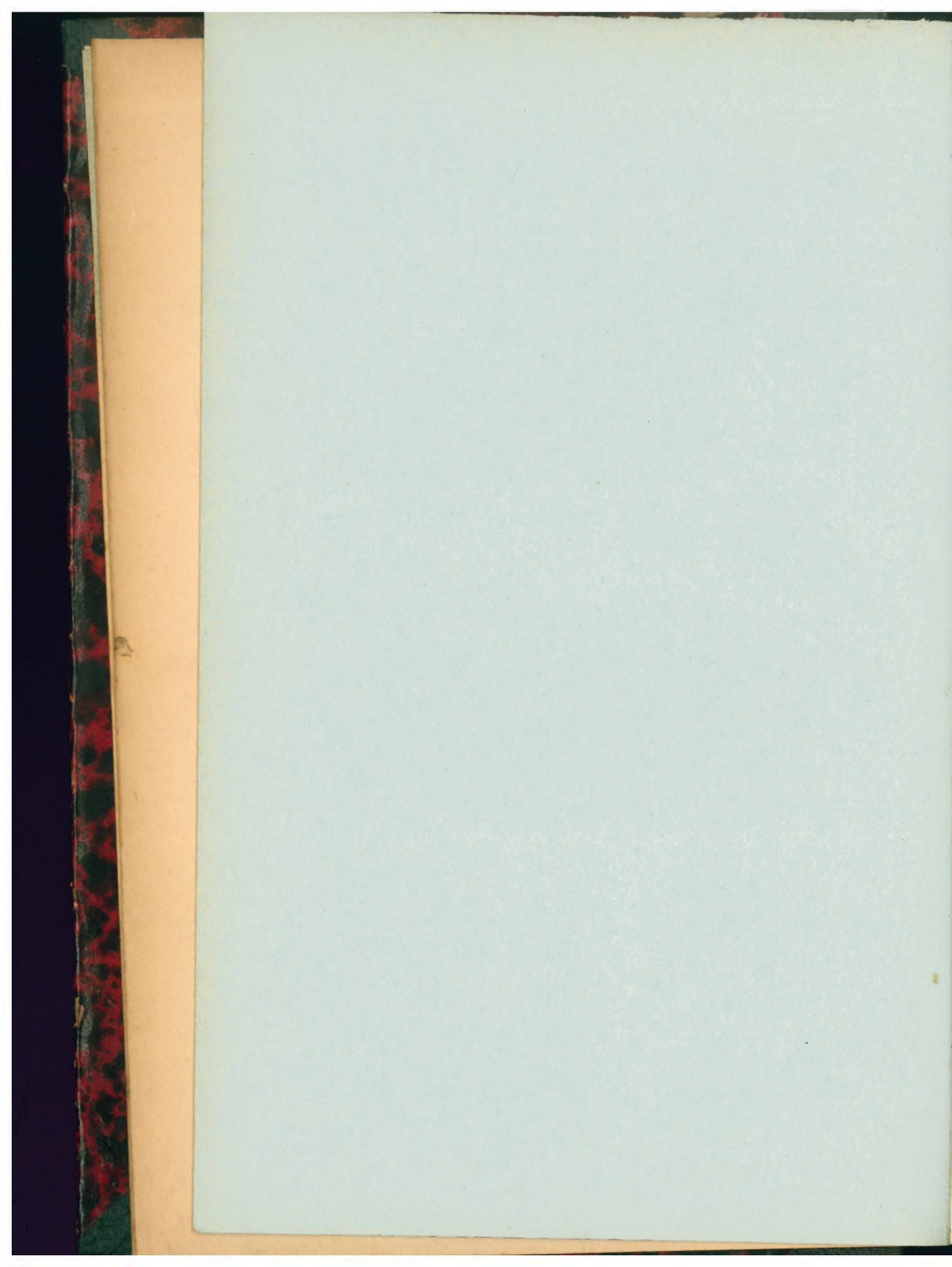
TOM V.

JAN SOBIESKI POD WIEDNIEM. -- U KOLEBKI
NARODU. -- KORONA LECHÓW. -- PRZEKUPKA
WARSZAWSKA.

KRAKÓW.
NAKŁADEM AUTORA.

DRUKARNIA UNIWERSYTETU JAGIELL.,
pod zarządem A. M. Kosterkiewicza.
1898.

54-5



ADAM BEŁCIKOWSKI.

DRAMATA I KOMEDYE.

TOM V.

809⁴/₅

JAN SOBIESKI POD WIEDNIEM.
U KOLEBKI NARODU. — KORONA LECHÓW.
PRZEKUPKA WARSZAWSKA.



BIBLIOTEKA
Państwowej Szkoły Przemysłowej
w Krakowie.

KRAKÓW.

Nakładem autora.

DRUKARNIA UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO
pod zarządkiem A. M. Kosterkiewicza.

1898.

47403

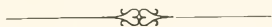
3
66.073

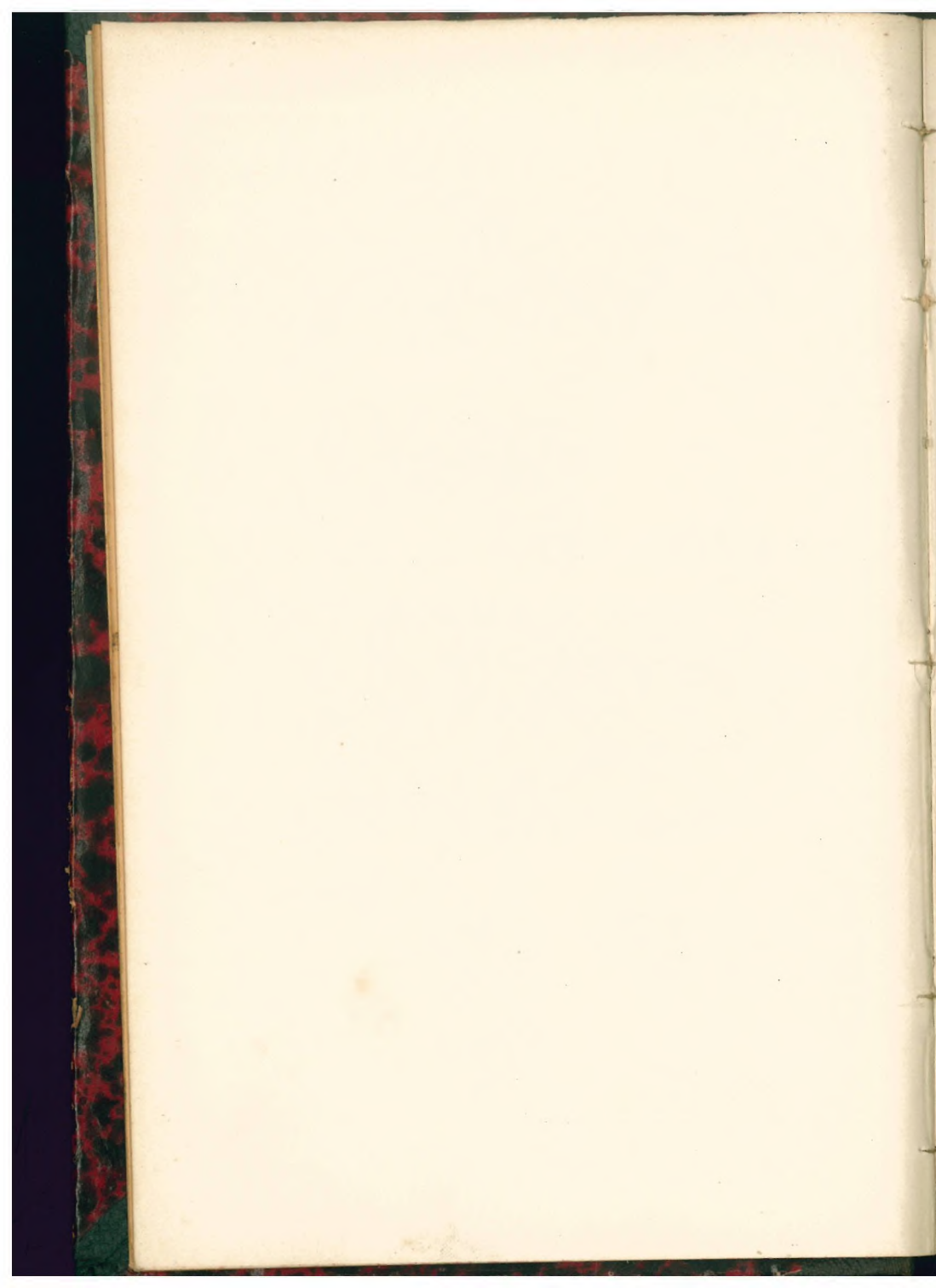


Wgłą siono z zasobu
dubletów Bibl. Jagiell.

JAN SOBIESKI POD WIEDNIEM.

OBRAZ HISTORYCZNY W 5 AKTACH A 6 ODSŁONACH.





JAN SOBIESKI POD WIEDNIEM.

AKT PIERWSZY.

W NIEDOLI I UCISKU.

OSOBY:

Król Jan Sobieski.

Ks. Karol Lotaryński, naczelny wódz wojsk cesarskich
(lat 40).

Jan Jerzy, elektor Saski (lat 40).

Maxymilian, elektor Bawarski (lat 20).

Ks. Waldeck, feldmarszałek cesarski (lat 56).

Hr. Rydygier Stahremberg, komendant Wiednia.

Hr. Capliërs, jego zastępca.

Baronowa Knipperding { kuzyny hr. Stahremberga.
Gretchen }

Zopfbeutel, konsyliarz nadworny.

Damian Ruszczyk, rotmistrz pancerny.

Dr. Blaufusz, major ochotników.

Hier. Lubomirski, marszałek nadworny, kawaler maltański.

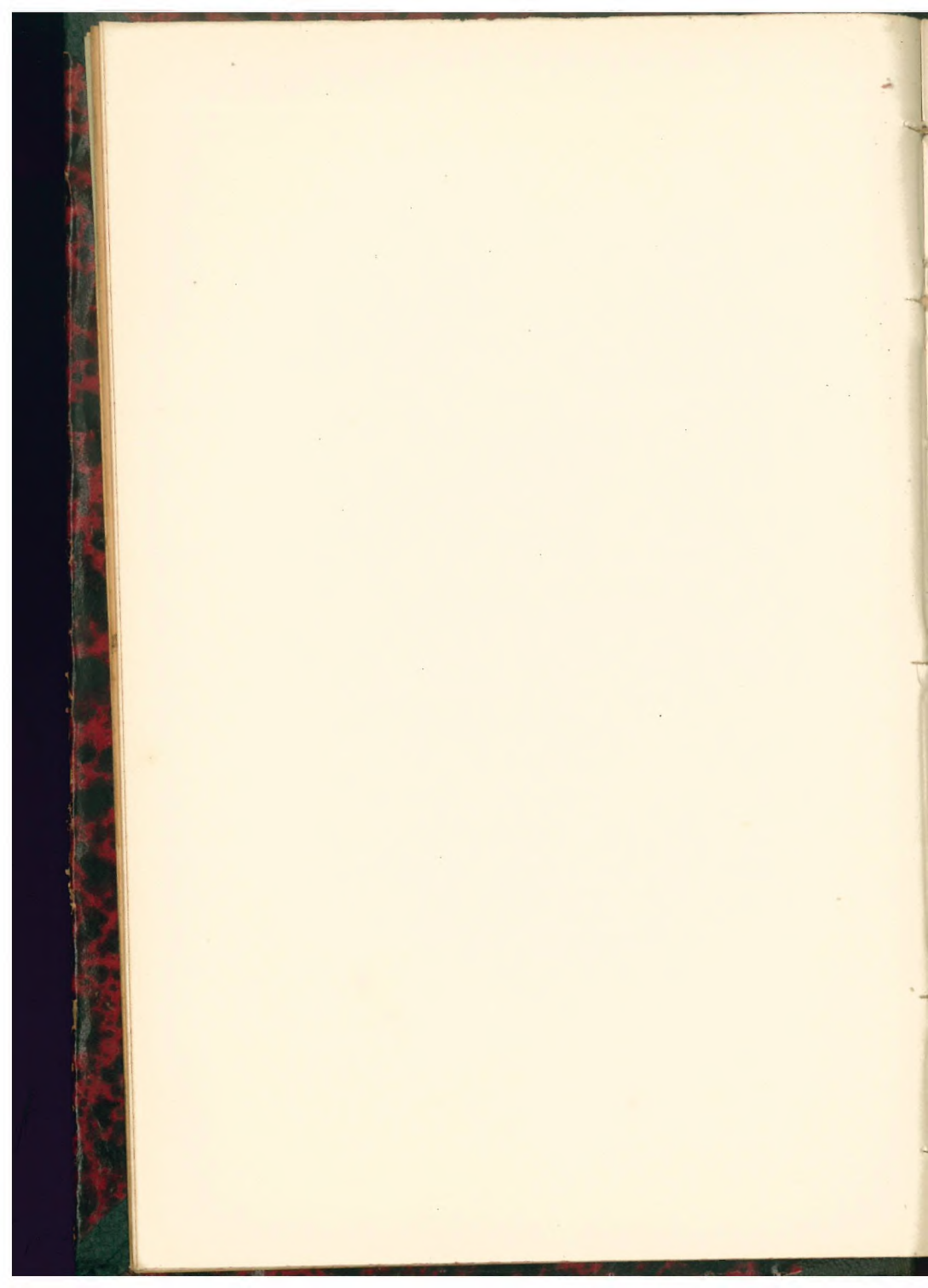
Ks. Eugeniusz Sabaudzki, adjutant ks. Lotaryńskiego (lat 18).

Adjutant hr. Stahremberga.

Trzech mieszczan Wiedeńskich. — Kuryer cesarski.

Generałowie i Żołnierze niemieccy. — Husarze polscy.

Rzecz dzieje się w oblężonym Wiedniu.



ODSŁONA I.

(Pokój w mieszkaniu Stahremberga skromnie umeblowany.
Drzwi po bokach i w głębi).

(Podczas gdy zasłona się podnosi słychać przeraźliwy huk
wysadzonej w powietrze miny. Po krótkiej chwili z drzwi
bocznych wpada na scenę przestraszona Baronowa).

SCENA 1.

Baronowa (później) Gretchen i Zopfbeutel.

Baronowa. Jezus, Marya!.. już po nas!... Ach, umieram!
(*Upada ze strachu na stołek jakby zemdlona.*)

Zopfbeutel (*wbiega za nią*). Pani baronowo, co się tu
dzieje!... pani baronowo!... (*Spostrzegłszy ją*). Co
pani robi?... może trzeba uciekać!... Pani baro-
nowo, nie bój się pani... to nic, nic... (*Drżąc
ze strachu*). Patrz, pani... ja się nie boję... trzeba
być odważnym!... Nie mdlej pani! (*Wiewa na
nią kapeluszem*). Nie teraz! będzie czas na to
później!...

Gretchen (*wbiega z drugich drzwi bocznych*). Ach, ciociu,
ciociu! co za okropny huk!... To już pewnie
Turcy.. O, my nieszczęśliwi!...

Zopfbeutel. Co pani mówisz? Turcy!... już w mieście!...
(*Biegnie do okna*). Nie, niema Turków... nasi
ludzie jeszcze chodzą po ulicy... (*Wraca się*).
Pani baronowo, niema Turków!... (*Biegnie znów*)

do okna i wraca się). Mówię pani, że niema Turków... przysięgam pani, jakem nadworny konsyliarz, że niema Turków! (*Mówił to coraz głośniej nachylony nad jej uchem*).

Baronowa (*otwiera oczy*). Ach, to ty, panie rotmistrzu! (*Nachyla się na ramię Zopfbeutel*).

Zopfbeutel (*d. s.*) Zawsze ten wąsaty rotmistrz! Nawet w takim strachu stoi jej przed oczami. (*Gł.*) Nie, pani baronowo, to ja, twój najwierniejszy i najpoddaszszy sługa, konsyliarz Kwiryn Zopfbeutel... Przyjdź pani do siebie, wstań pani... może trzeba myśleć o ucieczce...

Gretchen. Ach, Boże! Boże!... co to z nami będzie. I w takiej chwili niema nikogo z mężczyzn, ani wuja, ani...

Baronowa (*podnosząc nagle głowę*). Tego drugiego Bajarda, rotmistrza!

Gretchen. Tak, ani pana rotmistrza!

Zopfbeutel (*d. s.*). I ta na niego choruje... Poszalały kobiety!... (*Gł.*) No, a ja przecież?...

SCENA 2.

Ciż (wchodzi) Ruszczyc.

Baronowa (*biegnie do niego i ściska go długo za rękę*).
Ach, jesteś, drogi rotmistrzu!

Gretchen (*zbliża się do niego*). Jak to dobrze, że pan przychodzisz... my się tak bardzo boimy...

Zopfbeutel. W rzeczy samej, co się stało? czy jest istotny powód do trwogi, bo...

Ruszczyc. Niema strachu, łaskawy panie. Niech pani baronowa ochłonie i panna Gretchen także.

Baronowa. Powracasz nam życie! Ale ten huk! Tak długo nas bombardują, lecz nigdy nie odebrałam tak silnego wrażenia...

Gretchen. Zdawało mi się, że się dom z nami zawali, że całe miasto wysadzili w powietrze.

Zopfbeutel. Spokoilem te panie jak mogłem. Lecz mimo całego męstwa i powagi, którą, jako wyższy urzędnik. .

Ruszczyc. Co prawda, huczek był niemały. Te przeklęte Turki zapaliły minę pod zamkowym beluardem...

Baronowa. Jezus Marya, tak blisko nas!...

Zopfbeutel. Co pan rotmistrz powiada? pod zamkowym beluardem?... Więc jesteśmy pewnie w niebezpieczeństwie... wypadaloby...

Ruszczyc. Nic tak złego się nie stało. Wyrwali nam tylko w murze na pięć sążni dziurę.

Baronowa. Ach!

Zopfbeutel Na pięć sążni!...

Ruszczyc. Nie bójcie się państwo. Pan komendant Stahremberg jest dzielny człowiek i ma oko na wszystkie strony. W pierwszej chwili niebezpieczeństwa był już na miejscu, i stante pede zatkał wyłom faszynami i ludźmi...

Gretchen. Jakto? ludźmi?

Ruszczyc. Tak, ludźmi. Nie było czem wyłomu zamurować, trzeba było zrobić w nim wał z ludzi, by Turkom drogę zamknąć. Ta psia wiara darła się już do miasta jak koty, ale podrapawszy się i pogryzłszy trochę z naszymi, zmiarkowali, że to nie przelewki i stoją teraz pod bastyonem, mrużąc pod nosem, że im się nie udało. O, było tam chwileczkę gorąco jak w łaźni; szable, muszkiety, rydle i motyki biły o siebie jak wściekłe, a nieraz i zębami ludzie się kąsali!...

Zopfbeutel. Dzielni nasi żołnierze! dzielni! Niech się biją, niech się tylko zawsze tak biją!

Baronowa. Ach, to okropne!... Ale ty, rotmistrzu, nie pójdziesz już tam więcej, nieprawda?... jabym umarła z samej imaginacji...

Gretchen. O, nie chodź pan tam więcej! mybyśmy bardzo były biedne!...

Ruszczyc. Moście dobrodziejki, tam już zapewne nie pójde...

Baronowa i Gretchen (*razem z radością*). Ach!...

Ruszczyc. Ale pójde gdzieindziej...

Baronowa. Gdzieindziej?... Dokąd?

Zopfbeutel (*n. s.*). Niechby sobie już raz poszedł ten przeklęty Polak na złamanie karku!

Ruszczyc. Tam, skąd przyszedłem, gdzie mi obowiązek powracać każe, do obozu.

Baronowa. I miałbyś sumienie nas opuszczać — okrutny!

Gretchen. Ta chwila zakrwawiłaby nam serce!

Ruszczyc. Niema na to rady. Spełniłem już swoją misję. Książę Lotaryński przysłał mię do komendanta Wiednia z wiadomością, że odsiecz się zbliża i nie zawiedzie go, żeby nabrał otuchy i bronił się, dopóki może, tak mężnie jak dotąd. Spełniwszy to, powinienem być wracać...

Baronowa. Ależ ty, rotmistrzu, jesteś ranny, niebezpiecznie chory!... Boże! gdzie twój bandaż?

Ruszczyc. Rzuciłem go precz, mościa baronowo. Moje ramię, które macnęła kulka turecka, już tak silne jak przedtem.

Baronowa. Ależ to nieprawda!... oszukujesz nas, rotmistrzu.

Zopfbeutel. Skoro pan rotmistrz tak powiada, musi być prawda.

Ruszczyc. Przekonałem się o tem dzisiaj, mościa dobrodziejko. Tam przy bastyonie, kiedy zobaczyłem, jak się inni płatają, przyszła mi także chętka popróbować szabli. Dobywam, macham, raz, dwa, szach, ciach!... jak mi Bóg miły, aż mi się słodko na sercu zrobiło. Dobrze idzie! — myślę sobie, jesteś już zdrów, panie Damianie, nie będziemy dłużej zalegać pola!

Gretchen. Więc chcesz pan koniecznie nas opuścić?

Ruszczyc. Muszę — to wielkie słowo, mościa panno!

Było mi tu dobrze w waszym domu, pielęgnowałyście mię jak rodzonego brata...

Baronowa. Och, więcej niż brata!...

Ruszczyc. Byłbym gburem i niewdzięcznikiem, gdybym w sercu nie zapisał sobie tej waszej dobroci

i niejedna słodka chwila utkwi w mej pamięci na całe życie, jeśli go szabla turecka za prędko nie przetnie...

Baronowa. Ach, przestań, nie rozczulaj mię, rotmistrzu!...

Gretchen. Wielka w tobie i szlachetna dusza!

Ruszczyć. Ale powracać muszę do obozu, do swej chorągwi. Tam może już się gotują do boju, może już nasz król jegomość nadciągnął i maszeruje ku Wiedniowi. Bo, mówiąc bez ogródek, Wiedeń sam się tu nie obroni. Pohańcy musieliby was w końcu zdławić, jeśli ich w polu nie rozbijemy. Więc trzeba was bronić i wyrwać tym dzikim bestyom ze szponów.

Zopfbeutel. Pan rotmistrz dobrze mówi! Trzeba nas bronić i bronić jak najprędzej!

Baronowa. Lecz pomyśl, gdyby ciebie, rotmistrzu, nie było, a Turcy tymczasem...

Ruszczyć. W Bogu nadzieja, nie przyjdzie do tego!...

Baronowa. Wiesz, jak ci Turcy są zażarci na nas kobiety.. Pomyśl, coby się ze mną stało, gdyby taki Turek...

Zopfbeutel. To fraszka jeszcze, coby się z panią baronową stało. Gorszy nasz los daleko! Mnie naprzykład, jako mężczyźnie, bez ceremonii ściałby głowę albo brzuch rozplątał, podczas gdy panią, jako kobietę czeka co najwięcej...

Baronowa. Zostać odaliską jakiego brodatego Paszy... okropność!

Zopfbeutel (*n. s.*). Oj! doprawdy, zaczynam żałować, że nie wysunąłem się z Wiednia, kiedy jeszcze był czas, razem z orszakiem cesarza jegomości. Ale to ta przekłeta miłość temu winna!

SCENA 3.

Ciż sami (drzwiami w głębi wchodzą) Stahremberg i Capliers.

Stahremberg. Uspokoileś już kobiety, rotmistrzu.

Ruszczyć. Tak jest, panie komendancie.

Stahremberg. Nie bójcie się niczego, moje kochane. Nic nam się tak złego nie stało i da Bóg nie stanie. Ale teraz, bądźcie państwo tak dobrzy zostawić nas samych. Jestem od świtu na nogach, czuję się trochę zmęczony, chciałbym odpocząć...

Ruszczyc. Czy prędko będę się mógł widzieć z panem komendantem?

Stahremberg. Macie pilny interes?

Ruszczyc. Wybieram się z powrotem do obozu, chciałbym się pożegnać i dostać pismo od pana komendanta.

Stahremberg. Dobrze, rotmistrzu, napiszę do księcia Lotaryńskiego, wiele mi na tem zależy — ale za małą chwilę. Muszę pierw zebrać myśli, przyjść do siebie po tej świeżej przeprawie. Będę was prosił tu niedługo.

(Ruszczyc salutuje i odchodzi z resztą towarzystwa).

SCENA 4.

Stahremberg. Capliers.

(Stahremberg usiada przy stole jakby znękanym. Capliers patrzy na niego chwilę milcząc).

Capliers *(p. k. m.)* Nigdy cię jeszcze takim nie widziałem, komendancie.

Stahremberg. Prawda. Czuję się znużonym, nie tylko na ciele, ale i na duchu. Zaczynam tracić nadzieję. Ogarnia mię coś podobnego do zwątpienia. Dlatego kazałem odejść kobietom. Poco je próżno trwożyć?

Capliers. Nie będę się starał pocieszać cię, aż nadto dałeś dowodów męstwa i rozumu, i musisz dobrze wiedzieć o czem mówisz.

Stahremberg. Siedem tygodni z garstką wojska i zrozpaczonych mieszkańców bronimy stolicy przeciw trzykroć stotysięcznym tłumom niewiernych, przeciwko trzystu działom, zionącym we dnie i w nocy morderczy ogień — to już może więcej niż siły ludzkie podołać mogą. Połowa miasta już w gruzach,

nasze mury wyszczerbione minami tureckimi, a nieprzyjaciel ze trzech stron ściska nas żelaznym pierścieniem i coraz bliżej podsuwa pod miasto swoje aprosze. Dziś stanął już pod samym zamkiem cesarskim. Lada chwila możemy się spodziewać generalnego szturm, a wtedy...

Capliers. Dziwić się tylko należy, że Turcy o nim dotąd nie pomyśleli.

Stahremberg. A ja, co mogę postawić naprzeciw temu strasznemu niebezpieczeństwu? Te kilka tysięcy żołnierzy osłabłych z ciągłego wysilenia, strawionych głodem i chorobami? Tak, nie mamy się co oszukiwać, brak nam nawet chleba, nawet prochu i ołowiu. Kiedy pomyślę o tem, rozpacz mię ogarnia, żałuję, że ta kula, która mię ugodziła, zadała mi tylko ranę, nie śmierć. Wolałbym już spoczywać tam, gdzie dziś leżą moi towarzysze, najdzielniejsi obrońcy Wiednia — gdzie leży: Walteri, Kotoliński, Rumpler, de Souches, Galenfels, gdzie leży Leslé ze swoim bratem... Szczęśliwi — oni już nie widzą tego, co się dzieje, i tego jeszcze straszniejszego, co się dzieć będzie!

Capliers. Nie uprzedzajmy wypadków. Jak długo, myślisz, możemy się jeszcze trzymać?

Stahremberg. Jeżeli szturm nie będzie, pięć dni.. siedem... dziesięć najdłużej. A potem... rzeź i pożoga rozpostrze się po ulicach Wiednia, nie zostanie w nim ani kamień na kamieniu, ani jedna żywa ludzka dusza...

Capliers. O jednej rzeczy zdajesz się zapominać, przyjacielu.

Stahremberg. O czym?

Capliers. O odsiecz...

Stahremberg. Przestałem w nią wierzyć..

Capliers. Przecież książe Lotaryński cię zapewniał..

Stahremberg. Właśnie dlatego nie wierzę. Dwa tygodnie upłynęło, jak ten odważny Polak przyniósł nam to zapewnienie od księcia, a do dziś ani słyhać o odsiecz.

Capliers. Lada dzień może nadejść...

Stahremberg. Książę ma siły za słabe. Turcy jego pobiją w polu, a nas wezmą w twierdzy.

Capliers. Elektorowie i książęta Rzeszy niemieckiej wzmocnią go swoim kontyngensem...

Stahremberg. Co znaczą te kilkanaście tysięcy, które mogą przyprowadzić? Więcej tam będzie niezgody, swarów i wzajemnej zazdrości aniżeli pożytku.

Capliers. A... król polski? Wszakże cesarz otrzymał od niego obietnicę, wszak jest związany ligą i przy-mierzem?

Stahremberg. Byłoby to nazbyt szlachetności, która nie istnieje w polityce, gdyby chciał kłaść zdrową głowę pod ewangelię... Tak, on jeden mógłby nas zbawić, ten bohater z pod Chocima, którego samo imię straszne jest dla Turków. Ale czy zechce, czy przyjdzie?... Bierzmy rzeczy po ludzku, bo i bohaterowie są ludźmi. On już dosyć stary, a wiek robi człowieka ociężałym i obojętnym. Laurów ma już pod dostatkiem, a zdobycie nowych w tej wojnie bardzo jest wątpliwe. Skończy się na tem, że przyśle cesarzowi kilka tysięcy swoich żołnierzy, którzy powiększą tylko liczbę ofiar.

Capliers. Jeżeli tak myślisz, to przypuszczasz, że cesarstwo może zginąć...

Stahremberg. Bardzo łatwo. Może zginąć cesarstwo, może zginąć i Europa!...

Capliers. Podziwiam cię, Stahremberg! Jesteś prawdziwym bohaterem, jeśli tak myśląc, bronisz się do ostatku.

Stahremberg. To co innego. To moja powinność. Co myśli Stahremberg, o tem nie powinien wiedzieć komendant Wiednia. Cesarz mi powierzył stolicę, rozkazał jej bronić, a ja mu przyrzekłem, że jej nie oddam chyba z ostatnią kroplą krwi. Mojego przyrzeczenia dotrzymam.

SCENA 5.

Ciż (wchodzi) Adjutant Stahremberga.

(Adjutant podaje Stahrembergowi pismo zapieczętowane. Stahremberg czyta w milczeniu, potem gorzko się uśmiecha).

Capliers *(który ciekawie mu się przypatrywał).* Cóż nowego?...

Stahremberg. Księżę Württemberg żąda prowiantu dla swego pułku, pisze, że jego zapasy do ostatka się wyczerpały. Co ja mu dam? Magazyny próżne, niema w nich ani mąki, ani mięsa... Biedni ludzie! Trzeba choć pierwszy ich głód zaspokoić, a zresztą posilić ich nadzieją. Panie adjutancie, mamy jeszcze trochę sucharów; połowę każ pan wydać pułkowi Württemberskiemu, a księciu odpisz, niech będzie do jutra cierpliwy. Jutro zrobimy wycieczkę za Dunaj, może nam się uda przekraść kilkanaście sztuk bydła. *(Adjutant salutuje, do odchodzącego).* Nie zapomnij pan wydać rozkaz rybakom, by jutro wieczorem mieli czółna na pogotowiu.

Adjutant. Dobrze, panie generale! *(Odchodzi).*

Stahremberg. Oto mamy już jednego nieprzyjaciela w formacy — głód.

SCENA 6.

Stahremberg, Capliers, (wchodzi) Dr. Blaufusz ubrany na wpół po wojskowemu, szpada przy boku, w okularach, twarz okrągła, dobroduszna, figura niewielka, trochę pękata.

Dr. Blaufusz *(salutuje sztywnie, z wielką powagą).* Panie generale!...

Stahremberg. Witam cię, panie doktorze...

Dr. Blaufusz *(znowu salutuje).* Panie generale: Fryderyk Blaufusz, major kompanii ochotniczej.

Stahremberg *(z lekkim uśmiechem).* Przepraszam... Co mi pan major powiesz?

- Dr. Blaufusz.** Panie generale, mam honor donieść, że kompania ochotnicza potrzebuje amunicji...
- Stahremberg.** Już wam zabrakło?
- Dr. Blaufusz.** Przy dzisiejszej potyczce kompania ochotnicza wystrzelała resztę ładunków.
- Stahremberg.** Nie bardzo ich widać oszczędzaliście.
- Dr. Blaufusz.** Nie można było pominąć okazji wysłania pewnej liczby Turków na tamten świat. Zaręczam panu generałowi, że skutek był pomyślny i mało poszło na wiatr.
- Stahremberg.** Widziałem to, panie majorze. Widziałem także, jak ten olbrzymi Arnauta padł od twego muszkietu.
- Dr. Blaufusz.** Pan generał nazbyt dla mnie łaskaw... Celowałem, co prawda dobrze, ale główna w tem zasługa moich okularów. Mam tak dobre szkła, jak drugich niema w całym Wiedniu. Musiałem trafić.
- Stahremberg.** Ile pan major żądasz amunicji?...
- Dr. Blaufusz.** W tym wypadku, doza im większa tem lepsza. Moja praktyka wojskowa jest niedawna, ale przekonałem się, że z ładunkami podczas wojny, to tak jak z pieniędzmi podczas pokoju. Im człowiek ich więcej ma w kieszeni, tem więcej ma fantazyi.
- Stahremberg** (*klaszcze w ręce, wchodzi Adjutant*). Każesz pan wydać panu majorowi po dziesięć ładunków na człowieka.
- Dr. Blaufusz.** Panie generale, śmiem upraszać, czy nie możnaby dociągnąć tej liczby naprzykład do dwunastu. Dwanaście, to ładna liczba, apostołska liczba. Moich ludzi bardzo to ucieszy, jak będą mieć po dwanaście nabojów w ładownicy.
- Stahremberg.** Ależ obdzierasz mię, panie majorze, okropnie. Proch dzisiaj, to droga rzecz.
- Dr. Blaufusz.** Niech pan generał się zgodzi: po dwanaście.
- Stahremberg.** Niech już będzie po dwanaście. (*Do Adjutanta*) Dasz pan po dwanaście (*Adjutant odchodzi*). Ale to już może raz ostatni.

Dr. Blaufusz. Dziękuję bardzo, panie generale. (*Salutuje i wraca się*). Przepraszam, jeszcze jedna okoliczność.

Stahremberg. Słucham. Tylko już ode mnie nic więcej nie wymagaj, majorze.

Dr. Blaufusz. Nie, panie generale. Już przez kilka nocy medytowałem nad tem, jakieby można wymyślić skuteczne specificum na grasującą dysenteriją. Przewertowałem Hipokratesa, Galena i neoteryków i zdaje mi się, że znalazłem coś dobrego. Oto recepta mojego układu. Niech ją pan generał każe posłać do szpitalów. Mam nadzieję, że moi cywilni koledzy będą mieli z niej jakiś pożytek.

Stahremberg. Spełnię wasze życzenie i znając wasze zdolności, nie wątpię o dobrym skutku lekarstwa.

Dr. Blaufusz. Panie generale! (*Salutuje i odchodzi*).

Capliers. Poczciwy Blaufusz!

Stahremberg. Z takimi ludźmi możnaby dużo dokonać, gdyby była możliwość powodzenia. We dnie bije się jak stary żołnierz, w nocy siedzi nad księgami, aby ulżyć cierpieniom rodaków. I pomysleć, że to wszystko może napróżno!...

Adjutant (*wchodzi*). Deputacya mieszczańska pragnie się widzieć z panem generałem w ważnym interesie.

Stahremberg. Niech wejdą. (*Adjutant odchodzi*).

Capliers. Ty widać dzisiaj nie odetchniesz, komendancie.

SCENA 7.

Stahremberg, Capliers. Kilku Mieszczan (wchodzą prędko w pomieszczeniu i trwodze, za nimi) Adjutant.

1. **Mieszczanin.** Panie generale, ratuj nas!

2. **Mieszczanin.** Nasz komendancie, w tobie jedyna nadzieja!

3. **Mieszczanin.** Straszne nieszczęście wisi nad miastem!...

1. **Mieszczanin.** Turcy już może w naszych domach, a my o tem nie wiemy.

3. **Mieszczanin.** Zdraycy nas zgubią, zdraycy są w mieście i wydadzą nas żywcem w ręce Turków!...

Stahremberg. Niechże mówi jeden z panów, nie mogę zrozumieć, o co wam chodzi...

1. **Mieszczanin.** Obrzydliwi zdrajcy znaleźli się między nami!

2. **Mieszczanin.** Robią podkopy... rozumie pan generał!...

3. **Mieszczanin.** Zdrajców ukarać, wywieszać!

Stahremberg. Któż są ci zdrajcy i gdzie?

1. **Mieszczanin.** Nie wiemy, panie generale, ale pod ziemią, przez nasze piwnice chcą Turków do miasta wprowadzić...

Stahremberg. Czy to rzecz pewna, czy schwymano kogo?

2. **Mieszczanin.** Całe miasto o tem mówi, wszyscy się boją. Przyszliśmy z prośbą do pana komendanta, byś nas ratował...

Capliers (*do Stahremberga*). To widać płonne są tylko wieści, ale w naszym położeniu trzeba być na wszystko ostrożnym.

Stahremberg. Uspokójcie się, panowie. Dotychczas, jak sami powiadacie, nic złego się nie stało. Wydam odezwę do mieszkańców, by czuwali po swoich domach, gdyby więc miał kto tak zbrodniczy zamiar, czujność obywateli powinna go powstrzymać w wykonaniu.

1. **Mieszczanin.** Jesteś naszym zbawcą, panie komendancie!

2. **Mieszczanin.** Niech żyje pan komendant!...

3. **Mieszczanin.** Idziemy powtórzyć słowa waszej dostojności naszym współobywatelom.

Stahremberg. Idźcie, panowie i bądźcie pewni, że myślę bezustannie o was i waszem bezpieczeństwie. (*Mieszczanie odchodzą*).

SCENA 8.

Stahremberg, Capliers.

Stahremberg. Kochany Capliers, będziesz tak dobry ułożyć tę odezwę i zbadać w mieście prawdziwy stan rzeczy...

Capliers. Miło mi cię wyręczyć, choć w tak małej pracy.

Stahremberg. Wyręczałeś mię już nieraz i w większych i bez ciebie, jak bez prawej ręki, jabym nie wiele zrobił. Ale, ten rotmistrz polski pewnie się już niecierpliwi. Po drodze poproś go do mnie. Muszę napisać przez niego do księcia Lotaryńskiego. Ale co ja mu napiszę?

Capliers. Napisz to, co masz na dnie serca, a to będzie najlepsze...

Stahremberg. Słusznie mówisz. Poczekaj, dam ci list przeczytać. (*Siada przy stoliku i pisze, potem podaje Capliersemu.*)

Capliers (*czyta po cichu*). Doskonale! W tych kilku słowach powiedziałaś wszystko, co się dzieje w obłożonem mieście i w naszych duszach. (*Ścisła go za rękę*). Idę! (*Odchodzi do drzwi bocznych*).

Stahremberg (*zatopiony w myślach*). Tak... ani chwili do stracenia!...

SCENA 9.

Stahremberg, (wchodzi) Ruszczyc.

Ruszczyc. Stawiam się na rozkaz pana komendanta...

Stahremberg. Siadaj, rotmistrzu. (*Ruszczyc siada*). Muszę ci jeszcze raz podziękować za przysługę, jaką z narażeniem życia oddałeś stolicy i mnie. Przywiozłeś nam nadzieję i wlałeś otuchę choć na kilka dni, a to wiele znaczy dla ludzi, którym ciężka każda godzina.

Ruszczyc. Panie generale, nic wielkiego nie zrobiłem, Cóż mi się stało? Że tam jakiś Turek poczęstował mię kulką po drodze, no, to chleb powszedni dla żołnierza.

Stahremberg. Dzięki jednak tobie miałem pierwszą pewną wiadomość od wojska JCMOści. Nie musiało tam być wielu ochotników do tej misyi.

Ruszczyc. Prawdę mówiąc, trochę w tem było mojej ambicyi, a trochę ciekawości. Biłem się już nieraz

w polu, ale w twierdzy nie byłem jeszcze nigdy zamknięty.

Stahremberg. Mogłeś drogo swoją ciekawość przypłacić! Panie rotmistrz, to pismo oddasz księciu. Jest to krzyk rozpaczliwy ludzi oczekujących zguby. Zresztą, powiesz mu, co widziałeś na własne oczy.

Ruszczyc. Widziałem wiele męstwa, poświęcenia i silnej woli. O tobie szczególnie będę miał co mówić, generale. Życzyłbym wszystkim królom, by mieli podobnych dowódców.

Stahremberg. Dziękuję. Pozdrów ode mnie także swego zwierzchnika, księcia Lubomirskiego. Spełnił dobrze swój obowiązek i nie nadarł na piersiach krzyż maltański, skoro na pierwsze hasło stanął do obrony chrześcijan przed półksiężycem.

Ruszczyc. Myśmy pod panem marszałkiem nadwornym naprzód się na ochotnika wysunęli, ale niedługo będzie nas więcej, skoro król jegomość nadciągnie...

Stahremberg. Spodziewasz się, że to nastąpi?

Ruszczyc. Jak Amen w pacierzu. Król nie opuści tak dobrej okazji dania bisurmanom po karku. On do tego nawykł przez tyle lat! Będziecie nas tu mieć niedługo pod murami, panie komendancie.

Stahremberg. Bógby dał, Bógby dał! Byle nie zapóźno, byleście tu nie zastali samych zgliszczy i popiołów...

SCENA 10.

Ciż, (wchodzi prędko) Adjutant.

Adjutant. Panie generale! (*Stahremberg i Ruszczyc powstają*).

Stahremberg. Co się znów stało?

Adjutant. Wielki tumult na mieście. Kościół Augustyanów się pali. Powiadają, że ogień został podłożony. Schwymano człowieka, który miał to uczynić i lud rozwścieklony w kawałki go poszarpał. Wszędzie trwoga i popłoch, że zapłaceni przez nieprzyjaciela zdrajcy, mają na różnych punktach miasto podpalać.

Stahremberg. Strach jest złym doradcą. Ten człowiek mógł paść niewinną ofiarą. Dostyc dzisiaj ognia wyrzuciły tureckie armaty, aby do pożaru potrzebna było ludzkiej ręki. Biegnę na miasto uspokoić tłumy. Spokój i zimna krew to jeszcze jedyne dla nas zbawienie. Żegnam cię, rotmistrzu. Bodajemy się zobaczyli w szczęśliwszych chwilach! (*Wychodząc*). Konia, przyprowadzić mi konia! (*Wychodzi prędko z Adjutantem*).

SCENA 11.

Ruszczyc (sam).

Ruszczyc. A teraz nogi za pas, panie bracie!... Boję się, by mnie nie przydybała pani baronowa... no, a w dodatku może i panna Gretchen. Dopierożby to było czule pożegnanie!... Aj!... łez i krzyków miałbym aż potąd... Dobrze, że się to już raz skończy, bo czasami, mości Damianie, to ci jakiś robak wierci po sumieniu... Hm, hm, co by na to wszystko powiedziała twoja Basia, najdroższa Basieńka, gdyby się dowiedziała o twoich sprawkach? Ona tam biedaczka w Krakowie tęskni, wzdycha, popłakuje, odmawia Zdrowaśki na twoją intencją — biedna sierota, która nie ma ani ojca, ani matki, ani nikogo, tylko ciebie jednego na świecie — a ty tu. hultaju niegodziwy, robisz słodkie oczy do jasnowiąsej Niemeczki, i na dobitek podkochiwasz się w jej ciotce czulej jak synogarlica!... Oj, źle, źle się robiło?... gdyby tak dalej szło, zabrnąłbym w grzechy wyżej czuba... Więc teraz kładę krzyżyk na tem wszystkim, żegnam na wieki moje amory, i od pokus uciekam, jak dyabeł przed święconą wodą!...

(Zamierza się wyjść, wchodzi Baronowa).

SCENA 12.

Ruszczyc i Baronowa.

Baronowa. Stój rotmistrzu!... dokąd idziesz?

Ruszczyc (*n. s.*). Aj, złapała mnie! *(Gł.)* Żegnaj mi, mościa baronowo. Ani chwili nie mogę tu bawić dłużej... Pan komendant pod karą śmierci posyła mnie z ważnem pismem do obozu...

Baronowa. O, ja z tobą się nie rozstanę .. rozstać nie mogę!..

Ruszczyc. Ale rozkaz!.. kara śmierci!..

Baronowa. Zdecydowałam się na wszystko. Miłości, którą ci poprzysięgłam, duchowam wiernie.. Pójdę z tobą wszędzie, do obozu... na kraj świata!..

Ruszczyc. Co? co pani baronowa mówi? (*N. s.*) Gwałtu!... miałożby to być naprawdę?

Baronowa. Pójdę z tobą razem do obozu!

Ruszczyc. Nie pozwolę na to! Pomyśl, mościa baronowo, ile niebezpieczeństw czeka mię na drodze i miałżebym na nie narażać twoją osobę?..

Baronowa. A tu czyliż bezpiecznie? Z góry grożą mi dniem i nocą granaty i bomby, z pod spodu eksplodujące miny...

Ruszczyc (*n. s.*). Prawda i to! (*Gł.*) A tam z za każdego krzaku, z za każdego płotu czyha na panią Turek albo Tatarzyn, ten kulą, ten strzałą gotów przeżyć twoje łono..

Baronowa. Och, ty mnie osłonisz, przy twojej piersi będę się czuć bezpieczną i odważną...

Ruszczyc (*n. s.*). Ani rusz jej wybić z głowy!... (*Gł.*) Mościa baronowo, mnie pani przytem wystawiasz także na pewną zgubę. Samego Turcy mnie nie poznają, choćby i złapali, bo się przebiorę za Turka i umiem po turecku, więc zawsze się wykręcę sianiem. Ale gdyby w mojej komitywie zobaczyli taką dystygowaną damę w robronach i koronkach...

Baronowa. To bagatela! Mamy na składzie dużo ubrań tureckich, których używają przewoźnicy podczas wycieczek — ja także przebiorę się za Turka...

Ruszczyc. Poznają panią po języku...

Baronowa. Zrobię i to poświęcenie dla ciebie — będę udawać niemowę...

Ruszczyc (*n. s.*). To mi zajęchała!... Ta baba na wszystko ma sposób! (*Gł.*) Jednakże w męskim stroju zdradzi się pani figura... wszystkie jej wdzięki...

Baronowa. Nie bój się o to. Ubiór turecki, a zwłaszcza... ta jego pewna część.. domyślasz się, rotmistrzu... jest tak dogodna, że nic a nie się nie zdradzi...

Ruszczyc (*n. s.*). Zarznie mnie ta kobieta bez noża!...

Baronowa. Stało się zatem! Idę do siebie, przebieram się, nie żegnam się z nikim, zostawiam tylko kilka słów na piśmie do rodziny... By mnie w domu nie postrzeżono, wyjdziemy osobno. Ty czekaj tu małą chwilę. Gdy będę gotową, zapukam w te drzwi. Wtenczas zejdziesz na dół, a na ulicy się złączymy...

Ruszczyc. O! czekać tu będę z najgorętszym upragnieniem!

Baronowa. Przed całym światem będziesz mógł być dumnym z tego, żeś zdobył sobie tak wierne, stałe i z takim poświęceniem serce! Do widzenia, mój paladynie, mój ty Bajardzie z tymi pięknymi wąsami! (*Odchodzi*).

Ruszczyc (*sam*). Gdybym był przewidział, jaka ryba się na nie złapie, dalibóg! byłbym je kazał ogolić z kretesem. Co za pański miała rozum, że mi kazała zejść się z sobą dopiero za bramą! Będę ja już za dziesiątą górą, nim ty założysz tureckie hajdawary. (*Gdy chce odejść, z drugich drzwi wychodzi Gretchen*).

SCENA 13.

Ruszczyc i Gretchen.

Gretchen. Panie rotmistrzu!...

Ruszczyc (*przerażony n. s.*). Jezus Marya! Czy i ta chce się przerobić na Turka?...

Gretchen. Mówiono mi, że WPan już odjeżdżasz...

Ruszczyc. Tego momentu, tego momentu!.. Służba mościa panno... surowy rozkaz...

Gretchen Ja mam do pana jedną prośbę...

Ruszczyc (*n. s.*). Już się zaczyna!.. (*Gł.*) Nie mogę... niepodobieństwo!..

Gretchen Odmawiasz mi pan, a ja chciałam prosić o małą pociechę dla mego serca.

Ruszczyc. Rozważ waćpanna, czy to nie będzie dla niej niebezpieczne...

Gretchen. Panie rotmistrzu, przyrzeknij mi jedno. Kiedy los zawistny rozłączy nas z sobą — waćpan będziesz o mnie pamiętać... nie zapomnisz nigdy?...

Ruszczyc. Nigdy, nigdy, póki życia mego!.. (*N. s.*) Daruj mi, Basiu, to już z konieczności muszę tak kłamać. (*Gł.*) Ale teraz...

Gretchen. Dziękuję za tę słodką ulgę dla mej duszy. Na pamiątkę przyjmij waćpan ode mnie ten zwitek włosów, umieść go na swoim sercu... i tę szarfę, którą zawiesz na swej szyi. A ile razy oko twe z nią się spotka, niechaj ci przypomni tę, co tu tęskniąca pozostała... Ach!... Ach!..

Ruszczyc. Ach! ach!..

Gretchen. Co za bolesna chwila.. straszne rozstanie!..

Ruszczyc. Straszne!.. Ale surowy rozkaz...

Gretchen. Jeszcze jedno uściśnienie... (*Widząc, że Ruszczyc nic na to*) jedno uściśnienie ręki i bywaj zdrów, bywaj zdrów!..

Ruszczyc (*podając jej rękę*). Och, och!.. panno Gretchen!.. (*Długie uściśnienie. — Gretchen patrzy mu w oczy z czułością. Ruszczyc, siląc się na czułość, robi trochę komiczną minę. Słychać pukanie Baronowej.*)

Gretchen (*puszcza nagle jego rękę i odskakuje*). Co to jest?..

Ruszczyc. Nic, nic... ktoś tu idzie...

Gretchen. Muszę odejść (*odchodząc z przeciągłym spojrzaniem*). Nie zapominaj!

Ruszczyc (*sam*). Dalej w nogi! Jeśli ujdę pogoni tego Turka, to już całej armii Kara-Mustafy się nie boję.
(*Wychodzi spiesźnie*).

ODSŁONA II.

W obozie wojsk niemieckich pod Hollabrunn. Zdaleka widać namioty wojsk cesarskich. Bliżej, ale zawsze w głębi, oddział wojska uszykowany pod bronią, w połowie sceny, w kulisie, namiot ks. Lotaryńskiego; w pewnej odległości od niego, bliżej przodu sceny, mały stolik, na którym rozłożona mapa.

SCENA 14.

(Słychać głos komenderujący: »Prezentuj broń!« i uderzenie bębna. Oddział wojska, na scenie będący, prezentuje broń przed wchodzącymi głębią z lewej strony wodzami. Wchodzi: Karol ks. lotaryński, Maksymilian elektor bawarski, Jan Jerzy elektor saski, Ks. Waldeck, kilku Generałów tak cesarskich jak i wojsk Rzeszy, za nimi Kuryer cesarski).

Ks. lotaryński *(do Elektorów)*. Witam was, książęce moście, u siebie. Jego cesarska mość przysłał sztafetę na moje ręce. Oto kuryer, który mi ją przyniósł.

El. bawarski. Cóż J. C. mość pisze?

Ks. lotaryński. Żąda od nas rozpoczęcia akcji przeciw nieprzyjacielowi..

El. bawarski. Kogo J. C. mość naznacza na naczelnego wodza?

Ks. lotaryński. O tem w liście niema ani słowa.

- El. bawarski.** Z natury rzeczy więc wypada, że dowództwo należy do mnie...
- El. saski.** Dlaczego, mości elektorze?
- El. bawarski.** Jako katolicki ksiązę powinienem dowodzić wojskami, których przeważna większość z katolików się składa...
- El. saski.** Mnie zaś wiadomo, że elektorat saski w randze tylko mogunckiemu ustępuje pierwszeństwa.
- El. bawarski.** Przyprowadziłem większe siły, niżli ty, mości elektorze.
- El. saski.** Jestem starszy wiekiem, a naczelny wódz powinien być człowiekiem doświadczonym...
- Ks. Waldeck.** Przestańcie sporu, mości elektorowie. Można się z tem odnieść do J. C. mości, a on nam oświadczy, jaka jego wola.
- El. bawarski.** Nie dziw, że Waldeck tak mówi: on najstarszy wiekiem między nami...
- Ks. lotaryński.** I mnie się zdaje, że teraz nie czas to pytanie rozstrzygać. (*Do Kuryera*). Czy J. C. mość nie wydał jeszcze jakich innych ustnych rozkazów i poleceń?
- Kuryer.** Oprócz pisma nic więcej nie otrzymałem.
- Ks. lotaryński.** W jakim usposobieniu jest J. C. mość? jakie jego zdrowie?
- Kuryer.** Niestety! o tem nic dobrego powiedzieć nie mogę. Ciężar nieszczęść i klęsk przygniótł mocno najjaśniejszego pana. J. C. mość jest smutny i ciągle prawie milczący. Więcej niż z ludźmi przebywa z Bogiem, modli się całemi godzinami sam jeden, a kiedy światu się pokaże, to tylko głębokie czasem westchnienie świadczy o tem, jak mocno troski obsiadły jego serce.
- Ks. lotaryński.** Nieszczęśliwy monarcha! Jakżebym z całej duszy pragnął zdjąć z niego ten ciężar!
- Kuryer.** Jeszcze gorszy jest stan najjaśniejszej pani. Już kiedy Wiedeń opuszczała przy blasku tatarskich pożarów i przy dalekim odgłosie dział tureckich, czuła się bardzo osłabioną. Trudy podróży ciężkie

były dla niej do zniesienia, w ciągłej obawie i bez należytej wygody. Pierwszą noc zaraz przepędzić musiała w lesie, na słomie, a dalej nie zawsze było lepiej. Kiedy się znalazła wreszcie w bezpiecznym miejscu, niepewność przyszłości, troska o losy państwa, o los męża i dzieci, podkopują ciągle jej zdrowie i odbierają siły. Boimy się, czy przetrwa szczęśliwie tę wojnę.

- Ks. lotaryński.** Straszny grom padł na cesarstwo! Tylko zwycięstwo wielkie, stanowcze mogłoby to złe naprawić i od upadku tron cesarski uchronić. Mości książęta, i wy, panowie generałowie, pomyślcie, że w naszych rękach losy państwa i przyszłość dynastii!...
- El. saski.** Chęci nam nie brak, lecz siły mamy za słabe...
- El. bawarski.** Trudno się odważyć na stanowczą akcją, jest nas jeden naprzeciw ośmiu... Turcyby nas zgnięti na miazgę.
- Ks. Waldeck.** Czy książę nie miałeś wiadomości od króla polskiego?...
- Ks. lotaryński.** Nic pewnego o nim powiedzieć nie mogę. Pisałem do króla do Warszawy, potem do Krakowa, i otrzymywałem odpowiedź, że przyjdzie nam na sukurs. Na ostatni list nie miałem już żadnej odpowiedzi...
- El. bawarski.** Stany Rzeczypospolitej może nie zgodziły się na wojnę, która Polsce nie zagraża.
- El. saski.** A może i król zmienił zdanie. Francya używa wszystkich pokus i całego swojego wpływu, aby go odwieść od przymierza z cesarstwem.
- Ks. lotaryński.** Wszystko być może, a niestety! jest to jedyny wódz w Europie, który mógłby stawić czoło potędze tureckiej. Jego geniusz wojskowy, jego nieustraszona odwaga, dokazywały nieraz cudów, a jego zwycięstwa należą do najpiękniejszych, jakie roczniki wojennych czynów kiedykolwiek zapisały. Wielki Kondeusz i Turennius im się dziwili, a cały świat chrześcijański nad

niemi zdumiewał. Dziś samo jego imię stanęłoby nam za krocie... ale czy on zechce być zbawcą chrześcijaństwa, jak był nieraz zbawcą swej ojczyzny — nie wiem, i z bolem serca przyznaję się wam, panowie, że zaczynam wątpić...

El. bawarski. Chętniebym się bił pod jego dowództwem!

El. saski. Dzielny to człowiek, znakomity to wódz!

Ks. lotaryński. Ale czas upływa. Mości panowie, radźmy, przyjdźmy do jakiejś decyzji, bo J. C. mości należy jak najprędzej odpowiedzieć. (*Razem z innymi zbliża się na przód sceny*). Postawmy sobie przed oczy całe nasze położenie... pomyślmy o grozie niebezpieczeństwa, a to może zaostrzy nasze zdolności, może nas natchnie jaką szczęśliwą myślą! Mamy do czynienia z potęgą turecką, jakiej Europa od lat dwustu nie widziała... Niewierni, rozzuchwaleni niedawną zdobyczą Kandy i Peloponezu, wytknęli sobie za cel zawojowanie całego Zachodu. Od siedmiu lat gotowali się na to, trzy części świata poruszyli, by zgromadzić tę olbrzymią armią, która stoi na naszej ziemi. (*Pokazując na mapę*). Patrzcie, panowie, na te dwa punkta: to Wiedeń — a to my — niby dwie małe wysepki wśród powodzi nieprzyjaciół. Gdy Turcy te dwie zapory usuną, gdy zdobędą stolicę, a nas rozbiją, całe cesarstwo zostanie odstonięte, aż po Ren i po Alpy ani jeden człowiek nie stawi im już oporu. Wtedy półkolem spadną na Włochy, zaleją je swemi tłumami i z bazyliki św. Piotra zrobią stajnię dla sułtańskich koni. Na naszych kościołach zabłyszczą półksiężycy, a my i dzieci nasze obróceni zostaniemy w niewolników... Tego nie można dopuścić, wszystkie siły trzeba użyć, by ująć zagłady i hańby!... (*Chwila milczenia*). Milczycie, panowie? żaden nie ma nic powiedzieć?

El. bawarski. Jesteśmy gotowi zginąć z honorem, na więcej nas nie stać!..

- EI. saski.** Bóg jeden może nas ocalić!
(*Słychać z daleka głos trąby wojskowej*).
Ks. lotaryński. Co to znaczy?

SCENA 15.

Ciż (wchodzi): Ks. sabaudzki adjutant Ks. lotaryńskiego, później Lubomirski, Król Jan, Hussarze, Żołnierze.

Ks. Eugeniusz (*do Ks. lotaryńskiego*). Mości książe, przednie czaty dają znać, że jakiś obcy oddział się zbliża.

Ks. lotaryński. Przecież nie Turcy, ani nie Tatarzy!...

Ks. Eugeniusz. To pewna, że nie. Przychodzą od północy.

EI. bawarski. To może Anhalt?

EI. saski. Może Hohenzollern? Mieli w tych dniach z nami się połączyć.

Lubomirski (*wchodzi*). Wesoła nowina! wesoła nowina! mości panowie. Niech w was dobry duch wstąpi: król jegomość idzie...

Ks. lotaryński (*i inni*). Co? król polski!...

Lubomirski. On sam w swojej osobie. Wyprzedził swoją armią i z chorągwią hussaryi wjeżdża do naszego obozu..

Ks. lotaryński. Jesteśmy ocaleni!... Chwała ci, Boże!

EI. bawarski. Idźmy go powitać!...

EI. saski. Idźmy naprzeciw naszemu zbawcy!

(*Książęta i Generałowie wychodzą. Słychać za sceną radośne okrzyki, wiwaty i głos bębnow. Na scenę w głębi zbiegają się Żołnierze różnej broni. Słychać komendę »Prezentuj broń!« Oddział ustawiony na scenie prezentuje broń. Wjeżdża na koniu, kłaniając się na obie strony, król Jan, za nim dwóch Hussarzy konno. Dokoła niego Książęta i Generałowie, wyciągają ręce, wiewają kapeluszami. Słychać pomieszane głosy książąt, generałów i żołnierzy: Wi-taj nasz zbawco! Niech żyje nasz zbawca!.*)

AKT DRUGI.
KRÓL-OJCIEC.

OSOBY:

Król Jan Sobieski.
Ks. lotaryński.
El. bawarski.
El. saski.
Lubomirski, marszałek nadworny.
Generał Kącki.
Królewicz Jakób (Fanfanik).
Damian Ruszczyk.
Baronowa Knipperding.
La Fleure, porucznik muszkietarów.
Wołoch, jeniec.
Księżęta, Generałowie, Żołnierze, Służba królewska.
W obozie pod Tulnem.

Z prawej strony do połowy sceny wewnątrz obszernej sto-
doły, służącej za kwaterę królewską. Ściany poobijane
dywanami, dwa stoliki, kilka krzeseł. Z lewej strony oko-
lica wiejska z dalekim widokiem. Wgłębi po tej stronie
na małym pagórku stoi armata, przy niej dwóch Mu-
szkietarów chodzi na warcie.

SCENA 1.

Z lewej strony wchodzi: naprzód La Fleure, za nim: Ruszczyc i Baronowa (ubrani po turecku) pod eskortą kilku Muszkieterów.

La Fleure *(ze szpadą w ręku)*. Allons, allons, en avant! nis nie gadała, tylko szła en avant! Ja zrobiś une grande victoire, a wy byś moja jeńsa.

Ruszczyc. Bodaj cię jasny piorun trząś, przekłety Francuzie! Nie jestem Turek, tylko polski szlachcic...

La Fleure. So on mi zawrasala głowa! On nie jest Turek? to ja nie jest La Fleure, lieutenant des mousquetaires. On jest modra Turek, on nie chce byś teraz Turek, bo on się baś tego... *(Pokazuje powieszenie)*.

Ruszczyc. Przecież słyszysz waćpan, że mówię do niego po polsku. Jakże? — sto tysięcy par dyabłów!... czy ja nie mówię po polsku?...

La Eleure. Fi donc! on mówiś po polski? To ja mówiś po polski, a on mówiś po tureski...

Ruszczyc. Dogadajże się tu z tą szotdrą! Prowadź mię waćpan gdzie chcesz, do księcia lotaryńskiego, do marszałka Lubomirskiego, a oni ci powiedzą, że jestem Damian Ruszczyc, rotmistrz chorągwi pancernej, wysłany przez księcia do Wiednia, a teraz będący z powrotem.

La Fleure. A ten druga Turek, to taksze rotmistrza pancerne — ne c'est pas?

Ruszczyc. Ten drugi, to nie jest Turek, to nie rotmistrz pancerny, do kroćset tysięcy czartów! to jest... to jest niemowa!

La Fleure. Ha! ha! connu, connu!... niemowa, niemowa! voila une farce!... Ty nie kłamala, ja wiedzieś, so ty jest Turek... i ta drugi Turek, dwa wielkie Turki, dwa wielki Basza tureski... Ja was wszycki dwa wpackowaś do koza!

Ruszczyc. Pęknę ze złości, dalibóg! tego już nie wytrzymam. Szczęśliwie wysliznąłem się Turkom, tyle

drogi zrobiłem bez żadnego szwanku, a tu w moim własnym obozie potrzeba mi było natknąć się na tego szepleniącego Francuza, który mnie bierze pod wartę i grozi kozą! .. Słuchaj waćpan, pókim dobry: jeśli nas tej chwili nie puścisz wolno, to ci tym jataganem .. (*Robi ruch za pas*).

La Fleure. Rebellion!.. A ty bisurmański Turek!.. Soldats! przysadziś jemu lufa do pierś, a jak on się ruszala — pal! feu! (*Żołnierze spełniają rozkaz*).

Baronowa. Stój! stój! okrutniku.. co czynisz? Ach, nie zabijaj tak zacnego kawalera!.. Boże, zemdleję!..

Ruszczye. Cicho waćpani bądź! (*D. s*) Musiała język rozpuścić!..

La Fleure. So ja slychaś!.. une merveille!.. On mówiś, so on nie mówiś! On kłamaś, on kłamaś comme un chien! On jest un veritable Turek, wielka Basza, peut être sama Grand Vesir Kara Mustafa. On musi być Kara Mustafa, on mieś taka wielka wonsa. Allons, allons! victoire, grande victoire!

(*Potrząsa szpadą. Robią kilka kroków naprzód*).

SCENA 2.

Ciż i Lubomirski.

Lubomirski. Mości poruczniku, co waćpan za harmider robi?

La Fleure. Ah, pan marchal! Ja byś barzo kontenta, ja mieś w niewoli dwa wielki Basza, jedna Kara Mustafa...

Lubomirski. Co, co?

Ruszczye. Panie marszałku, on plecie jak w malignie. To ja jestem, rotmistrz Ruszczye. Pół godziny gadam to temu Francuzowi, a on koniecznie uwziął się zrobić ze mnie tureckiego basze...



Lubomirski. Dalibóg, to prawda! poznaję waćpana. A to ci się udało — zostałeś przez swoich wzięty w niewolę. (*Do żołnierzy*) Na bok! (*Żołnierze ustępują*).

La Fleure. Pan marchal byś pewna, so on jest rotmistrza? On pana marchal oszukaś jak mnie. Piekna rotmistrza panserna w costume tureski... A - t — on jamais vu?

Lubomirski. To się waćpan nie domyślasz, że to dla lepszej assekuracyi, gdyby go jaka zła fortuna wydała była w ręce tureckie.

La Fleure. Ce n'est pas vrai! ce n'est pas vrai!

Lubomirski (*do Ruszczyca*). A ten drugi towarzysz co zacz? czy także nasz?

Ruszczyc. O ten! to Turek z rodu... biedny Turczynek, wzięty w niewolę przez Wiedeńczyków... przywiązał się do mnie bardzo... ot, i wzięłem go z sobą...

Lubomirski. W obozie przyda się waćpanu do czego...

Ruszczyc. Ta!... przyda się... może się przydać do czego... (*N. s.*) Aj, język mi kotczyje!... co mi ta baba narobiła kłopotu... (*Gł.*) Ale niebożátko niemowa, od urodzenia niemowa!

La Fleure. Niemowa, ha! ha! piękna niemowa! tak umiała krzycześ!... So s tego wynikaś, ja nie chciała wiedzieś — pan marchal bezie odpowiadaś za te dwa Basza. Allons, soldats, marche!

(*Odchodzi z żołnierzami*)

Lubomirski. Cieszę się bardzo, że waćpana zdrowego i całego oglądam. A toć tu już rozgadali, że cię Turcy w drodze postrzelili i jużesmy twój skon oplakiwali.

Ruszczyc. We dwa tygodnie wylizałem się z tego w Wiedniu. Ale, panie marszałku, chciałbym jak najprędzej widzieć księcia Lotaryńskiego, mam do niego pismo od generała Stahremberga.

Lubomirski. Dobrześ waćpan trafił. On tu przyjdzie nie-

bawem, razem z królem, który lustruje armię niemiecką.

Ruszczyc. Co? król jegomość już z nami?... a to mi dobrą nowinę powiedziałeś, panie marszałku!

Lubomirski. Poczekaj tu waćpan chwilę, a zobaczysz ich i uczynisz zarazem relacją.

(Baronowa zbliża się do Ruszczyca i pociąga go z tyłu za połę. Ten przestraszony odwraca się i odprowadza ją na bok).

Ruszczyc. Za pozwoleniem pana marszałka, muszę dać ordynans memu Turczynkowi. *(Do Baronowej).* Na miłość boską, mościa baronowo, tylko nie nie gadać!... Już dosyć jestem w opałach i pocę się jak ruda mysz, by waćpani kto nie poznał. Piękna byłaby historia! rotmistrz pancerny prowadzący ze sobą kobietę do obozu!

Baronowa. Więc mam ciągle być niemową — to mnie dużo kosztuje...

Ruszczyc. Musisz waćpani, inaczej mię zgubisz... A teraz co prędzej pójdziesz stąd...

Baronowa. Sama?... bez ciebie?... gdzie mnie wysyłasz na pewną zgubę, tu gdzie tylu żołnierzy, a każdy gotów...

Ruszczyc. Pójdziesz waćpani na moje stanowisko. Ja tam niebawem nadejdę, skoro tylko złożę księciu relacją.

Baronowa. Więc do ciebie, rotmistrzu — a... to co innego!

Ruszczyc. Tylko, na rany Chrystusa, bądź waćpani niemą, niemą jak... jak kłoda!

Baronowa. Fe, co za porównanie!...

Lubomirski. Cóż tam waćpan dyskuruje tak długo ze swoim Turczynkiem?

Ruszczyc *(pochodzi nieco do niego).* Panie marszałku, z niemem stworzeniem rozmowa nie idzie tak gładko. *(N. s.)* Ze też ta baba musiała mię dołapać w Wiedniu! *(Gł.)* Zaraz, panie marszałku, zaraz ja go wyprawię. *(Wracając do Baronowej).*

Widzisz waćpani tę chałupę na prawo pod drzewem?

Baronowa. Widzę. Ach, jak idylotycznie wygląda!

Ruszczye. To tam moje stanowisko. Idź tam waćpani i czekaj na mnie.

Baronowa. Ale przyjdiesz rotmistrzowi niedługo?

Ruszczye. Przyjdę, przyjdę. Tylko sza! ani mru — mru!...

Baronowa. Do zobaczenia zatem, do słodkiego zobaczenia! Po tylu trudach i niebezpieczeństwach należy nam się obojgu chwila błogiego wypoczynku.
(*Odchodzi na lewo.*)

Lubomirski. W sam czas odbyłeś się waćpan z tym Turczynkiem; oto król jegomości z całą prześwietną kompanią tu idą.

SCENA 3.

Ciż, (Wchodzą) Król Jan Sobieski, Ks. lotaryński, Elektor bawarski i saski, ks. Waldeck i inni Książęta i Generałowie.

Król (wchodząc) Podobają mi się wasze wojska. Arcypiękne, wyćwiczone i w dobrym porządku. Znać na nich rękę dobrych wodzów. Teraz proszę waszmościów na chwilę do siebie. Wypoczniemy trochę i przy okazji zrobimy małe consilium bellicum.

(Król za nim Książęta i Generałowie wchodzą do wnętrza stodoły. Za wejściem Króla zjawia się służba, a na jego skinienie oddala się i potem w ciągu tej sceny, wracając to jeden to drugi, robi przygotowania do przyjęcia gości winem. Z przybyłych, kiedy Król usiadł, jedni siadają, drudzy stoją.)

Lubomirski (zatrzymuje Księcia lotaryńskiego przed stodołą). Proszę mości księcia na słowo. Rotmistrz Ruszczye powrócił z Wiednia i przyniósł pismo od hr. Stahremberga.

Ks. Lotaryński. A więc nie zginął! cieszy mnie to bardzo...

Ruszczye (oddając pismo). Do usług waszej książęcej mości.

Król. Cóż was tam zatrzymuje, mości książę?

Ks. Lotaryński (zbliżając się do Króla). Interes wielkiej

wagi, najjaśniejszy panie. Otrzymałem pismo od Stahremberga...

Król. Od Stahremberga? To chyba ptaki niebieskie powietrzem je waszmości przyniosły...

Ks. lotaryński. Nie ptaki powietrzem, ale człowiek po ziemi, najjaśniejszy panie.

Król. To tegi junak!

Ks. lotaryński. Na pociechę W. Kr. mości mogą powiedzieć, że to jeden z jego poddanych i żołnierzy. (*Do Ruszczyca*). Zbliź się tu waćpan. Rotmistrz pancerny Ruszczyca z ochotników polskich, służących pod marszałkiem Lubomirskim...

Król. Hm, to dobrze! cieszy mię, że to nasz!

Ruszczyca. Niechajże mam honor ucałować stopy mojego króla jegomości. (*Pochyla się Królowi do kolan*). W. kr. mość mię nie poznaje w tem tureckiem przebraniu, którem dla niepoznaki zawdziął na siebie. Ja jestem ten sam Ruszczyca, co to pod Zórawnem miał szczęście podać konia W. kr. mości...

Król. To ty, to ty!... A, mój kochany Ruszczycu, miałbyś prawo gniewać się na mnie, gdyby nie ta turecka maskarada. Chwat z ciebie zawsze, jak widzę, i starasz się utrzymać honor naszego narodu...

Ruszczyca. Ja chudy pacholek, ile mogę, naśladowuję wielki przykład W. k. mości...

Ks. lotaryński. Kiedy chodziło o to, ażeby Stahrembergowi dać o nas wiadomość i wlać mu trochę otuchy, z pomiędzy oficerów, pod moimi rozkazami będących, sam tylko rotmistrz Ruszczyca zgłosił się na ochotnika, że pójdzie i dostanie się do tego piekła, którym teraz jest Wiedeń.

Ruszczyca. Co prawda, to nie grzech. Gorąco tam i ognia dosyć!

Ks. lotaryński. Byliśmy pewni, że zginął, bo dwa tygodnie przeszło nic o nim słyhać nie było...

Lubomirski. Tyle było w tem prawdy, że Turcy postrzelili go w drodze, i musiał rany goić...

Król. Masz waćpan u mnie za to arabczyka z rządem... każe ci go wydać panu Jordanowi... (*Ruszczyć kłania się*). Ale co tam pisze Stahremberg...

Ks. Lotaryński. W. k. mość pozwoli, że przeczytam (*Rozwija pismo*). »Niema chwili do stracenia, niema ani chwili do stracenia!«

(*Uderzony tem spogląda po innych Książętach. Ci zamieniają także między sobą spojrzenia, po chwili pochylają głowy z zakłopotaniem i milczą*).

Król. (*p. k. m.*) Nic więcej?

Ks. Lotaryński (*patrząc w ziemię*). Ani słowa.

Król. (*p. k. m.*) Żle z Wiedniem, źle z Wiedniem!

Ruszczyć. Bóg świadkiem, że źle! Kamienie, gdyby mogły, płakałyby nad niedolą tych ludzi. Bronią się jak wściekli, generał Stahremberg to prawdziwy bohater niestrudzony i nieustraszony, gotów pogrzebać się pod gruzami miasta. Lecz na co się to wszystko zda w obec pogańskiej przemocy?!... Tylko patrzeć, a Turcy rozwalą do reszty ich mury i zaborą stolicę.

Król. Trzeba będzie temu zaradzić. — Mości Ruszczyć idź teraz na kwaterę, należy ci się wypocząć po tych molestacyach i zrzucić z siebie ten strój bisurmański.

Ruszczyć. Gdy taka woła W. kr. mości...

(*Kłania się Królowi i Książętom i odchodzi*).

SCENA 4.

Ciż bez Ruszczyca.

Król. Cóż, mości panowie? musimy pomódz Wiedniowi.

Ks. Lotaryński. Było to także życzeniem jego cesarskiej mości, byśmy uczynili dywersyę...

Król. Dywersyę?... to mało! Musimy iść wprost na Wiedeń i pobić oblężających Turków. (*Milczenie*). Cóż waszmoście na to?

Ks. Waldeck. Nie śmiemy sprzeciwiać się zdaniu W. kr. mości ale...

Król. Cóż macie przeciw temu? Skoro tylko Jabłonowski i Sienfawski nadejdą, przeprawimy się przez Dunaj...

Ks. Waldeck. Boimy się, czy to nie będzie przedsięwzięcie ryzykowne, niebezpieczne. Turków jest z górą trzykroć stotysięcy, nas z temi posiłkami, które jeszcze przyjdą, nie będzie więcej nad 70 tysięcy... Będziemy mieli za sobą Dunaj, a jedna klęska może zgubić do szczytu nas i chrześcijaństwo... Zresztą niech W. kr. mość zapyta także o zdanie innych...

El. bawarski. Ja równie bałbym się stawiać wszystkiego na jedną kartę...

El. saski. Podzielał obawy ks. Waldecka. Byłoby to z naszej strony zuchwałością...

Ks. Waldeck (*do jednego z Generałów*). Cóż na to powie hr. Caraffa?

Caraffa. Moje długie doświadczenie nakazywałoby mi przezorność i ostrożność...

Ks. Waldeck (*do innych Generałów*). A wy panowie, zgadzacie się ze mną?

Generałowie. Zgadzamy, zgadzamy!

Ks. Waldeck. Niech więc W. kr. mość raczy jeszcze rozważyć...

Król. Rozważałem to długo i głęboko, i doszedłem do przeświadczenia, że mamy do czynienia z mizernym przeciwnikiem. Kara Mustafa popełnia błąd po błędzie. Wiedeń już powinien mieć dawno w swoich rękach, gdyby nie to, że go chce wziąć regularnem oblężeniem, a nie generalnym szturmem. Któryż z was, mości panowie, gdyby jak on był na czele trzech kroć stotysięcznej armii, ścierpiałby, aby mu postawiono ten most, nad którym pracujemy, o pięć mil od jego obozu. On zdaje się nawet nie wiedzieć o mojem przyjsciu do was, o tem, że moje wojsko ciągnie wam

na sukurs, bo żadnej przeszkody i najmniejszego utrudnienia nam w drodze nie uczynił. Myślcie więc, mości panowie, raczej o wodzu, którego macie pobić, nie o tłumach, którymi dowodzi... Ja wam jeszcze raz powtórzę: Kara Mustafa nie ma pojęcia o wojnie!

Ks. lotaryński. Dotąd milczałem, nie wiedząc, co powiedzieć. Ale ty, najjaśniejszy panie, otworzyłeś nam oczy. Geniusz twój dojrzał od razu, na co my byliśmy ślepi. Mości panowie, nam słuchać zdania jego kr. mości...

El. bawarski. Niech wasza kr. mość każe mi teraz iść do piekła, a pójdę z zaufaniem, że mi się nie złego nie stanie.

El. saski. W twojej szkole, najjaśniejszy panie, powinniśmy się uczyć sztuki wojowania.

Król. Ja jej się nauczyłem, trzydzieści lat wojując z tym nieprzyjacielem. Na tem więc stanęło: przepawimy się przez Dunaj i idziemy prosto na Turka.

Księżęta i Generałowie. Pójdziemy, pójdziemy, gdzie nas powiedziesz.

Król. Chciałbym cesarzowi jegomości jak najprędzej sprawić tę satysfakcyą, by powrócił do swej rezydencyi i zaśpiewał »Te Deum« w kościele św. Szczepana. — Ale gdzie to jest Fanfanik?

Lubomirski. Widziałem królewicza, jak z księciem Sabaudzkim pod ramię spacerowali tu niedaleko... Ale otóż i oni.

(Wchodzi Fanfanik z Ks. sabaudzkim).

SCENA 5.

Ciż, Fanfanik i ks. Sabaudzki.

Król. Prezentuję waszmościom mojego najstarszego syna. Przyjmijcie tego nowicyusza do swego grona.

Ks. lotaryński. W tak młodym wieku wzięłeś go W. kr. mość na wyprawę.

- Król.** Niech się zawczasu przyucza do rycerskiego rzemiosła. Wojna to najlepsza szkoła...
- Ks. lotaryński.** Dla królewskiego syna i przyszłego następcy.
- Król.** Jak Bóg da! I dla młodego szlachcica polskiego. Tak mi mawiał ś. p. mój rodzic: »Nie ucz się gailardy w Paryżu, bo tańca nauczysz się w harcach z Turkami i Tatarami.« (*Biorąc za kieliszek*). Za zdrowie moich przeznacznych gości! (*Służba roznosi między obecnych wino*).
- El. bawarski.** Za wielki to honor dla nas... wprzód zdrowie W. kr. mości.
- Król.** Jesteście waszmoście pod moim dachem. My święcie zachowujemy prawa gościnności. Nie odstąpię od swego (*Piją. Ks. Lotaryński, przypatrzwszy się winu, odstawia kieliszek*). Nie pijesz, mości książe?
- Ks. lotaryński.** W. kr. mość daruje... To węgierskie wino.
- Król.** In Hungaria natum, Cracoviae educatum. Nie dobre?
- Ks. lotaryński.** Za mocne dla mnie. Nie jestem przyzwyczajony. Piję zwykle mozelskie i to z wodą.
- El. bawarski.** Ależ książe nie odmówi jęgo krolewskiej mości!
- El. saski.** Razem z nami musisz książe wypić. Inaczej nie uchodzi.
- Król.** Nie przynagłajcie go waszmoście. U nas jest przysłowie: wolno w Polsce, jak kto chce.
- El. bawarski.** Ej! wstyd, żeby taki dzielny żołnierz bał się wina.
- El. saski.** Mości książe, ja powiem drugie przysłowie: Skoro wszedłeś między wrony, musisz krakać jak i ony. Skosztujże tylko!
- Ks. lotaryński.** Kiedy koniecznie potrzeba... (*pije trochę*).
- Król.** Cóż, dobre?
- Ks. lotaryński.** Dobre. (*Pije do reszty*). Dobre, smaczne wino. Ale już dosyć.
- El. saski** (*biorąc nowy kieliszek*). Jakto, dosyć? Za zdrowie J. kr. mości Jana III!
- Ks. lotaryński.** Zakląłeś mnie strasznie, mości elektorze!

- (*Biorąc za kieliszek*). Teraz już jestem pewny, że się upiję. Niech żyje Jan Trzeci!
- El. bawarski. Niech żyje pogromca Turków!
- El. saski. Salvator chrześcijaństwa!
- Inni Książęta i Generałowie (*wznosząc kieliszki*)
Niech żyje! niech żyje!
- Król. Dziękuję waszmościom z całego serca. Oby Pan Zastępów sprawił, żebym stał się tem, czem mnie mianujecie już dzisiaj z waszej łaskawości, abym zdołał wyratować chrześcijaństwo i wiarę świętą od muzuhnańskiej opresyi.
- Książęta. Stanie się tak! stanie!
- El. saski (*do Księcia lotaryńskiego*).
Cóż, mości książę, dobrałeś się smaku w węgierskim winie?
- Ks. lotaryński. Dobre, wyborne. Tak jestem ucieszony jak nigdy w życiu. Ten król polski złapał mnie za serce. Taki wielki mocarz i bohater, a jest z nami za pan brat. Dajcie mi wina!
- El. bawarski. Brawo! brawo! Lotaryński, zaczynasz mi się podobać!
- El. saski. To mi zuch! udawał tylko!
- Ks. lotaryński. No, pójcież ze mną, skoroście tak namawiali! (*Wypiwszy, do Króla*). To z twojej okazji najj. panie. Tak jest, z ręką na sercu powiadam wam wszystkim mości panowie: kocham króla polskiego, kocham... (*spozstrzegając Królewicza obok ojca*) i ciebie także, kocham Fanfanik! (*Podaje mu rękę*). Ale poczekał, musisz mię czegoś nauczyć. Powiedz mi, Fanfanik, jak się nazywa po polsku: der Vater.
- Królewicz. Po polsku nazywa się: ojciec.
- Ks. lotaryński. Ojciec, ojciec, ojciec — der Vater ojciec — O, już umiem: ojciec. A jak się nazywa: der Sohn?
- Królewicz. Syn, proszę księcia.
- Ks. lotaryński. Der Sohn: syn, syn, syn... ojciec, ojciec... syn, syn... A co, Fanfanik, dobrze?

Królewicz. Doskonale, mości książę.

Ks. lotaryński. Więc słuchajcie, mości panowie. Król polski to jest nasz ojciec, on nas wszystkich weźmie pod swoją obronę, on nie dopuści, żeby nas Turcy zawojowali, on nasz ojciec... A ja to jego syn... my wszyscy jego synowie, kochamy go jak synowie i będziemy słuchać... on nasz ojciec!... Prawda? mości panowie, on nasz ojciec!

Książęta. Prawda, prawda! nasz ojciec!

Ks. lotaryński. A my jego synowie! Dalej za kieliszki, mości panowie: niech żyje nasz ojciec!

Książęta i Generałowie. Niech żyje nasz ojciec! (*Podnoszą kieliszki. Wszyscy cisną się do Króla. On wstaje, ściska się z Księciem lotaryńskim i z kilku bliższymi, innym podaje ręce.*)

Król. (*Do ks. Lotaryńskiego*). Ceniłem w tobie zawsze, mości książę, znakomitego wodza, a dziś poznaję w tobie zacne i poczciwe serce. Nasze fantazje zgodzą się ze sobą.

Ks. lotaryński. Ja mam wielką prośbę do W. kr. mości.

Król. No, mówcie, książę.

Ks. lotaryński. Ja niegdyś byłem taki nierozsądny, że w czasie elekcji z W. kr. mością wspólnie konkurował o koronę... Daruj mi to W. kr. mość, to było głupio, głupio... gdzie mnie się równać z tobą... a mnie to teraz boli... Daruj mi oj... oj... Jak to? Fanfanik...

Królewicz. Ojczel!

Ks. lotaryński. A tak, tak: ojczel! Daruj mi, ojczel! (*Ściska Króla*).

Król. Byłeś książę niegdyś moim rywalem, a teraz jesteś moim szczerym przyjacielem. Wszakże tak?

Ks. lotaryński. Tak, tak, twoim przyjacielem, twoim synem, moj ojczel! Fanfanik, czy dobrze ja powiedziałem: synem.

Królewicz. Całkiem dobrze, mości książę.

Ks. lotaryński. Ale ja czuję, że coś nie na swoich nogach stoję. Daruj W. kr. mość, nie jestem przyzwyczajony, a to wino węgierskie dobre, ale z nóg ścina... Pierwszy raz w życiu to mi się zdarzyło..., ale trudno, taka okazyja... tyle serdeczności... To mi to król: i ojciec i brat!... Muszę pożegnać W. kr. mość... trzeba iść do domu. (*Do Elektora saskiego*). A ty, Saski, skoroś mi kazał pić, teraz mi dopomóż! (*El. saski bierze go pod rękę*). U ciebie głowa nie taka jak moja — o, wiem! — Fanfanik, bywaj zdrów, mój bracie, Kocham cię, Fanfanik!

El. bawarski. I my nie będziemy nadużywać gościnności. W. kr. mość potrzebuje wypoczynku.

Król. Nie byłoby nic w tem dziwnego. Jestem najstarszy wiekiem pomiędzy wami, a spieszyłem się do was bardzo, żebyście mnie nie ubiegli i beze mnie tutaj nie skończyli, bo wybierając się z Krakowa, przyrzekałem, że za naszym powrotem konie tureckie będą w Polsce tanie.

Podkomorzy królewski. (*Wchodzi z listem na tacy*).

Najjaśniejszy panie, poczta od Jej król. mości.

Król. Od królowej, od mojej najukochańszej Marysienki... dajże waćpan, daj.

El. bawarski. Nie przeszkadzamy W. kr. mości.

Król. Do zobaczenia, mości panowie, do zobaczenia. (*Do Lubomirskiego*). Mości marszałku i ty, Fanfanik, odprowadźcie moich gości. (*Księżęta i inni obecni w tej scenie wychodzą na zewnątrz stodoły i oddalają się na prawo. Król przebiega list prędko, całuje go*). Niechajże choć w imaginacyi ucałuję tę śliczną rączkę, która kreśliła te słowa. (*Czyta dalej po cichu*). A, znowu mię pomawia o obojętność i brak afektu... to może trochę zazdrości z racyi tych dam u grafa Obersdorfa w Raciborzu, o których jej pisałem, że grałem z nimi w karty... O jedyna mojej duszy pocie-

cho, ja przy tych moich zabawach i turbacyach we dnie i w nocy myślę tylko o tobie, a ty niesłusznie sobie imagujesz i nie wiesz, że masz we mnie najwierniejszego Celadona. Hola! Matczyński, prędko pióra i papieru, muszę zaraz dać odpowiedź królowej, opisać jej wszystko co się z nami dzieje. (*Wychodzi wewnątrzem stodoły, za nim Podkomorzy*).

SCENA 6.

(*Z lewej strony, środkową kulisą wchodzą*) Ruszczyc (*już we własnym ubraniu*) i Baronowa (*jako Turek*).

Baronowa. (*Wchodząc szlocha*). Ach! ach! ach!

Ruszczyc. Na rany Chrystusa, bądźże mościa pani cicho!

Baronowa. Waćpan tylko ciągle mi powtarzasz cicho i cicho! Chcę mówić: cicho! chcę wzdychać: cicho! chcę płakać: cicho! I nic, nic, od waćpana nie słyszę więcej. O, jesteś niewdzięcznikiem, nie umiesz ocenić mojego poświęcenia i serca!

Ruszczyc. Mylisz się, mościa pani, cenię wielce jedno i drugie. (*N. s.*) O, bardzo wiele mnie kosztuje! (*Gł.*) Tylko proszę cicho, bo nuż kto usłyszysz!

Baronowa. Tak prędko doczekałam się takiej obojętności. Kiedy ja się rozplywam z uczucia, waćpan nie spojrzysz na mnie, siedzisz ode mnie zdaleka jak mruk, nie odezwiiesz się, nie... ach!

Ruszczyc. Można przecież być czasem zły...

Baronowa. Waćpanu ciągle przy mnie brakuje humoru. O, zawiodłam się bardzo na tobie... w Wiedniu zdawałeś mi się więcej obiecywać... Bogdajbym była raczej wpadła w ręce Bisurmanów... oniby lepiej wiedzieli, czego moja płeć wymaga!

Ruszczyc. Więc czegoż ode mnie chcesz, mościa baronowo?

Baronowa. O łaskawe nieba! i on się pyta, czego ja chcę!... Chcę najprzód zdjąć z siebie to tureckie ubranie

i nie uchodzić dłużej za to, czem nie jestem i czem być nie mogę. Teraz kiedy niebezpieczeństwo minęło...

Ruszczyć. Nie minęło, mościa pani! Sroźsze niebezpieczeństwo z tej strony, gdyby moi towarzysze poznali. (N. s.) A broń Boże! gdyby się jeszcze kiedy moja Basia o tem dowiedziała...

Baronowa. Chcę dalej, żeby mi wolno było mówić, kiedy mam ochotę i z kim mi się podoba, a nie udawać niema, kiedy mię pan Bóg obdarzył dobrym językiem.

Ruszczyć. Zlituj się, mościa pani, toż się zaraz zdradzisz, żeś białogłowa!

Baronowa. Chcę... chcę wreszcie... Ale po co ja mam mówić czego chcę! Waćpan powinienes sam wiedzieć jako mężczyzna, co się kobietom podoba i czego chcą.

SCENA 7.

Ciż (wchodzi) Generał Kącki, za nim kilku Żołnierzy polskich prowadzących pojmanego Wołocha).

Kącki. Mości rotmistrzu, dobrze, że cię spotykam...

Ruszczyć. Panie generale!...

Kącki. Oddam ci pod opiekę tego jeńca. Ci ludzie schwytali go na kraju lasu. Było tam więcej tych pohańców, ale reszta na nieszczęście uciekła. Trzeba dobrze na niego dawać baczną i pociągnąć go za język, to nam co wypiewa, bo to pewnie szpieg.

Ruszczyć. Stanie się podług rozkazu, panie generale.

Wołoch. (Kłęk, składając ręce). Jaśnie panowie, nie gubcie biednej duszy. Ja nie Turek, ja chrześcijanin, Wołoch. Zabrali mię na wojnę — to ja musiał iść.

Kącki. A coś tu, łotrze, robił tak blisko obozu, razem z Tatarami?

- Wołoch.** Ja nie szpieg, jak mi Bóg miły! Ja powiem wszystko, jak było. Ta, my chcieli co pochwyć.
- Kącki.** A, rabusie! Będziesz za to wisiał!
- Wołoch.** Jaśnie oświecony panie, ja nic nie zrabowałem, tylko tamci, Tatarzy, co uciekli...
- Kącki.** A co zrabowali?
- Wołoch.** Nic, tylko pognali jedną dziewczynę.
- Kącki.** Będziesz wisiał za tę krew chrześcijańską!
- Wołoch.** Jaśnie oświecony panie, ja broniłem tej dziewczyny, ja mówiłem Tatarom, żeby ją puścili, bo to nie Niemka, ale z Polski dziewczyna.
- Kącki.** Z Polski!... O, ze skóry każę cię za to obdrzeć!
- Wołoch.** Jaśnie oświecony panie, nie gub mię! Ja dobrze życzył tej dziewczynie... Ja Polaków kocham... przed laty ja służyłem w Polsce u królewskiego dworzanina i nauczył się polskiej mowy.
- Ruszczyk.** On kłamie. Skądby się tu wzięła jaka polska dziewczyna?
- Wołoch.** Klnę się na Boga, co prawda! Ja z nią rozmawiał... to jakaś szlachecka dziewczyna... szła aż z Krakowa...
- Ruszczyk.** Z Krakowa?
- Wołoch.** Tak, tak, gładka dziewczyna!... o, jaka gładka! a czarnobrewa!
- Ruszczyk.** Czarnobrewa! Jezu święty!... coś mię w serce tknęło!
- Wołoch.** Ona, jaśnie oświecony panie, zaszła aż tu dowiedzieć się o swoim narzeczonem, rotmistrzu polskim, co, jak słyszała, był ranny i zginął niewiedzieć gdzie. Ona biedaczka przyszła go tu szukać, bo w domu nie mogła wytrzymać z wielkiego niepokoju.
- Ruszczyk.** Jezu Nazareński, Matko najświętsza! to Basia, moja najdroższa Basienka! (*Chwyta się za głowę*).
- Baronowa** (*zbliża się szybko*). Rotmistrzu! co ci się stało?... Nie rozpaczaj, ja wszystko przebaczę!...
- Ruszczyk** (*odpycha ją*). Idź waćpani precz do czarta!

Baronowa. Ach! zemdleję, zemdleję! tej zniewagi nie przeniosę!... okropność, okropność! (*Odchodzi szybko*).

Ruszczyć. Generale, ratuj mię! ratuj moją Basię!

Kącki. Biedny rotmistrzu, co ja ci pomogę.

Ruszczyć. W pogoń za tymi Tatarami!

Kącki. Muszą już być daleko, nie dognamy.

Ruszczyć. Gdzie są? Ty, Wołoch, pójdź! wskaż, gdzie uciekli... daruję ci życie, jeśli ją ocalimy.

(*Idą: Kącki, Ruszczyć i Wołoch w głąb sceny*).

Wołoch (*pokazując*). O, o! tam, gdzie te drzewa w dolinie, jadą dwa Tatarzy!...

Kącki. Ciężar łupu nie pozwolił im widać prędko uciekać...

Ruszczyć. Widzę: pomiędzy ich końmi wiewa się kobieca sukienka...

Kącki. Masz perspektywę. (*Podaje mu*).

Ruszczyć (*patrzy przez perspektywę*). To ona! moja Basia!... poznaję ją... Co robić?...

(*Wyrzywa muszkiet jednemu z żołnierzy i zamierza się strzelić*).

Kącki. Muszkiet nie doniesie. Chyba z tego działa...

Ruszczyć. Generale, tyś mistrz przy armacie... strzelaj do tych pogańskich synów!

Kącki. Oko mam celne... (*patrzy przez perspektywę*) ona zakryta ciałem końskim... ale gdyby Bóg dopuścił, czy jesteś zdecydowany?...

Ruszczyć. Boże, nie miej mi tego za złe! Lepsza śmierć niż hańba i niewola u niewiernych!

Kącki. Padaj na kolana i módl się!...

(*Ruszczyć klęka. Kącki przykłada lont, strzela. W chwili strzału Ruszczyć się zrywa i z podniesionymi w górę rękami biegnie w kierunku strzału, wołając*).

Ruszczyć. Jezus! Marya!

AKT TRZECI.
P O K U S A.

OSOBY:

Król Jan Sobieski.
Jabłonowski H. W. K.
Sieniawski H. P. K.
Margrabia de Vitry, ambasador francuski.
Generał Kącki.
Ks. Eugeniusz sabaudzki.
Adjutant elektora bawarskiego.
Adjutant elektora saskiego.
Baronowa.
Ruszczyk.
Braciszek Gaudenty, kanafarz kapelanów wojskowych.
Oficer polski.
Matka króla Sobieskiego
Marek Sobieski, brat króla
Żółkiewski Stanisław H. W. K. } zjawiska senne.
Jan Żółkiewski, jego syn
Basia Korczakówna
Kilku Senatorów polskich. Jańczarowie królewscy.

Rzecz dzieje się w obozie pod Tulnem.

W połowie sceny, na środku, wielki namiot królewski.
W namiocie stolik, przy nim dwa krzesła naprzeciw siebie, u wejścia z boku sofa przykryta skórą lamparcią.
Przy namiocie w głębi kilku Jańczarów królewskich stoi

na straży. Za odsłonięciem kurtyny słychać za sceną marsz wchodzącego do obozu wojska polskiego. Po chwili wchodzi: Jabłonowski, H. W. K. Sieniawski, H. P. K. Szczęsny Potocki, wojewoda sieradzki, jego synowie Stanisław Potocki starosta halicki, Marcin Zamojski, wojewoda lubelski, Konstanty Wiśniowiecki wojewoda bełzki, Władysław Denhof wojewoda pomorski. Wszyscy w pełnych zbrojach. Za nimi Ruszycy. Namiot królewski się otwiera, wychodzi Król, Wodzowie witają go z ukłonem.

SCENA I.

Król. Wodzowie. Ruszycy. Jańczarowie (w głębi).

Król (*podając im ręce*). Witam waszmościów. Dobrze, dobrze, wszyscy widzę w komplecie. Ucieszyliście waszmoście moje serce królewskie ochotnością, a Klio zapisze z honorem wasze imiona na kartach historii. Jakąż mieliście drogę?

Jabłonowski. Bóg ją nam torował, najjaśniejszy panie, przyszlśmy bezpieczni i spokojni, jakby nieprzyjacieli sto mil od nas był daleko.

Sieniawski. Wojsko szło tak ochoczo, jakby na wesele, a nie na krwawą imprezę.

Król. To dobrze, to dobrze! Dobry animusz u żołnierza to połowa wygranej.

Jabłonowski. Litwa nie zdążyła na czas z nami przyciągnąć.

Król. Nie żałuję tego. Może się przydać, gdy będzie tego potrzeba gdzieindziej, na dywersyą na Węgrzech. Ale kozacy przyszli?

Sieniawski. Nie, najjaśniejszy panie, aniśmy słyszeli o nich.

Król. Dla Boga! a któż mi tu będzie Tatarów naganiać? Zły człowiek pan Mężynski! miał mi ich przyprowadzić, a nawet nie pisze najmniejszej litery o nich i co sprawił na Ukrainie.

Jabłonowski. Może ich się jeszcze w porę doczekamy.

Król. Bógby dał, Bógby dał! Ja o nich bardzo dbam, i nieraz do nich przez dzień westchnę. Waszmoście niedługo będziecie odpoczywać w obozie. Most na Dunaju już na ukończeniu. Jutro, tuszę sobie, będziemy się mogli przeprawiać.

Sieniawski. Żalby było czas tracić, a Wiedeń musi się tam okrutnie kurczyć.

Król. Proszę waszmościów na chwilę do siebie. Panie Ruszczyc, waćpana chorągiew stąd niedaleko?...

Ruszczyc. Niedaleko, najjaśniejszy panie.

Król. Każ więc moim Jańczarom zejść ze straży. Niech idą na stanowiska i dobrze sobie wypoczną, bo od jutra przyjdą dnie dla nas wszystkich bardzo ciężkie.

(Król wchodzi do namiotu, za nim Wodzowie. Namiot się zasuwaa. Równocześnie Ruszczyc idzie w głąb do Jańczarów, mówi z nimi chwilę; Jańczarowie odchodzą za scenę).

SCENA 2.

Ruszczyc *(sam, chodzi chwilę po scenie, potem staje).*

Biedny ja, nieszczęśliwy jestem człowiek! Dopóki krzyczę na łózaków i ciurów, dopóki z panami towarzyszami miód popijam i tytoń kurzę, to jeszcze jako tako! Ale jak zostanę sam, jak zacząnę rozważać ze sobą i deliberować, to mi się tak markotno robi na sercu, taka mię ogarnia czarna melankolia, że choć łeb sobie urwij!... Biedna moja Basia! biedna Basieńka! Jeden psawiara Tatar padł trupem, ale drugi porwał ją jak swoją i uciekł!... Gdzie ona teraz niebożę? Czy w niebie pomiędzy aniołami patrzy się na moją mizeryą i płacze nade mną, czy na ziemi u tych psów niewiernych jęczy nad swoją niewolą? Skóra mi cierpnie, kiedy pomyślę, że może... O przeczysta Dziewico! miej ją w swej opiece i nie dopuść takiego horrendum!... A temu

wszystkiemu kto winien?... tylko ja!... Potrzeba mi było tak długo siedzieć w tym Wiedniu. Niby to się leczyłem z rany, ale w piersi się uderzywszy, widzę, żeś fałszywy faryzeusz. Rana raną, a mnie należało obwisać dobrze chustą ramię i czmychać co żywo do obozu. Ale cóż? smakowały mi umizgi i podwika i dalejże się pieścić i delikacić. Tfu, do tysiąca czartów, większy z ciebie łotr, panie Damianie, niż ten co wisił po lewicy Chrystusa! Basia, jak się dowiedziała o mojej przygodzie i mniemanej śmierci, tak byłaby ją wieść doszła i o tem, żeś cały powrócił do obozu, i nie byłaby szła z Krakowa aż tutaj. O! włosybym sobie darł z głowy, kąsałbym sobie ciało, targałbym wnętrzności ze siebie! (*P. k. m.*) I jeszcze ta przekłeta baba ciągle mi siedzi na karku!... Miałbym nieraz ochotę zbić ją na kwaśne jabłko, a muszę się moderować i udawać baranka, bo mię strach, a nuż narobi krzyku i oliwa wyjdzie na wierzch. Teraz, kiedy już wszyscy wiedzą, jak się moja Basienka dla mnie narażała, że dla mojej miłości popadła w tatarskie pęta, toż lada ciura obozowy mógłby mi napluć w oczy, że wodzę za sobą babę, i do tego jeszcze starą!... Oj! żeby można się od niej odczepić, zamówiłbym pięćdziesiąt mszy za dusze w czyściu cierpiące...

SCENA 3.

Ruszczyć (wchodzi) Br. Gaudenty).

Br. Gaudenty. Laudetur Jesus Christus!

Ruszczyć. In saecula saeculorum, bracie kanafarzu.

Br. Gaudenty. Miło mi spotykać pana rotmistrza. Ja tak sobie spacerkiem wyszedłem pogapić się na naszych wojaków. A jest co widzieć! Chłopcy jak

malowane, a jakie to rześkie i buńczuczne, fu. Ale cóż to? u pana rotmistrza dziś nie najlepsza fantazyja...

Ruszczyc. Niema się co zapierać, prawdę rzekłeś, bracie kanafarzu.

Br. Gaudenty. A pfe! to żołnierzowi nie do twarzy nosić nos na kwintę, a oczami szukać po ziemi, czego nie zgubił.

Ruszczyc. Cóż robić, kiedy i na żołnierza przychodzi melankolia...

Br. Gaudenty. Kochasiu, wybij ją sobie z głowy, wybij co tchu, rybeńko! Ot! wiesz co, panie rotmistrzu: zażyj mojej tabaczki. Prawdziwa bernardynka, arecyparadne lekarstwo na smutki. Poniuchasz, kichniesz raz i drugi, jakby z mózdzierza wypalił, i wnet ci się w głowie rozpogodzi, a melankolia dziurkami od nosa precz ucieknie.

Ruszczyc. Nie pomoże mi tabaka, bracie Gaudenty. Mnie tu po sercu coś drapie i gryzie i tak mię męczy, że sobie rady dać nie mogę.

Br. Gaudenty. Ho! ho! ho! to aż tak?... Czy ciebie kto nie urzekł... czy ciebie, Boże broń, zły duch nie opętał?

Ruszczyc. Oj, opętał, opętał!... (*Miarkując się*). Ej nie, bracie kanafarzu, czuję, że nie jestem opętany... tylko...

Br. Gaudenty. No, no, tylko co?

Ruszczyc. Tylko... (*N. s.*) O, jakaż fortunna myśl przyszła mi do głowy! (*Gł.*) A gdyby kto był opętany, czy brat kanafarz mógłbyś z niego wypędzić nieczystego ducha?

Br. Gaudenty. Czemu nie? A od czegoż woda święcona, egzorcyzmy i krzyż pański? a od czegoż, bo i to jest approbatum remedium, od czegoż są (*wstrząsając sznurem od habitu*) ogórki bernardyńskie?!

Ruszczyc. Wielkie szczęście, żeś mi to brat powiedział. Mam u siebie na służbie człowieka, o którego dużo mi chodzi..

Br. Gaudenty. Opętanego, co?

Ruszczyk. Tak mi się widzi. Jest to Turczynek pojmany w niewolę pod Wiedniem, zresztą poczciwe chłopię.

Br. Gaudenty. O, o! w duszę niewierną najprędzej bies wejdzie. A jakież symptoma, panie rotmistrzu?...

Ruszczyk. Turczynek jest od urodzenia niemy, ale gdy go bies napadnie, zaczyna gadać jakimś dyabelskim językiem, a krzyczy, że choć pod ziemię się schowaj. Ja bo przecie umiem i niemiecką i turecką mowę, i dzięki OO. Jezuitom łaciny trochę liznałem, a nigdy zrozumieć jego języka nie mogę...

Br. Gaudenty. Bardzo ważne symptoma! To wiadomo od wieków, że czart wszystkimi językami się odzywa, a dobiera zawsze co najtrudniejsze dla prawowiernych uszu. Ale cóż jeszcze więcej?

Ruszczyk. Czasami znowu zdaje mu się, że jest kobietą...

Br. Gaudenty. O niezawodne symptoma! Zły duch, poczawszy od naszej prababki Ewy, najczęściej za naczynie obiera sobie kobietę. A o kobiecie co to ojcowie święci i prorocy powiadają — proszę tylko czytać!... Kobieta to zgorszenie dla oka, pokusa dla ciała, trucizna mężów, narzędzie czarta, nieprzebrana studnia grzechów i próżność nad próżnościami! O, jeżeli ten bies udaje kobietę... Ale jakże to waćpan wiesz?, skoro języka tego Turczynka nie rozumiesz? Jakże on udaje kobietę?

Ruszczyk. Jak?... o, na różne sposoby!... Dość, że znać to wyraźnie. A zdarza się, że czasem i kształty kobiety przybierze.

Br. Gaudenty. Chryste Panie! tożto potężny bies musi w tem ciele siedzieć!

Ruszczyk. Miałbyś brat kanafarz prawdziwą zasługę przed Bogiem, gdybyś go stamtąd wypędził. No, a ja także z wdzięczności, skoro szczęśliwie wrócimy do domu, nie żałowałbym choćby dziesięciu baranów dla waszego konwentu.

Br. Gaudenty. Deo adjuvante może się uda. Jak nie pomogą egzorcyzmy, to pomoże woda święcona, jak to nie pomoże, to pomogą ogórki. Oddasz mi go waćpan na kilka dni pod obserwacją.

Ruszcyc. Choćby i na rok cały! Tylko niech go brat krótko trzyma, nie zważa na jego wybiegi, i na krok nie popuszcza od siebie, bo to bies bardzo jest chytry.

Br. Gaudenty. No, no, nie potrzebujesz mię waćpan uczyć mojego rzemiosła. Już ja go tak uchodzę, a wody i ogórków żałować nie będę, że choćby to był sam Lucyper, którédy wlaźł, musi wyleźć.

Ruszcyc. Nie tracąc czasu, stante pede, przysię go tu, do brata.

Br. Gaudenty. Dobrze, mój rotmistrzu, dobrze. I jam ciekaw spotkać się z tym biesem oko w oko.

Ruszcyc. (n. s.) Powiem baronowej, że braciszek ma dla niej list z Wiednia..., że na parę dni muszę wyjechać na podjazd, więc przyzwoitość nakazuje powierzyć ją opiece poważnego człowieka... że... No, tyle jej nakłamię i taki będę dla niej słodki, że choćby mądra była jak Salomon, to się musi złapać. (Odchodzi).

(Namiot królewski się rozsuwa. Starszyzna, która przedtem weszła, wychodzi. — Król ukazuje się u wejścia namiotu. — Starszyzna, żegnając się z Królem, na chwilę się zatrzymuje).

Król. A przysposobcie waszmoście wszystko tak, żebyśmy jutro o wschodzie słońca przeprowić się mogli.

Jabłonowski. Nie będzie W. k. mość mieć przyczyny na nas się skarżyć.

(Żegnają Króla, przechodzą przez scenę i oddalają się. — Namiot znowu się zasuwa).

Br. Gaudenty (przypatrując się im z pewnego oddalenia).
A, to panowie hetmany i wojewodowie wracają od króla. — To mi to ludzie, prawdziwi heroes! Dadząż oni bobu Turkom, jak ich wezmą na szable!

SCENA 4.

Br. Gaudenty, (wchodzi) Baronowa.

Baronowa (*wchodząc d. s.*) Co znowu przyszło temu rotmistrzowi do głowy jechać na podjazd, a mnie zostawiać przy tym mnichu! Imaginowałam sobie, że los mój z nim daleko będzie słodszy... Ach! co ja muszę wycierpieć!...

Br. Gaudenty (*n. s.*) A, a, to ten Turczynek! No, z pozoru nie wygląda tak strasznie...

Baronowa (*zbliża się*). Więc waćpan jesteś tym braciszkiem, który...

Br. Gaudenty (*n. s.*) O, o, o! jak to prędko bies zaczyna w nim broić. Prawdę mówił rotmistrz: coś plecie, czego nie rozumiem. Widać poczuł mój skaplerz i zaczyna nim miotać.

Baronowa. Waćpan masz do mnie list z Wiednia. Pan rotmistrz mi mówił, proszę mi oddać.

Br. Gaudenty (*n. s.*) Trzeba go odrazu zaatakować znakiem krzyża świętego.

(Robi nad nią krzyż w powietrzu).

Baronowa. Cóż to znaczy? waćpan się żegnasz? Później możesz odprawiać swoje pacierze, a teraz proszę o list... no, proszę..

Br. Gaudenty (*n. s.*) Oj, strasznie zły dyabełek! już mu oczy od gniewu zaczynają się iskrzyć! Spróbujmy jeszcze dobrym sposobem go umitygować.

(Pokazuje jej gestami, żeby się uspokoiła i była łagodną).

Baronowa (*d. s.*) Czy on zwaryował?... macha rękami i nic nie mówi!...

Br. Gaudenty (*gestykuluje dalej*).

Baronowa (*n. s.*) A to on pewnie niemowa.

(Pokazuje mu na migi, że chce od niego listu).

Br. Gaudenty (*d. s.*) Otóż go udobruchałem! Przestał już krzyzczeć swoim szatańskim językiem, i teraz jako niemy człowiek rozmawia ze mną na migi. Ale czego chce? nie mogę zrozumieć.

Baronowa (*d. s.*) Nie wiem, co on chce powiedzieć, a on

zdaje się nie wie, czego ja chcę... (*Gestykuluja do siebie*). Ach, tracę już cierpliwość! (*Do Br. Gaudentego*). List, mi waćpan oddaj, list! Jestem ciekawa, co mi piszą z Wiednia... jakie wrażenie sprawiło tam moje zniknięcie. O! konsyliarz Zopfbeutel pewnie się zabił z rozpacz.

Br. Gaudenty (*n. s.*) Znowu go napada... Trzeba się stricte wziąć do niego! (*Zaczyna ją żegnać*).

Baronowa. Ach, zemdleję! ten człowiek zamęczy mię swoim żegnaniem... Tego już za wiele... ja pęknię ze złości! (*Do Br. Gaudentego*). List mi waćpan oddaj natychmiast, list, list!

Br. Gaudenty (*d. s.*) Syczy dyabełek jak gadzina, ale ja mu przecież dogodzę. (*Żegna ją coraz prędzej*).

Baronowa (*chwytą go za rewerendę*). Oddaj mi waćpan list, a potem będziesz sobie machał rękami ile chcesz.

Br. Gaudenty. O, poczekaj dyabliku, to już tak rogi pokazujesz!... rzucasz się na mnie... nauczę, ja cię mores! (*Zamierza się na nią ogórkami*).

Baronowa. Gwałtu! ten człowiek chce mnie bić!... O rotmistrzu, cóżes ty uczynił! (*Chce uciekać*).

Br. Gaudenty (*chwytając*). Za pozwoleniem! (*D. s.*) To widać dyablik furiosus! trzeba się z nim wziąć do ultima ratio. (*Podnosi w górę ogórkę*).

Baronowa. Ach, rękę mi złamie! (*Kłęka i podnosi na niego oczy*). Czcigodny bracie, tylko mnie nie bij! Cóż ja ci winna nieszczęśliwa kobieta? Rotmistrz mi mówił, że znajdę przy tobie opiekę... (*N. s.*) Czem ja go tak rozgniewałam?

Br. Gaudenty (*puszcza ją*). A tak, to co innego! Widzisz, dyabliku, tak to grzecznie. Sprawuj się tylko dobrze, a ogórków nie będzie. (*Głaszcze ją pod brodę*). Jeszcze jesteś taki młody, bródka ci jeszcze nie porasta... duch nieczysty łatwo wyjdzie z ciebie, a jak się wyrzekniesz swojego proroka, to i do nieba jeszcze masz dosyć czasu się dostać. (*N. s.*) Jakie to delikatne chłopię! kiedy go gła-

skam, to mi się zdaje... A, i oczka ma ładne... wcale nie srogie... oj, ponętny to dyablik, tak mi jakoś miło patrzeć na niego! (*Surowo*). Apage satanas, wyszło szydło z worka! Że też mogłem zapomnieć co mi rotmistrz powiedział! (*Patrząc na Baronową z pod oka*). Re vera! jak na tego Turczynka spoglądam, to mi się zdaje, że to, panie Boże odpuść! niewiasta... (*przeciera sobie oczy*), akurat niby to niewiasta. Noli nos in tentationem ducere!... miej się na baczości, bracie Gaudenty, żeby cię ten bies nie podszedł. (*Nasuwa kaptur na oczy i odwracając głowę od Baronowej, bierze ją za rękę*). Pójdź ze mną, dyabliku, pójdź! Już my tobie damy radę, że nie będziesz ludzi dręczył i kusił.

Baronowa (*idąc prowadzona przez Br. Gaudentego d. s.*) Muszę z nim iść, bo ten gbur gotów jeszcze wybić, gdy nie posłucham. Ach! ja baronowa Knipperding, do czegom doszła przez miłość do tego niewdzięcznika! (*Wychodzą*).

SCENA 5.

Ruszczyć później Oficer i de Vitry.

Ruszczyć (*wchodzi po chwili ostrożnie, patrząc za odchodzącymi*). Chwała Bogu! poszła z nim! Ten brat Gaudenty musi w samej rzeczy posiadać jakieś czary, że jej tak prędko przemówił do rozumu. Teraz on jej już nie puści, ja dla wszelakiej pewności zmienię kwatery i, dzięki Najwyższemu, będę miał kilka dni swobodną głowę. A potem, kto wie co się stanie potem? pójdziemy się bić, to może i zginę szczęśliwie i wszystkie moje turbacje się zakończą. (*Słychać za sceną turkot zajeżdżającego powozu*). Któż to tu zajeżdża karocą? Jakiś kawaler wygalonowany i wyhaftowany, że aż złoto z niego kapie. Niemiec czy Francuz?...

Oficer polski (*wchodzi, do Ruszczyca*). Panie rotmistrzu, ambasador francuski zjechał.

De Vitry (*wchodzi*). Proszę oznajmić, że ambasador króla chrześcijańskiego J. k. mości Ludwika XIV. margrabia de Vitry, pragnie posłuchania u Jego król. mości króla polskiego.

(*Oficer wychodzi*).

Ruszczyk. Pójdę o tem oznajmić królowi jegomości, panie ambasadorze.

(*Odchodzi do namiotu*).

De Vitry (*sam*). Jeżeli moja missya się powiedzie, a przy świetnych warunkach, które mam królowi polskiemu ofiarować, powieść się musi, order św. Ducha i parostwo Francyi mię nie ominą.

Ruszczyk (*wraca z namiotu. Namiot rozsuwa się. Widać w nim Króla siedzącego*). Jego kr. mość prosi pana margrabiego.

(*De Vitry odchodzi do namiotu*).

Ruszczyk (*d. s.*) Czego ten tutaj znowu chce?

Król (*w namiocie*). Panie Ruszczyk, zostaw nas teraz samych. Przyjdiesz tu do mnie o zmroku. Będziesz spał przy mnie. Mój Matczyński coś dzisiaj niedomaga, trzeba mu się dać spokojnie wyleżeć, a boję się, bym jutro nie zaspał.

(*Ruszczyk kłania się i odchodzi*).

SCENA 6.

Król i de Vitry w namiocie.

De Vitry (*z niskim ukłonem*). Pan mój, król chrześcijański, zasyła przez moje usta życzenia długich lat i sławy dla W. kr. mości..

Król. Dziękuję mojemu bratu i królowi za łaskawą pamięć. Siadaj, panie margrabio!..

De Vitry (*siada po drugiej stronie stołu naprzeciw Króla*).

Król. Mówiąc otwarcie, nie spodziewałem się widzieć ciebie, margrabio, o tym czasie i na tem miejscu przed sobą.

De Vitry. Zrozumiałe dla mnie to zdziwienie W. kr. mości. Ja zaś czuję się szczęśliwym, że mogłem spotkać się z W. kr. mością jeszcze po tej stronie Dunaju i spieszyłem też, ile sił starczyło, ażeby nie przybyć za późno.

Król. O! mój margrablo, cóż ci na tem tak bardzo zależało?

De Vitry. Wiedząc, że mówię z wielkim wojownikiem i bohaterem, u którego serce jak na dłoni, będę również otwarty i odrazu cel mojego poselstwa odsłonię. Pan mój i król Ludwik XIV ofiaruje W. kr. mości alians...

Król. Jest to najpiękniejszy czyn, jakiego świat spodziewał się i miał prawo wymagać od króla chrześcijańskiego.

De Vitry. Niech W. kr. mość daruje — nie rozumiemy się dobrze. Pan mój i król proponuje W. kr. mości alians przeciwko cesarzowi...

Król. Co... co? czy król francuski zapomniał, że jestem w lidze z cesarzem, że mnie z nim wiąże przy mierze z obu stron zaprzysiężone przez delegatów przed Ojcem św. w Watykanie?

De Vitry. Najjaśniejszy panie, śmiem zrobić uwagę, że w polityce własny interes wszystko rozstrzyga... a traktaty dobre są na to, ażeby je łamać...

Król. Ale nie dla mnie! Moja polityka zgodna jest zawsze z sumieniem i honorem.

De Vitry. Mój pan król francuski nie żąda, byś W. kr. mość szedł za daleko, ażebyś przeciwko cesarzowi występował zaczepnie...

Król. Rozumiem. Żąda tylko, ażebym go odstąpił...

De Vitry. Ażebyś W. kr. mość nie przykładał czynnie ręki do jego obrony, ażebyś nie przechodził za Dunaj.

Król. Bym patrzył z założonemi rękami, jak Wiedeń upadnie i cesarstwo oddał na pastwę Turkom!...

De Vitry. O tem już dalsze losy wojny będą rozstrzygać... Niech cesarz się broni własnymi siłami...

Król. Ależ ja wiem, że tylko ja jeden mogę go ocalić..

De Vitry. Tem gorzej dla niego.

Król. Panie margrabió, przychodząc tutaj, mogłeś być już naprzód wiedzieć, jaka będzie moja odpowiedź...

De Vitry. Nie wypowiedziałem jeszcze wszystkiego. Pan mój i król rozumie bardzo dobrze, że za przyjaźń, jakąby W. kr. mość jemu okazała, za przychylenie się do jego widoków, wreszcie za ten urok sławy, którą ta wojna może skronie W. kr. mości na nowo ozdobić, należy się W. kr. mości słuszną nagroda.

Król. Czy nie tytuł książęcy i parostwo Francyi dla ojca mojej żony, margrabiego de Bethune!...

De Vitry. Niech W. kr. mość raczy nie żartować i dawnych uraz nie wznawiać. Król Ludwik XIV. nie śmiałyby W. kr. mości podobną nagrodą obrażać. Za wielką ofiarę i przysługę ze strony W. k. mości, ofiara z jego strony musi być również znakomitą.

Król. Ciekawy jestem, czem można nagrodzić złamanie wiary i plamę na honorze?...

De Vitry. Dwoma koronami, najjaśniejszy Panie! Pan mój i król przyrzeka W. kr. mości zapewnienie sukcesyi w Polsce dla jednego z synów W. kr. mości, nadto obiecuje wyjednać od sułtana oddanie Węgier, będących w jego posiadaniu, które, w połączeniu z częścią obecnie przeciw cesarzowi zrewoltowaną, stanowić będą drugą koronę dziedziczną dla ciebie, najjaśniejszy panie, i twoich następców. (*Widząc, że się Król zamysła, po chwili*). Ofiara nie do pogardzenia, najjaśniejszy panie! Pomyśl, że tron elekcyjny w Polsce wątpliwy i chwiejny. Twój geniusz wojenny i wielkie zasługi około ojczyzny nań cię wyniosły, ale kto wie, czy będziesz mógł zdać go swemu synowi, jeżeli cię w tem potężny przyjaciel nie wesprze. Korona węgierska, zjednoczona z polską, uczyni

- cię najmoźniejszym władcą na północy i wschodzie. — Gdy cesarstwo się rozpadnie, gdy dom habsburski zostanie upokorzony, będzie tylko dwóch panów w Europie: Ludwik XIV i Jan III!
- Król.** Dosyć tego, dosyć, mości ambasadorze! Słowa twoje wstrząsnęły mną do głębi... ale dłużej ja tego słuchać nie chcę... odejdz, panie margrabio!
- De Vitry.** Zastosuję się do twej woli, najjaśniejszy panie! (*Wstaje*). Należy się, bym W. k. mości dał czas do namysłu. Będę czekać tu niedaleko, gotowy na twoje wezwanie (*Kłania się, odchodząc d. s.*) Ponęta zbyt była silną, aby jej się oprzeć można!

SCENA 7.

- Król.** (*sam, przez chwilę siedzi w milczeniu oparty na stole, trzymając głowę w dłoniach*). Jakże mi głowa pała!.. myśli pchają się do niej natłokiem... Co ten kusiciel powiedział: zapewnienie sukcesyi w Polsce i korona węgierska dla moich synów?.. O, ja tak kocham moje dzieci! Gdy mnie Bóg ze świata zabierze, co się z nimi stanie? Mam miłość u mojego narodu, ale i liczba mych nieprzyjaciół niemała. Zawiedziona ambicya i zawiść, że jeden z równych wyniósł się nad wszystkich, i dzisiaj podnoszą nieraz głowę, podburzają umysły w kraju i knują potajemne spiski z zagranicą. Przeczucie mi powiada, że żaden z mych synów nie dostanie korony, którą mnie sama Opatrzność cudem jakimś w ręce oddała... A ja mógłbym im tę koronę zapewnić, wpływ francuski u nas jest najpotężniejszy... a gdyby jeszcze Węgry stały się mojem dziedzictwem!... każdy król węgierski byłby najbliższym pretendentem do tronu sąsiedniego państwa... Tak łatwo, tak łatwo mogą mieć te obie korony! Co mnie to będzie kosztowało? Dać rozkaz do odwrotu mojemu wojsku!.. (*Powstaje, wychodzi z namiotu*)

i przechodzi się wielkimi krokami po scenie, po chwili zatrzymuje się). Dać rozkaz do odwrotu, to znaczy oddać niewiernym na łup cesarstwo i Włochy, zrobić ich panami połowy Europy... Cóż jabym to uczynił? Ja, co tyle razy gromiłem pohańców, dopomógłbym im do najświetniejszego zwycięstwa. Moja przeszłość zarumieniła by się ze wstydu, a moje trofea pokryły kirem żałoby!... Ze zbawcy chrześcijaństwa stałbym się jego wrogiem i zdrajcą... Byłbym Judaszem, co za trzydzieści srebrników sprzedał Chrystusa. To byłoby niegodnie... nikezemnie!... O Panie zastępów, dzięki ci, żeś mi zdjął ślepotę z oczów! Wytrwam w posłannictwie, powierzonom mi przez ciebie. Wprzód byłem rycerzem Chrystusa niżeli ojcem i królem! *(Zwracając się za scenę)* Mości ambasadorze, panie de Vitry!...

SCENA 8.

Król i de Vitry (zostają na scenie przed namiotem).

Król. Mogę już teraz z zimną krwią rozmawiać z waszmością...

De Vitry. Spodziewałem się tego, że rozsądek, widzący tak jawne korzyści, weźmie u W. k. mości górę nad chwilowem uniesieniem. Czekam z niecierpliwością na słowo W. kr. mości.

Król *(z początku chłodno i z rozwagą).* Posłuchaj mię, mości ambasadorze. Znasz mię niewiele i nieczęsto spotykasz się z ludźmi mojego kalibru. Przyzwyczajony jesteś stąpać po woskowanych posadzkach wersalskiego dworu, i w tajnikach gabinetów monarszych decydować o losach państw i narodów; masz do czynienia z książętami i monarchami, którzy porodzili się w królewskich kolebkach, którzy swoje państwa brali w spadku po długim szeregu antenatów. Ja uro-

dziłem się szlachcicem i długi czas byłem żołnierzem. Szablą dobiłem się korony, choć Bóg mi świadkiem, że kiedym ojczyznę zasłaniał swemi piersiami, nie robiłem tego w nadziei tej nagrody. Krew grała mi w żyłach na odgłos trąby wojennej, na widok wroga o czysty i wiary i szedłem w pole jak do tańca, mając to sobie za prosty obowiązek, za spełnienie spoczywającej na mnie woli bożej... (*Wpadając stopniowo w zapal*) Panie de Vitry, w chwili kiedym się rozdził na ojcowskim zamku, niebo grzmiało piorunami tak strasznie, że aż ludzie słuch tracili. To był znak, że Bóg przeznaczał mnie na walki i boje, że w gwarze obozów i burzach bitew życie moje miało upłynąć! Od dziecka, wszystko co mnie otaczało, wszystkie wspomnienia mego rodu, jego boleści i jego chwała mówiły do mnie tylko o wojnach, o wojnach świętych nade wszystko. Razem z abecadłem uczyliśmy się, ja i mój brat Marek, na nagrobku pradziada czytać to wspomnienie: »Exoriare aliquis nostris ex ossibus ultor«! i z kart historyi i z powieści domowych przemawiały do nas duchy tych przodków, co męczeńską od niewiernych poginęli śmiercią... Jako surowe przypomnienie obowiązku stawał nam przed oczami nasz pradziad, siedmiesięcioletni starzec, hetman Żółkiewski, z odrąbaną prawicą, z odciętą głową, którą Iskander Basza posłał Padyszachowi do Stambułu; stawał jedyny jego syn Jan, co umarł z ran w tej samej bitwie odniesionych; stawał syn córki hetmańskiej, dwudziestoletni Daniłowicz, rodzony brat mojej matki, który w drugim pokoleniu padł pod mieczem Kantemira, ścięty barbarzyńsko w jego namiocie. A w domu, przykład rodziców też same budził w nas uczucia i zapaly.. Nasz ojciec był z liczby tych, którzy ze starym Chodkiewiczem odparli pod Chocimem straszną nawałę Muzuł-

manów. Nasza matka miała w sobie krew Żółkiewskich, oddychała całą ich miłością ojczyzny i całym bolem po tylu ofiarach i męczennikach. Kiedyśmy z Markiem pierwszy raz szli na wojnę, poprowadziła nas do grobowca ojca, i wskazując na herbową na nim tarczę, rzekła do nas, jak niegdyś matka Spartanka: »Albo z nią albo na niej«! Marek, mój ukochany Marek, w poranku swoich dni zginął na swojej tarczy, szablą tatarską i z niego znów zrobiła męczennika, świeżą ofiarę z naszego rodu!... Ja jeden tylko pozostałem, jedyny spadkobierca sławy przodków i jedyny ich mściciel... Od lat przeszło trzydziestu, gdzie zabłysnął półksiężyc, gdzie zaczerwieniła się luna tatarska, stawałem z mieczem i nadstawioną pierśią. I Bóg wojny łaskaw był dla mnie! Tysiącami trupów i potokami krwi mściłem się ciągle za męczeństwo tylu drogich mi mężów, za łzy, które wylewały po nich matki i żony, za tych jeńców polskich, których krocie powymierały w muzułmańskim jassyrze, za hańbę naszych niewiast, sprzedawanych na targach tureckich! Zawsze i wszędzie, jak niegdyś matka kazała, trzymałem moją tarczę w ręku.. A teraz miałbym ją nikczemnie porzucić i bez niej wracać do domu? Teraz, gdy całe chrześcijaństwo wyciąga do mnie dłonie o pomoc, gdy woła na mnie, bym je uratował od kajdan tureckich, miałbym sprzedać moich braci w Chrystusie i oddać ich w najcięższą i najhaniebniejszą niewolę?... Za wszystkie korony świata nie zaprę się mego powołania, nie pozbędę się najpiękniejszego tytułu, jaki w tej wojnie zdobyć sobie mogę tytułu »Zbawcy Chrześcijaństwa«.

De Vitry. Piękne są i szlachetne uczucia W. kr. mości, ale położone na wadze politycznych interesów opadną na dół, jako — daruj, najjaśniejszy panie — jako czeze złudzenia!

- Król.** Ja i na tem nie poprzestanę, moje plany idą jeszcze dalej... Słuchaj mnie, panie de Vitry, a co usłyszysz, powiedz o tem swojemu panu — upoważniam cię do tego. Jeżeli Bóg szczęśliwie da mi dokonać teraz zwycięstwa, myślę wypędzić Turków co do nogi z Europy. Zwiążę w jedną ligę wszystkie chrześcijańskie potencye od słupów Herkulesa aż po Wołgę. Hiszpania, Ojciec święty, rzeczpospolita wenecka, Niemcy, i Moskwa wejdą do tego związku, w Azji podburzę zazdrość Persyi przeciw Turkom, a mam nadzieję, że i pan twój, król chrześcijański, stanie równo z innymi pod sztandarem krzyża świętego.
- De Vitry.** Wzajemna nieufność, zazdrość i partykularne interesa nie dopuszczą do utworzenia się tej ligi, albo ją w związku rozbiją.
- Król.** To już jest w ręku Boga! — ja odpowiadam tylko za moje chęci i zamiary.

SCENA 9.

Ciż sami (wchodzą) Ks. Eugeniusz sabaudzki i dwaj inni Adjutantci, za nimi Ruszczyc, później Kącki.

Ks. Eugeniusz. Najjaśniejszy panie, książę Lotaryński dowiaduje się u W. k. mości, jaki jest na jutro ordynans.

2. Adjutant. Toż samo mój pan, elektor Saski.

3. Adjutant. I mój, elektor Bawarski.

Kącki (wchodzi). Najjaśniejszy panie, most na Dunaju już gotowy. Dozierałem sam ostatnich robót.

Król. Dzięki ci za tę nowinę, mości generale, w sam czas ją przyniosłeś. *(Do Adjutantów)* Powiedźcie waszmoście książętom, że jutro, skoro zadnieje, przeprawiamy się przez Dunaj...

De Vitry (przerywając, z uniesieniem). Najjaśniejszy panie, nie decyduj tak prędko!

Król (do Adjutantów, z naciskiem). Jutro, skoro zadnieje, przeprawiamy się przez Dunaj — taki jest mój ordynans.

Ks. Eugeniusz. Rozumiemy, najjaśniejszy panie. A parol dla wojsk sprzymierzonych?

Król. »Z nami Jezus!« — Oznajmijcie także swym panom, że ambasador króla chrześcijańskiego, margrabia de Vitry, przyjechał do mnie z życzeniami długich lat i sławy od monarchy francuskiego — i odjeżdża. (*Adjutanci oddają Królowi ukłon*) Żegnam waszmościów. Żegnam cię, mości generale, będziesz miał jutro ciężką robotę z swojemi armatami.

Kącki. Choćby na własnych plecach, poniosę je na Turków (*Adjutanci i Kącki odchodzą*).

Król (*do Vitrego*). Klamka zapadła, mości ambasadorze. Rozmowa nasza skończona.

De Vitry. Żałuję że W. kr. mość dla obcego dobra poświęcił własną korzyść, i boję się, ażeby pierwszą nagrodą za tę ofiarę nie była niewdzięczność (*Kłania się*).

Król. Żegnam cię, mości margrabió!
(*de Vitry odchodzi*).

Król (*patrząc chwilę za odchodzącym d. s.*). Ludzie mogą być niewdzięcznymi, historia nigdy! Dobrzem zrobił. Sumienie mam lekkie i czuję jakąś rzeźwość w duszy... Słońce już zachodzi, trzeba odpocząć, bo jutro nim wejdzie, musi mię zastać na nogach. Będę dziś smacznie spać.

SCENA 10.

Król i Ruszczyc (który dotąd trzymał się zdaleka. W czasie tej sceny coraz więcej się ściemnia).

Król. (*Spostrzegając Ruszczyca*). A, to ty, mości Ruszczycu!

Ruszczyc. Czekaam na rozkazy W. kr. mości.

Król. Gdybym sam pierwiej nie wstał, zbudzisz mię waćpan niedługo po północy.

Ruszczyc. Dobrze, najjaśniejszy panie. Pomogę W. kr. mości się rozebrać.

- Król.** Nie trzeba. Będę spać, jak jestem. Tylko waćpan sobie wynajdź dobre legowisko.
- Ruszczyć.** Już niech o mnie W. kr. mość się nie troszczy. Od kilku dni sen jakoś unika moich powiek...
- Król.** A cóż się to waćpanu dzieje? (*Patrzy w niego, Ruszczyć pochyla głowę*). A, przypominam sobie, toż przecie wiem o waćpana nieszczęściu. I żadnej już potem wiadomości nie miałeś o swojej Basi?
- Ruszczyć.** Żadnej, miłościwy królu.
- Król.** Miej w Bogu ufność! Jeszcze naszymi szablami odbijemy i twoją dziewczynę z tureckiej niewoli.
- Ruszczyć.** Oby się święciły słowa W. kr. mości!
- Król.** (*Wchodząc do namiotu*). Dobranoc waćpanu. (*Widac, jak kleka przy sofie, żegna się i odmawia modlitwy*).
- Ruszczyć.** (*Zostaje przed namiotem d. s.*). Mój Boże! jakieżby to wielkie było dla mnie szczęście, gdybym Basię odzyskał.. Ale nie, tak się nie stanie!... na taką łaskę niebios i na taki cud prawdziwy, jakżeby sobie mógł zasłużyć taki jak ja nicpoń i ladac!... Niema innej rady, jak nie zginę na tej wojnie, to zawdzieję taki kaptur mnisi jak brat Gaudenty, i będę już do śmierci za grzechy pokutować. (*Król wstaje z klęczek, kładzie się na sofie i przykrywa skórą lamparcią*).
- Ruszczyć.** (*Zbliża się znów do namiotu*). Proszę W. kr. mości, czy mam zasunąć namiot?
- Król.** (*Nawpół leżąc, wsparty na ręku*). Nie, mości Ruszczyć, nie zasuwaj, Miło mi patrzeć na to pogodne niebo i gwiazdy. Zdaje mi się, że widzę duchy niebieskie, jak na białych skrzydłach spuszczają się na ziemię, by rozmawiać z duszami ludzkimi we śnie. Pod tą wielką kotarą niebieską spać mi będzie tak słodko... Dobranoc waćpanu!
- Ruszczyć.** Życzę W. kr. mości dobrej nocy. (*Oddala się od namiotu*). Ach, żeby to mogło być, tak jak

król jegomość powiada! Jeśli moja Basieńka już w niebie, żeby jej duszyczka zeszła tu do mnie i chciała się pokazać. A jeśli ona jeszcze na ziemi, żeby jaki dobry anioł stanął przede mną i rzekł: uspokój się, ona żyje! (*Usiada na pniu w pewnej odległości od namiotu leżącym, tak że się znajduje po przeciwnej stronie sceny od Króla. Podnosi głowę w górę*). Prawdę król powiedział, niebo takie czyste i piękne, a gwiazdki na niem mrugają, jakby ci, co mieszkają na tamtym świecie, na nas spoglądali. Jakoś mi lżej na sercu, kiedy sobie tak dumam sam jeden, patrząc się na to niebo i rozmawiając sobie w duchu z moją Basią. Och, moja Basiu, moja Basiu droga!

(Odzywa się muzyka w miękkih i cichych akordach. Ruszczyc coraz bardziej rozmarzony, zasypia. Po chwili zjawia się przed nim postać Basi niesionu na obłoku. Basia ma na sobie zieloną sukienkę i wianek czerwonych róż na głowie. Uśmiecha się do Ruszczyca i robi ręką gest, jakby mu mówiła: „Do widzenia“. Zjawisko to jeszcze zupełnie nie znikło, kiedy nad namiotem Króla, zwrócone twarzami ku niemu, pokazują się również w obłokach cienie jego przodków. Najwyżej stoi hetman Żółkiewski, pod nim we środku matka Sobieskiego, po jednym jej boku Daniłowicz, po drugim Marek Sobieski. Mężczyźni mają na sobie ślady śmierci poniesionej w bitwach. Wszystkie te duchy znakiem krzyża dają błogosławieństwo Królowi, a na ich twarzach widać radość. Po chwili i to zjawisko znika. Muzyka cichnie).

Ruszczyc. (*Zrywa się nagle*). Co to jest?... czy ja spałem? czy ona tu była?

Król. (*Budzi się i podnosi na sofie*). Panie Ruszczyc, nie spisz? Miałem sen bardzo błogi. Śniło mi się, że widziałem hetmana Żółkiewskiego, moją matkę, brata Marka i Daniłowicza. Wszyscy mówili do mnie: „dobrześ zrobił“ i dawali mi swoje błogosławieństwo.

Ruszczyć. Ach, miłościwy królu, ja także ponoś zasnąłem i widziałem we śnie Basię. Ona musi żyć i ja ją jeszcze zobaczę, bo mi się pokazała w zielonej sukience z wiankiem czerwonych róż na głowie i tak słodko się do mnie uśmiechała i mówiła: do widzenia!

Król. Podziękujmy Bogu za takie sny, i spijmy, panie Ruszczyć, bo niewiele mamy na to czasu. (*Kładzie się i zasypia*).

Ruszczyć. (*Usiada znów na pniu*). O moja Basiu, więc twoja duszyczka tu gdzieś blisko mnie w powietrzu się unosi! Jakże ty mnie pocieszyłaś!... O, gdybym cię jeszcze raz ujrzał!

(*Zasypia. Muzyka znów się odzywa i też same zjawiska, ale nie równie prędkiej się powtarzają. Zastona spada szybko przy głośnych tonach muzyki*).

AKT CZWARTY,
NA KAHLEMBERGU.

OSOBY.

Król Jan Sobieski.
Książę Lotaryński.
El. Bawarski.
El. Saski.
Ks. Waldeck.
Jabłonowski H. W. K.
Sieniawski H. P. K.
Generał Kącki.
Lubomirski.
Królewicz Jakób.
Baronowa.
Ruszczyc.
Br. Gaudenty.
La Fleure.
O. Marco d'Aviano, kapucyn
Dwaj Kameduli.
Oficer polski.
Pułkownik bawarski.
Hassan
Nuradyn } Jańczarowie królewscy.
Jussuf }
Wodzowie polscy i niemieccy.
Żołnierze różnej broni polscy i niemieccy.

Obszerna łąka wśród lasu. W głębi we środku rozłożysty dąb. Na ostatnim planie widać na wzgórku część spalonego przez Turków klasztoru Kamedułów.

SCENA 1.

(Z lewej strony wchodzi Kącki, z drugiej Król, ks. Lotaryński, El. Bawarski i Saski, ks. Waldeck, Jabłonowski, Sieniawski, dwaj Potoccy i inna starszyzna wojsk sprzymierzonych, kilku niższych Oficerów, pomiędzy tymi Ruszczyca. Wszyscy w zbrojach jako w dniu stoczyć się mającej bitwy. Król w pancerzu i czapce).

Król. No, i cóż, mości Kącki?

Kącki. Na nasze sygnały odpowiedział nam niedługo Stahremberg kilku racami z wieży św. Szczepana.

Król. A więc domyślił się, że to my, co idziemy ich wybawić i wie, e już jesteśmy na Kahlebergu.

Ks. Lotaryński. Jakże mocno musiały w Wiedniu zabić serca nadzieją! ileż tam modłów i westchnień wznosi się teraz do nieba za pomysłność naszego oręża!

Kącki. Z miejsca, gdzie dawałem sygnały, widać jak na dłoni cały obóz turecki, Wiedeń i kilkanaście mil kraju naokoło.

Król. Pójdźmy to zobaczyć. Przekonamy się o pozycji nieprzyjaciela.

Ks. Lotaryński. Pójdźmy zobaczyć nieszczęśliwą stolicę. Kilku ze starszyny. Pójdźmy, pójdźmy! *(Odchodzą na lewo. Gdy już prawie wszyscy wyszli, wchodzi Br. Gaudenty i zatrzymuje Ruszczyca, który idzie jeden z ostatnich).*

SCENA 2.

Ruszczyca. Br. Gaudenty.

Br. Gaudenty. Mości rotmistrzu, zaczekajno waćpan, zaczekaj!

Ruszczyc (*obracając się*). Mocno przepraszam, bracie kanafarzu, muszę iść z drugimi.

Br. Gaudenty. Nie uciekajno waćpan... na chwileczkę, na słóweczko tylko. (*Przytrzymuje go za połę*). To nie pięknie ze strony waćpana nawarzyć piwa i kazać je drugiemu wypić.

Ruszczyc. No i cóż chcesz, bracie kanafarzu? co się stało?

Br. Gaudenty. Ot, narobiłeś mi waćpan kłopotu co nie miara! wpakowałeś mi na kark Turczynka, i potem ani cię widać.

Ruszczyc. Więc nie pomogły nic egzorcyzmy i ogórki?

Br. Gaudenty. Niby pomogły, a niby nie pomogły. Ile razy ja do ogórków, to mój dyablik zaraz pokorniej jak trusia, ręce składa i oczy do mnie zawraca. Ale niedługo znowu zaczyna broić, znowu wpada w swoją furią i nuż coś szwargotać. Jeden żołnierz mi mówił, że ten bies po niemiecku gada. Czy to prawda, panie rotmistrzu?

Ruszczyc. No, juści! jeżeli gada wszystkimi językami, to może i po niemiecku.

Br. Gaudenty. Ale najgorsza była noc. Udobruchałem mojego dyablika i położył się spać. Ale ja jakoś nie śpię. Koniecznie mi się zdaje, że ten dyablik, Panie Boże odpuść! to kobieta. A on i wzdycha i wzdycha i przewraca się jakby na rozpalonych głowniach leżał. A co on westchnie, co się ruszy, to czuję, że duch nieczysty już... już łapie mnie w swoje pazury... Tak, tak, mości rotmistrzu, narobiłeś ty mi licha, to ja przez ciebie mogłem przyjść do peccatum carnale i ni stąd ni zowąd wpaść w piekło po same uszy...

Ruszczyc. Darujcie mi, bracie kanafarzn, myślałem, że dacie radę temu biesowi i poskromicie go...

Br. Gaudenty. Homo proponit, Deus disponit! Widno nie zasłużyłem na tę łaskę, a sam swoją duszę exponowałem na wieczystą zaturę. Tak, tak, mości rotmistrzu, nie było innego sposobu, tylko trzeba

było wziąć się do dyscypliny. Wybiczowałamże moje grzeszne cielsko, wybiczowałam tak szczerze, że dziś jeszcze mam znaki na sobie. Nie wiem, na czym to wszystko byłoby się skończyło, ale szczęściem dla mnie, ten twój Turczynek, czy sam dyabeł, bo już nie wiem, co mam o tem myśleć, frunął sobie gdzieś ode mnie i już trzy dni nie widziałem go na oczy...

Ruszczyc. Uciekł od was, bracie kanafarzu!... Oj, to źle!...

Br. Gaudenty. Jakto źle? to jest salus animae meae! Niech sobie tam czmycha, gdzie mu się podoba, tylko niech moją duszę i ciało zostawi w spokoju!... Powiadam ci, panie rotmistrzu, kiedy po jego zniknięciu przyszedł do izby, to mnie taki zapach siarki uderzył, że trzy niuchy bernardynki ledwie pomogły, żeby go stracić! Videtur, że jak się wyniósł ode mnie, musiał przybrać właściwą swoją szatańską formę, i z pazurami i z ogonem wylecieć przez komin... A w tej myśli i ta rzecz mię sustinet, że całe jego ubranie tureckie znalazłem na łóżku...

Ruszczyc (n. s.) Więc baronowa teraz w innym stroju, dobrze i o tem wiedzieć! (*Ogląda się nieznacznie dokoła*).

Br. Gaudenty. Tyle ja to, tyle przez ciebie wycierpiałem, rotmistrzu. Nie wymawiam ci tego, ale choć mi się całkiem nie udało, spodziewam się... (N. s.) Trzeba mu dać chwilę czasu, niech się sam domyśli (*Spuszcza oczy, nie patrząc na niego*).

Ruszczyc (n. s. *ciągle się oglądając trwożliwie*). Oj, muszę się teraz mieć na bacności! Ho, ho!... a toć to ona tutaj biegnie. . Ona! oj, tak mi dojadła, że choćby niewiedzieć w jakiej była metamorfozie, to ją przez skórę poczuję! (*Oddala się prędko na lewo, niepostrzeżony przez Br. Gaudentego*).

Br. Gaudenty (*ciągle nie podnosząc oczu*). Myślę tedy, mości rotmistrzu, że jeśliś zrobił czegoś żądał choć w połowie, tandem i połowa tych haranów... (d. s).

jakoś nie się nie domyśla! (*podnosi nagle oczy*)
Cóż u dyaska!... jego niema! (*Wołając za nim,
idzie kilka kroków*) Mości rotmistrzu, hej!... cóż
waćpanu tak spieszo? (*Z drugiej strony wbiega
Baronowa w ubraniu markietanki, mała baryłka
z wódką przewieszona przez ramię*).

SCENA 3.

Br. Gaudenty i Baronowa.

Baronowa (*chwytą go za habit*). Gdzie jest rotmistrz?...
gdzie jest rotmistrz? widziano go tutaj z waćpanem...
gdzie jest? gdzie się podział?... gdzie po-
szedł? powiedz mi waćpan! powiedz prędko!...

Br. Gaudenty (*obraca się do niej i przerażony, nie śmiejąc
spojrzeć, mówi d. s. cichym głosem*) Oj, źle, źle,
bardzo źle! dyablik bierze się do mnie w po-
staci niewiasty... poczuł widać moje grzeszne
skłonności i ostatni atak do mnie przypuszczał!
Święty patronie mój niebieski, tobie się oddaję
w opiekę, bo krucho ze mną, nic nie pomogły
i dyscypliny... Miserere mei domine! Oj źle!
(*Mrucząc pod nosem, przymruża oczy*).

Baronowa. Nic waćpan nie mówisz do mnie i stoisz jak
bałwan... A, on mnie pewnie nie rozumie, trzeba
mu pokazać na migi. (*Pokazuje mu, że chciałaby
wiedzieć, gdzie rotmistrz, przyczem na oznaczenie
Ruszczyca zakręca sobie niby wąsy — robi ruch
ręką, jakby trzymała szablę przy boku i naślado-
dując ostrogi, mlaszcze ustami: dzyń, dzyń...*)

Br. Gaudenty (*nie odwracając głowy i patrząc z ukosa*).
Jak to mię kusi i tentuje ten dyabełek na roz-
maite maniery! Najlepiej milczeć jak pień, nic
nie widzieć ani nie słyszeć (*żegna się nieznacznie
i mruczy pod nosem*).

Baronowa. Waćpan może gniewasz się na mnie, żem ci
trochę dokuczyla i uciekla od ciebie. Musiałam

to zrobić, już mi tego było za nadto uchodzić za jakiegoś niemego Turka, kiedy jestem do rzeczy sobie kobietą. Wzięłam strój, jaki tu w obozie mogłam dostać, niestety! nieodpowiedni mojemu stanowi, ale stósowny przynajmniej dla mojej płci. No, nie gniewaj się już waćpan! Na przeprosiny proszę przyjmę ode mnie miarkę wybornej wódeczki... Ja wiem, że to waćpan lubisz. No, proszę... (*Głaszcząc go po twarzy*). Ale mi waćpan powiesz, gdzie ten niegodziwy rotmistrz.

Br. Gaudenty (*ciągle nie patrzac na nią i nie ruszając się*) Puścił mię dyablik przecie! Jaki to fetor piekielny jedzie z tej gorzały! No, dałżebym sobie, żebym jej skosztował!... to jakbym wrzącej smoły wlał sobie do wnętrzości... Coraz gorzej, coraz gorzej! Niema się co namyślać, tylko wzięwszy Boga na pomoc i podkasawszy rewerendę, dać drapaką, aż się za mną kurzyć będzie. (*Ucieka nagle na lewo*).

Baronowa (*sama*). Co mu się znowu stało? Cóż to ma znaczyć? dawniej nie chciał mię na krok puścić od siebie, trzymał mię za kołnierz, bym mu się nie wymknęła, a teraz ucieka ode mnie, choć teraz widzi wyraźnie, że jestem kobietą, a to przecież coś znaczy! Rotmistrz musi być w tamtej stronie... pójdę go poszukać, wyrzucić mu jego nieludzką niegodziwość... i odetchnąć przy nim. Ach, bo ja bez niego żyć nie mogę! (*Wychodzi na lewo. Po chwili słycać za sceną głos La Fleure: Halte la! i głos jakby przestraszonej Baronowej: Ach, ach!*).

SCENA 4.

Baronowa (wraca) za nią La Fleure.

La Fleure. Halte-la, mademoiselle! nie wolno avansirowaś dali! prosi nazad.

Baronowa. Ach, monsieur, jakżeś mię przestraszył!

La Fleure. So ja słuchaś!... mademoiselle mówiś po francuski... ik... spreken auk dajcz... ja także mówię po niemiecki. Mademoiselle sie nie baś, pardon, że ja przestraszys.

Baronowa. Ach, monsieur! (n. s.) To ten sam Francuz, co się niedawno tak grubijańsko z nami obchodził, teraz zmienił manierę, bo widzi spodnicę przed sobą. Oj mężczyźni, mężczyźni.

La Fleure. Mille pardons! mille pardons, szen dam! (N. s.) No, szen dam nie barso mlody, mais à la guerre comme à la guerre, każda krowa szara! (Gł). Ja się dziwiś, so szen dam mówiś po francuski, tu żadna szen dam nie umiś tego mowa.

Baronowa. Monsieur, pojmuję twoje zdziwienie, że markietanka odzywa się do ciebie językiem dworów i salonów. Ale ja nie jestem prostą markietanką.

La Fleure. Ach, ach! szen dam nie byś une vivandière!

Baronowa. Oui, monsieur. Jestem z dystygowanej szlacheckiej rodziny, baronowa von Knipperding.

La Fleure. Ach, ach! est — il possible? baronne von Knifferfingfing!

Baronowa. Von Knipperding. Oui, monsieur, widzisz przed sobą baronową von Knipperding...

La Fleure. Mais à quelle raison, jak to może byś, so madame la baronne nosiś tego barylka na plesy?

Baronowa. To przez poświęcenie, przez czyste poświęcenie dla ojczyzny!

La Fleure. Très bien! pour la patrie, pour la patrie!...

Baronowa. Kiedy tysiące moich współziomków, idzie na plac boju, wylewa krew i rany i śmierć ponosi, ja słaba kobieta, nie mogąc ich w tem naśladować, chociaż tym sposobem pragnęłabym ich los osłodzić i przysłużyć się walecznym rycerzom.

La Fleure. Magnifique! To jest zawsze la destinée des femmes nam innym osłodziś na każdy manier...

Baronowa (*spuszczając oczy z naiwnym uśmiechem*). Monsieur, waćpan masz przy tem des arriere — pensees...

La Fleure. Comme vous êtes spirituelle!... jaki pani baronowa byś dowsipny.

Baronowa (*j. w.*) Znam się cokolwiek na tem, monsieur, znam się na galanteryi, a szczególnie was, panów Francuzów.

La Fleure. Je suis enchanté, so ja madame la baronne spotykaś...

Baronowa. Mnie także nader miłe towarzystwo tak uprzejmego kawalera.

La Fleure. Madame la baronne rozkazaś, so ja mogę służyć... Permettez, mon bras!

Baronowa (*podając mu rękę*). Avec beaucoup de plaisir, monsieur. (*D. s. poważnie*). Nikt nie przewidzi swego losu. Myślałam, że pójdę z rotmistrzem, a idę z innym.

La Fleure. Czy madame la baronne szła na prawo czy na lewo?

Baronowa. Ponieważ iść nie można, gdzie chciałam, muszę iść z powrotem. (*N. s.*) Ale wcale grzeczny i miły ten Francuz!

La Fleure (*prowadzi powoli Baronową*). Ja się nie spoziewaś, so ja zrobiś une si bonne fortune!

Baronowa. Ah, monsieur!

La Fleure. Ah! madame! (*N. s.*) Une belle conquette: baronne von Knifferpingdring!

(*Między sobą do siebie, wychodzą na prawo przednią kulisą*).

SCENA 5.

Z przeciwnej strony wchodzi bezładnie Żołnierze z pułku El. Bawarskiego, niektórzy rzucają broń, ogólne szemranie między innymi; później: Pułkownik tego pułku; później: Król i inni Dowódcy i Oficer polski.

I. Żołnierz. Chcą nas wydać na rzeź, nie ruszymy się dalej!...

2. **Żołnierz.** Wolę zginąć na miejscu, a na Turków nie pójdę! (*Rzuca broń*).

3. **Żołnierz.** Turcy nas zarzuca swymi turbanami, nie potrzebują nawet bić się...

Pułkownik (*wchodzi przedko*). Milczeć, buntownicy! Król i księżęta tu nadchodzą, nie róbcie tej zakały swemu sztandarowi. Tchórze! ledwie zdaleka zobaczyliście nieprzyjaciela i jużęście się go przełękli. Broń na ramię i do szeregu!

(*Żołnierze odpowiadają głuchem szemraniem, nie czyniąc zadość wezwaniu Pułkownika*).

Pułkownik (*d. s.*). Ha, przekleństwo! z tymi ludźmi niema rady.

(*Wchodzą: Król, Księżęta, reszta starszozyny, Ruszczyc i królewscy Jańczarowie, równocześnie z przeciwnej strony wchodzi Oficer polski*).

Oficer (*do Króla*). Najjaśniejszy panie, ojciec Marco d'Aviano, kapucyn, legat Jego Świątobliwości papieża Innocentego XI, zameldował się u naszych przednich czat i prosi o pozwolenie widzenia się z W. k. mością.

Król. Powracaj waćpan i przyprowadź do nas ze wszystkimi honorami tak dostojną osobę. (*Oficer wychodzi*).

El. Bawarski. Ja znam ze sławy ojca Marco.

Król. I ja wiele dobrego o nim słyzałem. Wielbiono go nieraz dla jego rzadkiej pobożności i surowego życia zakonnego. (*Spostrzegając Żołnierzy bawarskich*). Co robią tutaj ci żołnierze?

El. Bawarski (*również ich spostrzegając*). To jeden z moich regimentów!

Pułkownik (*występując*). Ze wstydem muszę wyznać W. k. mości, że to są tchórze, którzy ujrzawszy obóz turecki i niezliczoną mnogość ich wojska, takim strachem zostali przejęci, że opuścili swoje stanowisko, cofnęli się w tył i rzucając broń, powiadają, że się bić nie pójdą.

El. Bawarski. Przekleństwo!

- Ks. Eugeniusz Sabaudzki** (*wchodząc do ks. Lotaryńskiego*).
Mości książę, kirassyery z wojska J. C. mości wypowiedzieli posłuszeństwo i rejterują...
- Ks. Lotaryński**. Milion kroćtostysięcy czartów! ta zaraza prędko się szerzy...
- Ei. Saski**. W sam dzień bitwy, w chwili gdy mamy uderzyć na nieprzyjaciela, ten popłoch może być dla nas zgubny!...
- Ei. Bawarski**. Ja swoją osobą pójdę choćby na pewną śmierć. Ale gdyby to nie był właśnie mój pułk, który pierwszy dał zły przykład, powiedziałbym, że widok nieprzejranych tłumów tureckich mógł i w najodważniejszym zachwiać odwagę.
- Ks. Waldeck**. Należałoby się zastanowić, czy nie wypada odłożyć rozprawy na później, i czy wogóle mamy wszystko postawić na jedną kartę.
- Ei. Saski**. Armia nasza tym kilkudniowym marszem przez góry i lasy bardzo jest zmęczona.
- Król** (*który przez ten czas przysłuchiwał się, motając z niecierpliwością wąsa*). Widzę, że i waszmościowie zaczynacie zwieszać głowy do ziemi i wahać się... Zwłoka choćby jednego dnia byłaby naszą zgubą. Przeciw liczbie nieprzyjaciół my postawić możemy tylko śmiałość i szybkość działania. Widziałem pozycją Turków i powtarzam, co dawniej mówiłem: wielki wezyr nie rozumie się na wojennem rzemiośle. Jego obóz źle rozłożony, jego wielka potęga nie użyta należycie. Ej, mości panowie, nie znacie Turków jak ja, więc zawierzajcie mojemu słowu. Ilekroć z nimi się biłem, a było dosyć tych okazji, nie było nas więcej, jak jeden na piętnastu. Ani chwili przecież nie wahaliśmy się, pierwsi uderzaliśmy na nich i zwyciężaliśmy zawsze. Panie Ruszczy, powiedźcie ichmościom, jak to bywało u nas.
- Ruszczyc**. Dobrze zawsze bywało, jaśnie oświeceni książęta i generałowie. Pan Bóg tak zawsze szczęścił naszemu orężowi, że choć Turków były krocie,

a nas szczupła garstka, nie oni nam, ale my im siedzieliśmy na karkach. A potem biło się już to pogaństwo, ile tylko w nich wlało.

Król. Może waszmoście nie wierzycie mnie i moim żołnierzom, to popytajcie się tych jańczarów. (*Do Jańczarów*) Przystąpcie bliżej. Każdy z nich, nim wszedł w moją służbę, był wzięty w niewolę w jakiejś batalii. Jussuf, gdzie ty byłeś pojmany?

Jussuf. Pod Podhajcami, potężny królu.

Król. A pamiętasz, jak tam było?...

Jussuf (*występując*). Póki się nie zamkną moje powieki, nie zapomnę o tem. Z pięciu tysiącami okopał się hetman Sobieski na polu. Gdy Selim Pasza ujrzał ten obóz, »kopnięciem nogi rozburzę to gniazdo«, zawołał i posłał czausza do hetmana. »Poddać się, bo zginiesz«, mówił Pasza. — »To wy zginiecie!« odpowiedział hetman. Dni szańskie przypuszczaliśmy szturm po szturmie — nadaremnie. Siedemnastego zabrakło nam już sił i serca. I oto otwarły się bramy obozu, zabrzmiał okrzyk: Jezus, Marya! polscy hussarze runęli na nas, a za dwie godziny z armii Selima zostały tylko trupy i jeńcy.

Król. Nuradyn, a ty w jakiej potrzebie mnie się dostałeś?

Nuradyn (*występując*). Pod Lwowem, potężny królu. Było nas tam jak piasku w morzu i jak oko zasięgnie zalegliśmy równinę pod murami miasta. Nagle z blaskiem migocących się panczerzy spadł na nas ze wzgórza potok zbrojnych ludzi z królem na czele. Powinien był zginąć w naszych tłumach jak strumień w oceanie, ale nie, ten szalony zastęp, jak płomień wszystko niszczący, wgrzyźł się w nasze szeregi i póty siał na obie strony śmierć i zniszczenie, póki jedni nie padli, a drudzy nie poszli w rozsypkę.

Hassan (*występując*). Jam widział jeszcze większe cuda — ja byłem pod Chocimem. Seraskier Hussejn stał z 80 tysiącami w niezdoitym obozie na skałach

i opierał się o obronny zamek. Wtem zjawił się Sobieski pod naszymi stopami, nisko, w dolinie. »Przyszedł po swoją śmierć!« wykrzyknął Serskier. Ale jakże się zawiódł! Niezwyciężony lew rzucił się na nas wśród tumanów śniegu, wśród wycia wichru. Po skałach, na które ledwo mógł wejść człowiek pieszy, mężowie w żelazo okuci wdrapywali się na koniach lotem strzały, tłoczyły się za nimi ciężkie kartauny, powstała rzeź, popłoch, ucieczka. Kto nie zginął od miecza, znalazł śmierć pod krami Dniestru. Straszny to dla nas był dzień, ten dzień pod Chocimem!

Król (*który od niejakiemu czasu stał zadumany i zatopiony we wspomnieniach, które w nim te opowiadania wzbudziły — nawpół do siebie*). Szczęśliwe chwile mojego żywota, chwile świętego zapału, gorącej miłości ojczyzny i wielkich moje zasługi tryumfów!

Nuradyn. O, jasnie oświeceni książęta i panowie, wierzajcie mnie, staremu Turkowi: jeden jest Bóg i Mahomet jego prorok i jeden wódz niezwyciężony: król polski. Myśmy w to zawsze wierzyli, jak w słowa Alkoranu. Samo jego imię było dla nas postrachem, a gdyśmy usłyszeli, że gdziekolwiek przeciwko nam stoi, byliśmy już pewni, że Allah wydał na nas wyrok potępienia.

Ks. Lotaryński (*do Króla mocno wzruszony*). Daruj, najjaśniejszy panie! więcej nie zdołam nic powiedzieć. (*Król podaje mu rękę i ściska go*).

(*Podczas opowiadania Jańczarów, niektórzy ze zbuntowanych Żołnierzy bawarskich zbliżyli się do opowiadających i przysłuchiwali im. Potem przyszli do nich i inni. Żołnierze zaczęli po chwili dawać sobie znaki porozumienia i szeptać między sobą, pokazując na Króla. W końcu ci, co porzucili broń, podnieśli ją i wszyscy powoli stanęli w szeregach. Kiedy się już w porządku ustawili, Kapral z tego pułku wychodzi na front i odzywa się do Żołnierzy: »Prezentuj broń!« Żołnierze prezentują*).

Kapral (*prezentując broń, robi kilka kroków naprzód, do Króla*). Pułk piechoty jego księżęcej Mości El. Bawarskiego żałuje za swą winę i przyrzeka ją zmasać własną krwią na polu bitwy! Najjaśniejszy panie, pójdziemy, gdzie każeś, choćbyśmy do nogi wyginać mieli. Niech żyje król polski!

Żołnierze Niech żyje król polski!

Książeta i **Generalowie**. Niech żyje król polski!

Król (*zbliżywszy się do Żołnierzy*). Dobrze dzieci, dobrze! Za tę skruchę przebaczam wam wasze zapomnienie o obowiązku. Nie bójcie się, żołnierze! Nie taki dyabeł czarny, jak go malują. Kule i strzały tylko w tchórzów trafiają. Ja będę z wami i powiodę was nie na zgubę, ale da Bóg, do zwycięstwa. Tylko śmiało, a będziemy dziś jeść wieczkę w namiotach tureckich, a spać na ich jedwabiach i puchach! Mości pułkowniku, odprowadź swój regiment na swoje stanowisko.

Żołnierze. Niech żyje król polski! (*Pułkownik i Żołnierze odchodzą na lewo. Król wraca między starszyznę*).

Ks. Lotaryński. J. K. mość umie szturmem zdobywać sobie serca ludzkie. Ale pozwól, najjaśniejszy panie, że cię zapytam o to, co mię już od chwili niepokoi...

Król. Cóż to takiego, mości książe?

Ks. Lotaryński. Czy W. k. mość ufa zupełnie swojej przybocznej gwardyi?

Król. Moim Jańczarom? O, zupełnie!

Ks. Lotaryński. Wierzę, iż oni są do W. k. mości przywiązani i ją kochają. Ale to może tylko w zwyčajnym czasie pokoju...

El. Saski. Książe ma rację. To lud fanatyczny, dla swego proroka i wiary gotów na wszystko.

Ks. Lotaryński. Gdy ujrzą swoje półksiężycy i buńczuki, gdy usłyszą swych współwierców krzyczących: Ałlah! kto wie, jakie myśli mogą się zrodzić w ich duszach. A gdyby tylko znalazł się jeden zdrajca!...

Król. Pomiędzy moimi janczarami?... O, nigdy, jestem ich tak pewny, jak mojej własnej ręki.

Ks. Lotaryński. Osoba W. k. mości nazbyt jest drogą dla nas, nietylko że cię wielbimy i kochamy, ale nawet z własnego naszego interesu, bo od niej najwięcej zależy nasza klęska lub zwycięstwo. Gdyby ciebie, najjaśniejszy panie, spotkał jaki nieszczęśliwy wypadek...

Król. Nie bój się o to, mości księżę. A zresztą, jeśli chcecie, możemy się przekonać. (*Zbliża się do Janczarów*). Jussuf, Nuradyn, Hassan i wy wszyscy, słuchajcie co wam powiem.

Nuradyn. Słuchamy, królu! Słowa twoje dla nas święte.

Król. Nie chcę waszego sumienia i serca narażać na to, żebyście ze swymi rodakami się bili. Uwalniam was ze służby, możecie iść do Kara Mustafy.

Jussuf. Co wyrzekły twe usta, potężny królu?

Król. Jesteście wolni, idźcie do obozu tureckiego.

Nuradyn. To jest twój rozkaz, o dobry królu?

Król. Mój rozkaz.

Nuradyn. Za co nas tak karzesz, najdobrotliwszy nasz panie i ojcze? (*Kleka przed Królem, inni robią to samo*). Czyśmy nie służyli ci wiernie, nie spełniali każdej twojej woli, czyśmy już tak ci obrzydli, że jak parszywych psów odpędzasz nas precz!

Hassan. O, najłaskawszy królu, odwołaj swoje srogie wyrazy!

Król. Ja wam chcę dobrze uczynić; idźcie do swych rodaków i współwierców, wróćcie z nimi do ojczyzny.

Jussuf. Dla nas ty jesteś wszystkiem, naszym Padyszachem, ojcem i ojczyzną. Do ciebie nasze serca lgną, jak pszczoła do słodyczy kwiatu. Nie odpędzaj nas od siebie! Z żalu i tęsknoty za tobą zwiędniejemy jak skoszona trawa.

Król. Więc wolicie iść ze mną, bić się z wyznawcami Proroka, ze swymi braćmi?

Nuradyn. Wszystko uczynimy dla ciebie! Z tobą nasza

- śmierć i nasze życie, nad ciebie nie znamy nikogo.
Król. Zostańcie tedy, skoro taka chęć wasza.
Hassan (*całując go w rękę*). Dusze nasze znów pełne radości! Dzięki ci, potężny królu!
Inni Janczarowie (*całując Króla po rękach*). Dzięki ci, dzięki!
Król (*odchodząc od nich, do ks. Lotaryńskiego*). No, widzisz, mości książę, jacy to ludzie.
Ks. Lotaryński. Widzę, jakiego mają pana.
Oficer polski (*wchodzi*). Ojciec Marco d'Aviano.

SCENA 6.

Ciż sami. (Wchodzą) O. Marco i dwaj Kameduli, później Lubomirski, królewicz Jakób i Żołnierze różnej broni.

(O. Marco, mężczyzna średnich lat, szczupły i wysoki, z długą, czarną, dosyć rzadką brodą — postać ascetyczna. Obecni rozsuwają się na obie strony tak, że przybyli Zakonnicy wchodzą na środek sceny).

O. Marco (*z rękami wzniesionemi w górę*). Niechaj Pan nieba i ziemi będzie z wami! Błogosławieństwo Ojca świętego przynoszę dla obrońcy chrześcijaństwa.

(Obecni pochylają głowy, ci co nie mają hełmów tylko kapelusze i czapki, zdejmują je na chwilę).

Król. Witam was, wielebny ojcze!

O. Marco. (*Staje przy Królu, przypatruje mu się bystro, potem jakby zadziwiony*). Tak, to ty byłeś, królu... po raz drugi w życiu cię oglądam.

Król. Nie przypominam sobie, żeby...

O. Marco. Raz pierwszy widziałem cię, królu, oczami duszy, a nie ciała... Kiedy do Rzymu przysłała okropna wieść o wyruszeniu Turków na cesarstwo, o ich zwycięskim pochodzie w samo serce chrześcijaństwa, zadrżeli wszyscy wierni, zadrżał kościół i Ojciec święty, jakby nadszedł dzień zjawienia się Antychrysta. Od rana do nocy brzmiały świątynie łkaniem i modłami pobożnych, Papież

odprawiał codziennie mszę świętą w Lorecie, aby uprosić miłosierdzie Boga i odwrócić ten cios śmiertelny od chrześcijaństwa. Wtedy i ja, niegodny sługa Chrystusa, w ciszy mej celi dołączałem do innych swe prośby i modlitwy, a serce moje drżało z obawy o przyszłość kościoła. Pewnego dnia, gdy się tak trwożę i modłę z oczyma utkwionemi w krucyfiksie, staje przede mną widomie mały, w hełmie i w złocistej zbroi, dzierżący w dłoni miecz jasny jak promień słoneczny i mówi do mnie: Miej nadzieję w Panu, ja was obronię. Powiedziawszy to zniknął, a ja myślałem, że to Archanioł Michał zjawił się przede mną. I byłem spokojny od tej chwili. Tego samego dnia doszła nas wiadomość, że ty, królu, ciągniesz z wojskiem na odsiecz Wiedniowi. Wtedy odetchnął cały Rzym, odetchnął Ojciec święty i wysłał mię zaraz ze szczególnem swoim błogosławieństwem dla ciebie, królu, i wojsk twoich. A kiedy teraz stanął przed tobą, ujrzałem, że ten mały z ognistym mieczem, co mię swem zjawieniem pocieszył, miał twoją twarz i postać!
(*Głosy z pomiędzy książąt i starszyzny*)
Cud, cud! prawdziwy!

O. Marco. Cud zaiste! Wy wszyscy, co idziecie do boju pod jego wodzą, wierzajcie temu, że to jest człowiek przez Opatrzność zesłany, że to jest ten, o którym Pismo święte powiada: »Fuit homo missus a Deo, cui nomen erat Johannes«. »Był człowiek posłany od Boga, któremu imię było Jan«.

Głosy (*z coraz żywszem uniesieniem*). Prawda, prawda! to Jan posłany od Boga!

O. Marco (*biorąc z rąk jednego z Kamedułów obraz na drzewie malowany*). A oto, królu, i podarunek niebieski dla ciebie. Ten wizerunek przenaświętszej Dziewicy znaleziono w zgliszczach tego klasztoru OO. Kamedułów, spalonego przez Turków, którego ruiny tu widzicie. Nikt nie wie o jego

początku i pochodzeniu. Ani w klasztorze, ani w kościele nikt przedtem go nie widział. (*Obra-
cając się do jednego z Kamedułów*). Czy tak było,
ojcze Rafale?

I. Kameduła (*do Króla*). Tak jest, najjaśniejszy panie,
mogę to potwierdzić przysięgą. Dopiero wczoraj...

O. Marco. A wczoraj, była to wilia twojego przybycia na
to miejsce, najjaśniejszy panie!

I. Kameduła. Dopiero tedy wczoraj, gdyśmy pierwszy raz
ośmielili się zwiedzić gruzy naszego niegdyś domu
i kościoła przez nieprzyjaciela zniszczonego, jeden
z braciszków znalazł ten obraz w ciepłym jeszcze
popiele. Dziś, kiedy ojciec Marco przybył w na-
sze strony, pokazaliśmy go jemu, a on proroczym
swoim duchem objaśnił nam odrazu pochodzenie
i przeznaczenie tego obrazu.

O. Marco. Bóg dla nas niegodnych działa często widome
cuda, aby podeprzeć w nas wiarę i nadzieję.
Ten obraz nieznan i niewidziany przedtem przez
nikogo a znaleziony w całości i bez uszkodzenia
w tlejących się zgliszczach, malowały chyba ręce
anielskie i na ten dzień z nieba go tutaj dla cie-
bie, najjaśniejszy panie, zniosły.

Król. Dlaczegoż dla mnie, wielebny ojcze? Znajdzie się
może godniejszy ode mnie tego daru.

O. Marco. Nie, najjaśniejszy panie, dla ciebie tylko. Tak
tutaj napisano. Czytajcie wszyscy i przekonajcie
się (*Podaje obraz Ks. Lotaryńskiemu*).

Ks. Lotaryński (*czyta*). »Victor eris Johannes« — a po
drugiej stronie: »Victor ero Johannes«.

O. Marco. »Ty, Janie, będziesz zwycięzcą! Ja, Jan. będę
zwycięzcą!« — To dla Jana, dla króla Jana ten
obraz niebieski! Dla Jana, od którego spodzie-
wamy się zwycięstwa i dla którego prosimy o nie
z samej głębi dusz naszych!

Ks. Lotaryński. Najwyraźniejsza przepowiednia!

El. Saski. Ani wątpić!

El. Bawarski. Cudowne wydarzenie!

Ks. Lotaryński. Bóg z królem Janem i z nami, więc któż przeciw nam?

Książęta i Starszyzna (*wstrząsając orężami*). Bóg z nami! Bóg z nami!...

O. Marco. Bóg z wami! Jan będzie zwycięzcą! Zwycięstwo będzie wasze! Tak mi powiada mój duch, takie mam od Boga natchnienie. I nie od dzisiaj dopiero. Na wiarę tego przeczucia, kiedy w drodze tutaj widział się z cesarzem jegomością, powiedziałem do niego: Opuść swoje wygnanie i zbliż się do stolicy, dzień wybawienia nadchodzi. I cesarz zawierzył moim słowom i płynie Dunajem ku Wiedniowi.

Ks. Lotaryński. Więc J. C. mość weźmie zapewne udział w akcji przeciwko Turkom?

O. Marco. Nie. Odradzałem mu to. Do różnych celów Pan Bóg różnych używa duchów za narzędzie. Cesarz tu przybędzie by odebrać swą stolicę, by za wybawienie państwa od zguby podziękować Bogu w świątyni. Ale tym, który tego dokona, będzie — (*pokazując na Króla*) on!

Król (*klekając ze szablą wzniesioną w górę*). Wszechmocny Panie zastępów, Ty co nigdy słusznej sprawie nie odmawiasz pomocy, uczyni to, ażebym dokonał szczęśliwie zleconego mi przez ciebie dzieła, daj mi zwycięstwo, od którego losy chrześcijańskich ludów zawisły! Przyczyni się za tą prośbą moją i ty, przenaświętsza Dziewico, a Królowo korony polskiej, do Twego Syna, niech skłoni ku nam swe oblicze i najświętszą swą łaską wspiera nasz oręż!

O. Marco (*podnosząc w górę obraz*). Wspieraj nas Boże!
Wszystka Starszyzna (*ze wzniesionymi w górę oczami*).
Wspieraj nas, Boże!

(*Słuchać za sceną trąby i bębny. Król powstaje, wchodzi Lubomirski i królewicz Jakób*).

Lubomirski. Najjaśniejszy panie, ostatnie kolumny wojsk sprzymierzonych stanęły już na linii bojowej.

Król. Więc dalej naprzód, naprzód! Starym zwyczajem, ty wielebny ojcze, dasz nam idącym na śmierć rozgrzeszenie i błogostawieństwo na krwawą drogę! Dać znać wojskom, niech się tu przybliżą. *(Słuchać sygnały).*

Ruszczyć *(przystępuje do Króla, kłeka przed nim i całuje go w kolano).* Miłościwy panie, upraszam W. k. mości o wielką łaskę.

Król. Cóż chcesz, panie Ruszczyć?

Ruszczyć. Pozwól mi W. k. mość być z moją chorągwią przy swoim boku.

Król. Czemu waćpan tego chcesz?

Ruszczyć. Bo W. k. mość będzie najpierwszym w bitwie, a ja chciałbym się dostać jak najprędzej do tureckiego obozu.

Król. Rozumiem waćpana. Dobrze, zostawiam ci ten honor, żebyś pierwszy skruszył kopię o namiot wezyrski, i co rychlej wybawił swoją Basię, albo godnie za nią się pomścił.

Ruszczyć. Niech Bóg da za to W. k. mości zdrowie w jak najdłuższe lata! *(Całuje go w kolano i wstaje. Tymczasem wojsko różnej broni zapelniało głąb sceny).*

Król *(obracając się do Żołnierzy).* Dzieci, zróbcie z bębnowy połowy ołtarz pod tym dębem. *(Żołnierze spełniają rozkaz).*

Król *(do Królewicza, kładąc mu ręce na głowie).* Fanfanik, mój synu, tutaj w obliczu nieprzyjaciela, w momencie kiedy ma się począć bitwa, o której wieki będą wspominały, w tak dostojnym gronie książąt i rycerzy z całego chrześcijaństwa, odbierzesz z mojej ręki chrzest rycerski. Pamiętaj, że w takich okolicznościach może jeszcze nikogo nie spotkał ten honor. *(Bierze go za rękę i prowadzi w głąb sceny, za nimi postępują Książęta i Starszyzna. Równocześnie część Żołnierzy w głębi przechodzi na oba boki sceny i tu się szykuje. O. Marco stawia na ołtarzu zrobionym*

z bębnow obraz, który miał w ręku i klęka przed nim razem z Zakonnikami. Król i Starszyzna zatrzymują się tuż przed ołtarzem. Fanfanik klęka przed Królem, Król szablą uderza go po ramieniu. Następnie z obu boków sceny Hussarze polscy marszerują ku środkowi i schodzą się z sobą tak, że swoim szeregiem zasłaniają to, co się w głębi dzieje. Hussarze twarzą zwróceni ku ołtarzowi. Na przodzie sceny po jednej stronie zostaje kilku młodszych Oficerów, pomiędzy nimi Ruszczyć).

SCENA 7.

Ciż sami. (Wchodzi) Br. Gaudenty (z kapturem naciągniętym na głowę i z krzyżem w ręku).

Br. Gaudenty (wchodząc pomiędzy Oficerów). Otóż i ja w całej armacie (pokazuje na kaptur i krzyż) stoję do apelu, mości rotmistrzu. No, panowie bracia, śmiało a odważnie, audacter ac fortiter, zabierzmy się do tych paskudnych pohańców!

Ruszczyć. U brata kanafarza coś nie lada dzisiaj fantazyja!

Br. Gaudenty. Dlaczego nie? dlaczego by nie? że mam u pasa nie szablę ale ogórki, to mam być tchórzem podszyty? zobaczycie, zobaczycie, panowie bracia! Tylko się nic nie bać, a śmiało! co tam życie! furda, vanitas vanitatum! za tę fatalaszkę możecie sobie nabyć to, czego na żadnym jarmarku nie dostanie: koronę niebieską. Raz się żyje, raz się umiera. Kto dziś da głowę za wiarę świętą, tego dusza prosto z kulbaki pójdzie do nieba na wieczrę do Pana Jezusa... Ot tak, na wieczrę do Pana Jezusa! To nie fraszki, milites Christi, zysk wasz czysty i oczywisty, nagroda wasza sowita, mors heroica et aeterna vita! Tylko śmiało, audacter!

Ruszczyć. Jeśli dziś zginę, pamiętajcie, bracie, westchnąć

czasem na moją intencją, bo niejeden grzech cięży na mej duszy.

Br. Gaudenty. Oj, prawda, prawda, mości rotmistrzu! albo i z tym tureckim dyablikiem, mało to było... ale sza! (*Pokazuje na odbywające się nabożeństwo; w tej chwili słycać uderzenie w bęben. Wszystko wojsko kłęka. Tym sposobem widać O. Marco, który trzymając krucyfiks w ręku, sam jeden stoi odwrócony twarzą do wojska.*)

O. Marco (*podniesionym głosem*). Pytam się was, wszyscy, czy ufacie w Panu?

Wszyscy (*jednym głosem, z uniesieniem*). Ufamy, ufamy!

O. Marco (*j. w.*). Ufajcie Mu, a zwyciężycie!

(*Hussarze zaczynają śpiewać pieśń »Boga rodzica;« po odśpiewaniu pierwszej zwrotki Starszyna i wojsko powstaje z kłęczek. Szereg ostatni, utworzony przez Hussarzy, rozkwiera się na oba boki. Widać O. Marco, który na wszystkie strony krucyfiksem daje błogosławieństwo.*)

Król (*występuje naprzód, dobywa szablę i podniósłszy ją w górę, woła*) Dalej w bój, w imię Boga!

(*Hussarze zaczynają drugą zwrotkę pieśni. W powolnym marszu, oprócz Zakonników stojących w głębi i ciągle błogosławiających, wszyscy postępują naprzód. Odzywają się bębny i trąby. Zastona spada.*)

AKT PIĄTY.
W NAMIOTACH WEZYRSKICH.

OSOBY:

Król Jan Sobieski.
Ks. lotaryński.
El. bawarski.
El. saski.
Ks. Waldeck.
Jabłonowski H. W. K.
Sieniawski H. P. K.
Lubomirski.
Wielki Wezyr Kara Mustafa.
Emir Hassan, poślaniec sułtana.
Ali, basza adryanopolski.
Ibrahim, beglerbej Budy.
Iman (ksiądz turecki).
Han tatarski.
Aga-lanchar.
Bostandży, dworzanin wezyra.
Gniński, poseł rzeczyposp. w niewoli tureckiej.
Ruszczyc.
Basia Korczakówna.
Baronowa.
Gretchen.
Hr. Stahremberg.
Zopfbeutel.

O. Marco d'Aviano.

Br. Gaudenty.

La Fleure.

Wodzowie polscy i niemieccy; Wiedeńscy: kobiety, mężczyźni i dzieci; Janczarowie królewscy, Hussarze; Żołnierze tureccy; Tancerki tureckie i Muzykanci.

Wielki karmazynowy namiot Wezyra zajmujący całą scenę. We środku zatknięta zielona chorągiew Proroka. Przy ścianach kilka niskich tureckich sof. Na ziemi dywany. Kwiaty w wazonach tu i owdzie rozstawione. W głębi tryska fontanna.

SCENA 1.

(Za podniesieniem zasłony Kara Mustafa siedzi na sofie, puszczając niekiedy kłęby dymu z fajki i przypatrując się obojętnie Tancerkom, które tańczą przed nim. W pewnej odległości kilku Muzykantów gra na brzęczących janczarskich instrumentach. Obok Wezyra stoi mały Murzynek, dalej przy jednym z wejść namiotu Bostandży. Obaj mają ciągle wzrok utopiony w Wezyra, gotowi na każde jego skinienie. Taniec i muzyka trwają jakiś czas, potem Wezyr odrzuca fajkę, Murzynek natychmiast odnosi ją za scenę. Wezyr daje znak. Bostandży przybiega do niego. Wezyr daje mu skinieniem rozkaz, żeby Tancerki i Muzykanci odeszli. Bostandży zwraca się do nich, i na jeden jego znak Tancerki i Muzykanci w tej chwili sobie przerywają i odchodzą)

Wezyr. Nudzą mię — precz!

Bostandży *(staje przed nim z głębokim ukłonem, czekając dalszych rozkazów).*

Wezyr. Przyprowadź Laszkę!

(Bostandży wychodzi. — Wezyr siedzi w milczeniu z oczami utkwionemi w drzwi, które Bostandży wyszedł. Wchodzi Basia w bogatym tureckim stroju).

SCENA 2.

Wezyr. Basia.

Wezyr (*na jej widok podnosi się z sofy i prędko do niej się zbliża*). Namysliłaś się?

Basia. Panie, mogę ci tylko powtórzyć, com w pierwszej chwili powiedziała. Bóg oddał mię tobie w niewolę, twoi żołnierze wzięli mię w jassyr, będę twoją niewolnicą, będę spełniać wszelkie posługi i prace, jak rozkażesz, ale kochać cię nie mogę.

Wezyr. Nierozsądna! nie chcesz być odaliską wielkiego wezyra, odrzucasz los, o który tysiące innych kobiet by się ubiegało. Ja ciebie mogę zrobić szczęśliwszą niż wszystkie wasze chrześcijańskie królowe, wystawię dla ciebie pałac z marmuru i złota, obsypię cię dyamentami i perłami, drogę, po której będzie twa noga stąpać, wyściele jedwabiem i wonnymi kwiatami!

Basia. Nie pragnę tych bogactw i przepychów, i nie chcę ich nabywać za moją hańbę!

Wezyr. Słuchaj mię, dziewczyno! Jakiś czar jest w tobie, któremu się oprzeć nie mogę. Wszystkie moje niewolnice i odaliski nudzą mię i wstręt mi sprawiają. Ty jedna wydajesz mi się piękna jak huryska Proroka. Twój obraz ściga mię we dnie i w nocy! Co chcesz ode mnie? Powiedz, wszystko uczynię. Chcesz być moją żoną? Jedno twe słowo, a dziś cię poślubię i będziesz równa sułtankom, równa tym, co noszą korony!

Basia. Nie mogę przyjąć tego honoru. Ja jestem Polką, a ty panie Turkiem, ja chrześcijanką, a ty wyznawcą Proroka — nie godzi mi się ciebie pojmować za męża. — Była niegdyś w naszym kraju królowa, która wolała wskoczyć w rzekę i umrzeć, niżeli iść za cudzoziemca. Ona nam wszystkim zostawiła przykład.

- Wezyr.** Dumna jesteś i nieugięta, Laszko! Ale w twem sercu musi być inna jeszcze przyczyna.
- Basia.** I tego, panie, nie zapieram. Jestem narzeczoną, ślubowałam innemu wiarę i Kocham go.
- Wezyr.** Nie ujrzyś go więcej!
- Basia.** Być może. Nie wiem nawet z pewnością, czy on dziś żyje czy nie. Chociażby jednak i żył, skończę dni moje w niewoli i płaczu, ale przekonania mego nie odmienię.
- Wezyr.** Zuchwała, zastanów się, co mówisz! Moja namiętność nie zna hamulca ni oporu... Chcę, abyś była moją i musisz być!
- Basia.** Nigdy! wprzód umrę.
- Wezyr.** Więc umrzesz! Pamiętaj, śmierć cię czeka, gdy nie będziesz mi powolną!
- Basia.** Masz żelazo przy boku, uderz!.. jestem gotowa każdej chwili zginąć.

SCENA 3.

Wezyr, Basia, Bostandży, później Emir Hassan.

- Bostandży.** (*Wchodzi prędko i z głębokim ukłonem zbliża się do Wezyra.*)
- Wezyr.** (*Zobaczywszy go, kopie go nogą i z największą wściekłością woła.*) Psie niewierny, jak się odważyłeś wejść tu niewołany!
- Bostandży.** (*Rzuca się na kolana i uderza czołem o ziemię.*) Wielki wezyrze, potężny panie, nad którego jeden tylko wyższy jest na ziemi, pan twój i mój, władca całego świata, następca proroka, wielki i niezrównany padyszach, przysłał do ciebie gońca Emira Hassana, o którego przybyciu przyszedłem ci oznajmić.
- Wezyr.** (*Ochłonawszy nagle z gniewu, z oznaką najgłębszej pokory.*) Wstań i powiedz Emirowi, że wielki wezyr Kara Mustafa, najniższy sługa sułtana, czeka na jego rozkazy. (*Bostandży odchodzi.*) (*Do*

Basi). Wróc do siebie, Laszko, pomówimy z sobą niedługo. (*Basia odchodzi*).

Emir Hassan. (*Wchodzi, niosąc w rękę pismo sułtana z wielką pieczęcią i małą hebanową szkatułkę*). Pan twój i mój, padyszach Mahomet, przysłała ci, wielki wezyrze Kara Mustafo, to pismo i tę szkatułkę. Weź je, a najprzód przeczytaj pismo.

Wezyr. (*Całuje pieczęcie z największym uszanowaniem*). *Rozwija pismo i czyta*. „Wezyrze Kara Mustafo! Chciałeś tej wojny, a nie kończysz jej, wybrałeś się na zdobycie Wiednia, a nie zdobyłeś go dotąd. Hańba tobie, a mnie smutek i żalność! Jeżeli za trzy dni potem, jak to pismo dojdzie do rąk twoich, nie zdobędziesz Wiednia, rozkazuję ci powiesić się na jedwabnym sznurku, który ci posyłam, a na znak tego masz go od tej chwili zawiesić na swojej szyi”. (*Do Emira*). Stanie się, co pan mój rozkazał. (*Odkłada pismo na bok, otwiera szkatułkę i wyjąwszy z niej sznurek, zawieszona sobie na szyi*). Idź i powiedz padyszachowi co widziałeś. Jestem prochem pod jego stopami.

Emir. Spełniłem, co mi było rozkazane. (*Wychodzi*).

Wezyr. (*Sam*). Dziś jeszcze muszę mieć Wiedeń, inaczej czeka mię śmierć sromotna! (*Klaszcze*). Bostandży! (*Bostandży zjawia się przy wejściu*). Wołaj tu baszów! (*Bostandży oddala się*). Ha, giaury! drżycie przed moją wściekłością! Im dłuższy był wasz opór, tem straszliwsza będzie kara! Żadna chrześcijańska dusza nie ujdzie miecza, potoki ognia zaleją wszystkie wasze ziemie!

SCENA 4.

Wezyr. (*Wchodzą*) *Ali basza Adryanopolu, Ibrahim beglerbej Budy (80 letni, długa, siwa broda). Kilku innych Baszów i Iman; później Aga-Janczar, Han tatarski, Bostandży Gniński i Basia*).

- Wezyr.** (*Do baszów*). Tchórzliwi wojownicy Proroka, opiekowali się Padyszachą, dlaczego Wiedeń dotąd nie w naszych rękach? Czekaliście, aż pan wasz się rozgniewa i zachmurzy swoje czoło, że ma tak niedołężne narzędzia do spełniania swej woli!
- Ali.** Wielki wezyrze, wykonywaliśmy we wszystkim twe rozkazy i szliśmy za tem, co nam twoja mądrość wskazywała.
- Wezyr.** Żle wypełnialiście me rozkazy, niechętnie słuchaliście co mówiłem.
- Ali.** O to, wielki wezyrze, nie możesz nas bez niesprawiedliwości obwiniać.
- Wezyr.** A więc dlaczego Wiedeń dotąd stoi?
- Iman.** Dlaczego? chcesz wiedzieć? bo Allah każe nas za grzechy! Bóg nie może dobrze czynić tym, którzy go codzień obrażają. Zbytki i rozpusta panują w całym naszym obozie, a jako sługa Najwyższego, mogę ci, wielki wezyrze, powiedzieć, że ty pierwszy dajesz do tego zły przykład. Na łonie odalisk i niewolnic, przy dźwięku zniewieściałych tonów muzyki topnieje twoje męstwo i silna wola i dlatego stolica gaurów dotąd nam urąga, dlatego Allah nas karze.
- Wezyr.** Nie zasiadałeś w radzie Proroka i nie znasz rozporządzeń Najwyższego, więc mi nie bluźnij zachwalstwem! (*Zwracając się do Ibrahima*). A ty, berglerbeju, nic nie mówisz, żadnej nie podajesz rady?
- Ibrahim.** Moja rada już dawno tobie, wielki wezyrze, wiadoma...
- Wezyr.** Piękna rada! ażeby od Wiednia odstąpić...
- Ibrahim.** Nie trzeba było podstępować pod Wiedeń... ja zawsze byłem temu przeciwny. Zapusciliśmy się w głąb chrześcijańskiej ziemi nazbyt zachwale i niebacznie. Niech ci nie chodzi, Kara Mustafu, o wstyd fałszywy. Wielki Soliman sławnym był wojownikiem, a odstąpił niegdyś od Wiednia, kiedy go nie mógł zdobyć.

- Wezyr.** Ale ja go zdobędę, a potem rumak mój nie zatrzyma się w swoim pędzie, aż na wzgórzach Watykanu! (*Słychać dwa uderzenia z dział, jedno po drugim*). Co to znaczy? (*Wszyscy patrzą po sobie ze zdziwieniem*).
- Aga-Janczar.** (*Wchodzi prędko*). Wielki wezyrze, na górach, wznoszących się nad naszym obozem, zabłyśły nagle pancerze i dzidy chrześcijańskiego wojska!
- Wezyr.** Jakiego wojska? skąd?
- Aga-Janczar.** Są między nimi żołnierze cesarscy, książąt Rzeszy i Polacy...
- Wezyr.** Czyliż byliby tak szaleni iść sami w gardło lwa? Tyle tygodni uciekają i usuwają się wciąż przed nami! Są i Polacy powiadasz?... to pewnie jakaś garstka, którą król polski posłał na odczepne cesarzowi, a która powiększy liczbę naszych ofiar.
- Han tatarski.** (*Wpada*). Seraskierze, straszna nowina! Król polski idzie z niewiernymi, prowadzi na nas giaurów!
- Ibrahim.** Przebóg! Jestże to prawda, że Allah spuścił na nas ten grom?
- Wezyr.** To być nie może! Króla polskiego niema między giurami. Nazbyt utuczył się na tronie, aby mu się chciało konia dosiadać. Dalej! ruszajcie przeciwko nieprzyjacielowi! Ty, Janczar Ago, ze swymi ludźmi uderz z całych sił na Wiedeń, a wy równocześnie rozbijcie w puch nadciągające posiłki.
- Ibrahim.** Wielki wezyrze, teraz jeszcze więcej niż przedtem radzę umiarkowanie. Nie działajmy porywczo i zuchwale. Cofnijmy się z tych ściśniętych miejsc na równiny Węgier, bo klęska nasza może być niepowetowana i straszna.
- Ali.** Wielki wezyrze! nakłoń ucho rozsądnym słowom i nie narażaj na zgubę całego wojska Padyusza.

Wezyr. Milczeć, buntownicy! Tak was przestraszył król polski? Ja tu wydaję rozkazy, a wy słuchacie! Czy widzicie ten sznurek? jeżeli za trzy dni nie weźmiemy Wiednia, czeka mię śmierć według woli mojego pana — ale i wasze głowy wprzódy padną pod toporem! Czyż nie ja tu jestem Seraskierem? Czyż nie ja otrzymałem chatiszerif od sultana? Czyliż na polach Adryonopolu nie mnie odział padyszach w szatę ze złotogłowiu, nie mnie przyozdobił czaplem piórem i kołczanem dyamentami wysadzany? Czyż nie w moje ręce powierzył tę chorągiew Proroka? Milczeć, mało-duszni niewolnicy, słuchać i spełniać me rozkazy! Idźcie!

Ibrahim. Panie, stanie się według woli twojej. (*Baszowie oddają mu głęboki pokłon i wychodzą*).

Wezyr. Bostandży! (*Bostandży zjawia się w drzwiach*). Sprowadź tu posta polskiego i niewolnicę Laszkę. (*Bostandży odchodzi*). Te dwa drogie przedmioty mojej namiętności i zemsty muszę schować w najbezpieczniejszem miejscu: tu, we własnym moim namiocie. (*Wchodzi Gniński w kajdanach na rękę, długa broda, twarz poważna i smutna; znać na nim długie więzienie — straż przy nim*). (*Do Gnińskiego*). Słuchaj mię, Lachu, jeżeli to prawda, że twój pan wiedzie na nas wojsko gaurów, to łeb ci zdejmę z karku.. (*Wchodzi Bostandży z Basią, do Bostandżego*). Pilnuj mi tutaj jak oka w głowie tych dwóch jeńców. Jeślibym choć jednego z nich nie zastał, gdy powrócę, własnymi rękami cię uduszę! (*Bostandży robi głęboki ukłon*). A teraz wspieraj mię, Allahu! (*Wychodzi prędko*).

SCENA 5.

Gniński, Basia.

(*Bostandży odchodzi w głąb. Przez podniesioną kotarę namiotu widać straż i Bostandżego, który, przechodząc się,*

co chwila się pojawia i baczną na jeńców zwraca uwagę. Słychać za sceną przytłumioną wrzawę bitwy i co pewien czas głucho strzały armatnie).

Basia (d. s.) Poco mię tu kazał znowu sprowadzić? boję się czegoś. Tam bitwa się zaczyna... on ma jakieś złe zamiary. (Do Gnińskiego). Panie, wszak się nie mylę, jesteś chrześcijaninem i Polakiem!

Gniński (który stał dotąd zadumany, spogląda na nią ze zdziwieniem). A ty branką polską, jak widzę z twej mowy. Tak, jestem chrześcijaninem i twoim ziomkiem.

Basia. Ach, tem lepiej!...

Gniński. Tak powiadają, że wspólne nieszczęście łatwiej się znosi. Skąd się tu wziętas? Czy Turcy przywiedli cię z sobą ze swego kraju, czy tu gdzie pochwycili?

Basia. Od kilku dni dopiero jestem w niewoli. Szłam do obozu polskiego, bo mi powiedziano w Krakowie, że mój narzeczony ciężko ranny, że umarł podobno. Chciałam się dowiedzieć, czy to prawda czy nie. Nie mogłam przenieść na sobie niepokoju i niepewności. Okropnie się dręczyłam. Ach, jego tylko jednego miałam na świecie, ani ojca, ani matki, ani brata. Już niedaleko obozu schwylił mię nieszczęściem Tatarzy i sprzedali wielkiemu wezyrowi.

Gniński. Biedna dziewczyno, los twój politowania godny!

Basia. A wy, panie, skąd się tu dostaliście?

Gniński. Ja byłem posłem rzeczypospolitej w Stambule. Skoro wojna z chrześcijanami wybuchła, Turcy uwięzili mię, nałożyli na mnie te kajdany i jako zakładnika powlekli za swoim wojskiem aż tutaj. Barbarzyńcy! pogwałcili najświętsze prawa narodów, aby mieć na kim wyrzucić zemstę, jeśli ich dumne plany się nie powiodą. Przed chwilą, gdy Kara Mustafa stąd odchodził, zagroził mi śmiercią, jeśli się sprawdzi wieść, że nasz król jest na czele wojsk chrześcijańskich.

Basia. Miłosierny Boże! zginęliście panie! ta wieść jest prawdziwa.

Gniński. Niech się dzieje wola boża!... Patrz, co to znaczy? tak nagle ciemno się zrobiło... co to jest?
(*Idzie bliżej ku wyjściu namiotu.*)

Ciemno na całym niebie... to widać słońce się zaćmiło.

SCENA 6.

Ciż (Wchodzą prędko) W. Wezyr i Han tatarski.

Wezyr. Czy to być może? nasze pułki chwieją się i cofają!

Han. Nic dziwnego: króla polskiego mają naprzeciw sobie. On jest niewyciężony!

Wezyr. Ratuj mię, hanie! Ratuj wyznawców Proroka! Twoje wojska jeszcze stoją nienaruszone.

Han. Gdy król polski się do nich zbliży, i one pójdą w rozsypkę... Czego chcesz, wielki wezyrze? Sam Allah stanął po stronie gjaurów; czy nie widzisz, że spuścił ciemności na ziemię, aby nam dać poznać swój gniew i zatrwodzić naszego ducha?

Wezyr. Rozwinę chorągiew Proroka! Jeśli nam ta obrona nie pomoże — zginęliśmy! (*Idzie na środek namiotu i wyjmuje utkwioną tam chorągiew*). Bostandży! (*Bostandży nadchodzi*). Gdy zobaczysz, że ta chorągiew schyla się ku ziemi, wpakuj kindżał w gardło temu Lachowi, i daj rozkaz wyzabijać wszystkie kobiety w obozie, począwszy od tej!
(*Pokazując na Basię, odchodzi prędko z Hanem*).

Basia. Jezus, Marya! co on powiedział!

Gniński. Nieszczęśliwe dziecko! nie chciałem cię naprzód staszyć, ale przewidywałem, że taki los cię spotka.

Basia. O najświętszy Jezu, zniłuj się nade mną! Straciłam wszystko na świecie, gotowam była umrzeć każdej chwili, a jednak ta śmierć okropnie mię przeraża.

Gniński. Żal mi cię bardzo, moje dziecko! Ja chętnie od-

dam głowę, byle nasi zwyciężyli. Cóż znaczy to jedno, biedne życie, jeśli równocześnie krocie innych ofiar się oszczędzi? Ale tyś taka młoda, taka piękna! Do ciebie cały świat się uśmiecha. Biedna ty jesteś!...

Basia. O Boże, dodaj mi siły!... Nie, przecież i ja nie mogę sobie życzyć, aby nieprzyjaciele mojej wiary i ojczyzny zostali zwycięzcami! O! niech nasi zwyciężą! Daj im zwycięstwo, łaskawy Boże, ze mną niech się dzieje, co Ty rozkażesz!

(W czasie ostatnich słów upada na kolana i modli się.)

Gniński. Módl się, módl, moje dziecko! *(Zbliża się do wyjścia i patrzy za scenę).* Popłoch w wojsku tureckiem... szyki się łamią i cofają... chorągiew Mahometa opada... Zwyciężyli! nasi zwyciężyli!... Chwała ci, Boże!

Basia. *(powstaje — zbliża się do niego).* Co się stało? co się stało?

Gniński. Zwycięstwo! *(Patrzy jej w oczy znaczącym wzrokiem, chwila milczenia).*

Basia *(w której radość odniosła górę nad innymi uczuciami).* Zwycięstwo?... Bogu najwyższemu dzięki!

Gniński *(bierze ją za rękę).* Jesteś dobrą Polką, dziewczyno! odwagi, odwagi, w tej stanowczej chwili! *(Stoją razem, trzymając się za ręce. Pauza. Za sceną słychać wrzaski uciekających Turków i silny strzał armatni w pobliżu).*

Bostandży *(wpada ze strażą).* Wielki wezyr, uciekł! wszystko stracone! mordujcie tych jeńców! *(Wybiega za scenę. Straż z gołymi szablami rzuca się na jeńców. Gniński zasłania sobą Basię, broniąc się kajdanami skuwającymi mu ręce).*

Gniński. Precz barbarzyńcy! który się zbliży, rozmiażdżę mu czerep! *(Jeden ze straży zaszedłszy z boku, porywa Basię za rękę i zamierza się na nią szablą. Basia broni się i uchyla wołając: Boże, zmiłuj się nad nami! W tem słychać za sceną głos Ruszczyca: Naprzód wiara!)*

SCENA 7.

Ciż sami. Ruszczyc (wbiega z pistoletem w rękę, strzela w Turka pasującego się z Basią. Turek pada na ziemię. Basia mdleje. Za Ruszczycem upada kilku Towarzyszy pancernych i rzucają się na Turków. Zaczyna się walka, po chwili Turcy się cofają, krzycząc: »Amam! Amam!« (pardon). Towarzysze i Ruszczyc idą za nimi za scenę).

Gniński. Boże! to cud twój prawdziwy. Ale ta biedna dziewczyna, czy ranna, czy zemdląca? (*Nachyla się nad Basią*). Nigdzie żadnego znaku... serce bije... A więc nie umarła. Przyjdź do siebie, moje dziecko, nie bój się, Turków już niema — jesteśmy wolni, wolni! (*Basia otwiera oczy i spogląda na niego*).

Ruszczyc (*wraca, smutny*)... Ani śladu mojej Basi... niema jej nigdzie! A i ten psubrat, Kara Mustafa, mi uszedł!

Gniński (*do Basi*). Oto nasz zbawca!

Basia (*spogląda na Ruszczycę, podnosi się i przypatruwszy mu się chwilę, woła*). Mój Damianek!

Ruszczyc (*patrzy na nią z podziwieniem, wreszcie, poznawszy ją, biegnie do niej z otwartymi rękami*). Basia, Basia, Basienka moja! (*Rzucają się sobie w objęcia*).

Basia. Więc to nieprawda była, że Turcy cię zabili?

Ruszczyc. Nieprawda, moja Basiu, nieprawda! postrzelili tylko trochę, niema o czem gadać!

Basia. A zemną, czy ty wiedziałeś, co się stało?

Ruszczyc. Wiedziałem, moja duszo. Widziałem zdaleka, jak cię ten bisurmanin porywał, i nie mogłem ratować. Ale niedawno temu śniłaś mi się taka wesoła, jak teraz i z wiankiem różanym na głowie i odtąd byłem prawie pewny, że cię zobaczę żywą.

Basia. Bóg najwyższy był łaskaw, że mnie uratował od śmierci i hańby! (*Słuchać za sceną głos Króla »Bóg z nami, Bóg z nami!«*).

SCENA 8.

Oiż. — *Wchodzi Król z dobytą szablą, za nim hetmani: Jabłonowski i Sieniawski, generał Kącki, Janczarowie królewscy, kilku Hussarzy; później Ks. lotaryński i Elektorowie.*

Król *(obracając się do przybyłych z nim).* Bóg i Pan nasz na wieki błogosławiony, dał zwycięstwo i sławę narodowi naszemu, o jakiej wieki przeszłe nigdy nie słyszały! *(Chowa szablę w pochwę).* No, dzisiaj nie jedliśmy darmo chleba! *(Ogląda się po namiocie).* Patrzcie, waszmoście, co to za przepych, co za wspaniałość! Wielki wezyr był bardzo grzeczny i zrobił mię tego wszystkiego sukcesorem. Ale my tu nie pierwsi, jak widać.

Ruszczyć *(zbliża się do Króla z pokłonem).* Zrobiłem tu trochę porządku na przybycie W. kr. mości i tak mi się dobrze udało, że znalazłem swoją zgubę. *(Pokazuje na Basię).*

Król. Chwalić Boga, że się waćpanu tak poszczęściło! Tuszę sobie, że mię krótkim czasem zaprosisz na wesele.

Ruszczyć *(z głośnym płaczem radości, rzucając mu się do kolan).* Jakto? W. k. mość byś raczył wstąpić pod moją szlachecką strzechę?

Król. Czemu nie? czemu nie? Waćpan tak dobry szlachcic jak ja, a dzisiaj gracko mi się popisywałeś. *(Ruszczyć ściska go za kolana; ucieszony przystępuje do Basi i z nią rozmawia).*

Gniński *(zbliża się do Króla, pochylając mu się do kolan).* Miłościwy mój królu!

Król. Co ja widzę? to wy tutaj, mości Gniński? Te niecnoty Turki tak was ubrały! Rozkuć pana Gnińskiego. *(Żołnierze spełniają ten rozkaz).* Odebrali oni dziś za to dobry poczęstunek, a tobie, mości Gniński, każę zrobić z ich złota kajdany tak ciężkie jak te żelazne, które ci nosić kazali.

Gniński. Miłościwy królu! ja już zapomniałem w tej chwili o wszystkich moich dolegliwościach.

Król (*do Jabłonowskiego*). A jakie nasze straty, mości hetmanie?

Jabłonowski. Dziękować Bogu, naszych mało poległo, ale Turków leży po polu jak snopów. Ze znaczniejszych zginęli: pan podskarbi nadworny Modrzewski, pułkownik Aswerus i młody Stanisław Potocki.

Król (*uchylając czapki*). Daj im, Boże, światłość wiekuistą! (*Wchodzą Ks. lotaryński i Elektorowie*).

Ks. lotaryński. Najjaśniejszy panie, pozwól sobie złożyć dzięki i uściskać tę waleczną prawicę. W dzisiejszym dniu zapisałeś świetnymi głoskami swoje imię na kartach historyi...

Król (*ściskając ich za ręce*). Dziękuję waszmościom za dobre słowo. Wszyscy robiliśmy, ile nam sił starczyło, równa wszystkich zasługa.

Żołnierz polski (*wchodzi*). Miłościwy panie, przynoszę W. kr. mości złote strzemię, które zgubił wielki wazyr, przesiadając się w ucieczce na konia.

Król (*odbierając strzemię*). Piękny splendor! (*Do Jabłonowskiego*). Mości hetmanie, to strzemię trzeba będzie posłać jejmość królowej do Krakowa, żeby nie rzekła jako tatarskie żony mawiać zwykły, żeś ty nie junak, kiedy wracasz z próżnemi rękami, bo ten co zdobywa na przodzie być musi. (*Oddaje strzemię Jabłonowskiemu*).

Oficer polski (*wchodzi z turecką chorągwią*). Najjaśniejszy panie, prezentuję W. kr. mości chorągiew Machometa, którą zdobyliśmy na Turkach.

Król (*bierze ją, rzuca na ziemię i przystępuje nogą*). Oby tak raz na zawsze skruszoną została pycha i potęga półksiężycu! (*Do Oficera*). A teraz ją waćpan podnieś. Poślemy ją Ojcu św. do Watykanu. Niechaj tam wisi obok tej, którą posłałem z pod Chocima. (*Do starszyny*). No, ale my tu cieszymy się i zabawiamy, a co tam się z Wiedniem dzieje?

- Ks. Waldeck** (*wchodzi*). Wiedeń już oswohodzony i wolny. Janczarowie, co do niego szturmowali, zobaczywszy ucieczkę wojsk muzułmańskich, poszli za ich przykładem. Po dwóch strasznych miesiącach Wiedeń otwarł zuowu swoje bramy, a cała ludność wyległa z murów wśród okrzyków radości i szczęścia, błogosławiąc swojemu zbawcy.
- Luhomirski** (*wchodzi*). Książęta Rzeszy, generałowie i dowódcy pułków pragną oglądać W. kr. mość i proszą, abys się raczył im pokazać.
- Król**. Z całego serca, z całego serca! Jestem tak uradowany, żebym dziś wszystkich chciał przycisnąć do piersi! Dzielni ludzie, jak oni się bili, to prawdziwa uciecha takimi dowodzić! Pójdźmy waszmoście! (*Król, Starszyna i Żołnierze wychodzą*).

SCENA 9.

Ruszczyc, Basia, Gniński zajęci w początku sceny cichą rozmową. Wchodzą: Br. Gaudenty, prowadząc się pod pachę z La Fleurem.

Br. Gaudenty. Victoria! Victoria! górą nasza! a toż daliśmy Turkom łupnia, popamiętają ruski miesiąc i nie odsąpią się aż w Stambule! Prawda, panie Francuz, żeśmy im tego dopieklki?

La Fleure. Oui, oui, pan ksionz. A mój rekawise, mój peruk i moje żurnal z Parys wszystkie poszli na Turka...

Br. Gaudenty. Rękawice, peruka... co?

La Fleure. J'ai eu une magnifique idée. Ja nie mieś czem przybiś armata, to ja włożyś w lufa mój rekawise, peruk i żurnal, so je mieś w kieszeń, przybijas dobrze i puf! strzeliś to wszystko na Turka. Si! si!

Br. Gaudenty. A niechże cię pan Bóg sekunduje, a to mi dowcipny Francuzik! (*Spostrzega Ruszczyca, zbliżającego się do niego z wyciągniętą ręką*). Powitać

pana rotmistrza! (*Cofa się zgorzony*). Ho, ho, z jakąś bisurmańską niewiastą!

Ruszczyc. Ej, nie posądzaj ludzi niewinnie, bracie kanafarzu. Toć to przecie moja narzeczona Basia, którą cudem boskim odzyskałem.

Br. Gaudenty. A niechże będzie imię Pańskie pochwalone! Pan Bóg obsypuje nas szczęściem na wszystkie strony jak gradem. Kłaniam jejmość pannie, kłaniam uniżenie! (*Basia robi dyg*). A co, panie rotmistrzu, chwackośmy się dziś spisali, nieprawda?

Ruszczyc. Ta! niezgo było, ale brat kanafarz to widno nie miał ochoty jeść dziś wieczerzę u Pana Jezusa w niebie.

Br. Gaudenty (*ciszej, skonfundowany*). Toś waćpan to widział?

Ruszczyc. A widziałem ci, widział. Jak skoro Turcy huknęli z armat, toś brat na miejscu skręcił podjezdka i co tchu z nim do rowu...

Br. Gaudenty. E, bo widzisz waćpan, gdzie mi się było dzisiaj wybierać na tak sute gody. Ja dzisiaj z suchotami, z suchotami. Co tam o tem gadać, uściskajmy się i basta! (*Ściska go*). Taki jestem dziś uradowany, żebym się teraz i z Turkiem wycałował! Panie Francuz, co tak dobrze palisz armaty, jeszcze raz! (*Ściska obracając się z nim wkoło, potem go puszcza. Wchodzi Baronowa.*

Br. Gaudenty w zapędzie i ją chce uściskać, poznaje ją nagle i odskakuje). Wszelki duch Pana Boga chwali! ten dyablik jeszcze mię przesładuje.

Baronowa (*zbliża się do Ruszczyca, z wielką czułością*). Ach! rotmistrzu kochany, przecież cię znajduję! (*Spostrzega Basię*). O zgrozo! kobieta i do tego turecka odaliska przy tobie!

Ruszczyc. Za pozwoleniem, mościa dobrodziejko! To nie żadna Turczynka, tylko polska szlachcianka, Basia Korczakówna (*z przyciskiem*), moja narzeczona od pół roku! (*Do Basi*). A to pani baro-

nowa Knipperding, szanowna matrona, która mię rannego pielęgnowała w Wiedniu, jak matka.

Basia. Niechże pani dobrodziejce podziękuj!

Baronowa. Nie zbliżaj się, waćpanna! Narzeczona!... matrona!... Och! zdrajca, uwodziciel! zemdleję! (*Wymiarkowawszy gdzie La Fleure stoi, pada mu na ręce. La Fleure robi minę.*)

Basia (*do Ruszczyca*). Co jej się stało?

Ruszcyc. To wszystko z radości, Basiu; brat Gaudenty skacze, a baronowa mdleje.

Br. Gaudenty (*zbliża się do Ruszczyca — n. s.*). A to tak, mości rotmistrzu! ten niemy Turczynek, ten dyablik wcielony, to wiedeńska baronowa!... rozumiem teraz moje tentacye... A, skórka na buty, mości rotmistrzu, oszukałeś mię... dasz za to dwadzieścia baranów.

Ruszcyc (*n. s.*). Dam trzydzieści i zapraszam cię na wesela, tylko sza! Co było a nie jest, nie pisze się w rejestr...

Br. Gaudenty (*uderzając go w rękę, n. s.*). Zgoda!
(*Baronowa tymczasem podniosła głowę, jakby przychodząc do siebie, zaczyna otwierać oczy. Basia podeszła w głąb ku jednemu wyjściu z namiotu i patrzyła chwilę za scenę.*)

Basia. Boże drogi! co tu ludzi idzie! mężczyźni, kobiety, dzieci, wszyscy weseli i szczęśliwi!

Ruszcyc (*zbliżając się do niej*). To biedni Wiedeńczycy, radzi, że się wydostali z pułapki.

SCENA 10.

Ciż sami. Gretchen i Zopfbeutel.

Gretchen. Ach, panie rotmistrzu! ciebie tu znów pierwszego spotykam. Ileż modłów wysłałam niebu za twą pomysłność! Co za szczęście! Ty żyjesz i Wiedeń wolny. Wszystko co żyje, wyszło zobaczyć zwycięzców i błogosławić wam. (*Ze znaczeniem*). Ach, i dla mnie... i dla nas przyszły teraz chwile w cichości serca dawno upragnione.

Baronowa (ktorej Gretchen dotąd nie widziała, podniósłszy się z objąć *La Fleure*, przyskakuje do niej nagle). Co gadasz, nierozsądna!

Gretchen. Ach, to ciocia!

Zopfbeutel (z wielkiem zgorzzeniem). Pani baronowa, pani baronowa w ubiorze markietanki!

Baronowa (z dumą). Nie masz się pan konsyliarz czemu dziwić. Z miłości ojczyzny i poświęcenia dla rodaków to uczyniłam. Nie chciałam siedzieć w Wiedniu beczynninie jak wy.—(Zopfbeutel kłania się jakby mówił: *przepraszam, to tak!*)

Baronowa (ciszej do Gretchen). Wiesz? ta dziewczyna... (pokazując spojrzeniem) to jego narzeczona... Jakaś tam!... winszuję, wy dostał ją z niewoli od Turków!

Gretchen (spoglądając na Ruszczycę z wyrzutem, n. s.). Ach! niewdzięczny!

Baronowa (d. s.). Ale ja się zemszczę! (Gł.) Panie konsyliarzu nadworny, dopóki ojczyzna była w nieszczęściu, nakazywałam milczenie memu sercu. Dziś, w tym dniu uroczystym zwycięstwa i wybawienia, oddaję ci jako najpiękniejszy upominek, moją rękę i siebie całą! (Podaje mu rękę, którą Zopfbeutel z gorącym westchnieniem całuje).

SCENA OSTATNIA.

Ciż sami. (Wchodzi) Król, z nim Księżęta i Starszyna, a dalej królewscy Janczarowie i Hussarze.

Król (wchodząc). Wpuścić, wpuścić tu wszystkich, mnie się wydaje, jakoby oni wszyscy mojami dziećmi byli. (Kotary namiotu na wszystkie strony się rozwierają, tak, że widać w głębi okolice. Aktorowie z poprzedniej sceny wychodzą na proscenium. Król zatrzymuje się we środku. Starszyna w pewnem oddaleniu od niego po obu bokach, za nimi w dalszych szeregach Janczarowie i Hussarze. — Wchodzą: Stahremberg, Capliers i inni dygnitarze wie-

deńscy, Blaufusz, Mieszczanie wiedeńscy: kobiety, mężczyźni i dzieci. Wiedeńczycy idą środkiem, Stahremberg na czele i zatrzymawszy się przed Królem, kłękają).

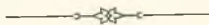
Stahremberg. Oswobodzony Wiedeń składa na kolanach dziękczynienie swojemu zbawcy!

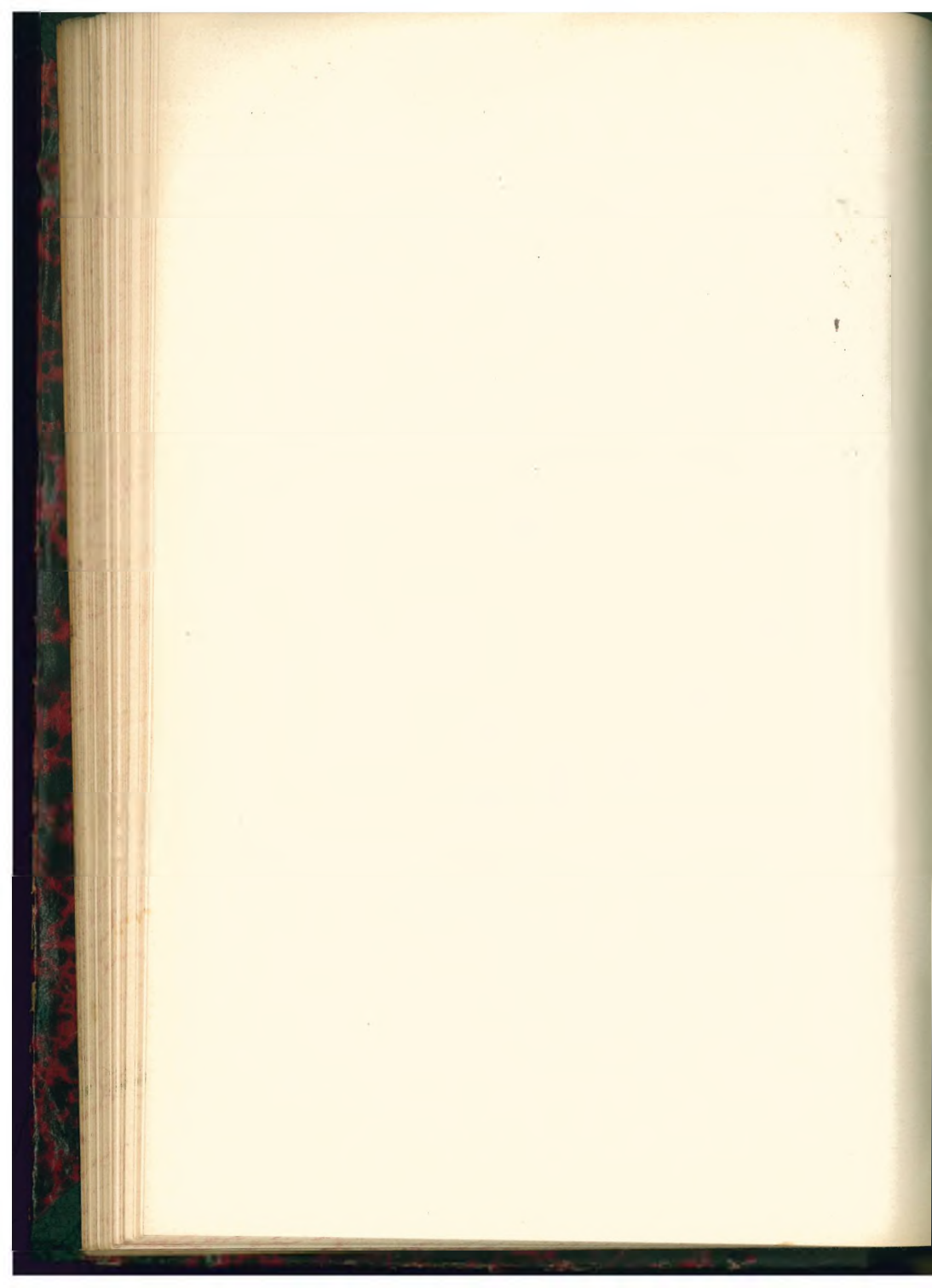
Król (*nachyla się do niego, podaje mu rękę, którą Stahremberg i inni całują*).

O. Marco (*wchodzi z krucyfiksem podniesionym w górę i staje nad kłęczącymi Wiedeńczykami, donośnym głosem*). Spełniło się, o czym Pismo święte powiedziało: Był człowiek posłany od Boga, któremu na imię było Jan!

Ks. Lotaryński (*podniesionym głosem*). Chwała tobie, królu Janie Trzeci!

Król (*wznosząc rękę w górę*). Chwała Bogu Najwyższemu i Polsce! (*Odzywają się radosne fanfary. Zastłona spada powoli*).





U KOLEBKI NARODU.

DRAMAT Z DZIEJÓW MITYCZNYCH W 5 AKTACH.

Uwieńczony drugą nagrodą na konkursie galicyjskiego Wydziału krajowego w roku 1891.



Mojemu Przyjacielowi

MIECZYŚLAWOWI PAWLIKOWSKIEMU

poświęcam.

Autar.

OSOBY:

Królowa Wanda.

Jaksa

Mszczug

Dobek

Gniewosz

Lutek

} wojewodowie.

Imram, naczelnik straży królewskiej.

Lech, brat Wandy, wygnany król.

Waron, jego sługa.

Swatawa, żona wojewody Mszczuga.

Żona wojewody Dobka.

Rytygier, ksiązę niemiecki.

Olaf, jego brat.

Gunter

Hilderych

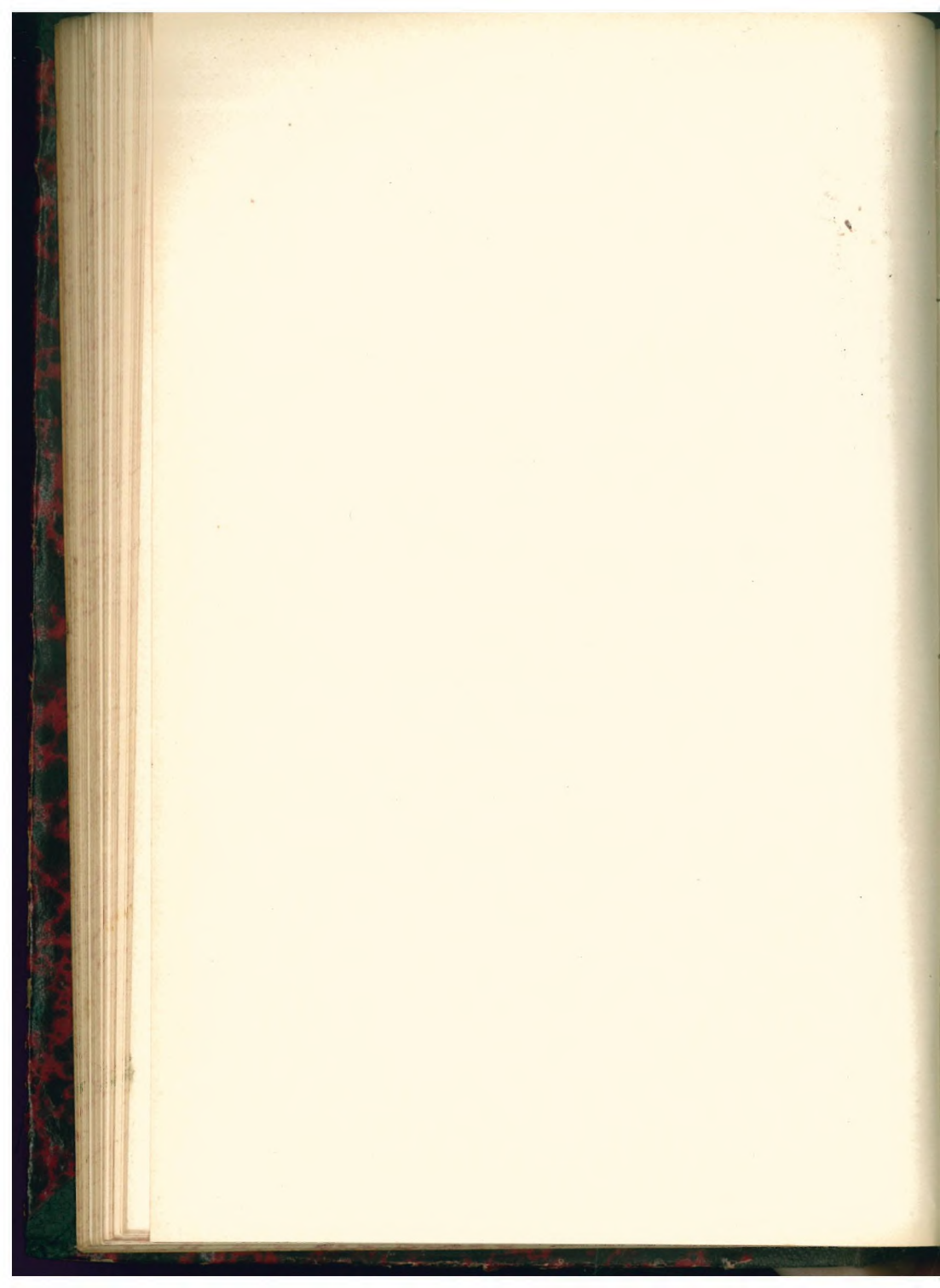
} wodzowie niemieccy.

Kilku wojewodów. Kilku wódzów niemieckich. Kobiety z orszaku królowej. Herold. Żołnierze polscy i niemieccy.

Dworzanie królowej. Lud.

Rzecz dzieje się w Krakowie i w poblizkiej okolicy.





U KOLEBKI NARODU.

AKT PIERWSZY.

Plac publiczny. W dalszej głębi widać mury miejskie; bliżej kilka wielkich drzew, w środku których wznosi się ołtarz.

SCENA 1.

Za podniesieniem zasłony słyszać za sceną trąbienie na rogu. W tejże chwili wchodzi: Jaksa, Gniewosz, Lutek i Dobek (później) Żołnierz.

Jaksa. Hej, co tam znowu?... To róg jakiś obcy...
Słyszycie?... prawda?...

Dobek. I mnie tak się zdaje.

Jaksa. Skądżeby do nas zagraniczni ludzie?

Żołnierz (*wchodzi z drugiej strony*).

Orszak rycerzy zajechał przed bramę

I żąda, by go przepuścić do miasta.

Wojewodowie, czy mam to uczynić?

Jaksa. Co to za jedni?

Żołnierz. Niemcy.

Jaksa. Niemcy, mówisz?...

Gdyby to inni, rzekłbym bez wahania:

Puść ich. O Niemcach nie chcę sam stanować.
Idź do królowej spytać o jej wolę.

(*Żołnierz odchodzi*).

Ha, Niemcy przyszli! Cóż tu ich sprowadza?
Bodaj nie była zaszła tu ich noga.

Gniewosz. Dlaczego, Jakso? Po cokolwiek przyszli,
Nam z ich przybycia nic złego nie grozi;
Nie mamy z nimi do krwawych rozterek
Żadnej przyczyny.

Jaksa. Nie, nie, to źle bardzo —
Nie mi nie mówcie!

Lutek (*do Gniewosza*). Darmo mu tłumaczysz,
Jaksa do Niemców ma wstręt przyrodzony,
I niech się tylko Niemcem kto nazywa,
Budzi w nim zgrozę, jak żmija, padalec
Albo jak upiór.

Jaksa. Niech wasz młody rozum
Mego starego nie uczy napróżno —
Wiem ja co Niemcy! Spójrzycie za Odre,
Patrzenie za Łabę, ilu naszych braci
Padło ofiarą ich gwałtu i fałszu!
Mówicie, że nam nie przynoszą wojny —
To wszystko jedno; Niemiec równo straszny,
Czy miecz ma w ręku, czy przyjaźń na ustach.
Jeśli się zbliża z słodkimi wyrazy,
To nie wąż o tem, że zdradę ma w sercu,
I na to dybie, jakby ciebie podejść,
Wypędzić ciebie z własnej twojej chaty,
I w niewolnika swojego zamienić.
Niechaj bogowie złe od nas oddalą!
W błogim spokoju tak nam było dobrze
Pod rządem młodej i dzielnej królowej.

Dobek. Jaksa ma słusność, niech nas bogi strzegą!
Lecz patrzcie, oto i Niemcy nadchodzą.
Widać się dla nich na rozkaz królowej
Otwarıły bramy.

SCENA 2.

Jaksa, Gniewosz, Lutek, Dobek (wchodzą) Olaf, Gunter i Orszak poselski, w którym znajduje się Waron. Przed nimi idzie Żołnierz.

Olaf *(do Wojewodów, zatrzymując się ze swym orszakiem w pewnej odległości).*

Witam was, rycerze,
I naprzód mówię, żeby z waszej duszy
Odsunąć wszelką nieprzyjaźń i niechęć,
Ze przychodzimy jak dobrzy sąsiedzi,
Niesiemy w ręku gałązkę oliwną,
Albo co trwalszym jeszcze znakiem zgody,
Mirtowy wieniec. Mówiąc jednym słowem,
Brat mój Rytgier śle nas tu w poselstwie
O rękę waszej nadobnej królowej,
O której wieść go z dalekich stron doszła,
Tysiące pochwał głosząca o cnotach,
O jej urodzie niezwyklej na ziemi.
Takie życzenia pośpieszamy teraz
Złożyć przed waszą panią i królową.

Gunter. Cześć wam rycerze, cześć waszej królowej!
(Olaf, jego Orszak i Żołnierz odchodzą).

Jaksa. O, wielkie bogi!... A co?... słyszeliście?...
Przecucie moje nie było daremne,
Z tymi Niemcami przyszło i nieszczęście
Do nas w gościnę...

Gniewosz. Nie pojmuję, Jakso;
Ja tylko widzę, na naszą pociechę,
Że ich tu miłość przywiodła, nie wojna.

Dobek. Po wierzchu patrzysz! Jaksa się nie myli,
Z tej sprawy zgubne mogą wypaść skutki.

SCENA 3.

*Jaksa, Gniewosz, Dobek, Lutek (wchodzą) Mszczug i kilku
Wojewodów.*

Mszczug. Już znacie, widzę, najświeższą nowinę.
Cóż?... przepowiednie się moje ziszczają.
O nasze zdanie nawet nie pytając,
Królowa myśli narzucić nam pana.

Jaksa. Co mówisz, Mszczugu?...

Mszczug. Wszak już przyszły swaty
Jakiegoś księcia niemieckiego...

Jaksa. Przyszły —
Ale cóż z tego? — jak przyszły, tak pójdą.

Mszczug. Mnie się nie zdaje. To rzecz ułożona
Naprzód i dawno. Gdzie jest młoda panna,
Tam musi także być i oblubieniec.
Tak się zwyczajnie dzieje na tym świecie.

Lutek. Miałoby tak być?...

Jaksa. Wierzycie Mszczugowi?..
Toć wiecie, że on nigdy przyjacielem
Nie był królowej.

Mszczug. Nie zapieram tego.
Bo pierwszą u mnie jest miłość wolności
I miłość kraju, ponad wszystkie względy
I łaski królów. Jeszcze raz powtarzam:
Na naszą wolność gotuje się spisek.

Jaksa. Milczałbyś, Mszczugu! Jak można posądzać
O tak niegodne zamiary królową!
Onaby miała oddać państwo Niemcom?..
Cóż to?... jeśliby chciała zawrzeć śluby,
Mało jest u nas młodzieńców rycerskich,
Dorodnych, dzielnych!... Lecz któż u niej kiedy
Podobnych chęci choć cienia dopatrzył?

Mszczug. Wolno wam wierzyć, a mnie wątpić wolno —
Przyszłość rozstrzygnie. Ten cały ród Kraka
Czyż nie był dla nas zgubny i nieszczęsny?

Stary, był tyran, co nas wojewodów
I wolność zdławił; jeden syn: niezdara
I niedołęga, a drugi: morderca,
Co się poplamił krwią własnego brata,
By mu tron wydrzeć. Ledwieśmy zdołali
Jego się pozbyć i wygnać precz z kraju,
Aż znowu bogi na nasze skaranie
Krakową córkę dały nam za króla,
Chyba by zgubić nasz naród do szczętu.

Jaksa. Cobądź masz w sercu, pomnij, że nie wolno
Ubliżać pani na tron wyniesionej
Wolnym wyborem całego narodu.

Mszczug. Ja tam nie dałem na nią mego głosu,
Jak wielu innych dbałych o swą godność,
O nasze dawne w ojczyźnie znaczenie.
Nędzny gmin tylko, wyrzutki narodu,
Z zazdrości ku nam i ku naszej władzy,
W nadziei losu własnego poprawy,
Na tron wyniosły Krakową dziedziczkę.
A może da się widzieć to niedługo,
Jak na tem wyjdą i oni i z nimi
My także.

Dobek. Dosyć, dosyć tego, Mszczugu!
Zamiast się w próżne zapuszczać domysły,
Pójdźmy na zamek, a tam się dowiemy,
Jak rozstrzygnęła królowa tę sprawę.

Mszczug. Pójdźmy na zamek — tak, tam iść potrzeba!
(Wojewodowie zamierzają się do wyjścia, wtem Olaf i jego Orszak wchodzą pośpiesznie. Na ich widok Wojewodowie zatrzymują się).

SCENA 4.

Wojewodowie. Olaf i jego Orszak (później) Imram.

Olaf *(wchodzi od strony zamku).*

Ha, pożałujesz, ty dumna królowo,
Swojego czynu!... Odmówić, to znaczy

Pogardzić nami! Ciężka to obraza
Dla mego brata, i w jego osobie
Cały niemiecki naród znieważony!

Imram (*wchodzi od strony zamku*).

Książę, królowa śle mię tu za wami,
Byście na chwilę wstrzymali swój odjazd.
Po co?

Olaf.

Imram. Królowa zdąża tutaj za mną,
I sama powie.

SCENA 5.

*Wojewodowie. Olaf i jego Orszak. Imram (wchodzi) Wanda
w towarzystwie kilku Kobiet dworskich, między którymi
Swatawa.*

Wanda. Cieszy mnie to, książę,
Że uprzedziłam wasz odjazd...

Olaf. Cóż chcecie?

Wanda. Tak prędko i tak mocno rozdrażniony
Dom mój rzuciłeś, że nie miałam czasu
Złagodzić żalu, który w twojej duszy
Mógłby zarodem stać się niebezpiecznych
Dla obu ludów niesnasek i waśni.
I również toby bolało mnie bardzo,
Gdybyś stąd odszedł z tem błędnem mniemaniem,
Że bratu twemu chciałam by najmniejszą
Uczynić ujmę, w czemkolwiek ubliżyć.

Olaf. I któryż człowiek godniejszy od niego,
By mu los sprzyjał, by mu świat oddawał
Wszystko, co tylko pragnienie w nim wzbudzi?
Męstwo, uroda, wspaniałość umysłu,
Ród od pradziadów szlachetny i dzielny,
I serce zdolne do tkliwych uniesień —
Wszystko u niego w jednej jest osobie,
Jakby natura chciała była stworzyć
W jednym człowieku wzór doskonałości!...
Więc wytłómaczyć nie zdołasz odmowy!

- Wanda.** Rytygierowi odmówiłam ręki
Dla tej przyczyny, że postanowienie
Mam nieodmienne nikomu jej nie dać —
Więc nie dla niego czynię ten wyjątek.
- Olaf.** Trudno w to wierzyć. Kobieta tak młoda,
Opływająca w wszystkie dary niebios,
Pięknością, stopniem zrównana boginiom,
Czyliżby mogła sama się pozbawiać
Z ziemskiego szczęścia najwyższej rozkoszy?
- Wanda.** Ja inne szczęście obrałam dla siebie,
Kiedym na głowę włożyła koronę,
Gdy mi nad sobą naród moc powierzył,
Jak gdybym mężem nie kobietą była.
Chcę tu być królem, choć jestem niewiastą,
Całą mą duszę, całe moje serce
Oddać ludowi, z nikim ich nie dzielić —
Chcę wiernie spełnić cały obowiązek,
A w zamian kiedyś doczekać się tego,
Że będę twórcą, gdy bogi dozwolą,
Szczęścia i chwały mojego narodu —
Powiedz, czy wyższe znasz od tego szczęście?
- Olaf.** Musiałbym sądzić, że łudzisz się sama,
Gdybym nie wiedział, że mnie chcesz oszukać.
Bo mimo fałszu zręcznie odzianego
Wyrażeniami brzmiącemi tak szczytnie,
Widzę to dobrze, że twego oporu
I twej niechęci inna jest przyczyna.
- Wanda.** Nie żadna inna.
- Olaf.** Zaćmiewać mi oczy
Nie sil się darmo. Wiemy o tem dobrze,
Jak w waszych sercach ku niemieckim ludom
Zakorzeniona głęboko nienawiść —
I ty tem samem rządysz się uczuciem —
Gdyby Rytygier nie był Niemcem z rodu,
Nie odrzuciłabyś jego przyjaźni.
- Wanda.** Prawdę powiadasz...
- Olaf.** Więc czemu przeczyłaś!

- Wanda.** Tak jest, przyznaję. Gdyby żaden inny
Nie istniał powód, ten jedenby zdołał
Przechylić szalę moich postanowień.
Wszak ty sam, książę, słuszość mu przyznałeś.
Pomiędzy nami przepaść niezgłębiona
Krwi wylewanej w walkach całych wieków;
Miłość nie może naszych serc połączyć,
Bo je rozdziela nienawiść śmiertelna;
Tam, gdzie się spotka człek z waszego rodu
Z naszym człowiekiem, tam rodzi się walka,
Zagłada, zemsta, śmierć — lecz nigdy miłość!
Jesteśmy sobie wrogami, jak ogień
Jest wrogiem wody, jak noc jest dnia wrogiem!...
Gdybym oddała rękę twemu bratu,
Popęłniłabym czyn haniebnej zdrady
Na mym narodzie, skuła go w kajdany
Mym ślubnym wieńcem, jakich nie zdołacie
Waszem żelazem nigdy mu nałożyć...
Więc czegoż żądasz?... bo możesz być pewien,
Że mię ustrzegą bogowie ojczyści
Od tej szalonej i występnej myśli!
- Jaksa.** Słowa królowej jakby wydobyte
Z głębi serc naszych. Zamiar twego brata,
Jeśli był prawy, to nie był rozsądny,
Bo można mieczem pod jarzmo uchylić,
Lecz dobrowolnie nikt karku nie ugnie.
- Mszczug.** Kraj nasz, to prawda, nie ma teraz pana,
Stało się u nas, co nie bywa w świecie,
Lecz nie w tym celu, ażeby z królową
Razem i państwo oddać wam za wiano.
- Dobek.** Obcego władcy nie chcemy nad sobą;
Krakowej córce przez pamięć rodzica
Tron oddaliśmy, więc ona niech rządzi!
- Kilku.** Tak, cudzoziemca nie chcemy, nie chcemy!
- Olaf.** Niech na was hańba i przekleństwo spadnie!
O, nierozsądny mój brat, który myślał,
Że można wskórać z tym butnym narodem,
Do uległości nie zmusiwszy siłą.

Precz zatem z larwą przyjaźni i zgody,
I na nas kolej prawdziwą twarz odkryć.
Gdy nie umiecie cenić dobrych chęci,
Z jakimi do was dłoń wyciągaliśmy,
Miecz i pożoga wróca wam rozsądek.
Nie po to tutaj przyszliśmy, by żebrać
O rękę waszej królowej, lecz po to,
By waszą ziemię zająć na swą własność.
Gdzie niema męża, gdzie państwo bez króla,
Tam zdobycz czeka gotowa odważnych,
Tam łup, po który dosyć ręką sięgnąć —
I na tem prawie uczynimy podbój!

Wanda (*d. s.*). Bogi, co słyszę!...

Jaksa. Co?... grożą nam wojną!...

Dobek. Czego chcą od nas ci zuchwali ludzie!

Mszczug. Z jednego złego wpadniem teraz w drugie!

Olaf. Cóż?... język mężów wstrząsnął waszem sercem!

Wanda. Grozisz nam wojną — niechaj będzie wojna!

Nie tak jest słabą moja dłoń niewieścia,

Aby nie chwycić za żelazny oręż.

Wy się nie łudźcie zbyt łatwym zwycięstwem;

Chociaż kobieta, w piersi mojej czuję

Odważne serce — w mych żyłach nie darmo

Płyne krew Kraka... Jeżeli włożyła

Na moją głowę królewską koronę,

Wiedziałam naprzód, że może czas nadejść,

Kiedy jej bronić będzie mi potrzeba!...

Przyjdźcie, gdy chcecie — zobaczymy wtedy,

Czy to tak łatwo ten łup będzie zdobyć!

Olaf. Jako niewiasta dzielną jesteś w słowach,

Lecz wkrótce czyny pychę twą ukarzą.

Jaksa. Chcieliście wojny, będziecie ją mieli;

My, chwalić bogów, znamy się na mieczu —

Lecz dosyć gróźb tych i butnych wyrazów,

Nie pozwolimy obrażać swej pani!

Olaf. Żegnaj, królowo! — śmiertelnego wroga

Masz od dziś we mnie; zadać mi ranę

W najczulszem miejscu serca: znieważyłas

Mojego brata a z nim i mój naród.
Zemsta ci za to, pókim żyw na ziemi!

(Uderza ręką o miecz, toż samo czynią inni Rycerze z jego orszaku, powtarzając:)

Wojna wam, zemsta!... wojna wam i zemsta!
(Olaf i jego Orszak wychodzą).

SCENA 3.

Ciąż sami prócz Olafa i innych Niemców.

Wanda Poszedł... zażegnać nie zdołałam burzy...
O wielkie bogi, dodajcie mi męstwa,
To krwawe widmo przyszłości mnie trwoży...
(Zwiesza głowę na piersi).

Swatawa *(zbliża się do niej).*

Pani, ty jesteś blada, słaba...

Wanda *(podnosząc głowę).* O słabości
Kto tutaj mówi? Niewieścich rąk pomoc
Nie dla mnie, odejdz.

(Swatawa usuwa się dalej).

Jakso, pójdziesz ze mną,

W ciszy komnaty mojej muszę zebrać
Rozpierzchłe myśli, i w twem doświadczeniu
Poszukać wsparcia dla mej młodej głowy. —
Wojewodowie, za chwilę dam znać wam,
Co chcę i jakie me postanowienie.

Mzczug. Rozkazy twoje znajdą nas w mym domu,
Dokąd zabieram z sobą wojewodów.

*(Królowa wychodzi z Jakszą, za nimi Imram i Orszak
kobiety prócz Swatawy, która zostaje i występuje nieco
naprzód sceny).*

Swatawa *(patrząc za Wandą).*

Wreszcie bogowie prób mych wystuchali,
I na twą głowę zesłali nieszczęście —
Bodajesz padła pod jego ciężarem!

(Zbliża się do Mszczuga).

- Mszczugu, czy widzisz, jak moje oblicze
Radością pała — i ty cieszyć się dzisiaj!
Mszczug. Sza, żono! głośno się o tem nie gada.
(d. s.) Kochanka Lecha, a nie żona Mszczuga,
Mówi przez ciebie. Lecz mogę przez palce
Na grzech twój patrzeć, póki nieszkodliwy,
A ciebie robi moim sprzymierzeńcem.
Gniewosz. Cóż powiesz, Mszczugu, na to, co się stało?
Mszczug. Ha, źle się stało! Mamy tedy wojnę —
A skąd i na co?... Ja tylko powiadam:
Gorzkie owoce są niewieścich rządów.
Lutek. Prawda, oj prawda, klęska na nas spadła!
Dobek. Cóż robic? Niemcom się bronić musimy,
Gdy zaczepiają. To łakome plemię
Bez końca pragnie krwi ludzkiej i łupu.
Gniewosz. Żegnaj nam błogi spokoju! DobYTEK
Krew, mienie — wszystko oddać będzie trzeba!
Mszczug. Zawczas narzekać jeszcze! Pójdźmy lepiej
Przy szklance miodu zapomnieć o biedach;
Niech tam królowa z mądrym starym Jaksą,
Jak wyjść z kłopotu, łamią sobie głowę.
Proszę, panowie, uprzejmie zapraszam,
Nie pogardzajcie moją niską strzechą.
A ty, Swatawo?
Swatawa. Ja nie pójdę z wami —
Bawić się miodem lepiej wam bez niewiast.
(*Mszczug i inni Wojewodowie wychodzą.*)

SCENA 7.

Swatawa (później) Waron.

- Swatawa.** Czy mi zdawało się, że jeden z Niemców
Dawał mi znaki i tak się wpatrywał,
Jakby chciał mówić ze mną potajemnie...
(*Waron wchodzi prędko na scenę, oglądając się dokoła.*)
Swatawa. Ha, to on!... Czego chcesz, skąd się tu wzięłeś
Tak niespodzianie?...

- Waron.** Cicho, cicho, pani!
Czekałem ciebie za temi drzewami —
Wszak tyś Swatawa?
- Swatawa.** Tak, lecz czego żądasz?...
- Waron.** W orszaku posłów z Niemiec tu przybyłem —
A ty wiesz, kto się w tym kraju ukrywa...
- Swatawa.** Więc byłbyś?... Prędko mów, kto cię przysła!
- Waron.** Lech, król niedawno, a dzisiaj wygnaniec.
- Swatawa.** Lech, Lech mój drogi!... Niech mu będą dzięki,
Że nie zapomniał mnie!... Mów, mów co kazał...
- Waron.** Nie mam dość czasu, by powiedzieć wszystko.
Kocha cię zawsze i tęskni za tobą
I za ojczyzną, trawiony boleścią
Nad swym upadkiem...
- Swatawa.** Przekłęta królowo,
Tyś to jest winna wszystkich cierpień brata!
- Waron.** To pół pierścienia kazał oddać tobie —
Wiesz, co to znaczy... (*Podaje jej*).
- Swatawa.** Pół pierścienia... Bogi!
To znak, że wraca tutaj!... Czyż to prawda?...
- Waron.** Tak, nieinaczej — Lech taki ma zamiar.
Gdy się dowiedział, że księżę Rytygier
Wysłał posłów o rękę królowy,
Zrozumiał dobrze, iż to wydarzenie
Obudzi w kraju niechęć przeciw Wandzie,
Gdy naród ujrzy, że albo go czeka
Obcego pana jarzmo, lub co teraz
Już się spełniło, wojna z tej przyczyny.
Wtedy nie wątpić, otworzą się oczy
Tym, którzy teraz jemu są przeciwni,
I przyjdzie rozum, jak źle postąpili,
Gdy na tron Lecha powołali Wandę.
- Swatawa.** O, niech powraca, znajdzie tu serc wiele,
Które pałają do niej nienawiścią.
- Waron.** Bądź więc gotowa na jego przybycie,
Dla jego sprawy zjednywaj umysły,
I liczbę jego stronników pomnażaj.

A teraz żegnaj; nie pragnąłbym zwrócić
Czyjej uwagi i czas mi do swoich.

Swatawa. Powiedz Lechowi, że duszą i ciałem
Jemum oddana... że niema godziny,
W którejbym o nim nie myślała... powiedz,
Że Kocham Lecha...

Waron. Będzie wiedział o tem. (*Wychodzi*).

SCENA 8.

Swatawa (później) Wanda, Jaksza i Imram.

Swatawa (*biegnie do ołtarza w głębi i pada na kolana*).

Błogosławieni bądźcie mi, bogowie,
Za radość, którą daliście mej duszy,
Słowo nadziei śląc mi od kochanka,
I za tę drugą nie mniej słodką radość,
Żem mego wroga w ucisku ujrzała!

(*Wanda pokazuje się z daleka z Jakszą i Imramem*).

To ona znowu.. Próżno się zapiera,
Troska i trwoga złamały jej duszę,
I z czoła starły jasny promień szczęścia...
O cierp, cierp, jako mnie kazałaś cierpieć!
Przez ciebie tylko Lech utracił berło,
I gdyby nie ty, coś na tę spuściznę
Po nim czyhała, nie byłby wygnańcem,
I jabym krwawo nie płakała po nim.
Dla mnie odwetu teraz przysła chwila,
I twem nieszczęściem chcę napaść me oczy.

(*Usiada u stóp ołtarza*).

*Wanda, Jaksza i postępujący za nimi Imram zbliżają się
na przód sceny.*

Jaksza. Panuj nad sobą! W przykrem pomieszczeniu
Wojewodowie tutaj cię widzieli,
Niechaj zobaczą, że nie tracisz serca,
Że jesteś silna i pełna otuchy.

Wanda. Dobrze mi mówisz — to mój obowiązek. —
Imramie, wezwij tutaj wojewodów.

(*Imram wychodzi*).

Ach, straszna boleść przeszywa mą duszę —
Jam jest, niestety, przyczyną tej wojny!

Jaksa. Przywidzeniami dręczysz się niesłusznie;
To chciwość Niemców szukała pozoru.

Wanda. Ciężka ma dola! Brzemie nad me siły
Wzięłam na siebie z królewską koroną.

Jaksa. Prawda, to było wielkie poświęcenie,
Któreś zrobiła z siebie dla narodu,
Gdy mu nie stało drogiej krwi królewskiej,
Gdy syny Kraka tak nędznie skończyli,
Jeden przez obcą, drugi przez swą zbrodnię.

Wanda. Przyjęłam wtedy tę krwawą koronę,
Aby ją z plamy występków oczyścić.
Chciałam zagładzić w pamięci narodu
Zło uczynione przez dwóch poprzedników;
Chciałam, by cienie mojego rodzica
Przez ich nikczemność nie były zaćmione,
By jego sława, wielkość i zasługi,
Na wstyd zazdrości i zawiści ludzkiej,
Co się upadłej urąga wielkości,
Odżyły we mnie chociaż w małej części.
Dla tego celu wszystko poświęciłam,
Usiłowałam być więcej niż sobą,
Chciałam kobietę w sobie zmienić w męża,
Pokonywałam wszystkie te uczucia,
Co są ozdobą mej płci i słabością,
Naprzód wyparłam się szczęścia kochanki,
Tkliwości żony... Wszystko to zrobiłam,
By naród nie czuł, że mu braknie męża...
Może to nazbyt dumne były chęci,
Szlęństwem może były me zamiary,
Bo przeznaczenie, jak gdyby za karę,
Mnie, com dobrego chciała być sprawczynią,
Robi najpierwszem nieszczęścia narzędziem.

SCENA 9.

*Wanda. Jaksza (wchodzą) Imram, za nim Mszczug i inni
Wojewodowie. Swatawa w głębi przy ołtarzu.*

Imram. Wojewodowie stają na wezwanie. (*Odchodzi nieco
w głąb*).

Mszczug. Przyszliśmy słuchać, co nam każesz, pani.

Wanda. Co ja wam każę?... to co każdy prawy
Syn tej ojczyzny pomyślał niechybnie
Na wieść, że sroga zagraża nam wojna.

Mszczug. Cóż mianowicie?

Wanda. Nie czekać na wrogów,
Ale ich w zgubnem uprzędzić działaniu,
Rozstrzygnąć walkę na granicach państwa,
Tam stawić opór, nim oni zdołają
Mieczem dosięgnąć do serca ojczyzny.
Niech tam zdaleka, zbrojne nasze szyki
Twardą się tamą położą, na której
Pryśnie ta fala, co potopem grozi.

Dobek. Tak, czyn odważny może nas ocalić!

Wanda. Ty, Mszczugu, pierwszy w liczbie wojewodów
Jesteś urzędem, dlatego na ciebie
Spada ten zaszczyt i ten obowiązek,
Abyś u steru stanął przedsięwzięcia.

Mszczug. Twojej się woli poddaję, królowo.

Wanda. Co prędzej podąż na granicę kraju,
Obsadz tam grody, porozstawiaj wojska,
Umocnij wszystkie niebezpieczne miejsca,
I zatarasuj wszystkie wewnątrz drogi;
Słowem zrób wszystko, co zdolne powstrzymać
Niespodziewany zwłaszcza najazd wrogów.

Mszczug. Wiernie wypełnię twoje polecenia.

Wanda. Gdy to wykonasz, wrócisz tu niezwłocznie,
I zdasz mi sprawę, co i jak zrobiłeś,
Bym pewną była bezpieczeństwa kraju.

Mszczug. Dobrze, królowo.

Wanda. By zaś do spełnienia
Tych postanowień dostateczne siły

Mszczug pod swoimi mógł znaleźć znakami,
Wojewodowie, wam znowu polecam,
Aby mu każdy co najlepszych ludzi
Ze swoich pułków oddał pod rozkazy.

Dobek. Wszystkich żołnierzy mych mu przyprowadzę.

Jaksa. Ja także; teraz w nim nasze zbawienie.

Wanda. Zamysły moje i wolę już znacie ;
Reszta zależy od dobroci bogów
I od chętnego waszego działania.
Ciężkich wymagam od was ofiar... wiem to,
I tylko miłość wspólnej nam ojczyzny
Może choć w części umniejszyć ten ciężar,
Który na wasze barki dłoń ma wkłada.
Dajcie mi ręce swe — niechaj ich uścisk
Będzie mi znakiem, że nie macie żalu
Do swej królowy... (*Ściskając wojewodów za ręce*)
Tak, jeden po drugim,

Wszyscy podajcie ręce... wszyscy... wszyscy!...

Jaksa. Dobrocią twoją zawstydzasz nas, pani.

Dobek (*dobrywając miecza*).

Krew swą za ciebie oddamy z ochotą!

Inni wojewodowie (*czyniąc to samo*).

Tak, krew oddamy, krew za swą królową!

Wanda. Dzięki wam dzięki! I wy bądźcie pewni,
Że niema w świecie tak wielkiej ofiary,
Którejbym złożyć ze siebie nie chciała
Dla dobra ludu mego i ojczyzny. —
Niech was bogowie mają w swej opiece,
Idźcie i broncie naszej słusznej sprawy!

(*Wanda i Jaksa wychodzą; za nimi postępuje Imram.
Swatawa odchodzi prędko od ołtarza i zbliża się do Wo-
jewodów*).

SCENA 10.

Mszczug, i inni Wojewodowie, Swatawa, Imram.

Swatawa. Więc wojna, wojna!... Dalej! matki, żony
Ślijcie swych synów, ślijcie mężów lubych

Na śmierć i rany!... tak wam rozkazano!

Co tam obchodzi wasz jęk i łzy wasze
Tego, co siedząc za bezpiecznym murem,
Swej dumie pragnie zadosyć uczynić...

Imram (*usłyszawszy pierwsze słowa Swatawy, wstrzymuje się w głębi z ciekawością a później z oburzeniem — zbliżając się prędko*).

Milcz, nieszczęśliwa!... niech ona nie słyszy!...

Swatawa. Czemu mam milczeć i łłumić głos prawdy?...
Czyliż nie ona ściągnęła tę wojnę?...

Imram. Rozkaż jej, Mszczugu, niech milczy — inaczej
Będiesz współnikiem jej niegodziwości...

Mszczug. Milczże, kobieto! — bredzisz jak w gorączce.

Kłeska ojczyzny zraniła ci serce,
Lecz to nie powód krzyczeć jak szalona.

Teraz gdy chodzi o kraj, o nas wszystkich,

Nie czas rozbierać, kto winien, chociażby

W istocie słuszność była po twojej stronie.

Imram. Oburzać musi tak czarna niewdzięczność —

Wstydzcie się! wstydz się, Swatawo, wstydz,

[Mszczugu,

Was samych tylko wasza złość poniża,

Jej nie dosięgnie — ona zbyt wysoko.

Mszczug. Wszakże słyszałeś, żem przyganił żonie?

Choć i twój zapał, przechodzący miarę,

Dziwi mię bardzo... Widać serce młode

Nieobojętne na urok piękności...

Imram. Milcz, Mszczugu! wstrzymaj swój zuchwały język,

Albo, na bogi!...

Mszczug. Ho, aż tak gorąco!

No, i cóż dalej?

Imram. Nie, gniew pohamuję.

Komuż to bluźnisz? Tej co się być zdaje

Istotą inną od nas śmiertelników,

Tej, co jak bóstwo wyższą jest od ludzi

Czystością duszy, bohaterskiem męstwem.

I kłóż na tyle miałby nierozsądku,

By na to słońce chciał podnieść swe oko,

By mógł pomyśleć, że powszednie czucie
Wzbudzi w tem sercu, co swą miłość całą
Ku innym, wyższym obróciło celom?
O, żałuj, Mszczugu, swoich słów niebaczych!
Nic więcej nad to nie mam ci powiedzieć.

(Odchodzi).

SCENA 11.

Ciż oprócz Imrama.

Mszczug. Ktoby pomyślał, że jest coś na świecie,
Co ten nieczuły gład rozpalić zdoła!
Ale to jego rzecz. Dalej, do dzieła!
Wojewodowie, spieszcie mi dostawić
Swych ludzi, w drogę co prędzej wyruszam.

Gniewosz. Idziemy spełnić co nam rozkazano,
A ty pamiętaj, że całość głów naszych
Od ciebie teraz najwięcej zależy.

Mszczug. Możecie tutaj zasypiać spokojnie,
Zamknę granicę silniej niżli murem.

Lutek. Więc do widzenia.

Mszczug. Żegnajcie mi, bracia.
(Wojewodowie wychodzą).

SCENA 12.

Mszczug. Swatawa.

Swatawa. Miałbyś na prawdę myśleć to co mówisz?
Gdzie twoja godność, Mszczugu — gdzie niena-
[wiść,

Którą widziałam zawsze w twoich słowach?

Mszczug. I mój czas przyszedł! Królowa zobaczy,
Że ja coś znacę, że bez mojej woli
Nic, źle czy dobrze, nie będzie się działo!
Cóżto? czy oni lepsi są ode mnie,
Że się na naszej spanoszyli krzywdzie?
Jeszcze o Krakach ptaki nie śpiewały,

Kiedy Mszczugowie byli już panami!
Tak dobrze jabym mógł nosić koronę,
I lepszem prawem niż ten ród drapieżny,
Więc niewolnikiem i sługą nie będę,
I ty się o to nie lękaj, Swatawo!

Swatawa Dzięki ci, Mszczugu! Zważyłam niesłusznie —
Ty swej przeszłości i swemu rodowi

Nie sprzeniewierzysz się — dzięki ci za to!

(Zwracając się w stronę zamku królewskiego, podnosi pięść).

A tobie zguba i hańba, królowo,

Wszystkie nieszczęścia i wszystkie przekleństwa!

(Wychodzą).

AKT DRUGI.

Okolica pod Krakowem z dalekim widnokrzem. Po jednej stronie pagórek.

SCENA 1.

Wchodzą: Rytygier, Olaf, Gunter, Lech i kilku Żołnierzy niemieckich.

Lech. Jeżeli chcecie widzieć miasto, wejdźcie
Na ten pagórek. *(Rytygier, Olaf i Gunter wcho-
dzą na pagórek. Lech zostaje na dole).*

Rytygier. Nad brzegami Wisły
Dumnie się wznosi gród wybudowany
Rękami Kraka!... Ha, już chwila bliska,
Gdzie pana ujrzy nowego w swych murach —
Ja tam niedługo w tym grodzie zasięde,
A na tych płodnych i wesołych niwach
Moja drużyna rozłoży się kołem,

Na kark mieszkańców zwali wszelką pracę
I wszelkie trudy, a sama swobodnie,
Pijąc miód, pieśni zawodząc wojenne,
Używać będzie rozkoszy żywota.

Olaf. Kto ma miecz w ręku, ten jest panem świata,
A siła prawem jest najpierwszem z wszystkich.
(Schodzą z pagórka).

Olaf. Kiedy zrobimy napad?
Rytygier. Dziś potrzeba
Dać wypoczynek znużonemu wojsku,
Z wielkim pośpiechem zdążaliśmy tutaj,
Lecz jutro skoro świt zagrają rogi
I uderzymy na miasto.

Olaf. Więc dobrze,
Na jutro

Gunter. Lepiej byłoby poczekać,
Ażby nadciągnęła reszta naszych drużyn,
Które o kilka dni wyprzedziliśmy.

Rytygier. Z temi siłami, które są pod ręką,
Damy im radę, gdy nam wszystko dotąd
Tak dobrze sprzyja. Nie potrzeba zwlekać;
Świędzą mię dłonie do gołego miecza,
I niewstrzymana ciekawość mię pali,
Co prędzej ujrzeć tej ziemi królową
I na me własne przekonać się oczy,
Czy szczerą prawdą są te wszystkie cuda
O jej osobie i wdziękach głoszone.

Olaf. Zobaczysz więcej niż opisać można,
Równie jest piękną, jak jest niegodziwą.

Gunter. Razem z Olafem i ja ją widziałem
Temi oczami, które się dość różnym
Pięknym niewiastom napatrzyły w świecie.
Lecz klnę się cześcią, że takiej jak ona,
Coby łączyła z powabem dziewicy
Wspaniałość bogiń, nie spotkałem w życiu.

Rytygier. Wieczna to szkoda, że ręki królowy
Po dobrej woli nie mogłem uzyskać --
Gwałt nie jest dobrem ogniwem miłości.

Olaf. Lepiej się stało, kiedy ją posiędziesz
Jako łup wojny. Bałbym się o ciebie,
Gdyby inaczej było. Ta kobieta,
Która do stóp swych przywiodła lud cały,
Co taki urok na niego wywarła,
Że ją uczynił, wbrew zwyczajom świata,
Swoim monarchą, umiałaby także
I z ciebie zrobić wkrótce niewolnika,
Z ciebie, co miękkie masz serce pod zbroją.
Lepiej dla ciebie i twego narodu,
Że będziesz tutaj panem.

Rytygier (*do Lecha, który stał zdaleka*).

Przystap bliżej,
Nasz przewodniku. Służyłeś nam dobrze,
Bezpiecznieś przywiódł pod samą stolicę,
Masz prawo sutej wymagać nagrody.
Co żądasz, powiedz. Czy ta kiesa złota
Wystarczy tobie? czy ci dość opłaci
Zdradę na własnych spełnioną rodakach?
Bo widać z ciebie, żeś ty z tego kraju.

Lech. Schowaj swe złoto. Gdyby tylko ono
Za moje czyny miało być nagrodą,
Nie doczekałbyś się był takich czynów!
Moje pragnienia są daleko większe...

Rytygier. Więc cóż możemy uczynić dla ciebie?

Lech. Umowa taka była między nami:

Gdy was pod Kraków przyprowadzę, wy mnie
Iść pozwolicie, dokąd ja sam zechcę.
Spełńcie umowę, tego tylko żądam.

Rytygier. Wolno ci robić, co ci się podoba. —

A teraz wróćmy do naszych obozów.

(*Rytygier, Olaf i Gunter odchodzą*).

SCENA 2.

Lech (sam).

Lech. Niegdyś z tej ziemi wyszedłem, krew bratnią
Pozostawiając na swych śladach — dzisiaj

Powracam do niej przez zdradę... Tych zbrodni
Może za wiele już?... Ale co pocznę,
Gdy z głębi piersi ciągle na mnie woła.
Jakiś głos: chwytaj za koronę, bierz ją,
Ty mieć ją musisz!... To nieugaszone
Pragnienie męki sprawia mi piekielne,
A tę nadzieję, że je kiedyś zgaszę,
Opłacam drogą — opłacam zbrodniami.
(*Słysząc gwizd za sceną*). To Waron.
(*Lech klaszcze dwa razy w ręce*).

SCENA 3.

Lech (wchodzi) Waron.

Lech. I cóż?

Waron. Prowadzę Swatawę.

Lech. Sama tu idzie?

Waron. Sama wyszła przodem,
Lecz za nią idzie Mszczug z przyjaciółmi.
Skorom Swatawie rzekł o twem przybyciu,
Zaprowadziła mię przed swego męża
I jemu wieść tę powtórzyć kazała
Wobec dwóch innych jeszcze wojewodów.

Lech. Jakże przyjęli oni tę wiadomość?

Waron. Z radością, chociaż całkiem bez zdziwienia,
Snać twych zamysłów oddawna świadomi.

Lech. Z radością, mówisz?

Waron. Tak musiałem sądzić,
Widząc, jak z oczu im trysnęły iskry.
Potem na stronę gdy ich Mszczug odwołał,
Jęli coś radzić między sobą cicho;
Swatawa, pragnąc widzieć cię co prędzej,
Pobiegła naprzód ze mną i tam czeka.

Lech. Daj znak jej. (*Waron wychodzi*).

SCENA 4.

Lech i Swatawa (wbiega prędko i rzuca się na piersi Lecha).

Swatawa. Lechu, tyś to w mych objęciach,
Ciebie przyciskam do mojego łona!...
Nie, przecież zmysłły mię nie łudzą — przecież
Ja nie w szaleństwie uczuwam to szczęście!
To tyś jest, ty sam, przy mnie, zdrów i żywy!

Lech. Swatawo droga!

Swatawa. Lecz jak tve oblicze
Strasznie zmienione!... blade, wynędzniałe —
Oczy zapadłe w dół błyszczą się ogniem
Jakby w gorączce!... O Lechu mój luby,
Ty dużo, dużo musiałeś wycierpieć!

Lech. Prawda. Na twarzy mam spisane dzieje
Mego żywota, który da się streścić
W tych dwóch wyrazach: wygnaniec i zbrodniarz.
Nędza, pogarda, trwoga, poniżenie —
To nieodstępni byli towarzysze
Mego tułactwa, a w mych piersiach było
Dwóch wrogów, którzy ciągle je szarpali:
Wyrzut sumienia i pragnienie władzy —
To wszystko żywot mój zrobiło strasznym!

Swatawa. Czemuś mi, Lechu, wtedy nie pozwolił
Iść razem z tobą!... możebym ja tobie
Niejedną gorzką osłodziła chwilę,
Niejedną troskę spędziła z twej skroni.
Wygnanie, nędza, ponoszone z tobą
Milszeby były stokroć niż to życie
Razem z człowiekiem, który mi jest wsrętny,
Który mą młodość kupił niegdyś złotem,
I nieszczęśliwą uczynił na wieki.
Czy nie wierzyłeś w moje poświęcenie?
Wszakżem ja wszystko poświęciła tobie:
Mą dobrą sławę, moją przyszłość, spokój
Mego sumienia!.. Ja byłabym poszła

- Jak pies za tobą — lecz zbyt byłeś dumny,
Aby się ze mną podzielić nieszczęściem.
- Lech.** Dość tych wyrzutów. Zapomnij przeszłości,
Gdy lepsza przyszłość może niedaleka.
- Swatawa.** Dobrze mi mówisz. Wszystko złe minęło,
Gdy znów cię widzę. To jedno nagrodi
Wszystkie katusze w ciągu lat przebyte.
Po co ich smutny obraz wywoływać
W godzinę szczęścia? Wszak po tom tu biegła,
Aby słodczy pierwszej chwili użyć,
Jak serce pragnie, bez natrętnych świadków.
- Lech.** Dobrześ zrobiła, mogłem cię uściskać.
- Swatawa.** Ja ci rzec mogę: kocham cię do grobu!
(*Słychać za sceną podwójne gwizdnięcie*).
- Lech.** Waron ostrzega nas.
- Swatawa** (*patrząc za scenę*). Tak, mąż mój idzie,
Z nim razem Lutek i Gniewosz.
- Lech.** Czyś pewna
Ich przychylności dla mnie?
- Swatawa.** Najpewniejsza!
Wspólna nienawiść jednoczy ich z tobą.

SCENA 5.

Lech, Swatawa (wchodzą) Mszczug, Lutek, Gniewosz.

- Mszczug.** A więc w istocie Lech przed nami stoi!
Potężnie musiał się zachwiać tron Wandy,
Jeśli cię, Lechu, widzę na tej ziemi.
- Lech.** Jej panowania chwile policzone,
Przyszli już tacy, którzy je wywrócą.
(*Słychać za sceną w oddaleniu głos rogów*).
Czy słyszysz?...
- Mszczug.** Rogi niemieckie!
(*Wbiega na pagórek, patrzy za scenę*).
Na bogów,
Chyba powietrzem do nas się dostali,
Ze ich najcichsza wieść nie wyprzedziła!

- Lech.** Szli dobrą drogą i mijali grody.
- Mszczug** (*d. s.*). Źle strzedz granicy, moja była sprawa,
Lecz aż tu podejść nie mogli tak łatwo —
Więc to ty, zdrajco, musiałeś ich przywieść.
(*Schodzi z pagórka.*)
- Lech.** Wojewodowie, wolny macie wybór:
Ja lub ten Niemiec, kto ma tu być królem?
Jeśli gardzicie cudzoziemskim jarzmem,
Wandę wam naprzód opuścić potrzeba,
Której rząd obcą grozi wam niewolą,
A stanąć przy mnie przeciw niej i wrogom.
- Swatawa.** Czyż wybór trudny? czyż trzeba namysłu?
Wandę jej własnym pozostawcie losom,
Brońcie ojczyzny i swych swobód dawnych!
- Mszczug.** Pod sztandar Lecha ja z ochotą staję;
Niemieckie jarzmo jak kobiece rządy
W równej są u mnie nienawiści.
- Lutek.** Z tobą
Ja także, Mszczugu.
- Gniewosz.** I ja również z wami.
- Mszczug.** Powiedz nam tylko, co czynić wypada,
Odkryj sposoby i porę działania.
- Lech.** Łatwo przewidzieć, że ludzie królowej
Będą pobici, bo są zaskoczeni
I w małej liczbie. Gdy pierwsza porażka
Przerazi Wandę i złamie jej ducha,
Resztę stronników odstręczając od niej,
Wtedy królewską rozwinę chorągiew,
I z mieczem w praw swych wystąpię obronie.
Do tej zaś chwili jakby gość nieznanym,
Z dalekich krajów, chcę znaleźć schronienie
Pod waszą strzeżą.
- Mszczug.** Znajdziesz je w mym domu.
Tam twa osoba, równie jak zamysły,
W bezpiecznej mogą skryć się tajemnicy.
- Lech** (*ściskając go za rękę*). Przyjmij me dzięki.

Mszczug. Swatawo, zaprowadź
Lecha do domu, gdym ja nieobecny,
I wszystko urządz mądrze i przebiegle,
Niech się ciekawość ludzka nie domyśli.
Kto to i w jakich z nami jest stosunkach.
Rozumiesz?

Swatawa. Spuść się na mnie, nie zawiodę.
Mszczug (*n. s.*). Nędzna! znam bodźca twojej gorliwości.
Swatawa. Pójdź, Lechu. (*Odchodząc*) Przy mnie, póki
[żyję, niema
Niebezpieczeństwa dla ciebie na świecie!
(*Odchodzi z Lechem*).

Mszczug. Głupi ten Lech jest, tak łatwo uwierzył!
My nie nowego nad sobą tyrana,
Lecz dawnej złotej pragniemy wolności.
Służymy jemu, aby zwalić Wandę,
Gdy Wanda runie, potem jego zdławim —
Wszak tak?

Gniewosz. Idziemy z tobą ręka w rękę.

SCENA 6.

*Mszczug, Gniewosz, Lutek (wchodzą pospiesznie) Dobek
i kilku innych Panów.*

Dobek. Jestże to prawda?

Mszczug. Prawda, niestety. Czy mówisz o Niemcach?...

Dobek. Uwierzyć w to trudno!
Ni jeden goniec o tem nam nie doniósł,
Ni jeden ogień na górach nie spłonął.

Mszczug (*pokazując na pagórek*).
Idźcie, zobaczcie, jak my już widzieli.

Dobek. Jak grom te wieści spadły na królową,
Wzruszona, drżąca, spieszy tu za nami
Na własne oczy zobaczyć nieszczęście.
Ha, musi poznać tę straszliwą prawdę!

SCENA 7.

Ciż (wchodzi) Wanda (za nią) Jaksa i kilku innych Panów.

Wanda. Więc tam są, tam są?...

(Szybkim krokiem wchodzi na pagórek, za nią Jaksa).

Wanda *(zobaczywszy Niemców, wznosi ręce w górę).*

O, nieszczęsna ziemi,

Nieprzyjacielską nogą stratowana!

Jaksa. Widzicie oczy, coście widzieć chciały,

A czego bodaj nie byłbym doczekał.

(Wanda i Jaksa schodzą z pagórka).

Wanda *(w wielkiem wzburzeniu zbliża się do Mszczuga).*

Ty, wojewodo, za to mi odpowiesz!

Mszczug. Co?... ja, królowo?... O co mię oskarżasz?

Pomyśl, co mówisz!... Żadnemu ze Mszczugów
Nikt nie śmiał rzucić w twarz takiej obelgi...

Wanda. Ty, tyś jest winien! Tak spełniłeś rozkaz?

Gdzie straż na kresach, gdzie opór i czujność?

Gdzie zapewnienia twe o bezpieczeństwie,

Któremiś uspił moją łatwowierność?...

Twoje to dzieło, że wróg aż tu przyszedł!

Mszczug. Coś poleciła, wykonałem święcie,

Na to tysiące mogę stawić świadków.

Jeśli jest zdrajca, to jest nim kto inny,

Nie ja!..

Wanda. Kto taki?... Czemuż milczysz?... powiedz!

Mszczug. Mógłbym twe serce zbyt boleśnie zranić —

Dość już twej winy w tej nieszczęsnej wojnie.

Wanda. Mów!...

Mszczug *(zbliża się do Wandy, ciszej).*

Ktoś, co Niemców przywiódł tu drogami,

Które nie wielu zna ludzi w tym kraju...

Wanda. A imię tego zdrajcy?...

Mszczug. Chcesz koniecznie?...

Wanda. Chcę, rozkazuję!

Mszczug. To własna krew twoja —
To Lech!

Wanda. Bogowie, tego ciosu brakło!...

Mszczug. Razem z Niemcami powrócił do kraju,
I walczyć będzie razem przeciw tobie;
Gdy w tem jest słowo kłamstwa, masz mą głowę.
Wiesz teraz, jaka mię krzywda spotkała.

Wanda. Daruj mi, Mszczugu, gniew mój nierozważny,
Jesteś niewinny, spełniłeś powinność,
Odpowiedzialność na ciebie nie spada.

Mszczug. Ha, taką zwykle odbiera nagrodę,
Kto wiernie służy! -- Dla mnie stąd nauka:
Gdy raz nieufność wkradła się w twą duszę,
Kiedym tak łatwo popadł w posądzenie,
Mógłbym doświadczyć częściej tych zarzutów
Ze szkodą własną i ogólnej sprawy —
Składam więc w ręce twe daną mi władzę.

Jaksa. Co robisz, Mszczugu?... W niebezpiecznej chwili,
Gdzie prędkiej rady i zgody potrzeba,
Ty się usuwasz!... Ach, czyż teraz pora
Na plac wywodzić prywatne urazy,
Gniew osobisty?

Mszczug. Wszak królowa może
Znaleźć innego i lepszego wodza —
(n. s.) Który niechybnie zostanie pobity,
I niechęć ludu ściągnie na swą głowę.

(Wychodzi).

Lutek (do Gniewosza).

Pójdźmy za Mszczugiem, tu nie nasze miejsce.

(Wychodzą obaj).

SCENA 8.

*Wanda stoi najbliżej widzów, po stronie przeciwnej pa-
górkowi, z głową zwieszoną, pogrążona w myślach. Jaksa,
Dobek i inni Panowie, na których również znać przynę-*

bienie tworzą grupę w połowie sceny. Następnie nadchodzi coraz więcej Ludu płci obojej, Żołnierzy i t. p., którzy zalegają głąb, niektórzy z nich wychodzą na pagórek.

Jaksa. Wróg tuż pod bokiem — a u nas ni wojska
Ni wodza niema!... Jeden jeszcze człowiek
W takim zamęcie mógłby coś poradzić —
Imram, on jeden nie straciłby głowy,
Ale gdzieś poszedł, wpadł jak kamień w wodę!

I. z Ludu *(na pagórku).*

O patrzcie, tam Niemcy!

Drugi.

Zbiegli się jak kruki

Trzeci. Na nasz dobytek i na nasze ciała!
Zewsząd przed nimi ludzie uciekają —
Lecz gdzie uciekną, kiedy nawet murów
Niema kto bronić!

Pierwszy.

Niechże teraz starsi

Radzą co o nas!

Drugi.

Próżna to nadzieja,

Źle jakoś rzeczy od początku poszły!

Trzeci.

Biada nam teraz, biada! co poczniemy!

Wanda

(sama jedna na przodzie sceny).

Precz, precz ode mnie wy sępy rozpacz,
Wy mgły zwątpienia rozwieście się — niechaj
Pogodne słońce oświeci mą duszę,
Natchnie ją męstwem, ufnością i siłą!
Niewieście serce niech zamilknie we mnie,
Męskiego hartu, bohaterskiej woli,
Co łamią wszelkie zapory, co trudom
Najcięższym siebie pokonać nie dają,
Mnie dziś potrzeba! I ja mieć je muszę,
Inaczej hańba i przekleństwo ludzkie
Czekają na mnie za życia i w grobie!...

Jaksa *(do otaczających go Panów, wskazując na Wandę).*

Patrzcie, tam ona w smutku i rozpacz —

Kobieta w walce z czarnymi myślami —

A wy mężowie, co z dumą przy boku
Dźwigacie miecze na znak rycerskości,

Z założonemi stoicie rękami,
Głowy łęklawie spuszczaście do ziemi,
I dla niej słowa nie macie otuchy!...
O smutno, smutno, gdy tak duch upadnie!

I. z Panów. Cóż poradzimy? nas tak mała liczba,
Za pierwszym starciem Niemcy nas zgruchocą.

Wanda (*ciągle w tej samej pozycji*).

Przyszła ta chwila wielka... trudna... straszna,
W wielkie następstwa przyszłości brzemienna,
O której nieraz ze drżeniem myślałam —
Przyszedł czas próby, który mnie osądzi,
Czy tylko dumna i czczy blask korony
Na stopnie tronu kiedyś mnie powiodły,
Czy też się wzniosłam do tej wysokości,
Czując w swych piersiach potężnego ducha,
Który rodzicem jest i wykonawcą
Dzieł znakomitych i chwalebnych czynów.
Więc czegóż waham się, dlaczego trwożę?
Czynić i działać mi trzeba, pochwycić
Za oręż, stanąć na czele mych szyków,
Być dla nich wodzem, jak bywali zawsze
Wszyscy królowie, co ich wiedli w boje!
Trzeba mi walczyć, zwyciężyć, wypędzić
Najeźdźców z kraju, lub z ich ręki zginąć!

(*Kłęką, wznosi ręce w górę*).

Wy dobre bogi, wy opiekunowie
Tej ziemi, którym ona się oddała
Z całą ufnością, jak swej matce dziecko,
Rozciągnie nad nią swe ochronne skrzydła!
A wy, o duchy dawnych bohaterów,
Spoczywających pod mogiłą królów
I wojowników, co swą krwią i potem
Tego narodu wielkość zbudowali,
I piersi swoje stawiali za szaniec
Przed każdą klęską i przed każdym wrogiem —
Męstwa mi swego użyźcie i serca,
A lud natchnijcie waszą dawną chwałą,
Nie pozwalajcie, by wasza ojczyzna,

Dotychczas sławna, legła w poniżeniu
Jak niewolnica u stóp cudzoziemca!

Podnosi się prędko, szybkim krokiem postępuje dalej w głąb sceny i zwracając się ku grupie środkowej jako też ku Ludowi, z ręką wzniesioną w górę podniosłym głosem mówi).

Do broni, ludu! do broni, mój ludu!
Wzniesź czoło w górę i nabierz odwagi,
Niech cię nie trwoży nieprzyjaciół przemoc,
Zwycięstwo stanie po twojej słusznej stronie!
Za swoje bogi, swe żony i dzieci,
Za swoją wolność walczyć będziesz, ludu,
Więc stań do broni! do broni! do broni!...

(Słychać odgłos trąb za sceną).

Ha, co to znaczy?... *(Wszyscy zwracają oczy za scenę, skąd trąby słyszeć się dały).*

I. z Ludu. Czy to Niemcy znowu?...

Drugi. Strzeżcie nas bogi!

Jaksa. - Wszakże to od miasta

Ci ludzie idą...

Dobek. Tak, to jacyś nasi...

Jaksa. Tak znacznej siły my nigdzie nie mamy...

Wanda. To orły nasze!... czyli nie widzicie?

Dobek. Tak, tak, poznaję...

Wanda. Imram na ich czele.

(Wchodzi Imram w zbroi, z chorągwią w ręku, za nim wojsko).

SCENA 9.

Ciż i Imram z wojskiem.

Imram *(w głębi, zwracając się do swych ludzi).*

Królowa tutaj jest, pójdźmy ją witać
I hołd jej złożyć. *(Wojsko postępuje naprzód i zatrzymuje się w pewnej odległości od Wandy, wciąż patrzącej na przybyłych).*

Imram (*zbliża się do Wandy i ukleka*).

Królowo, racz przyjąć
Tych zbrojnych ludzi na swoje usługi —
Każdy z nich gotów za ciebie dać życie.
Tam Niemcy stoją, lecz jesteś bezpieczną,
Skoro te piersi wałem cię otoczą.

Wanda (*ściskając go za rękę*).

Dzielny człowieku, wstań od moich kolan!
Jak mię ta twoja szlachetność rozrzewnia...
Jesteś ojczyzny zbawcą i mym zbawcą.

(*Imram wstaje*).

Jaksa. Skąd, jakim cudem zdołałeś, Imramie,
Zebrać tak prędko taką liczbę ludzi?
Widzę ich, jednak ledwie oczom wierzę.

Imram. Kiedy nam Niemcy wojną zagrozili,
Przeczułem wtedy, że może czas nadejść,
Kiedy się przyda pomoc niespodziana.
Wziąłem zwolnienie od mej zwykłej służby,
A potem w góry, w me ojczyste strony
Poszedłem, kędy mam mir między ludźmi,
Mych rówieśników, z młodszych lat przyjaciół.
Gdy usłyszeli, że niebezpieczeństwo
Zagraża tobie, królowo, że wrogi
Najazd gotują na naszą ojczyznę,
Zapał ogarnął ich pocziwe serca,
I ze stron wszystkich skupiać się poczęli
Pod mą chorągiew, tak że oto teraz
Mam tysiąc mężów gotowych do boju,
Zbrojnych, wytrwałych, nawykłych do broni.

Jaksa. Ha, dzielny Imram! Gdybym miał być syna,
Chciałbym, ażeby podobny był tobie —
Serce i głowa złote w tym człowieku.

Wanda. Łaska się bogów opiekuję nami
I sprawia cuda w obronie skrzywdzonych. —
Miecz mi podajcie! (*Podają jej*)

Odtąd to żelazo
Z rąk mych nie wyjdzie, póki wróg ostatni

Plamić tej ziemi sobą nie przestanie,
Lub póki rąk mych śmierć nie ubezwładni.
Jestem tu królem i wodzem być muszę,
Na waszem czele pójdę w bój, w wir walki,
Z wami podzielać będę wszelkie losy
Do ostatniego tchu, ostatniej kropli
Krwi mojej!... Drżycie, drżycie, najezdnicy,
Za krzywdy mego ludu mścić się będę
I za własnego mego serca bole!
Drżyj, Rytygierze, któryś chciał królową
Wolnego ludu, jakby niewolnicę,
Zmusić do ślubów i uczuć miłości!
Skarcić mam w tobie dwojakie urazy,
Jako kobieta i jako władczyni!

*(Bierze chorągiew z rąk Imrama i trzymając ją w jednej
ręce, drugą podnosi miecz)*

Dalej, pod starem naszych ojców godłem,
Wślawionem w świecie zwycięstw i chwałą,
Pójdziecie ze mną na bój święty, krwawy!
Śmierć najezdnikom!

Jaksa.

Śmierć im!

Imram.

Śmierć, śmierć wrogom!

(Wychodzą wszyscy, Wanda na czele, przy odgłosie trąb).

AKT TRZECI.

Równina niedaleko pola bitwy.

SCENA 1.

Wanda. Imram. Jaksa (wchodzą, wszyscy w zbrojach).

Wanda. Otrząście ze krwi pobroczone miecze,
Włóżcie je w pochwy — dosyć już tej rzezi!

Jaksa. Cześć ci, królowo, zwycięstwo przy tobie!
Połowa Niemców została na placu,
Reszta, rozbiegłszy się na cztery wiatry,
W kryjówkach lasów szuka ocalenia.
Niewiele bitew ojczystym sztandarom
Tyle przyniosło chwały, co ta dzisiaj
Pod twoją wodzą stoczona. O, cześć ci!

Wanda. Krwawe zwycięstwo, drogo okupione!
Ileż tam naszych poległo na polu,
Ile zostało po nich wdów i sierot!
Trudno się cieszyć z takiego tryumfu,
Który się płaci nędzą innych ludzi.
(Kilku Żołnierzy wnosi rannego Dobka.)

SCENA 2.

Wanda. Jaksa. Imram. Dobek i Żołnierze.

Dobek. Żołnierze moi, nieście mię do domu,
Chcę, zanim skończę, pożegnać się z żoną.

Wanda *(zbliżywszy się do niego)*
I ty należysz także, wojewodo,
Do tych nieszczęsnych, co dziś śmierć znaleźli.

Dobek. Świętą powinność spełniłem, królowo,
Oddając życie za lubą ojczyznę...

Rad jestem bardzo, że cię jeszcze widzę,
By raz ostatni dłoń twą ucałować.
Zwycięstwo przy nas, nie umieram darmo!
Wanda. Dzielny żołnierzu, szlachetny człowieku!
Bogowie ciężkich wymagają ofiar,
Gdy krew tak droga rozlewać się musi.
(*Wbiega Żona Dobka z dzieckiem na ręku.*)

SCENA 3.

Ciż i Żona Dobka.

Żona. Gdzie mąż mój?... gdzie jest?.. O ja nieszczęśliwa,
Co widzę!... Prawda więc, żeś ty zabity,
Że ty umierasz? — o mężu mój drogi!
(*Żołnierze stawiają nosze na ziemi*)

Dobek. Bądź zdrowa!... miłość się nasza rozrywa,
Pęka ogniwo, które nas łączyło
Przez całe życie wzajemnem uczuciem...
Żal mi cię żegnać, żal mi cię opuścić,
A z tobą szczęście, którym miał przy tobie...
Wkrótce me oczy zamkną się na wieki...
Już was nie będę widzieć, me pociechy...

Żona. O bogi, bogi! więc musisz umierać!...
Patrz, tu na rękach przyniosłam dziecinę
Naszą najmłodszą — uściskaj ją, mężu...
Tak, daj ostatnie jej błogosławieństwo!
Biedne dzieciątko, przytul się do ojca,
Już go ty więcej w życiu nie zobaczysz,
Nie będziesz znać go, nie będziesz pamiętać!
O dola moja, biednaż moja dola!

Dobek. Żyj dla tych dzieci, pocziwa ma żono!...

Żona. Chylisz się.. mdlejesz! Już umarł, nie żyje...
Bogowie, razem i mnie z nim zabierzcie!
(*Pada na ciało męża*)

Wanda (*d. s.*) Na taki widok dech w piersiach ustaje!
(*Głośno*) Biedna niewiasto, czuję twój żal straszny,
I że ci pomódz nie mogę, boleję.

Okropne ciosy spuszcza ją bogowie
Na nasze serca, póki tylko biją!
Zona (*powstając nagle*).

Na co mi zda się twój żal, twoja litość,
Czy jemu życie, a mnie wróca szczęście?
O, nie rozdrażniaj moich ran bolesnych,
Szyderstwem twoje zdają mi się słowa!
Gdyby go rozkaz twój nie był powołał
Na pole bitwy, on dotąd spokojny
Pod swą rodzinną byłby siedział strzechą,
Ciesząc się dzieci i żony uśmiechem.
Tyś go zabiła, on przez ciebie umarł —
A teraz dajesz mi jak żebrakowi
Twojej pociechy przeklętą jałmużnę!
Bo czy twe serce zdolne jest zabołec?
Ty nie masz uczuć kobiecych w swej piersi,
Nie byłaś żoną i nie byłaś matką,
Nie czujesz, co to stracić męża, zostać
Samotną wdową z sierotą na rękę!...
Ty z mieczem w dłoni, w żelazo okuta,
Ty nie kobietą jesteś — ty potworem!...
O, ja litością twą i żalem gardzę!

(*Do Żołnierzy*)

To drogie ciało nieście mi do domu.
Tam je obmyję i ubiorę sama,
We dnie i w nocy nad niem płakać będę,
I w cichej, zimnej pogrzebień mogile.
O mężu, mężu, czemuś był tak dobry,
Czemu tak bardzo musiałam cię kochać!
(*Wychodzi z ciałem*).

SCENA 4.

Wanda. Jaksa. Imram.

Jaksa. Przebacz jej, pani — srogi ból wyciska
Z ust ludzkich nieraz najcięższe bluźnierstwo.
Wanda. Biada! nie mogę zaprzeczyć jej słowom...
O ileż więcej byłabym szczęśliwą,

Gdybym się mogła tak jak ona skarżyć,
A tak, jak jestem, nie być oskarżoną!
Ciężka powinność moja, ciężka, straszna!...
O, gdybym żyła w cichym, niskim domu,
Na straży tylko mych domowych ognisk,
Gdyby mąż, dzieci, byli mą rodziną,
Nie cały naród, tak jak jest w istocie;
Duszaby moja nie znała tych strasznych
Burz i boleści, które wciąż mną szarpia;
Serceby dla mnie było źródłem szczęścia,
A teraz na to mam je tylko w piersiach,
By wszystkich wszystkie odczuwało bole!
Dość już tych mordów!... każda krwawa kropla
Kamieniem spada na moje sumienie. —
Imramie, weźmiesz ze sobą herolda,
Pójdiesz do Niemców, i tam im zapowiesz,
Że przyjdę do nich, że chcę się rozmówić.
Co myślisz czynić?...

Jaksa.

Wanda.

Ofiarować pokój.

Jaksa.

My zwycięzcami, więcby się godziło,
By oni pierwsi robili starania...

Wanda.

Nie, nie, pokoju chcę, chcę jak najprędzej,
I dam go, jeśli tylko Niemcy przyjmą.

Jaksa.

Nie wątpić o tem — po takiej nauce
Musiały bardzo spokornieć ich duchy.

Wanda.

Więc idź, Imramie.

Imram.

Idę, jako żądasz.

(Wychodzą wszyscy)

Zmiana. Okolica lesista blisko obozu niemieckiego.

SCENA 5.

*(Wchodzą) Rytygier, Olaf, Gunter, Hilderyk i kilku
innych Wodzów niemieckich.*

Olaf.

Co dalej począć, złożmy teraz radę.

Rytygier.

Co począć?... Zginać, żeby cześć ocalić!
To jedno tylko co nam pozostaje,

- Olaf.** Dla mnie przynajmniej, na którego spada
Odpowiedzialność i hańba z tej wojny.
Nie tak źle z nami, by trzeba rozpaczać.
Połowa wojska jeszcze jest pod bronią,
A za dni kilka przyjdą świeże hufce;
Złączeni z nimi będziemy dość silni
Ponowić bitwę, klęskę powetować.
- Rytygier.** Niema nadziei, niema już nadziei!
Zbyt wielka hańba, zbyt niski upadek
Przez dłoń kobiecą zostać zwyciężonym,
By się spodziewać, że jest w ludzkiej sile
To złe naprawić!
- Gunter.** Słusznie mówisz, książę.
Duch upadł w wojsku i wszystkim się zdaje,
Że jakieś moce nadziemskie walczyły
Po stronie dzielnej królowej Chrobotów,
Bo jej odwagi ani jej zwycięstwa
Na inny sposób zrozumieć nie mogą.
Ej, mnie staremu zaraz od początku
Ta wojna dziwną się jakąś zdawała —
Walczyć z kobietą i z tego powodu,
Że nam miłości swojej odmówiła —
To rzecz niezwykła, nieprzystojna mężom;
Bogi nie mogły wspierać naszych mieczów.
- Hilderyk.** Nas, Rytygierze, nie możesz obwiniać
O niepomyślny wypadek tej bitwy,
My robiliśmy wszystko co się dało,
Przykład ze siebie dawaliśmy ludziom
I poświęceniem i odważnym sercem.
Jeśli w kim wina, to mógłbym powiedzieć,
Żeś ty zawinił, gdyś nie wiedzieć czemu
Najlepszą w bitwie opuścił sposobność,
Gdy się z królową starłeś niespodzianie;
Widziałem wtedy, że zamiast uderzyć
Na nią obcesem, tyś wstrzymał się nagle,
Jakby ci brakło do natarcia męstwa.
Wojsko spostrzegło to wahanie twoje,
Wzięło je może za trwogę, lub jakiś

Wpływ czarodziejski na ciebie wywarły,
I odtąd bitwa była już stracona,
Męstwo upadło, a popłoch się zaczął.
Rytygier. Przyznaję, bracie, tak było, jak mówisz.
Może zbłądziłem, ale w owej chwili
Nie byłem siebie i swych czynów panem.
Duch bohaterski w tej słabej kobiecie,
Jej wielkie serce zdjęły mię podziwem,
A gdym zobaczył ją naprzeciw siebie
Z orężem w rękę i opromienioną
Jakimś nadziemskim i świętym zapalem;
Kiedym się spotkał nagle z jej spojrzeniem
Jako stał czystem, dumnem a pogodnem,
Jakby nie na śmierć, ale szła do ślubu:
To nie wiedziałem, czy ta piękna postać
Jest z rodu ziemian, czy boginią z nieba —
Stałem wryty i pomimowolnie
Mój miecz bezwładny schylił się ku ziemi,
Tak że uwierzyć jestem teraz gotów,
Że czarodziejski urok od niej padał.
Olaf. Niestety nasze, że ci serce zmiękło,
Kiedy o zemście myśleć należało
I uskromieniu tej dumnej władczyni.
Gdybym ja był się na twem miejscu znalazł,
Z pomocą bogów, byłbym ją do stóp twych
Skutą w kajdany przywiódł.
(*Słysząc głos trąby*).

Rytygier. Co to znowu?

Olaf (*patrząc za scenę*).

Z białą chorągwią herold od Chrobotów.

SCENA 6.

Ciż. Imram i Herold.

Imram (*zatrzymuje się w głębi z Heroldem*).

Niemcy, słyszycie?

Rytygier. Słyszemy. Co powiesz?

Imram. Przychodzę w naszej królowej imieniu

Z tą wiadomością, że dla ważnej sprawy
Chce osobiście rozmówić się z wami.

Rytygier. Na to życzenie zgadzamy się chętnie.
Gdzież ją ujrzymy?

Imram.

Tu do was przybędzie.

Rytygier. Jak przyjaciela będziemy ją witać,
I z czią rycerską wśród siebie przyjmujemy.

Imram. Wart czci wszelakiej szlachetny zwycięzca,
Co wchodzi gościem w zwyciężonych progi.
A więc niedługo tu jej oczekujcie.
(*Odchodzi z Heroldem.*)

Gunter. Rzecz niespodziana!... Co ona chce od nas,
I co nam powie?

Olaf.

Może to podejście

I nowa sztuka tej strasznej kobiety,
Co ma uroki i czary pod ręką.

Radzę więc dobrze mieć się na baczności,
I gdyśmy mieczem dali jej się pobić,
Niechaj chytrością znów nas nie zwycięży.

Hilderyk. Patrzajcie, oto zbliża się już do nas,
Sama, z kilkoma tylko rycerzami.

Rytygier. Ona — poznaję — wspaniała jak zawsze,
Staje na wzgórku — słuchajcie, już mówi.

SCENA 7.

Rytygier. Olaf. Gunter. Hilderyk. Kilku Wodzów niemieckich (w głębi na wzgórku) Wanda (nieco niżej od niej) Imram, Herold i kilku Rycerzy polskich.

Wanda. Niemcy, z orężem naszliście tę ziemię,
By ją krwią zalać i ogniem spustoszyć,
By zniszczyć błogi spokój jej mieszkańców,
Żonie wziąć męża, matce jedynaka,
I tam, gdzie szczęsna panowała wolność,
Przynieść haniebne kajdany poddaństwa!
Wprzód nie doznawszy żadnej od nas krzywdy,
Nie zaczepieni ani obrażeni,
Przeszliście wiele gór i rzek dalekich,

Które na wieki winny były dzielić
Różne od siebie i obce narody —
Przyszłście z wojną i w chęci łupiestwa!
Cel niegodziwy niegodziwych środków
Musiał używać, i oto najpierwszym
Waszym orężem była nędzna zdrada,
Co otworzyła wam ten kraj na ścieżaj
Jakoby wydrych nocnego złodzieja!
I oto, patrzcie, bogi ukarały
Waszą zuchwałość i waszą drapieżność,
I słaba garstka ludzi, co pobiegli
Od roli, domu bronić swojej ziemi,
Was pokonała, was, coście wyrosli
Z żelazem w dłoni od samej kolebki —
Bo święta sprawa była naszą sprawą,
A waszem dziełem była niegodziwość!

Gunter. Twarde to słowa, przykre do słuchania,
Ale na bogi, ona prawdę mówi!

Wanda. Niemiecki wodzu, i ty mnie posłuchaj.
Tyś wielu nieszczęść pierwszą jest przyczyną
Przez lekkomyślność i niegodną zemstę.
Jaki był cel twój? czyś wiedział, co czynisz?
Gwałtem, przemocą, czy miałeś nadzieję
Zyskać uczucie, którego inaczej
Posiąść nie mogłeś? Czyli też dlatego,
Że od kobiety doznałeś odmowy,
W krwi chciałeś znaleźć zadośćuczynienie,
Nie jako rycerz, lecz jak barbarzyńca?
Widzisz, bogowie ci nie dopuścili
Deptać bezkarnie najtkliwsze uczucia
Ludzkiego serca, i ja, którą chciałeś
Jak niewolnicą rządzić według zachceń,
Słaba kobieta zwyciężyłam ciebie,
I imię twoje okryłam niesławą,
Podwójną hańbą, bo choćbyś wziął górę,
Bój taki nigdy nie mógł być zaszczytny,
I ujmeń czynił twojej czci rycerskiej!

- Rytygier.** Przestań, na bogi! — czy nad zwyciężonym Nieprzyjacielem przybyłaś się pastwić?...
Olaf. Dumna królowo, nie tryumfuj zawczas — Jeszcze żyjemy! jeszcze sił nam stanie Tę plamę hańby otrząść z swych sztandarów!
Hilderyk. Nie, dobrze mówi! Pobudka tej wojny Była niegodną: cobądź los orzecze, Słuszność po drugiej pozostanie stronie.
Wanda (*schodzi z pagórka ze swym Orszakiem*).
O czem mówiłam, to już przeminęło,
Wy i my także rzućmy to w niepamięć.
Któryż z was wodzów jest tu Rytygierem,
Bym mu odkryła właściwy cel przyjsiać.
Rytygier. To ja nim jestem; mów, co cię sprowadza.
Wanda. Tyś to jest, książę?... Nie dziw się, że w ciebie Patrzę ciekawie. Jak każdy rad poznać Tego, któremu winien dobrodziejstwo,
Tak jest ciekawy może więcej jeszcze Zobaczyć sprawcę swojego nieszczęścia,
I swych udręczeń. — Podaj mi prawicę,
Jako przyjaciel pragnę ją uściskać —
Wahasz się... dziwisz?...
- Rytygier** (*podając rękę*). Tak, zgadłaś, królowo,
Twoje żądanie dziwne mi się zdaje,
Jak dziwne dotąd było wszystko w tobie.
(*d. s.*) Jakiem mię drżeniem jej uścisk przejmuję!
- Wanda.** Więc jednym słowem przerwę to zdziwienie.
Przybyłam do was ofiarować pokój,
Położyć koniec tej nieszczęsnej wojnie.
Czyliż nie dosyć jeszcze krwi wylanej,
Czy dumę książąt ma jeszcze tysiące
Opłacać ofiar? Jeśli złe się stało,
Podług możności zrobmy je najmniejszym.
My, którym dali bogowie zwycięstwo,
Pierwsi do zgody wyciągamy rękę;
Prześcieńcie szukać wątpliwych korzyści,
Dla zwyciężonych one bardzo trudne;
Odejdźcie od nas, opuście tę ziemię,

- Na którą wstąpić wam się nie godziło;
Ja wam zaręczam wszelkie bezpieczeństwo
Dla cześci waszej i waszej własności;
Nikt was po drodze nie będzie zaczepiać,
Szukać odwetu za doznane krzywdy,
Jak przyjaciele z sąsiedzkiej gościny
Do swoich domów od nas powrócicie.
Odpowiadajcie, przyjmiecie ten pokój?
Gunter. Szlachetną jesteś nad wszelkie pojęcie!
Jakże żałuję, że mogł kiedykolwiek
Mój oręż podnieść przeciw twej osobie.
Precz, stary mieczu, splamiłeś swą sławę,
(*rzuca miecz*) Już się nie dotkną ciebie moje ręce!
- Hilderyk** (*rzucając miecz*).
Precz z wojną, pokój przyjmuję, królowo!
Ta wojna chluby nam przynieść nie mogła.
Z moimi ludźmi powracam do domu.
Dalej, kto ze mną! Bądź zdrów, Rytygierze!
- Inny Wódz.** I ja już więcej nie podniosę miecza
W podobnej sprawie. Bądź zdrów, Rytygierze!
- Inny Wódz.** Dość już dla twojej czyniliśmy dumy,
I twoich zachceń — bądź zdrów, Rytygierze!
(*Wodzowie niemieccy rzucają miecze i wychodzą*).

SCENA 8.

*Wanda. Rytygier. Olaf (nieco w głębi) Imram. Herold.
Kilku Rycerzy polskich.*

- Olaf.** Szaleni, nędzni, podli, co czynicie!
Takaż to wierność waszych serc rycerskich,
Nie wstyd w złej doli rzucać przyjaciela?
Stójcie, wstrzymajcie się, wzywam na bogów!...
Poszli nikczemni!... ha, wieczna wam hańba!
- Rytygier.** Patrzaj, królowo, co zrobiłaś ze mnie!
Ja opuszczony, bezsilny, pobity
Czyliż nie jestem najnędzniejszym z ludzi?
Wyszędłem z domu z dumnymi zamiary
Podbić tę ziemię i zhołdować ciebie,

A teraz muszę wracać jako żebrak
Ze wstydem, hańbą i upokorzeniem.
I to w tej chwili właśnie, gdziebym pragnął
Być potężniejszym, niż nim byłem kiedy!...
O, więcej złego ty mi uczyniłaś,
Niż się domyślasz!... Więc ci powiem wszystko.
Niegdyś zdaleka słyszałem o tobie,
O twoich wdziękach, niezwykłych przymiotach,
I próżność w złej mi podszeptała chwili,
Że ty, przez cały świat tak uwielbiana,
Do mnie należeć musisz — tak, koniecznie.
Kiedyś żądanie moje odrzuciła,
Zemsta, obraza tu mnie sprowadziły —
Lecz dziś, gdym ujrzał cię na własne oczy,
Gdym w tobie poznał rzadki cud stworzenia,
Dziś to już nie jest obrażona duma,
Nie chęć zwycięstwa, dla którychbym pragnął
Cel mój osiągnąć — dziś to już jest serce,
Któreby chciało cię posiadać!... Dzisiaj
Wiódłbym o ciebie wojnę, kiedy nie chcesz
Po dobrej woli oddać mi swej ręki,
Jako o przedmiot najdroższy mej duszy —
I dziś mi właśnie brakło sił po temu,
I dziś zdradzony, sam jeden zostałem!
Dwukroć, królowo, ty mnie pokonałaś,
Lecz sroższe drugie to twoje zwycięstwo!
Bądź mężnym, bracie, i ran swego serca
Na pośmiech wroga próżno nie odsłaniaj.
Ona niezdolna ni słów twych zrozumieć,
Ani niegodna je słyszeć!

Olaf.

Rytygier.

O hańba,
Wieczysta hańba mojemu imieniu!
Jakże powrócę w me ojczyste strony
Zwyciężon w bitwie, i z ciosem zadany
Mojemu sercu z rąk nieprzyjaciela?
Po wszystkie czasy ludzie będą szydzić
Z mego nieszczęścia i słabości ducha!
Nieodgadnione losy rządzą nami —

Wanda.

Któż nie doświadczył na sobie tej doli,
Że mu się wszystko wpoprzek chęciom dzieje!
Książę, i ty się pogódź z przeznaczeniem,
Kiedy go cofnąć ni zmienić nie można.

I ja ci także powiedziec to muszę,
Że cię z innymi żegnam uczuciami
Niż powitałam, że żal i spótczucie
Zająły miejsce dawnej nienawiści;
Więc się rozstańmy jako przyjaciele,
Mając dla siebie wzajemny szacunek,
I idźmy każde, jak trzeba, w swą drogę.
Po raz ostatni podaj mi dłoń, książę,
My już raz drugi widzieć się nie możemy.

(Ściskając go za rękę — d. s.).

Jakże mi mocno żal tego człowieka!...

(Do swego Orszak).

Dalej, my teraz powrócimy do wojska,
I o zawartym donieśmy pokoju —
Niechaj ojczyzna odetchnie swobodnie.

(Wanda, Imram i Orszak wychodzą).

SCENA 9.

Rytygier. Olaf.

Olaf. Uchodź stąd, bracie, ujdź z tych miejsc przekle-
[tych,

I rzuć w niepamięć wszystko, co się stało!

Hańba zostanie przy tych co zdradzili,

A ta, co twoją wzgardziła osobą,

Niegodna twego zamać wspomnienia.

Rytygier. Gdzież pójdę?... celu nie widzę przed sobą —

Na wieki zgasła ma rycerska gwiazda,

A boleść wszelką przytłumia nadzieję!...

Dzięki ci, bracie, za twe dobre serce,

Twojej miłości nie pierwszy to dowód.

Olaf *(biorąc go za rękę).*

Pójdź, pójdź co prędzej!

Rytygier. Prowadź mię, gdzie zechcesz —
Ja swojej woli jestem pozbawiony.
(*Wychodzą*).

SCENA 10.

(*Wchodzą*) **Wanda.** *Imram (za nimi)* *Wojsko z rozwinię-
temi chorągwiemi.*

Imram. Niemcy już swoje rzucili obozy,
Więc na nas pora zatknąć na tem miejscu
Swoją chorągiew, na znak, że zwycięstwo
Przy nas zostało.

Wanda. Uczyni to, Imramie,
Jak powiedziałaś.

Imram. Hej, za mną, żołnierze,
Objąć spuściznę po nieprzyjacielu,
I tę część ziemi naszej, którą splamił
Swemi stopami, oczyścić odgłosem
Zwycięskiej pieśni. Cześć naszej królowej!

Żołnierze. Cześć, cześć królowej!
(*Imram z wojskiem odchodzą*).

Wanda (sama). Dlaczego na oczach
Ciągłe mi stoi obraz tego Niemca?...
Niedawno wroga tylko w nim widziałam
I żadnych dobrych u niego przymiotów,
A teraz muszę przyznać mu szlachetność —
W wyrazach jego znać było uczucia,
Co płyną z źródła czystego serc naszych...
Gdyby zwycięzcą był do mnie przemówił,
Spotkałby u mnie tylko obojętność,
I gorzką, zimną jako lód pogardę,
Lecz zwyciężony litość we mnie wzbudził...
Nie mogłam jego uczucia odepchnąć,
Kiedy bezbronny mógł mię być pokonać
Jedynie duszy swojej szlachetnością...
Więc jemu bodźcem do wojny nie była
Sama chęć łupu?... On mnie chciał posiadać...
Mówił, że kocha... Dotąd o me ucho

Nigdy się takie nie obily słowa...
Te słowa zdala odpycha blask tronu,
Berło i oręż wzbraniają im wstępu,
A jednak czuję, że ich słodkie brzmienie
Wznosi me łono westchnieniem uroczej,
Błogiej rozkoszy... Ha, dziwne są losy!
Bogi go chciały zrobić nieszczęśliwym,
Gdy podszeptały mu myśl, co się nigdy
Ziścić nie może!

(Słysząc głos tręb na znak zwycięstwa).

Co czynię?... ja marzę?...

Jakim sposobem w pasmo moich myśli
Wplątać się mogło nieznane marzenie,
Marzenie o kim?... o człowieku, który
Stał tu przed chwilą — i odszedł, by nigdy
Więcej go moje nie ujrzalo oko,
Chyba powtórnie z krwawym mieczem w dłoni!

(Wchodzi Imram).

- Imram.** Królowo, lud się ogląda za tobą,
Pragnie cię widzieć na polu zwycięstwa
Na swoim czele, tak jak widział w bitwie.
- Wanda.** Idę, Imramie, idę, całym sercem
Podzielać jego radość i tryumfy. *(Odchodzi).*

SCENA 11.

- Imram** *(sam — przez chwilę patrząc za odchodzącą Wandą).*
Radosne słowa kłamią jej obliczu,
Na którym widna chmura zamyślenia
I smutku, dziwna w tak szczęśliwej chwili...
Szczególną zmianę widzę w jej osobie...
Miałaby słuszną być moja obawa —
Miałby ten Niemiec obudzić w jej duszy
Nieznane dotąd uczucie?... Milcz, serce,
I bądź odważne... bo to cios dla ciebie
Byłby zbyt ciężki!... Czyżby się spełniło,
O co posądzać ledwie się ośmielam?...
Och, jak srogiego doznałbym zawodu,

Ja, co wierzyłem tak bardzo w jej świętość,
Com nie przypuszczał, aby do tej piersi
Znalazły przystęp uczucia zwyczajne
Innym śmiertelnym — com nie miał śmiałości
W skrytości serca powiedzieć sam sobie,
Że to, co czuję dla niej, jest czemś więcej
Niżli wiernością, przywiązaniem sługi!...
Lecz ja się ludzę!... ona nie upadła!
A jeśli tak jest?... to nieszczęście dla mnie,
A większe dla niej! Idźmy zatem czuwać.
(*Odchodzi za Wandą*).

SCENA 12.

(*Z przeciwnej strony wchodzi*) *Lech, Swatawa, Mszczug.*

Lech (*wydzierając się powstrzymującej go Swatawie*).
Puśćcie mnie, puśćcie!... zginąłem na wieki
I bez ratunku! Co mi po tem życiu?...
Czy mam znów wrócić na nędze tułactwa,
Być znów igraszką i pośmiechem ludzi?
Czyli umierać mam powolną śmiercią,
Codzień się trując poniżenia jadem?...
Tyle zrobiłem na tym świecie złego,
By tylko dumy pragnienie nasycić —
Wszystko napróżno!... za wszystkie me zbrodnie
Wielkości jednej nie kupiłem chwili!

Swatawa. Na miłość bogów, Lechu, co chcesz czynić!...
Nie gub sam siebie!... gdyby cię odkryto,
Zginiesz niechybnie... O Lechu, miej litość,
Powracaj z nami w bezpieczne schronienie!

Lech. Ja mam się chronić przed niebezpieczeństwem,
Chronić przed śmiercią?... Sam pójdę ich szukać,
Sam do nich ręce wyciągam otwarte,
By utuliły mnie na swoim łonie,
I dały wreszcie spokój mojej duszy.
Ja sam się wydam, oskarżę o zdradę...
Niech kara przetnie czarne dni mych pasmo!
A jeśli ludzie będą zbyt litosni,

Ten miecz utopię w mej piersi, lub głowę
Strzaskam o skałę wawelskiego grodu,
Gdym na szczyt jego nie mógł królem wstąpić!
Swatawa. O bogi, bogi, oświećcie mi umysł!
On ciągle głuchy na moje błagania,
Na me zakłęcia! — Więc mów, co mam czynić,
Aby cię wyrwać z tej ślepej rozpaczey?
Gdy każesz, pójdę i zabiję Wandę,
I po jej trupie utoruję tobie
Drogę do tronu...

Lech. Znów myśl nierozumna,
Nowe szaleństwo i świeży występki!
Precz mi z tym środkiem, na nic się nie przyda!
Mnie o to pytaj, mnie, co mam splamione
Ręce krwią bratnią, a żadnej korzyści
Z mych wszystkich zbrodni! Dość już tych za-
[biegów,
Dość tych szamotań i walk niepodobnych
Do wywalczenia!

Mszczug. Słusznie mówisz, Lechu,
Samo się piekło przeciw nam sprzysięgło.
Ktoby pomyślał, że z tak wielkiej burzy
Królowa cała i bez szwanku wyjdzie?
Już, już się zdało, że zginie w tej toni,
Co ze stron wszystkich na nią się piętrzyła —
A teraz stoi silniejsza niż dawniej.
Motłoch, co dotąd czeił w niej córkę Kraka,
Teraz w niej wielbić będzie bohaterkę,
I więcej jeszcze: jakąś posłannicę
Niebieskich bogów, która samem słowem
Rozpraszać zdolna nieprzyjaciół szyki!
(d. s.) Ha, za fortuną i mnie trzeba będzie
Skręcić z swym wozem, lisią wziąć postawę,
I na swe dawne wrócić stanowisko.

Swatawa (*patrzac za scenę*).

Uciekaj, Lechu!... ku nam prosto idą
Jacyś dwaj ludzie... gdyby cię poznali...
Uchodźmy prędzej!...

Mszczug. Nic niebezpiecznego;
Mnie się wydaje, że to jacyś Niemcy.

Lech. Tak, to Rytygier się błąka. I jemu
Nie na zbawienie wyszła moja zdrada!

Mszczug. Rytygier tutaj?... to dziwna, zaprawdę...

Swatawa. Co on tu robi na drodze do miasta?...

Mszczug. Jakies zamiary nowe widać knują,
Gdy tu wrócili, zamiast iść przed siebie.

Swatawa. Odejdźmy na bok, słuchajmy co mówią:
Ciekawość moją budzi ten wypadek.

(Usuwają się w głąb między grupę drzew.)

SCENA 13.

(W głębi) Mszczug. Lech. Swatawa (Wchodzi) Rytygier i Olaf.

Olaf. Dokąd więc idziesz?

Rytygier. Pójdę do królowej...
Tak jest, ja miejsc tych nie mogę opuścić —
Do mej ojczyzny nie mam po co wracać,
Na pośmiech ludziom i wieczną tęsknotę
Za moją sławą i tej ziemi panią.
Cóż mogę stracić, ja, com stracił wszystko?
Tu jeszcze promień świta mi nadziei
W jej dobrem sercu. Czegom nie był zdolny
Pozyskać siłą, to może wyblągam
Gorącą prośbą.

Olaf. Po trzykroć szalony,
Nie wstyd cię błagać u wroga litości!

Rytygier. To jest ostatnia gra mojego życia.
Lub ją pozyskam, a z nią cześć straconą,
Lub zginę.

Olaf. Nic więc nie zmienia tej myśli?

Rytygier. Nic. Do powrotu próżno mię nie naglij,
A jeśli zechcesz dzielić moje losy,
Zostań tu ze mną i bądź mi pomocą.

Olaf. O Rytygierze, kocham cię nad wszystko,
Lecz drogi hanby nie chcę ci torować!

Jeszcze nie tracę nadziei, że rozum
Weźmie u ciebie nad tym szalem górę,
I czekać będę do zachodu słońca
Twojego powrotu.

Rytygier. Zatem mię opuszczasz?...
Olaf. Gdy będzie trzeba, dam za ciebie życie,
Lecz spełnić tego co żądasz, nie mogę.
(*Wychodzi. Rytygier zamysłony opiera się o drzewo.*)

SCENA 14.

(*W głębi*) **Mszczug.** *Lech. Swatawa (bliżej) Rytygier.*

Swatawa. Czy słyszeliście?...

Mszczug. Tak, ten głupi Niemiec
W sidła królowej także się zaplątał —
Lecz co nam z tego, co nas to obchodzi.

Swatawa. To może dla nas niespodziane szczęście.
Precz z smutkiem, Lechu, i precz z tą rozpaczą,
Nie zaszła jeszcze twoja dobra gwiazda.
Mówili ludzie, że w czasie widzenia
Z niemieckim księciem znać było na Wandzie
Jakieś wzruszenie, że się z nim obeszła
Nie tak jak z wrogiem, daleko łaskawiej,
Jak gdyby serce jej nagle stopniało...
Jeśli to prawda, mamy na nią oręż!

Mszczug. O czym ty myślisz?... nie rozumiem ciebie
Ni twych nadziei...

Swatawa. Wkrótce to zrozumiesz.
Teraz pozwólcie działać mi, jak zechcę.

Lech. Nowe złudzenie!... Czyń, co twoja wola.

Swatawa (*zbliża się do Rytygiera*).

Szlachetny panie...

Rytygier (*podnosząc na nią oczy*).

Czego chcesz, niewiasto?

Swatawa. Widzę cię smutnym i litość mię bierze.

Mój mąż potężnym jest w tym kraju wodzem,
Ja jedną z kobiet królewskiego dworu —
Może w czym zdołam być tobie pomocną.

Rytygier. Z dworu królowej jesteś?...

Swatawa. Tak, jeżeli

Od naszej pani pragniesz jakiej łaski,
Przystęp ci do niej mogłabym ułatwić...

Rytygier. Mogłabyś zrobić, żebym stanął przed nią...

Żebym ją widział?... O, zbawczyni moja,
Uczyni to, błagam!... Lecz wiesz ty, kto jestem?

Swatawa. Niemiecki książę. Dlatego tajemnie
Mogę cię tylko wprowadzić na zamek.

Rytygier. Bylem ją widział, zrób ze mną, co zechcesz.

Swatawa. Będziesz ją widział, więc pójdź ze mną, książę.

Rytygier. O nieba, jakże jesteście łaskawe!

(Podaje rękę Swatawie).

Swatawa *(odchodząc z nim — d. s.)*

Gdy cię nienawiść nie zgubiła, Wando,

To miłość może dokonać twej zguby!

(Wychodzą oboje; za nimi w pewnej odległości Lech i Mszczug).

AKT CZWARTY.

Komnata na zamku królewskim. Drzwi w głębi i po obu stronach.

SCENA 1.

Swatawa *(wchodzi z lewej strony).*

Jestem gotowa już... w jej serce wleję

Truciznę, co je rozsądzi lub spali...

O, bo to serce chciwie ją pić będzie

Na ugaszenie swych żarów miłości,

Lecz śmierć w niej znajdzie, nie uspokojenie!

(Chce odchodzić; głównymi drzwiami wchodzi Mszczug).

SCENA 2.

Swatawa. Mszczug.

Mszczug. Pst! stój, Swatawo!

Swatawa.

Ty tu jesteś, Mszczugu?...

Swatawa. Prędko królowej opuściłeś orszak.

Mszczug.

Modły w świątyni skończą się niebawem,

A zresztą serce nie bardzo mię ciągnie

Tam, kędy ona tryumfy odprawia.

Byłem ciekawy, co u ciebie słychać.

I cóż, jak poszło?

Swatawa.

Dobrze się udało.

Mszczug.

Niemiec jest tutaj?...

Swatawa.

Tak jest, nikt nie spostrzegł,

Gdym go tajemnie, w zmienionem ubraniu

Na zamek wwiiodła.

Mszczug.

Zręcznieś to zrobiła!

Wszystko, co żyje, poszło do świątyni

Dziękczynne modły składać za zwycięstwo,

A ty tymczasem tutaj gospodarzysz.

Dobłą masz głowę, dobrą... Tak, Swatawo,

I nad twym planem dużo ja myślałem,

I muszę tobie oddać sprawiedliwość,

Że mi się coraz mądrzejszy wydaje.

Prawda to wielka, że jeśli królowa

W istocie kocha tego Rytygiera,

To ją ta miłość o zgubę przyprawi.

Swatawa. Od pierwszej chwili zaraz to mówiłam.

Mszczug. Tak, lecz ma głowa nieco jest za twarda

Dla delikatnych rzeczy w tym rodzaju,

Dlatego mówię, że dopiero później

Zdołałem sobie twój plan wytłómaczyć,

Że miłość Niemca musi ją pozbawić

Miłości ludu, zerwać z niej ten urok,

Co spłynął na nią z jej najświeższych czynów,

I ten mieć skutek, że lub tron postrada,

Lub dobrowolnie wyrzec go się musi,

Jeśli przeniesie miłosne gruchanie

W pasterskiej chacie nad blaski korony.
Tak, wielkich następstw spodziewać się można...
Słuchaj, Swatawo — wiesz, że ja dla ciebie
Zrobiłem pewne ustępstwa...

Swatawa.

Co mówisz?...

Mszczug. Wiesz, że nie jestem ślepy z urodzenia, —
A wiele rzeczy, choć widzę, to przecie
Nie chcę ich widzieć — ale nie wnoś z tego,
Że tak jak mężem jestem malowanym,
Tak malowanym byłbym wojewodą...

Swatawa. Czy nieszczerości naszej się obawiasz?...

Mszczug. Nie mówię tego, tylko cię przestrzegam,
Żeby cię kiedy nie wzięła ochota
Po za plecami mojemu coś robić.
Nie waż się tego! — o każdym twym kroku,
Który dla Lecha uczynić zamysłasz,
Ja muszę wiedzieć. Dotąd ręka w rękę
Szedłem wciąż z wami, a więc nie pozwolę,
Byście samego w pół drogi puścili,
I poszli dalej, gdzie wam się podoba.

Swatawa. Bądź przekonany, że tego nie zrobię.

Mszczug. A ja ci wierzę, bo i ty i Lech twój
Na oszukaństwie źlebyście wyjść mogli.

Swatawa (*d. s.*). Wszakże ty pierwszy oszukać nas my-
[ślisz —

Wiem to, i fałszem fałsz odpierać muszę.
(*Za sceną słyhać muzykę i radosne okrzyki*).

Mszczug (*idzie do okna*).

Ha, to królowa powraca na zamek
Pośród okrzyków ulicznej gawiedzi.
Niechaj tu miłsze pojawiają się twarze,
My tu zbyteczni. A potem, Swatawo,
Rób co masz robić, dopóki żelazo
Jeszcze gorące.

Swatawa.

O tem nie zapomnę!
(*Wychodzą*).

SCENA 3.

(Głównemi drzewiami wchodzi) Wanda (w koronie i płaszczu królewskim), prowadzi ją Jaksa, za nimi kilku Panów i Dworzan.

Jaksa. Drżysz, pani... bladość widna na twojej twarzy...

Wanda. Nie, nic mi nie jest, nic... wierz, dobry Jakso.

Jaksa. Radość jak smutek często z nóg powala;

Za dużo przeszłaś dziś rozmaitych wzruszeń,
By od nich ciało nie miało szkodować.

Dalej, panowie, w ciszy swej komnaty

Niechaj królowa odpocznie po trudach,

My zaś pójdziemy między lud i wojsko,

Kazałem beczki stoczyć na ulice,

Niechaj dziś wszyscy piją miód do syta,

By pamiętali ten dzień uroczysty.

No, jeszcze jeden okrzyk: cześć królowej!

(Całuje w rękę Wandę).

Obecni. Cześć naszej pani, wieczna cześć królowej!

(Oddawszy pokłon, wychodzą).

SCENA 4.

Wanda *(sama — zdejmując koronę i kładzie ją na stole; odpina płaszcz, który spada z jej ramion).*

Precz, precz ode mnie te królewskie godła!...

Wszystko: korona, tryumfy i hołdy,

Wszystko to razi jak mieczem me serce,

Wszystko sumienia we mnie głos rozbudza,

Że ja królową jestem — że nie wolno

Mnie jako innej, co ma prawo szczęścia,

Ni czuć, ni myśleć!... A ja jednak myślę,

Ja jednak czuję to co nie powinnam!...

O, ileż cierpień znieść będzie potrzeba,

Nim to wspomnienie zatrę w mojej duszy;

Ileż to pracy będzie mię kosztować,

By te uczucia, co żyć we mnie pragną,

Zabić, w grób włożyć, i na ich mogile
Zawołać w bólu: przecież zwyciężyłam!..

SCENA 5.

Wanda. (Wchodzi) Swatawa.

Swatawa (*w pewnej odległości*).

Pani... królowol... Jakże zamysłona —

W dobry czas przyszłam! (*Głośniej*) Królowol!..

Wanda (*odwracając się przedko*).

Kto tu jest?..

Swatawa. To ja, Swatawa.

Wanda.

Co ode mnie chcecie?

Swatawa. Twej łaski, pani...

Wanda.

Łaski?..

Swatawa.

Nie dla siebie,

Dla nieszczęsnego proszę jej człowieka;

Wiele dobrego albo złego wiele

Możesz mu zrobić...

Wanda.

Mówcie, czego pragnie?

Swatawa. Tego jedynie, byś mu pozwoliła

Zbliżyć się tutaj...

Wanda.

Zbliżyć?... co mówicie?..

Kto jest ten człowiek?..

Swatawa.

Odgadłaś, królowo —

To jest Rytygier...

Wanda.

Rytygier!.. (*D. s.*) Och, bogi,

Czemuż to imię przejmuję mię drżeniem,

Jakby niem zwał się największy z mych wrogów!..

(*Gł.*) To być nie może... ja go nie chcę widzieć —

Idź, powiedz mu to...

Swatawa.

Królowo, przez litość!

Na jedną chwilę dozwól mu się widzieć,

Ona balsamem dla ran jego będzie.

Gdybyś wiedziała, jak los jego straszny,

Jakie on ciężkie ponosi katusze,

Choćby kamieniem było twoje serce,

Musiałoby je zmiękczyć miłosierdzie.

Wanda. Nie — powiedziałam... Odejdź stąd, Swatawo,
Widzieć go nie chcę, widzieć go nie mogę...

Swatawa. Stało się jednak... Licząc na twą dobroć,
Ja go wpuściłam, a on jest już tutaj...
(Otwiera drzwi, przez które wchodzi Rytygier).

Swatawa (d. s.) A z nim ma zemsta!
(Znika we drzwiach, które wpuściła Rytygiera).

SCENA 6.

Wanda. Rytygier.

Wanda (n. s.) Bogowie, on tutaj!...
(Po chwili poważnym głosem do Rytygiera).

Książę, co żądasz?... jaki cel cię przywiódł
Tutaj przede mnie?

Rytygier.

Powracam do ciebie,
Bo z tobą rozstać się nad moje siły —
Powram nędzny, biedny, zwyciężony,
By tobie, co mną wzgardziłaś, gdym jeszcze
Potężnym księciem był, znowu powtórzyć
Moje wyznanie: Wando, kocham cię!...
O, nie odwracaj odemnie twych oczów...
Słuchaj mnie... kocham, kocham cię, okrutna,
Pomimo tego, że jesteś mym wrogiem
I gorzej niżli wrogiem, bo zwyciężca —
Pomimo tego, że twe usta wszelką
Miłości mojej odjęły nadzieję!...
Jakiś cud bogów, fatalność nieszczęsna
W ciebie ten urok wlały, a w me serce
Takie uczucie!...

Wanda. Przestań, przestań, książę!

Rytygier. To jest szaleństwo!

Szaleństwo?... Na bogi,

Wanda. Ty nie szydź ze mnie w tak okropnej chwili!
Mówmy rozsądnie, nie chciej zapominać,
Czem ja dla ciebie, czem ty jesteś dla mnie.

Rytygier. Czem jesteś dla mnie?... Czemu, innem tylko
Kobietą, którą kocham i uwielbiam.

Czem ja dla ciebie?... Mówi mi przecucie,
Ze w twojej duszy choćby jedna iskra
Od mego ognia roztilić się musiała.
O, tej ostatniej pociechy, królowo,
Nazbyt pospiesznie ty mi nie odbieraj,
I nie zabijaj mię rozpaczą!... powiedz,
Nicze nie czujesz?... nigdyż twoje serce
Przyjaznem dla mnie nie zdrzży uczuciem?..:

Wanda (*d. s.*) Ha, cóż mu powiem?... Ja mu nic nie mogę
Powiedzieć biedna... (*Gł.*) Książę, miejże litość...
Widzisz — ja cierpię!...

Rytygier. Cierpisz, a więc kochasz.
Kochasz!... przecucie moje nie zawiodło.

Wanda. Ja ciebie kocham?... Nie, to być nie może,
To nie powinno być!... milcz, nie mów o tem!
To jest rzecz, która przejmuje mię zgrozą...
Ja samej siebie lękam się, gdy myślę,
Zeby to mogło być prawdą... Ja, kochać.
Ojczyzny wroga, tego co dopiero
Krew mych rodaków i braci przelewał,
Który najechał mą ziemię, i gdyby
Według życzenia szczęście mu służyło,
Mógł mego ojca tron królewski zwalić!...
Nie, ja byłabym występna, i gorzej
Niżli występna — byłabym nikczemną!...
Miałabym zniszczyć moją przeszłość całą,
Zadać kłam wszystkim mym postanowieniom,
Wyprzeć się dawnych nadziei i marzeń,
Być inną niżli jestem, niż być chciałam,
Niż być powinnam?... Litości, bogowie!

Rytygier. Prożno się, próżno opierasz miłości,
Ona owładła już tobą!... O wszystkim
Zapomnij, wszystko poświęć i pobiegnij
W moje ramiona!

Wanda. Precz, o precz ode mnie —
Precz z tą pokusą!... Choćby serce pękło,
Dość jeszcze silne, by się miało poddać,
Nie chcę miłości twej, zostaw mię samą!

Rytygier (*po chwili*). Wszystkie już dla mnie wyczerpane
[środku,

Wszystkie nadziei pogasły już gwiazdy —
Bądź zdrowa zatem!... Wzgardzony przez ciebie,
Zhańbiony w wojnie, idę na mą rozpacz
Znaleźć lekarstwo ostatnie...

Wanda.

Co mówisz!...

Rytygier. Ty byłaś moją klątwą, fatalnością,
Która do tego przywiodła mię stanu,
Że do wyboru nie mam nic prócz śmierci.
Żegnaj więc, Wando — ja żegnam się z światem!

Wanda.

Rytygier. O Rytygierze, miałbyś to uczynić?..
Zbawienie moje spoczywa w twym ręku:
Kochaj mnie, Wando!

Wanda.

Czyż nie widzisz tego!...

Kocham cię, kocham — nieszczęsna — występna!..
Jak się to stało, nie mogę zrozumieć,
Wstyd pali skronie, oczu nie śmiem podnieść,
Lecz...

Rytygier.

Kochasz, Wando?... Rozkoszy niebiańska!
Kochasz mię, będziesz moją...

Wanda.

Twoją — nigdy!

Dla mnie to szczęście byłoby występkiem —
Oddal się, książę, rozstańmy się z sobą...
Więcej dla ciebie uczynić nie mogę...

Rytygier.

Dla serca mego uczyniłaś dosyć —
Dzięki ci za to! — ale dla czci mojej
To nie wystarczy; czego nie dostaje,
To śmierć mi doda. Żegnaj! (*Oddala się nieco*).

Wanda.

Rytygierze!

Rytygier.

W twych rękach moje życie!...

Wanda.

Na kolanach

O litość błagam... o, miej miłosierdzie
Nad mą męczarnią!

Rytygier.

I dla mnie los także

Jest niewzruszony, twardy, i co każe
Wypełnić muszę. Masz czas do namysłu,
Nim z tej komnaty dojdę do bram zamku;

Jeśli się zgodzisz na to, czego pragnę,
Zawołaj imię moje przez to okno;
Gdy zaś tam stanę, a głosu twojego
Słyszeć nie będę, to żelazo wtedy
Położy koniec wszystkiemu.

Wanda.

Na bogi!

O Rytgierze, to straszne, to straszne!
Ty mnie uczynić chcesz swoim mordercą,
Mnie, co cię kocham, a zbawić nie mogę...

Rytgier.

Postanowienie moje nieodmienne.
Żegnaj mi, Wando, lub na krótką chwilę
Albo na całą wieczność! (*Wychodzi*).

SCENA 7.

Wanda (*sama*).

Rytgierze!...

Ha, co się ze mną dzieje!... Moje serce
Rwie się w kawałki... On poszedł się zabić...
Musi umierać... tak kazały losy...

(*Robi kilka kroków ze wzrokiem utkwionym w okno*).

Tam umrze!... Bogi! dlaczego ma umrzeć?...

Jedno me słowo ocali mu życie ..

(*Wstrzymuje się nagle na środku komnaty*).

Nie!... prędzej trupem ja tutaj upadnę.

I skamienieję na miejscu z cierpienia...

Nie, ani kroku dalej!... O ojczyzno,

Jakichże ofiar wymagasz ode mnie!

(*Upada bezwładnie na krzesło*).

SCENA 8.

Wanda (*wchodzi*) **Imram**.

Imram (*w głębi*). Bezsilna, martwa leży tam w boleści...

Tak, trzeba zadać gwałt własnej naturze,

Samego siebie trzeba mi się zaprzec,

Przeciwno sobie stanąć jak przeciwnik,

I mówić za tem, co dla mnie jest zgubą —

- Byleby tylko ją zrobić szczęśliwą.
(*Zbliża się*). Królowo...
(*podnosząc głowę*).
- Wanda** Imram... Dobrze, żeś tu przyszedł...
Czuję potrzebę przyjacielskiej duszy —
Mnie tak okropnie!
- Imram.** Serce ciebie boli —
Wiem, co się stało...
- Wanda.** Wiesz?...
Imram. Widzę od rana
To co się dzieje z tobą, widzę teraz
W jak strasznym jesteś stanie, a przed chwilą
Widziałem, gdy stąd wyszedł, tego Niemca —
Mogłem wszystkiego się domysleć... Pani,
Ty Rytygiera kochasz...
- Wanda.** Och, niestety!
Imram. Przeciw miłości niepodobna walka;
Pomnij, do szczęścia że masz także prawo,
Jeśli nie większe, to chociażby takie,
Jakie najniższy ma z twoich poddanych.
Nadludzkich ofiar nie wymaga niebo,
I świat nie może wymagać od ciebie,
A twe cierpienie przechodzi już miarę.
O, nie zatruwaj kwiatu twego życia,
Uczyn pragnieniom twego serca zadość,
I kogo kochasz, oddaj temu rękę.
- Wanda.** Co rzekłeś?... tego uczynić nie mogę!
Imram. To jest konieczne!... słyszysz: to być musi!
Wanda. I to ty tak się odzywasz, Imramie?...
Imram. Tej konieczności chciałbym tobie dowieść,
Chciałbym cię o niej przekonać tak silnie,
Żebyś nie mogła o niej chwilę wątpić;
Dlatego słuchaj, co powiem, królowo,
A co inaczej z tajników mej duszy
Nigdyby na świat nie było wyjrzało.
Był czas, królowo, gdzie ciebie kochałem...
Ty zdziwionemi patrzysz się oczyma,
Że ja tak śmiało i tak szczerze mówię —

Ja wiem, że to jest więcej niż szaleństwo,
Nie mogę pojąć, rozum mój się miesza,
Że tym uczuciom ja mogłem pozwolić
Powstać w mem sercu i w niem się rozrastać —
Ale tak było i tak jest, królowo,
I teraz przyszła taka ważna chwila,
Że muszę serce me do dna obnażyć...
A jednak słyszysz: to ja, ten sam człowiek,
Co ciebie kocha, któremuś jest droższą
Nad wszystko w świecie, teraz tobie radzi,
Prosi cię o to, na wszystko zaklina:
Położ swym mękom i cierpieniom koniec,
Rytygierowi daj serce i rękę.

Wanda.

O nie, Imramie, ty źle mi doradzasz!
Więc cóż że cierpię?... Czy dlatego winnam
Spełnić nikczemność, dopuścić się zbrodni?
Dość już mej winy, żem inne uczucie
Od nienawiści mogła czuć dla wroga,
Że w sercu miłość powstała występna!
Niechaj się dzieje co chce!... jam gotowa
Nie ustępować niczemu, znieść wszystko.
Będę cierpiała, muszę cierpieć — wiem to,
Lecz tego zmienić nie mogę i wolę,
By mię nieszczęście przygniotło do ziemi,
Niż gdyby słabość spodliła mą duszę.

Imram.

Ha, jesteś większą niżli cię sądziłem!
Mnie się zdawało, że z swej wysokości
Zniżasz się, a ty pod niebo się wzniosłaś.
(*Kłęka*). Ze wstydem błąd mój przed tobą wyznaję,
Przebac, żem ciebie choć na chwilę mierzył
Podług zwyczajnej dla człowieka miary.
(*Wstaje*). Co mnie tu, jemu powiedziałaś także?
Wszystko.

Wanda.

Imram.

Wanda.

A on co?

Wyszedł z tej komnaty,
Aby się zabić... Tam przy bramie zamku
On się zabije, jeśli wprzódy tutaj
Ja z tego okna jego nie przywołam...

Ja muszę jednak być taką nieludzką,
Czekać spokojnie, aż mi wieść przyniosą,
Że tam trup leży niemieckiego księcia...
To straszne, straszne!

Imram. To straszne, królowo!
I bluźnić jestem gotowy niebiosom,
Że miłosierdzia nie mają nad tobą...

SCENA 9.

Wanda, Imram, Jaksa, (później) Żołnierz.

(W czasie tej sceny ściemna się).

Jaksa. Co się tu dzieje?... Królowa wzruszona,
Ty przerażony... Czy kto stąd wychodził?...
Nie mogę pojąć...

Imram. O czym mówisz, Jakso?...

Jaksa. Dziwny wypadek, nieszczęsne zdarzenie
W tej chwili stało się... Ktoś nieznajomy,
Który stąd wyjść miał, u bramy zamkowej...

Imram. Co? co? mów prędko!...

Jaksa. We krwi znaleziony...

Imram. Ha, więc się stało!

Wanda. Okropne wyroki!

Jaksa. Ludzie się zbiegli, i jak mi mówiono,
Miał to być Niemiec... Pani, co to znaczy?...
Zbladłaś jak chusta, w oczach twoich boleść...
Kto był ten człowiek?...

(Za sceną słychać zgiełk i przytłumione krzyki).

Czy słyszycie hałas,
Jakieś okrzyki dziko pomieszane?...

Olaf *(za sceną).* Kto mi zastąpi, trupem go położę!
Precz, precz mi z drogi!

Żołnierz *(wchodzi pospiesznie, do Imrama).*

Panie, jakiś Niemiec
Gwałtem do komnat ciśnie się królowej,
Wiodąc za sobą ciało zabitego —

Miecza wydobył... Pójdź, by go powstrzymać,
Bo on się rzuca jak wściekły.

Wanda.

Wolną mu drogę zróbcie!

(Żołnierz wychodzi).

Niech wejdzie,

SCENA 10.

Wanda. Imram. Jaksa (wchodzą) Olaf (za nim) dwóch Żołnierzy niemieckich, którzy niosą ciało Rytygiera (obok nich) Swatawa. (W samej głębi) Straż królowej z pochodniami

Olaf.

Straszna królowo, nieludzka kobieto,
Potworo między stworzeniami ziemi,
Natura tobie odmówiła serca,
Jakiem obdarzać nawykła niewiasty,
W krew twoją wlała dumę, dziką srogość,
A jednej kropli nie dała uczucia!
Patrz na swe dzieło, karmij niem swe oczy
I srogą duszę!... Dadzą wielkie bogi,
Że to ostatni twój tryumf w tem życiu,
Ostatnia radość i ostatnia zbrodnia!
Być najpodlejszym musiałbym wyrzutkiem,
Grób moje kości musiałyby przywalić,
Z mojego mózgu musiałyby Harpie
Wyrwać szponami pamięć tego czynu,
Gdybym na tobie nie pomścił tej śmierci!

Wanda

(chce się zbliżyć).
O Rytygierze, nieszczęsna ofiaro!...

Olaf

(zatrzymując ją gestem).

Precz, precz od niego, nie zbliżaj się, zwłok tych
Swoim zatrutym nie kalaj oddechem!

Tys go zabiła, tys jest zabójczyni!

Wanda.

O ja nieszczęsna!

Olaf.

Śmierć tobie i hańba

I zemsta moja!

Imram.

Przestać tych złorzeczeń!

Fałszywe twoje skargi i zarzuty;

Śmierć twego brata była dobrowolna,

Olaf.

On sam, nikt inny, jego zgonu sprawcą,
Przysięgę moją dam ci za rękojmię...

Przysięga twoja jest urągówiskiem
I nikczemnością wobec tego czynu,
Na który patrzę żywemi oczami.
Kto może kłamstwo prawdzie mych słów zadać
I kto jest zdolny oczywistość zdarzeń
Choćby zmyśloną obalić powieścią?
Kilka zaledwie upłynęło godzin
Od czasu, kiedy z bratem się rozstałem;
Przy pożegnaniu on powiedział do mnie,
Że tutaj idzie, a ja mu przyrzekłem,
Że do wieczora na niego zaczekam.
Wieczór się zbliżył, a jego nie widać,
Więc ku zamkowi zwróciłem me kroki
W nadziei, że go spotkam, że się dowiem
Coś o nim, że go do powrotu skłonię.
Ale na pierwszym wstępie co ujrzałem?
We krwi leżące to ciało — rzucone
Za bramę zamku dla większej zniewagi!...
Ja nie widziałem, jak go zabijano,
Ja nie słyszałem, jak dawano rozkaz,
Lecz się domyślam całego przebiegu
Tej strasznej sprawy — ona mi tak jasną
Jak południowe słońce!... Biedny człowiek,
Z natrętną prośbą zawlókł się w te progi,
Więc go się pozbyć należało prędko;
Przyszedł sam jeden — więc jakaż sposobność
Zemścić się na nim za wszystkie urazy,
Za szkody, straty, które nam wyrządził!
A ileż słodszą jeszcze taka zemsta,
Gdy mszcząc się, można razem zhańbić wroga!
Ten dzielny książę, który wszedł do kraju
Z ogniem i mieczem, padł jako pies wściekły,
A ciało jego porzucono krukom!

Wanda. Przestań!... ty łudzisz się!... to wszystko z prawdą
Tak jest niezgodne, jak noc ze dniem jasnym!

Swatawa (*przystępując bliżej*).

Falsz, kłamstwo mówisz! — Nie wierz jej, Olafie —

O, znam ja dobrze jej serce okrutne —

Niema nic w świecie czegoby dla dumy

Nie poświęciła!... Gdym drżąca, przeleżała,

Nad ciało brata twojego przybiegła,

Nie mógł już mówić, lecz jeszcze rękami

I wzrokiem w stronę pokazywał zamku,

Jakby znak dawał, gdzie szukać zabójcy...

Imram. Szalona, dosyć tych słów nienawiści!

Swatawa. Nie, ja mam serce, które czuć jest zdolne,

Z nas wszystkich ona jedna nie ma serca.

Jeszcze powtórzę: ona go zabiła!

Ty mścij się, książę, za tę niecną zbrodnię,

A wy, bogowie, rzućcie na nią gromy!

(*D. s.*) Niechaj przepadnie cały świat, niech ziemia

Podę mną runie, jeśli Lech ma zginąć! (*Wybiega*).

Olaf.

Wszak słyszeliście, co powiadał świadek
Ostatnim chwilom zmarłego przytomny —

Gdyby mógł jeszcze być cień wątpliwości,

Ślepyby nawet poznał teraz prawdę.

(*Zwraca się ku ciału Rytygiera*).

Bracie mój, w życiu nikogom nie kochał

Tak jako ciebie!... ni ojciec, ni matka

Nigdy tak dla mnie nie byli drogimi

Jako twa młodość, w której ja widziałem

Moje najwyższe szczęście i mą dumę!

Tyś był mi bratem, lecz i synem także;

Na twą urodę, na duszy przymioty

Patrzyłem okiem rozczulonej matki,

A twoja przyszłość, którą chciałem widzieć

Wielką i piękną, była mą nadzieją,

Marzeniem całej duszy wypieszczoną!...

A teraz płakać muszę nad twym trupem!...

Ale są krwawe te łzy moje... krwawe... —

I spadną ciężko na głowy przestępców! —

W tej ziemi wrogów pogrzebię twe ciało,

I do ojczyzny wprzód go nie odniosę,

Dopóki oni straszną swoją karą
Nie prześlągają twych zgniewanych cieniów!
Żegnaj mi, bracie, obaczmy się znowu,
Kiedy cię pomszczę, a wtedy w tryumfie
Na własnych barkach zwrócę cię ojczyźnie!
(*Wstaje*).

Wanda (*n. s.*) O Rytygierze, czemuż mi nie wolno
Łez mych pomieszać razem z jego łzami!
Olaf. I ciebie żegnaj, zbrodnicza królowo,
I tobie także mówię: do widzenia!
Pogonię teraz za naszymi pułki,
Fałsz twojej cnoty, prawdę skreślę zbrodni,
Na obłąkanych krzyknę strasznym głosem:
Wróćcie się, wróćcie mścić krew Rytygiera!
A jeśli niegdyś, gdy chodziło o to,
By zyskać żonę dla młodego księcia,
Z taką ochotą pobiegli na wojnę,
To teraz, kiedy woła krew niewinna,
Gdy wszystkich Niemców sława jest splamiona,
Głos mój w ich duszach żal i wściekłość zbudzi
I krwawe winy krwawo nam zapłacisz! —
(*Do swoich Żołnierzy*).

Bierzcie to ciało i nieście je za mną.
Jaksa Stój, książę! kroku mi dalej nie ruszysz!
Olaf. Co, znowu groźba?... Czyż zbrodnię do zbrodni
Dodać pragniecie!... Jestem w waszem gnieździe,
Lecz się rozdrapać nie dam waszym szponom!
Jaksa. Grozisz odwetem, więc prawa narodów
Nie zgwałcim, jeśli nie damy ci wyjścia...
Stój ani kroku!

Olaf. Starcze, ty mnie puścisz!...
(*Chwyta za rękę*).

Jaksa. Hola, żołnierze, do broni! pochwyćcie
Tego zuchwalca!

Wanda (*wchodząc między Żołnierzy a Olafa*).
Jakso, puść go wolno!
Boleść rozgrzesza gorzkie jego słowa
I czynom jego zapewnia bezkarność.

Bogowie upaść nie dozwolą prawdzie,
A on sam później lepiej to zrozumie,
Kto winowajcą, a kto jest ofiarą. —
Oddal się, książę — wolna tobie droga!
(*Olaf z ciałem brata wychodzi.*)

AKT PIĄTY.

Dziedziniec zamkowy: mury, baszty i t. d.

SCENA 1.

Lech. Swatawa (wchodzą, oboje w zbrojach; za nimi) Warron i dwóch Żołnierzy.

Swatawa (*pokazując za mury*).

Słyszysz? tam bitwa wre zapamiętała...
W tem zamieszaniu nikt nas nie uważał,
Już stoisz, Lechu, w zamku swego ojca.

Lech. Ha, więc nareszcie dotknąłem znów stopą
Królewskiej ziemi! Ale serce moje
Nie zaspokoi się, nie zadowolni,
Póki nie stanę tu, gdzie się przekradłem
Jak nocny złodziej, na słonecznym świetle,
I widny wszystkim, jako pan i władca!

Swatawa. Blizka już chwila twojego tryumfu,
Teraz lub nigdy Wanda upaść musi!
Po raz ostatni ona uszła zguby,
Którą jej miłość niosła Rytygiera
W wiernym sojuszu z moją nienawiścią;
Jeszcze raz jeden ona zwyciężyła
Mocą nadludzką, niepojętą dla mnie,
Ale jej drogo przyszło to zwycięstwo,
Wszystkie jej ducha wyczerpało siły,
I teraz, Niemcy gdy wznowili wojnę,

Ona się sama gubi swą rozpaczą,
Zwątpieniem w siebie, a słabe jej wojsko,
Widząc to, traci ostatek odwagi.

(Do *Żołnierzy*).

Pójdźcie tu bliżej. (*Pokazując na Lecha*).

Ten rycerz, to król wasz
To Lech, padnijcie przed nim na kolana,
I powitajcie w nim swojego pana.

Żołnierz (*kłeka*).

Bądź nam pozdrowion, prawy nasz monarcho!

Swatawa. Póki korona skroni mu nie zwieńczy,
Niech będzie dla was rycerzem Zbygoniem,
Przed ludźmi tem go nazywajcie mianem.
O reszcie wiecie już, co macie czynić.

Żołnierz. Wszystkie twe słowa dobrze pamiętamy.

Swatawa. Ślepe winniście jemu posłuszeństwo,
A kiedy pora nadejdzie stanowcza,
Gdy znak wam damy, że spełnić to trzeba,
Razem z innymi jego przyjaciółmi,
Królem go wtedy okrzykniecie.

Żołnierz.

Oby

Już jak najprędzej nadeszła ta chwila!
(*Na dany znak Swatawy Żołnierze usuwają się w głąb*).

Swatawa. Pamiętaj sobie, Lechu, ich nazwiska
I twarze. Są to dwaj ludzie, na których
Najwięcej liczę, do których mam ufułość.
Kilkudziesięciu innych czeka także
Na twe rozkazy. Wszyscy zapłaceni
Dobrze przeze mnie. Gdy Niemcy zwyciężą,
W zamku się wzmoże trwoga, zamieszanie,
Żywą czy martwą pochwyć wtedy Wandę,
Opanuj zamek i ogłoś się królem.

Lech. Swatawo, czem ci opłacę twą miłość!
Dla mego dobra na wszystko się ważysz;
Pomyśl, dom męża dla mnie opuściłaś...

Swatawa. Tak było trzeba; nie wierzę Mszczugowi,

Na to co czynię, onby się nie zgodził,
Onby cię zdradził czy wcześniej czy później.

Lech. Gdybym ja upadł, i ty bez ratunku
I bez nadziei zginiesz ze mną pewnie.

Swatawa. Zginę, bo dla mnie niema w świecie szczęścia,
Jeżeli ciebie nie widzę szczęśliwym.
Niechaj nas jedna pogrzebie mogiła,
Umrę z rozkoszą z tobą i za ciebie! —
Czy słyszysz?... hałas i krzyk coraz bliżej...
Bitwa się kończy... zdaje się, że nasi
Spędzeni z pola. Zapuszmy przyłbice
I do żołnierzy naszych się udajmy.

(*Wychodzą wszyscy*).

SCENA 2.

Wanda (*z rozpuszczonemi włosami, w prostej sukni, wychodzi szybkim krokiem z jednej z baszt*).

Stało się, stało!... wojsko me pobite...
Ostatnia moja upadła nadzieja...
Teraz nam tylko zniżyć kark i dłonie
Oddać w łańcuchy!... I gdy tam się biją,
Ja tu bezczynna, zasłonięta murem,
Na walkę patrzę jak na widowisko,
Patrzę, jak ze krwi wzbierają potoki,
Liczę, jak trupy padają na pował...
Lecz ja nie mogę tam iść — mnie sumienie
Mówi, że nie mam prawa do szlachetnych
Mieszać się czynów — ja winowajczyni...
O, próżno sama się usprawiedliwiam,
Zem się wyrzekła mych uczuć i szczęścia —
Zbrodniczą myślą serce me zabiło,
A na tem dosyć, by przekłęto niebo!

Imram (*za sceną*). Zamykać bramy, łucznicy na mury!
Bacność, żołnierze!

Wanda. Ha, otóż i oni!

SCENA 3.

*Wanda (wchodzą) Imram i Jaksa (w zbrojach,
z dobytymi mieczami).*

Wanda. I cóż?... więc prawda?... jesteśmy pobici...
Nic mi nie tajcie...

Imram. Niestety, królowo!
Wojsko nie mogło dotrzeć w szczerem polu,
I aby dalszej zapobiegnać rzezi,
Za miejskie mury cofnąć się kazałem.
Z hańbą na mieczach wracamy i z życiem,
Gdy było trzeba, życie pozostawić
Na placu boju, a sławę tu przynieść.

Wanda. Biada nam, biada!

Jaksa. Ulegliśmy sile.
Olaf nie tylko nawrócił te pułki,
Które już przedtem z nami się zmierzyły,
Lecz nadto więcej niżli drugie tyle
Świeżych posiłków za nim nadciągnęło,
Które, jak z jeńców niemieckich wiadomo,
Za Rytygiera śladem słyż oddawna.
Więc możemy żal mieć do niebieskich bogów,
Że na nas ciężar tak wielki zwały,
Ale o hańbie ni słowa, Imramie,
Bo hańba tylko podłych jest udziałem,
Nie tych, co padną pod siłą przemocy.

*(Za sceną słychać kroki i szmer zbliżających się
Żołnierzy).*

Jaksa. Co tam takiego?

Imram. To żołnierze idą.

Jaksa. Czego chcą tutaj?

*(Wchodzą Żołnierze gromadnie; szmer między nimi coraz
głośniejszy, w którym słychać wyraźniej powtarzające się
słowo: Królowa, królowa!)*

SCENA 4.

Wanda, Imram, Jaksa, Żołnierze.

Jaksa (*do Wandy*).

Jak widać, z tobą chcą mówić, królowo.

Wanda. Mówcie wy z nimi. (*D. s.*) Mnie nie stać jest
[na to...]

Nie mogę patrzeć na ich świeże rany...

W każdym spojrzeniu czytałabym wyrzut.

Imram. Co chcecie, bracia?

Żołnierz.

Rozmowy z królową.

Imram. Mówcie, ja słowa jej wasze powtórzę.

Żołnierz. Z samą królową rozmówić się chcemy;

Nadstawialiśmy nasze piersi wrogom,
Jesteśmy godni stanąć i przed tronem.

Kilku.

Tak, dobrze mówi — królowa niech słucha!

Żołnierz (*zbliża się do Wandy, kłęką*).

Ratuj nas, pani! tylu nas już padło,
I wszyscy zginiem, a za nami kolej

Przyjdzie na żony i na dzieci nasze,
Jeżeli w tobie nie znajdziem zbawienia.

Gdyś ty do boju wiodła twoje wojsko,

Bogowie naszym sprzyjali orężom —

Na naszym czele stań znowu, królowo,

Pod twoją wodzą niech żołnierz odzyska

Straconą ufność, męstwo i nadzieję —

Ty nam rozkazuj, inaczej zginiemy!

Wanda (*d. s.*) Bogi! cóż oni żądają ode mnie!...

Ja mam ratować?... o, więc zginą pewnie!

Żołnierz. Coż nam odpowiesz?

(*Chwila milczenia*).

Jaksa.

Królowo, ci ludzie

Na twą odpowiedź czekają... ty milczysz?...

Wanda.

Nie mogę dla nich znaleźć odpowiedzi —

Jak nieprzytomna jestem... Pozwól chwilę,

Niech zbiorę myśli... albo lepiej powiedz:

Niech idą... później, później im odpowiem.

Jaksa.

Co ci, królowo?... co to znaczy?...

Powiedz:

Wanda.

Niech przyjdą później...

Spełnię, gdy tak każesz.

Jaksa.

(Do Żołnierzy).

Bracia, królowa w tej chwili nie może

Dać odpowiedzi, lecz da ją niedługo.

Idźcie w pokoju i miejcie otuchę,

Że co się godzi, uczynionem będzie.

(*Oznaki niezadowolenia i szmer między Żołnierzami*).

Żołnierz.

Będziemy czekać, gdy taka jej wola,

Choć myśleliśmy, że chętniej wysłucha

Naszych próśb — trudno! Dalej, bracia, pójdźmy!

(*Żołnierze wychodzą*).

SCENA 5.

Wanda. Imram. Jaksa.

Jaksa.

Wahania twego zrozumieć nie mogę,

Czemu ta trwoga? dlaczego odwlekasz

To, co od razu zrobić należało?

Imram.

On dobrze mówi: czemu to wahanie?

Idź, stań na czele i ratuj ojczyznę!

Ona to usta tych ludzi mówiła,

W ich głosie bogów głos słyszeć się dawał:

Ty jedna jeszcze ocalić nas możesz!

Teraz jest jasnym dla mego pojęcia,

Czego zrozumieć nie mogłem niedawno.

Podczas rozprawy widziałem w żołnierzach

Jakiś zapału brak i zniechęcenie;

Szli przeciw wrogom, ale jakby z musu,

Bili się ślepo, dali się zabijać,

Jak gdyby duszy nie było w ich ciałach —

Wszystko dlatego, jak teraz poznaję,

Ze im, królowo, brakowało ciebie!

Szcześnie się zdało od nich odstępować,

Gdyś ty zdaleka od ich szyków była;

Sprawa, za którą oddawali życie,

Była już naprzód w ich myśli przegrana,

Kiedy sądzili, żeś ty dla niej obca
I obojętna, lub zwątpiła o niej!

(Podaje jej swój miecz).

Dalej, królowo, porzuć tę bezczynność,
Obecność twoja może wszystko zmienić,
Bierz ten miecz, bierz go, nie odtrącaj, błagam,
On w twojej dłoni może być zbawieniem!
(Wciska jej miecz do ręki).

Wanda. O ten miecz! gdyby w nim było zwycięstwo,
Niebezpieczeństwo gdyby zdołał wstrzymać,
Gdyby potoki krwi mógł zastanowić,
I nie mniej od nich straszne łez potoki!...
Nie, nie!... nie dla mnie już ten miecz!... nie dla
[mnie!]

Czyste go tylko mogą dźwigać ręce —
Jam już niegodna służyć za narzędzie
Dobroci bogów, jednać szczęście ludom!
Wy się nie dziwcie temu co powiadam,
Gdy tego trzeba, otom ja gotowa
Głęb mego serca przed wami otworzyć.
Patrzcie! to serce słabe już, bezsilne,
Ono straciło wszelką ufność w siebie,
Ono się dało zwątpieniu na pastwę,
Bo tyle ciosów w nie już uderzało,
Że jemu trudno wiarę w siebie wzbudzić,
By przeznaczeniem nie było niebiosów
Dokończyć kary, zgubić je do szczętu,
A z niem pospołu wszystkich, co mu bliżczy!...
To serce pełne ciężkich jest wyrzutów,
Bo tylu nieszczęść stało się przyczyną;
Kiedy raz pierwszy zeszło z prawej drogi
W chwili, gdym oprócz miłości narodu
Poczuła inną miłość w mojem łonie,
Jam już upadła — i całej przeszłości
Jam się zaparła i sprzeniewierzyła
Wszystkim najświętszym moim obowiązkom!
Dlatego, patrzcie, przyszła za tem kara:
Nowy krwi rozlew, klęska i niesława...

O, tego miecza w rękę mi nie dajcie!
Onby bezwładny upadał do ziemi,
Onby jednego nie wymierzył ciosu,
Bo gdybym wzniosła go na szyki wrogów,
Cień zabitego stanąłby mu w drodze,
Jabym widziała go, jak kroczy blady
I zakrwawiony przed pułkami Niemców,
I jabym siły nie miała tym mieczem
Na nich uderzyć!... O precz, precz z orężem!
(*Miecz wypada jej z ręki*).

- Imram.** Biedna, nieszczęsna, rozumiem jej duszę!
Jaksa. Niestety! więc już po naszej królowej,
Tak bohaterskiej, tak mądrej, tak dzielnej!
Wanda. Tak, nic dobrego już wam nie przyniosę,
Ode mnie zguby może się ojczyzna
A nie ratunku spodziewać — bogowie
Mogą ją przekląć z mojego powodu,
I ze mną razem w otchłań ją pogrążyć! —
Jakso, idź teraz do żołnierzy. Może
Przez wzgląd na siwe twe włosy łagodniej
Nieprzyjemnego przyjmą treść poselstwa;
Mów im ode mnie, niech sobie obiorą
Innego wodza, niech wezmą człowieka
Chociażby z gminu, najniższego stopnia,
Byle takiego, w którym mają ufność,
Że będzie dla nich obrońcą i zbawcą:
Ktokolwiek będzie, każdego potwierdzę.
(*Jaksa wychodzi*).

SCENA 6.

Wanda. Imram.

- Wanda.** Słaba nadzieja w tem postanowieniu;
Przystałam na to, by spełnić co chcieli,
Lecz w to nie wierzę.
Imram. Ja również, królowo;
Wierzyłem tylko w ciebie, a gdy wiare

Ty sama w siebie straciłaś, ratunku
Nie widzę znikąd.

Wanda.

A jednakże trzeba
O nim pomyśleć... o, trzeba go znaleźć!
Z orężem w rękę ja was nie wybawię,
Ja nie odniosę zwycięstwa, któreby
Was ocaliło i mnie znów podniosło,
Nic dla ojczyzny uczynić nie mogę —
Oprócz jednego, że siebie poświęcę
Dla jej całości...

Imram.

O czym myślisz, pani?...

Wanda.

Cicho! czy słyszysz tam jakieś okrzyki?...

Głosy

(*za sceną*).

Niech żyje Zbygoń! — Zbygoń naszym wodzem!

SCENA 7.

*Wanda. Imram (wchodzą) Mszczug, za nim kilku innych
Wojewodów. Żołnierz.*

Mszczug (*zobaczywszy Wandę, zatrzymuje się z innymi
nieco w głębi, i mówi do niej*).

Pod twoim bokiem czy wiesz, co się dzieje?

Oto tam zgraja niesfornych żołdaków

Wybiera wodza, jak gdyby na świecie

Nas wojewodów już więcej nie było,

Wybiera wodzem jakiegoś Zbygonia...

A wiesz, kto Zbygoń? To Lech, nie kto inny —

Lech brotobójca, bannita i zdrajca,

Co teraz znowu, by tronem zawładnąć

Szkaradny spisek uknuł przy pomocy

Występnej żony mej, która mi z domu

Uciekła, lecz mej zemsty nie uciecze.

Jeden z żołnierzy — widzisz go tu z nami —

Co przekupiony był równie do zdrady,

Odkrył przede mną ten zbrodniczy zamach.

Jeżeli berło z twoich rąk wypada,

To nikt, chociażby nie był takim zbrodniem

Jak Lech, nie może gwałtem go wydzierać,

Ani brać w spadku, bo to własność nasza,
Na chwilę tylko królom pożyczona;
Wojewodowie, my tylko możemy,
Gdy nasza wola, postanawiać królów.
To powiedziałem, byś się nie dziwiła
Temu, co będzie. Teraz za mną, bracia,
Śmiało, w zarodku trzeba zdławić zbrodnię!

*(Dobytą miecza, i wychodzi prędkim krokiem, za nim Wo-
jewodowie i Żołnierz).*

SCENA 8.

Wanda. Imram.

Wanda. Coraz straszniejszy zamęt!... Wszystkie, widać,
Piekielne moce na nas się sprzysięgły!
Do innych nieszczęść jeszcze bój domowy,
Zdrady, niezgoda i braterska walka —
Oto czem grozi przyszłość tej krainie!
Tak, z pod stóp naszych ziemia się usuwa,
I czarna otchłań otwiera swą paszczę,
By pożreć ludzi i wszystkie ich dzieła...
Ta głodna paszcza nie zamknie się wprzód,
Aż się nasyci... coś rzucić jej trzeba,
Ażebym resztę ratować!...

Imramie,
Mogę być pewną twego posłuszeństwa,
Czyli wypełnisz każdą moją wolę,
Choćby ci zdało się, że jest szaloną,
Że jest występną?...

Imram. Rozkazuj, królowo —
Wszystko wykonam — tak powiadam: wszystko!
Choćbyś kazała chwycić mi za topór,
I nim uderzyć w posąg najwyższego
Z bogów świątyni — pójdę i uderzę,
I będę pewny, że tak zrobić trzeba,
Że tak się godzi, bom się przyzwyczaił
W każdym twym czynie widzieć sprawiedliwość
I wielkość duszy.

Wanda. Idź zatem do Niemców...

Imram. Do Niemców?...

Wahasz się?...

Wanda.

Nie!... słucham tylko.

Imram.

Wanda. Powiedz wodzowi, że ja pragnę wojnę
Skończyć koniecznie. Ponieważ ja tylko
Byłam powodem jej, co chce niech żąda
Od mej osoby, na wszystko się zgodzę,
Wszystko przyjmuję... czy rozumiesz: wszystko!...
Choćby mu zdało się to niepodobne
Do wiary... choćby miał zażądać tego,
Co się naturze sprzeciwia człowieczej —
Jam dać gotowa zadośćuczynienie
Jego boleści, jego chęciom zemsty...
To wszystko... teraz idź!

Imram.

Idę, królowo,
I twych rozkazów spełnić się nie waham,
Choć pod słowami, które usłyszałem,
Czuje okropną rzecz. Jam na to mężny,
Zahartowany całymi dziejami
Twojego życia; ja, com widział tyle
Cierpień, po twojem przechodzących sercu,
A ciebie zawsze wyższą nad cierpienia!
Wiem, że najcięższą wypełnisz ofiarę,
A pod boleścią nigdy się nie ugniesz,
Że ją zwyciężysz ze spokojem bogów!
Patrz, jak dalece za twoim przykładem
Zdołałem przemódz wszystkie głosy serca,
Wszystko wyplenić z niego, co się zowie
Uczuciem ziemskim, samolubną chęcią,
Gdy teraz idę smutny, lecz spokojny,
Spełnić twój rozkaz okropny — ten rozkaz,
Co może zgubą twoją być i śmiercią,
Bo wiem, że on jest twoim wielkim czynem,
Że bohaterskim jest postanowieniem!

(Wychodzi).

Wanda (sama). Dzielnym Imramie, twe serdeczne słowa
Są mych zamiarów nowym utwierdzeniem.

Tak, to nie więcej, jak prosta powinność,
To rzecz zwyczajna, to rzecz co być musi
I która wszystkich zdziwiłaby pewnie,
Gdyby nie była! — Mej wzburzonej duszy
Ta myśl spokoju dodała i siły...
Byleby tylko mściwy Olaf przyjął
Moją ofiarę i na niej poprzestał!
Jak na przybycie lubego dziewica,
Tak ja wyteżam niecierpliwie ucho,
Czy wieść już idzie, że mój wyrok zapadł.

(Usiada na kamieniu u stóp jednej z baszt na przodzie sceny).

SCENA 9.

W głębi pokazują się Lech i Swatawa, którzy cofają się przed następującymi na nich Mszczugiem i kilku innymi Wojewodami. Za tymi ciśnie się bezładnie gromada Żołnierzy sprzyjających Lechowi, a wreszcie Jaksza i kilku Wojewodów z inną znów gromadą Żołnierzy.

Mszczug *(wywijając mieczem).*

Śmierć tobie, zdrajco!

Swatawa.

Tobie śmierć, zbrodniarzu!

Mszczug. Ty ładaczniczo, pięścią cię utłukę!

Swatawa *(uderzając mieczem).* Masz!

Mszczug.

Ha, chybiłaś!

(Do Wojewodów). Bijmy ich!

Swatawa.

Żołnierze,

Brońcie swojego króla!

Mszczug.

Na nich, na nich!

(Lech i Swatawa cofają się za scenę, za nimi Mszczug będący koło niego Wojewodowie, wreszcie Żołnierze wznoszący krzyk: Lech król!)

Jaksza.

Stój, Mszczugu! Miecz sprawiedliwości

Do samej tylko należy królowej!

(Do swych Ludzi).

Żołnierze, rozlew wstrzymajmy krwi bratniej!

(Wychodzi za innymi wraz ze swymi Ludźmi).

Głosy za sceną. Morderstwo, zbrodnia!... Śmierć, zguba
[Mszczugowi!...

(*Słysząc głośne i niewyraźne krzyki całego tłumu.*)

Wanda (która z przerażeniem na tę scenę patrzyła).

Ha, straszny koniec bolesnych mych rządów!

(*Jaksa wchodzi, Wanda postępuje naprzeciw niemu.*)

Jaksa. Napróżno!... Krwawe przynoszę ci wieści...

Mszczug zabił Lecha w osobie Zbygonia

I własną żonę, ale w tejże chwili

Sam padł od ręki mściwego żołnierstwa.

Można się lękać, że przyjdzie do rzezi

Między zabitych obu stronnikami,

Więc tam powracam, by ile możliwości

Utrzymać w korbach wzburzone umysły.

(*Wychodzi.*)

Wanda. Czas, czas ostatni powstrzymać te fale,

Bo nas potopem zaleją!... wytchnienia

Trzeba tej ziemi nawiedzonej srodze.

(*Słysząc głos rogu.*)

To Imram wraca!... Ten dźwięk mi ogłasza,

Że nie sam jeden... a więc się spełniło,

Czegom pragnęła!

SCENA 10.

Wanda. (Wchodzą) Imram i Olaf.

Olaf. Witam cię, królowo.

Tak mi się dziwne zdało twe żądanie,

Tak niepodobne jest do wykonania,

Że sam przyszedłem, aby cię przekonać,

Że mych warunków wypełnić nie możesz.

Wanda. Mów, czego żądasz — słyszałeś, że wszystko

Przyjąć gotowam...

Olaf. Wszystko, tylko nie to

Czego ja żądam — bo ja żądam wiele...

Wanda. Powiedz otwarcie!...

Olaf. Poprzysiągłem sobie,

Przysiągłem ceniom zabitego brata,

Ze wprzódki miecza nie włożę do pochwy,
Póki ty żyjesz — że tylko śmierć twoja
Może zadosyć uczynić mej zemście
I wojnę skończyć...

Wanda.

Tylko śmierć, Olafie?...
Nic więcej?... Bogi, niech wam będą dzięki!
A ja myślałam, że hańba, niewola,
Że coś gorszego!... O, niewiele żądasz!
Tyle, co każdy człowiek obrażony
Wymagać może... ile sprawiedliwość
Ludzka wymaga... Pomyśl, że nic więcej
Tylko śmierć moja!... I któżby się wahał,
Jeśli za życie jednego człowieka
Tysiącom może dać szczęście i spokój...
Tak mało żądasz!...

Olaf.

Co mówisz, królowo,
Miałabyś przyjąć ten warunek?...

Wanda.

Przyjmę
I spełnię. (*Wychodzi*).

Olaf (*do Imrama*).

Wodzu, co to wszystko znaczy?...
Gdzie ona idzie?...

Imram.

Umrzeć!

Olaf.

A ty stoisz
Tak nieruchomy?...

Imram.

Ona chce umierać —
Wielkiemu dziełu nie trzeba kłaść tamy!

Wanda

(*pokazuje się w głębi na jednym z zewnętrznych murów*).

Olafie, będą spełnione twe chęci,
U stóp tych murów płyną Wisły fale,
Za chwilę toń ich pochwyli me ciało,
Duszę bogowie zabiorą podziemni...

Pomnij, Olafie, dotrzymać przyrzeczeń,
Jak ja mojego dotrzymuję słowa!

Brat twój pomszczony — widzisz? ja umieram!

(*Skacze z muru. Imram odkrywa głowę i uklęka zwrócony w stronę Wandy*).

Olaf. Bogi, nadludzka w tej kobiecie cnota!
Więc koniec wojnie! O bracie, twym ciniom
Złożyłem wielką, wspaniałą ofiarę,
Jakiej dotychczas największy z mocarzów
Na pogrzebowym nie otrzymał stosie!

SCENA 11.

Imram. Olaf. (Wchodzą) Jaksa, Wojewodowie. Żołnierze.

Jaksa. Ha, bogom dzięki, powrócił już spokój
I buntownicy uznali swą winę...

(Spostrzegając Imrama).

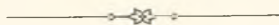
Co się to znaczy?... Imram, odpowiadaj!...
Gdzie jest królowa?...

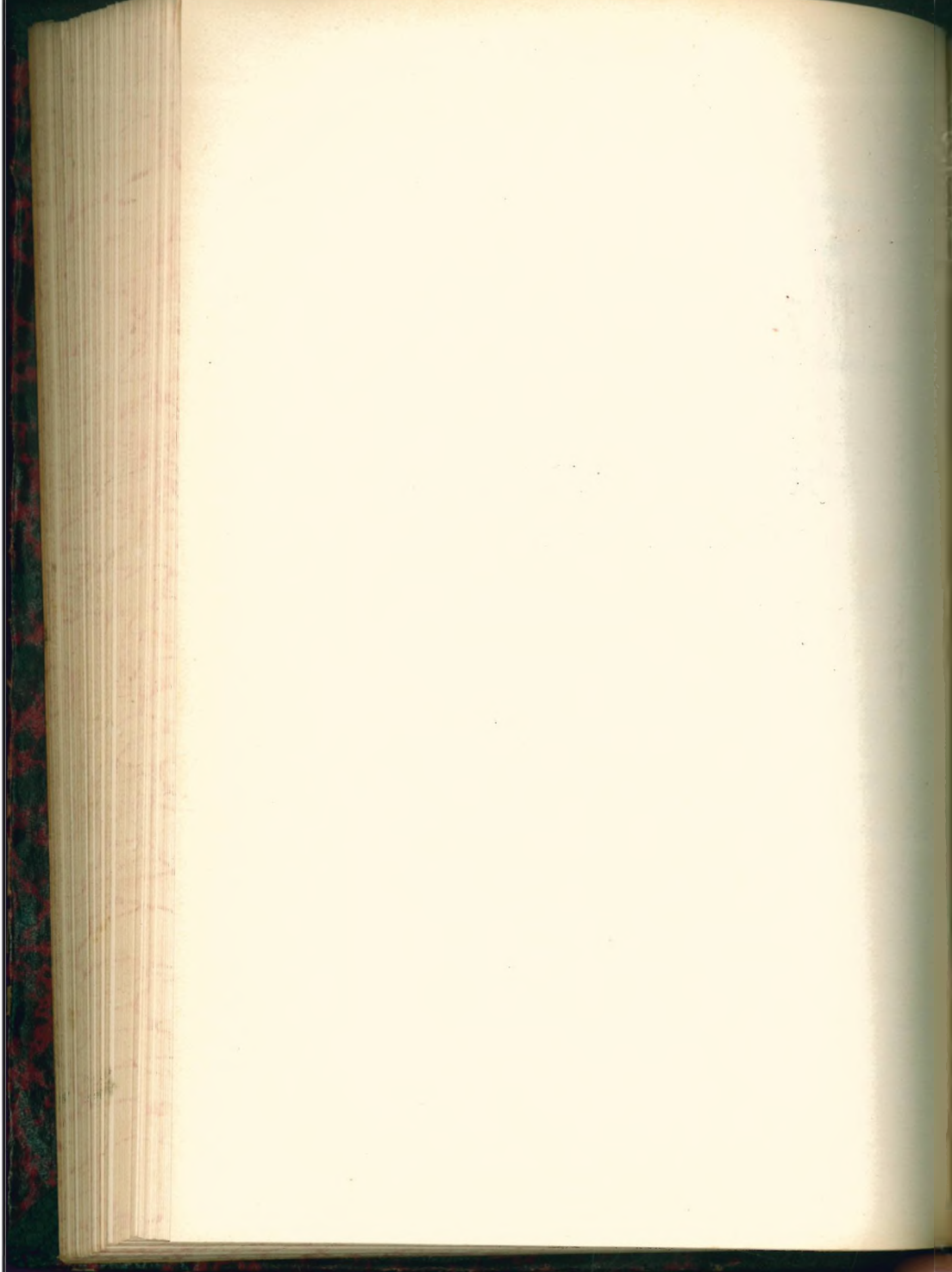
Imram *(ciągle kłęczący, wskazując ręką w górę).*
Pomiędzy bogami!



KORONA LECHÓW.

DRAMAT W 5 AKTACH.





OSOBY:

Krak, wojewoda, później król.

Wanda, jego córka.

Lech, } jego synowie.

Krak, }

Chrowat, } wojewodowie.

Luba, }

Hagan, książę Obrzymów.

Welida, jego żona.

Tuga, wróżka.

Wisław, } kmiecie.

Martwiec, }

Chramis, jeden z wodzów Obrzymów.

Kapłan.

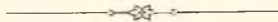
Sługa Lecha.

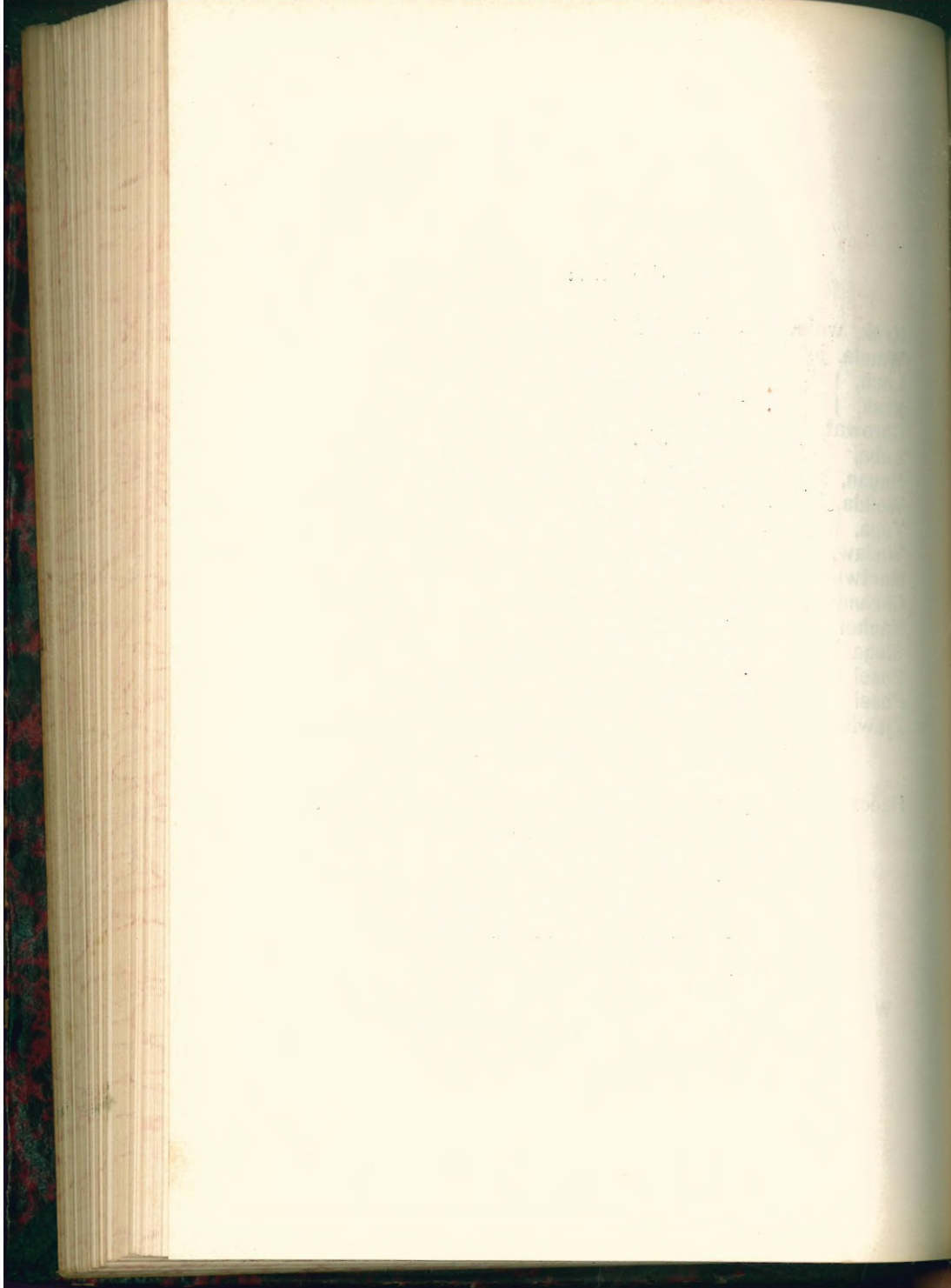
Posel od Franków.

Posel od Obrzymów.

Zjawiska pojawiające się Krakowi. Strzelcy. Żołnierze.
Robotnicy. Orszak Dziewic. Lud.

Rzecz dzieje się w czasach przedhistorycznych w różnych
stronach Chrobacyi.





KORONA LECHÓW.

AKT PIERWSZY.

Izba w domu Kraka. Drzwi w głębi i po lewej stronie; na prawo, na przodzie sceny, duży stół, przy nim dwie ławy, dalej dwa stołki. Na stole kilka mis i chlebów, duży dzban. Po lewej stronie, nieco w głębi, mniejsza ława, na której stoi misa z wodą. Na ścianach łuki, miecze, szyszaki i skóry niedźwiedzie.

SCENA 1.

Wanda i Tuga, wróżka, (stoją obok ławy, na której misa z wodą).

Tuga. Królewna!... Będziesz, ty będziesz królewną!...

Wanda. Ech, dajcie pokój!

Tuga (*patrząc w wodę na misie*). Tak tutaj powiada

Z świętej krynicy zaczerpana woda.

Widzę wyraźnie, jasno, czysto, widno:

Świetna ci przyszłość rokuje się, córko,

Wielkie bogactwa, zaszczyty i sława...

Korona — widzę — korona wyraźnie

Na twojej głowie!...

Wanda.

Nie mąćcie mi myśli.

Korona?... skądże?... U nas niema królów;

Dawno, po Lecha ostatnim potomku,

Wojewodowie zajęli ich miejsce —

A ja prostego wojownika córka,
Biedna dziewczyna, jakżebyś mogła
Do tej świetności?

Tuga.

Nie zmienisz wyroków!
Co chcesz, mów sobie, ty gołąbko biała,
Na twojej skroni zabłyśnie korona,
Jak mię tu żywą widzisz, jak na niebie
To słońce świeci.

(Głównemi drzwiami wchodzi Lech i Krak syn).

SCENA 2.

Wanda. Tuga. Lech. Krak syn.

Lech (rzucając łuk w ką). Ha, przeklęte łowy!

Wanda (zbliżając się do niego).

Co ci to, bracie? Skąd na twojem czole
Ta chmura? (Lech milczy).

Krak syn.

Gniewny, bo chybił jelenia.

Lech. Lecz ty go za to ubić miałeś szczęście...

Krak syn. Przecież strzał pierwszy tobie zostawiłem...

Lech. Prawda, by lepiej pokazać swą wyższość...

Wanda. Nie mów tak, Lechu, nie krz; wdź darmo Kraka,
On dobrym bratem zawsze jest dla ciebie,
Kocha cię bardzo, i radby ci nieba
Przychylił...

Lech.

Co mi przyjdzie z tej miłości,

Kiedy dla siebie zabrał całe szczęście;

Jemu we wszystkim wieszcie się, on zawsze
Pierwszy przede mną...

Krak syn.

Nie martw mię tak, Lechu!

Serce mię boli, kiedy z ust twych słyszę,
Ze na mą korzyść los cię upośledził —

Mylisz się, łudzisz, jeżeli tak sądzisz;

Wszyscy, ja pierwszy, dobrze tobie życzą,
A bogi zawsze dla ciebie łaskawe.

Tuga (zbliżając się do Wandy).

To twoi bracia?... podobni, podobni —

(Pokazując na Kraka)

A ten szczególnie. Dzielne, ładne chłopcy,
Jaka postawa, jaki wzrok, chód jaki!
Iście królewskie!... Z szczęśliwego rodu
Wy pochodzicie. Bogowie zrobili
Ulubieńcami was swymi, wylali
Wszystkie swe łaski na was... Ha, to widać,
Że was do wielkich przeznaczeń gotują!

Lech (do Wandy). Co to za wiedźma?

Tuga. Mój jasny paniczu,

Ty się nie gniewaj na mnie. Jestem stara,
Biedna, bez domu, chodzę sobie światem
I ludziom wróżę.

Lech. Stara czarownica!

Tuga. Ej, nie! ja tylko dobrym bogom służę,
I od nich dar mam widzenia przyszłości.
Ja tu już twojej siostrze wywróżyła —
O! wiele pięknych, bardzo pięknych rzeczy...
Pójdźcie, panicze, zbliźcie się tu trochę,
To woda z świętej czerpana krynicy,
I wam coś powiem...

Lech. Ty czytasz w przyszłości,
Możesz powiedzieć, co w jej ciemnym łonie
Spoczywa?... (Zbliża się kilka kroków do Tugi).

Krak syn. Bracie, lepiej dla człowieka
Nie wiedzieć o tem.

Lech (stając bliżej). No, wróż mi, starucho!

Tuga (do Kraka syna).

Pójdź i ty także. Nie bój się wróżb moich,
Z losów twej siostry widzę, że nad domem
Waszego ojca zawisa szczególna
Bogów opieka. Wszystkich też was dola
Opromieniona tą łaską być musi.
Pójdź, pójdź, junaku.

Lech. Pójdźże, gdy cię prosi.
Czyli się boisz, bym się nie dowiedział,
Że twoja przyszłość moją własną zaćmi?

Krak syn. Nie, tego bracie, nie lękam się wcale,
I gdy tak żądasz, niechaj i mnie wróży.

(*Zbliża się do ławy*).

Wanda. Czy im, jako mnie, równie bałamutną
Wróżbę uczyni?... Zaniechajcie tego!...

Lech. Ty siedź tam cicho!

Tuga (*wskazując miejsce*). Stańcie tutaj — dobrze...
Niech ten słoneczny promień was nie dzieli,
Niech równe światło spada z was na wodę.

(*Patrząc w misę*).

Zaraz... już na dnie zaczynają rysy
Waszych postaci się zbierać... już widzę...
Widzę... to dziwna!... widzę obu razem,
Jednakich... czary jakies w to się płaczą...
Tfu! odejdz, siło nieczysta!... Ha! teraz
Wyraźniej... Świetność — sława — wielka sława!...
Cześć wam... korona, i tu znów korona!...

Lech. Korona?... Kłamstwo!...

Tuga. Na bogów! tak widzę.

Lech. Kto ma koronę?...

Tuga. Krzyknałeś, zjawisko

Nagle zniknęło...

Lech. Patrz dalej, koronę

Który z nas nosi?... Widzisz już? nie widzisz?

Tuga. Cicho, sza!... patrzę... (*Pauza*) Nic więcej nie
[widać,

Nic się już w świętej wodzie nie maluje,
Snać przeznaczenie jeszcze nie gotowe,
I woła bogów nie dosyć stanowcza.

Lech (*odstępując od ławy*).

Korona!... Głupie to habskie gadanie,
A głupi człowiek dałby mu się schwytać
I truć się myślą... (*Wchodzi Krak*).

SCENA 3.

Wanda. Tuga. Lech. Krak syn i Krak.

- Krak.** Już powróciliście...
Widziałem waszą zdobycz na podwórzu —
Ładna zwierzyna. Ja jeździłem konno
W wielkie węży. Straż pilną i czujną
Wszędzie zastałem. Cicho dookoła,
Napady wrogów znikąd nam nie grożą —
Bodaj tak zawsze! (*Do Wundy*). A kto ta nie-
[wiasta?
- Wanda.** Przyszła w południe do naszego domu,
Prosząc schronienia i kawałka chleba,
W twoim imieniu dałam jej gościnność,
Bo wiem, że chętnie przyjmujesz pod strzechę,
Gdy do wrót biedak lub wędrowiec puka.
- Krak.** Dobrześ zrobiła, Wando.
Tuga (*kłaniając się do nóg Krakowi*). Niech bogowie
Waszą łaskawość stokrotnie nagrodzą.
Biedna ja, biedna i sama i stara,
A długą drogą sterana okrutnie.
- Krak.** Skądże idziecie i dokąd?
Tuga. Zdaleka,
Strasznie zdaleka. A dokąd? to raczą
Wiedzieć bogowie. Ot, idę przed siebie,
Gdzie oczy niosą, uciekam ze strachu
Przed wojną, mordem i krwawymi łzami,
Którymi ludzie w moich stronach płaczą.
- Krak.** Więc skąd jesteście?
Tuga. Z ponad dużej Wisły,
Aż stamtąd, panie.
- Krak.** Stamtąd!... z biednej ziemi —
Strasznie ją wrogi dręczą...
- Tuga.** Strasznie, panie!
Codzień się leje krew; wsie, grody płoną,
Dawni panowie dziś niewolnikami,
W pług ich wprzęgają jak nieme bydła
Obcy najeźdźcy, a żony ich gwałcą,

Od piersi matek biorą niemowlęta,
Duszą je w rękach i psom na pożarcie
Jak kość rzucają!...

Wanda. Przestań, przestań, matko!...

Serce się ściska na myśl, że są ludzie,
Co tyle cierpień zniesić muszą i mogą!

Krak. O bogi! za co wasz gniew tak okrutny!
Każdy jest grzeszny, kto żyje na ziemi,
I lud niejeden więcej grzeszny od nas,
Lecz my jedynie tak ciężko dotknięci!

Tuga. Niedługo więcej tu skarg usłyszycie
Podobnych mojej. Kto może, ucieka
Przed okrucieństwem i dzikością wrogów,
Pełne już lasy tułaczów i zbiegów,
I w wasze strony tutaj pcha się wszystko
Szukać przytułku i schronienia głowy,
Jak zwierz, co zmyka przed psami myśliwca
W największe gąszcze i ciemne ostępy.

Krak. Nas jeszcze bronią tu lasy i góry,
Jeszcze ni Franki, ni dzikie Obrzymy
Do naszych siedlisk dotrzeć nie zdołali.
Lecz kto wie długo naszego spokoju?
Może i na nas runie ta nawała,
I nas jak innych pod sobą przygniecie.
Słuchaj mię, Lechu, i ty Krak, słuchaj!
Ja już na progu starości, ja pewnie
Już nie doczekam tej chwili, gdzie naród
Za krwawe krzywdy zapragnie odwetu:
Ale wy młodzi, wasze ramię silne,
Więc pamiętajcie, gdy ten czas nadejdzie,
Ostatnią kroplę krwi wylać, a zrzucić
To straszne jarzmo i pomścić się za nie!

Krak syn (*półgłosem do Wandy*).

Patrz, jak zbolały, jaki znów cierpiący,
Jak zawsze, kiedy wciąż otwartą ranę
Nieszczęść ojczyzny podrażni wspomnienie.

Wanda. Biedny nasz ojciec!... Pójdźmy stąd, odejdzmy:
W takiej godzinie on samotność lubi.
(*Na znak Wandy odchodzą wszyscy prócz Kraka.*)

SCENA 4.

Krak (*sam zadumany*).

I cóż mi z tego, że szczęście mam w domu,
Że mi się chowa córka, jako gwiazda
Czysta i jasna, że moi dwaj chłopcy
Tędzy i dzielni, że moje stodoły
Pełne są ziarna, a obory bydła:
Gdy codzien jakaś wieść ze świata przyjdzie,
I gorzej żmii ugryzie mię w serce.

(*Usiada na ławie przed stołem, wspiera głowę na ręce*).

Sroga niewola, ucisk i cierpienia:
To nasz powszedni chleb; życiem i mieniem
Rozrządza z podłych najpodlejszy; bogi
I obyczaje nasze, nasza mowa
Prześladowane, wyklęte, w pogardzie!...
Zdawałoby się, że podobnej doli
Nikt nie wytrzyma, że mąk takich strasznych
Nie zniesie żadna natura człowiecza —
A przecież znosić musimy i znosim,
I końca naszych nie widzimy nieszczęść!...

Głos Wisława (*za sceną*).

Kraku, hej, Kraku! czy jesteście doma?

Krak (*budząc się z zamyslenia, wstaje*).

Ha, zadumałem się!...

(*Idzie do drzwi w głębi, otwiera je i mówi na zewnątrz*).

Cóż tam, sąsiedzie?

(*Wisław i Martwiec wchodzą*).

SCENA 5.

Krak. Wisław i Martwiec.

Wisław. Z nowiną do was idziemy.

Krak.

A z dobrą?

Teraz nowiny dobre rzadkim ptakiem.

Wisław. Zdaje się z dobrą.

Martwiec. Przygotujcie, Kraku,
Miodu, kołaczów i mięsiwa sporo,
I weźcie do rąk chleb i sól, bo goście
Zdążają do was, a z dalekiej drogi,
Jak po nich widać.

Wisław. Gości huk, a wszystko
Znaczne osoby. I konno i wozem
Długi się poczet po drodze posuwa,
Lśnią miecze jasne, miedziane szyszaki,
I złotogłowy migają się krasne.
Dwóch wojewodów: Mikrosza i Łubę,
Pomiędzy nimi poznałem, a inni
Nie mniejsi od nich zdają się godnością.
Czeladzi z nimi i żołnierzy mnóstwo.

Krak. Nie wiem, coby ich do mnie sprowadzało,
Jeśli nieszczęście tu ich nie sprowadza.

Martwiec. Ej, nie, mój Kraku, coś innego będzie,
Bo twarze u nich poważne lecz jasne,
Jak gdyby w sercu dobra myśl gościła.
W tych srogich czasach, kto w odświętnej szacie,
Z licznym orszakiem w gościnę zajeżdża,
Temu nadzieja jakiejś lepszej doli
Zrzucić kazała powszednią żałobę.

Wisław. Dowiesz się wkrótce, bo oni już tutaj.

*(Słysząc za sceną tentent koni, skrzypienie wozów i głu-
chy gwar ludzi).*

Martwiec. Łasce was bogów polecamy, Kraku,
Cieszcie się dobrze ze swoimi gośćmi.

Krak. Bywajcie zdrowi, dzięki za wiadomość.

*(Wisław i Martwiec wychodzą. Krak bierze misę z bochen-
kiem chleba i z solą, otwiera drzwi główne i staje przed
domem. Pięciu przybyłych Wojewodów zatrzymuje się przed
progiem).*

SCENA 6.

Krak i pięciu Wojewodów.

Krak (*przed progiem stojąc*).

Solą i chlebem i imieniem bogów
Według zwyczaju przodków was przyjmuję
W progu mej chaty.

Chrowat.

Witajcie nam, Kraku!

Chleb z wami łamiem i sól spożywamy,
Życząc wam szczęścia z całym waszym domem.
(*Ściskają się za ręce*).

Krak.

Wejdźcie do środka.

Prowadźcie nas przodem.

Chrowat.

(*Wchodzi Krak, za nim pięciu Wojewodów*).

Chrowat. Cóż, poznajecie nas?

Krak.

Poznaję dobrze,

Mimo lat mnogich niewidzenia. Wszyscy
Druhowie starzy po mieczu i sercu:
Chrowat, Świetosław, Łuba, Wilk i Mikrosz.
Witajcie, bracia! (*Ściska się z nimi po kolei*).

Lepsze, zda się, czasy

Z waszem przybyciem wstąpiły w me ściany!
Siadajcie, proszę, wypocznijcie z drogi,
Rada wam chata moja czem bogata —
(*Klaszcze w dłonie*). Hola, hej, hola!

Łuba.

Dajcie pokój, Kraku.

Usiąść możemy, bośmy z długiej drogi,
Lecz miód i kołacz zostawmy na później;
Tak ważne sprawy nas tutaj przywiodły,
Że zanim tkniemy jadła i napoju,
Wprzód o nich z wami pogadać musimy.

Krak.

Jak wola wasza.

(*Przysuwa dwie ławy na środek sceny. Wojewodowie siadają na nich. Krak nieco z boku na stołku*).

Chrowat.

Powiem wam odrazu,

O co nam chodzi. Chcemy się ratować!...

Krak

(*powstając żywo*). Jestem do tego pierwszy.

Chrowat.

Przebrała złego. Wzięły nas za bary
Dwa silne wrogi, zwały na ziemię
I duszą. Niema nas — niema ojczyzny —
Z powierzchni ziemi została zmieciona
Jako liść wiotki, gdy gwałtowny wichur
Z północy wionie.

Już się miara

Krak.

Powiedzcie, co czynić!
Krew mą i życie, życie dwóch mych synów,
Wszystko me mienie, sługi me, mą czeladź,
Żołnierzy moich, oddam wam tej chwili,
Gdzie tego będzie żądała ojczyzna.

Chrowat.

To nie wystarczy, Kraku. Poświęcenie
Jednego człeka, choćby miał to serce
I tę gorliwość co ty — to nie dosyć.
Każdy z nas może gotówby poświęcić
Siebie i swoich najdroższych — i wszyscy
Pomimo tego moglibyśmy zginąć.
Nam trzeba naprzód siły — wielkiej siły —
Potrzeba mocy, coby wyrównała
Potędze wrogów. Najściślejsza jedność,
Nierozzerwana spólność może tylko
Do odzyskania wolności nam pomódz.

Krak.

Święte to słowa z twoich ust wychodzą:
Czemuż tak zawsze nie byliśmy mądry!

Chrowat.

My, do niedawna panowie w tym kraju,
Wojewodowie, my jesteśmy niczem
Wobec przewagi naszych nieprzyjaciół.
Pierwotną siłę i moc tego państwa
Rozdrobniliśmy, rozdarli na części,
Gdyśmy po śmierci ostatniego z Lechów
Nie chcieli więcej mieć królów nad sobą,
I dogadzając swojej żądzy władzy,
Ojczyznę całą pokrajali w sztuki
Jak płachtę sukna, każdy robiąc siebie
Na swym kawałku niezależnym panem.
I po jednemu, każdego z kolei,
Dłoń najeźdźników złamała nas łatwo

Jak różgi, które rozbiegły się z pęku...
Straszna nauka otwarła nam oczy...
Gdy samolubstwo wespół z brzydką pychą
W grób nas wtrąciły, potrzeba się otrząść
Z tych niecnych przywar, dla dobra ojczyzny
Swych osobistych wyrzec się korzyści.
Więc powiadamy: dosyć już tych rządów
Wojewodzińskich — chcemy znów mieć króla!
(*Wojewodowie wszyscy powstają z ław*).

Krak.

Tak, króla — coby w swej ręce zjednoczył
Całą ojczyzny moc, coby miał siłę
Postawić czoło zuchwałym najeźdźcom,
Stłumił wewnętrzne zdrady i niesnaski!
O, gdy was bogi tą myślą natchnęły,
Nie ociągajcie się, spełńcie wasz zamiar,
I jak najprędzej obierajcie króla!
Jużeśmy, Krak, obrali.

Łuba.

Krak.

I kogo?
Powiedzcie, żebym wiedział, w kim mam uczcić
Zbawcę ojczyzny i mojego pana.
Już obralście... kogo?... kogo?...

Łuba.

Krak (*ustępując krok w tył*).

Co mówisz, Łuba?...

Chrowat.

To, co on powiedział,
My wszyscy tutaj powtórzymy zgodnie;
A my wraz z tobą, to wszystko, co jeszcze
Zostało w kraju z liczby wojewodów;
Czterech poniosło straszną śmierć z rąk wroga,
Dwóch na sromotnem tuła się wygnaniu;
Więc w swem i tamtych imieniu mówimy:
Ty nam bądź królem, ciebie nim mieć chcemy!

Krak.

Mnie?... lecz dlaczego mnie?... Weźcie innego,
Co byłby wyższym, potężniejszym, lepszym...

Łuba.

Tyś jest najlepszy z wszystkich dla nas. Krak;
Tyś jest rozumny — nam trzeba rozumu,
Tyś gospodarny — nam ładu potrzeba,
Kochasz ojczyznę — a bez tej miłości

I poświęcenie dla niej niemożliwe.
Jeden z nas wszystkich zdołałeś obronić
Swą część od wrogów, i gdy nas w proch starli,
Ty się jak twarda oparłeś im skała.

Masz rozum, serce mężne i szlachetne:
Masz wszystko, co mieć królowie powinni.

Krak. Nie, nie, nie mogę... Posłusznym być sługą,
Tem zdołam zawsze być, ale być panem
To trudniej. Ciężka to bardzo powinność,
Odpowiedzialność straszna.

Chrowat. Więc dlatego,
Dlatego właśnie, że ona tak straszna,
My twoje barki obciążyć nią chcemy
W nadziei, że ty pod nią się nie ugniesz,
W tem przekonaniu, że ty sam jedynie
Możesz nas zbawić i wydobyć z więzów.
Patrz na te rzeczy, czem one w istocie.
Rozważ, że robiąc ciebie naszym królem,
Gdy kraj bezsilny jęczy w mocy wrogów,
Gdy chcąc go osiąść, zdobyć wprzód go trzeba,
My nie dajemy nic, ale brać chcemy,
Że nie robimy tobie żadnej łaski,
Lecz dobrodziejstwa żądamy od ciebie.

Łuba. Dziecko przy piersiach matki to zrozumie:
Dla dobra ziemi, dla nas wszystkich dobra
Chcemy twej ręki, serca i sił twoich!

Chrowat. A więc cóż, zgoda?...

Krak (po chwili podając mu rękę).

Zgoda. Niechaj będzie,
Jak chcecie. Biorę ten zaszczyt nie z dumy,
Lecz dla miłości nieszczęsnej ojczyzny,
Dla wypełnienia ciężkiej powinności.
Widzę, że do mnie macie większą wiarę
Niżli do innych, że się wasze serca
Ku mnie skłaniają. To mi także ręczy,
Że obowiązek mój łatwiejszy będzie,
Że prędzej niż kto inny zyskam siłę,
Aby zgnieść wrogów, kraj podnieść z ruiny.

Chrowat. Zgoda, powiedział Krak — słyszyście: zgoda!
Krak naszym królem! Sławna na świat cały

Korona Lechów znów nam zajaśnieje
Na jego skroni. Schylmy przed nim głowy,
Przeszał już równym nam być, a jest panem!

(Wojewodowie obnażają głowy, schylają się do kolan Kraka).
Krak *(wznosząc oczy w górę)*. Dajcie, bogowie, by wasz
[dar wspaniały

W niegodne ręce nie dostał się u mnie,
Bym za cześć, którą ojczyzna mi składa,
Zmazał jej hańbę i rozkuł kajdany!
Luba. Król Krak niech żyje! Pójdźmy tę nowinę
Co prędzej naszym ogłosić orszakom
I tego siola mieszkańcom. Niech wiedzą,
Że mamy króla już, że Krak jest królem,
I niechaj wieść ta po całej krainie
Lotem jaskółki rozbiegnie się wokół,
Niechaj z nią wejdzie ponad naszą ziemię
Słońce wolności po nocy niewoli!

Wszyscy. Niechaj Krak żyje! król Krak niech nam żyje!
(Wychodzą wszyscy głównymi drzwiami, na czele Krak.
Jakiś czas scena pusta. Za sceną słychać okrzyki:)

Krak naszym królem, król Krak niechaj żyje!
(Po chwili drzwiami bocznymi wchodzi: Tuga, Wanda,
za nimi Lech i Krak syn).

SCENA 7.

Tuga, Wanda, Lech, Krak syn.

Tuga. A co, królewno? Ja oszukiwała,
Ja cię łudziła?... A widzisz, królewno,
Ja naprzód tobie wszystko wywróżyła,
Wszystko odgadła...

Wanda. Cudowne to rzeczy!
Choćbym wołała, żeby im nie wierzyć
Możebne było — tak ony mię trwożą!...

- To jakby sen, co śni się człowiekowi,
By za otwarciem powiek gdzieś ulecieć —
A przecież sen ten nie znika, jest prawdą...
- Tuga** (*do Lecha*). Cóż, królewiczu?... jestem głupia baba,
I głupim ludziom chcę zawrócić głowę?
Nieprawdaż?
- Lech** (*biorąc ją za rękę*). Pójdź tu. Przez ten czas nie-
[długi
Wóz przeznaczenia długą odbył drogę;
Co jeszcze było niejasnem niedawno,
To teraz pewnem uczyniły losy.
Pójdź, wróż nam dalej! Te cienie, co pierzchły,
Teraz widomy kształt przybrać powinny.
Pójdź tutaj, Krakusie.
- Krak syn.** Czyż nie wiesz już dosyć?
I czegoż jeszcze dowiedzieć się żądasz?
- Lech.** Chcę wiedzieć... (*Zatrzymuje się*).
Wiedzieć chcę, co nam ta stara
Jeszcze opowie...
- Tuga** (*Stojąc nad misą z wodą*).
Stańcie tak jak wprzódy —
Dobrze... O, prędko wróżby się zjawiają...
Widzę...
- Lech.** Co widzisz?... co?...
- Tuga.** Okropność!.. zgroza!..
- Lech.** Mów wszystko...
- Tuga.** Miecze... krew... potwór z łbem węża...
Jakaś kobieta straszna między wami...
Rozdziela obu... korona .. (*Z głośnym krzykiem*).
Ha!.. (*Odbiega od misy*).
Piekiła!
- Lech.** Mów, coś widziała!
- Tuga.** Nie powiem!..
- Lech.** Chcę wiedzieć...
Słyszysz, chcę wiedzieć!..
- Tuga.** Chociażbyś mię zabił,
Nie powiem ani tobie ni nikomu!
(*Wrywa mu się i ucieka w główne drzwi*).

Wanda *(rzucając się Lechowi w ramiona).*

Lechu, drżę cała, widząc twe wzburzenie...

Lech *(odsuwając ją).*

Odejdź!... Twojego brata przyszłość czarna,

Gdy przestрах wzbudza w tych, którzy ją znają*

(Ochodzi powoli z ponurym wzrokiem. Za nim, wzięwszy się za ręce Wanda i Krak syn).

AKT DRUGI.

Obóz króla Kraka. Zdaleka widać las, bliżej rozbite namioty. W środku sceny otwarty namiot Kraka.

SCENA 1.

Krak siedzi pod namiotem, u jego nóg Wanda. Nieco dalej stoją: Chrowat, Żuba i kilku innych Wojewodów. Poza namiotem kilku Żołnierzy na straży. Poseł Franków i Poseł Obrzymów stoją przed Krakiem.

Krak. Ty, pośle Franków, powiedz swemu panu,
Do dalszej wojny że nie mam powodu,
I wieczny pokój zawieram z nim chętnie,
Gdym go pokonał i wyrzucił z kraju,
Który chciał podbić i ciemniejszy długo.

Poseł Franków. Los wojny wypadł na twą korzyść, królu;
Dziś dla nas zaszczyt w tak dzielnym zwycięzcy
Mieć przyjaciela, więc lat tobie długich
I czci wszelakiej król nasz odtąd życzy.

(Oddaje ukłon i wychodzi).

Krak. Ty zaś wysłańcze obrzymskiego króla,
Zaniś ode mnie tę wiadomość panu,

Że do prósb jego mogę się przychylić,
I wolny odwrót przez góry dam hordom,
Które mym mieczem dobrze przetrzebiłem —
Niech mi się tylko wynoszą co rychlej,
Bo mi spokoju trzeba dla mej ziemi,
Dla ludu długim znękanego bojem.

Posel Obrzymów. Wspaniałomyślny królu, przyjmij dzięki!
Nigdy już odtąd na ziemi państw twoich
Noga żadnego z Obrzymów nie stanie.
(*Oddaje ukłon i chce odejść.*)

Krak. Stój, słuchaj jeszcze!

Posel Obrzymów (*zatrzymując się*). Co rozkażesz, królu!

Krak. A z tym Haganem co będzie? Dlaczego
On się dotychczas nie ruszył z Wawelu,
I zrobił z niego swe zbójckie gniazdo?
Codziennie skargi do mnie idą nowe,
I narzekania tamecznych mieszkańców,
Że im zabiera trzody, łupi domy,
Że i na ludziach popełnia morderstwa.
I długoż jeszcze będzie tych bezprawi?
Toć on waszego króla jest podwładny,
I jeśli szczerze chcecie ze mną zgody,
Król wasz powinien był srogo nakazać,
By Hagan równo z innemi hordami
Wyniósł się z naszej ziemi. Cóż, czy nie tak?

Posel Obrzymów. Surowy rozkaz nasz król jemu posłał,
By z całą hordą ustąpił z Wawelu.
Lecz Hagan jest buntownik nieposłuszny,
Zuchwale odparł: Niechaj inni idą,
Gdzie chcą, mnie tutaj dobrze, więc zostanę,
A ktoby chciał mię wyrzucić, niech przyjdzie
I niech spróbuje! Takie krnąbrne słowa
Pewnieby płazem nie były mu uszły,
Gdyby, jak wiesz to sam, panie, najlepiej,
Nasz król swej dawnej nie postradał siły.
Więc przebac, jeśli twojego żądania
Spełnić niezdolny.

Krak. Niech i tak już będzie.
Ja z tym Haganem sam sobie dam rady,
I jego gniazdo szerszenie wytlukę
Do szczytu. Powiedz to swojemu panu.
(*Poseł Obrzymów, oddawszy ukłon, odchodzi.*)

SCENA 2.

Krak, Wanda, Wojewodowie, Żołnierze (w końcu)
Krak syn.

Krak (*powstaje, nawpół do siebie*).

Mir z nami wieczny zawarł król Dagobert,
Hordy Obrzymów wygnane z tej ziemi —
Jesteśmy wolni!... Wolni!... wielkie słowo!...
Mogę nareszcie odetchnąć swobodnie.

Wanda (*która równo z Krakiem powstała*).

Więc koniec, koniec już tej strasznej wojnie!

Krak. Koniec — i koniec także twoim mękom.

Biedne me dziecko, wycierpiałoś dużo
Przy moim boku, idąc ciągle ze mną

Tam, gdzie mnie wołał okrutny bóg wojny,

Gdzie dusza cierpła w najtwardszym człowieku,

Gdzie się najlepszy w srogie zwierzę zmieniał.

Miłość dla braci, dla mnie, dla tych wszystkich,

Co dobijali się krwawo wolności,

Przykuła ciebie do naszych obozów;

By swoim ziomkom, by nam nieść pociechę,

Niewieścią pomoc i tę słodką ulgę,

Jaką dać może tylko kobiet serce,

Nie wzdrygałaś się patrzeć niewinnemi

Oczami dziecka na to, co na świecie

Jest najstraszniejsze i najohydniejsze:

Na krew ludzkimi przelewana dłońmi.

Wanda. Bogi dodały mi do tego siły;

Dziś się szczęśliwą czuję, że gdy inni

Cierpieli, równie jam z nimi cierpiała.

Lecz teraz słońce jaśniejsze zaświeci

Tej ziemi, odkąd nie będzie widziało
Na niej tych mordów, rzezi i pożogi —
Po czarnej nocy wstanie dzień pogodny,
Szczęściem spokoju wolno nam się cieszyć.
Krak. Wielka to chwila i szczęśliwa razem.

(Odpina miecz)

Weź ten miecz, powieś na ścianie namiotu;
Bodaj twe słabe i niewinne ręce
Były ostatnie, co go dotykają.

Wanda *(wziąwszy miecz od Kraka).*

Ty dobroczynne i straszne narzędzie,
Co wracasz wolność tym, co ją stracili,
I targasz więzy przez wrogów włożone,
A razem ścinasz najpiękniejsze kwiaty,
Jakie na niwach wyrosną ojczyzny,
I boleść matek karmisz krwią ich synów,
I łzy wyciskasz z niemowlątek oczów,
Spoczywaj odtąd w wiecznej bezczynności,
Rdzewiej nie od krwi, lecz od łez wdzięczności
Przyszłych pokoleń!

(Wiesza miecz na ścianie namiotu).

Krak.

Niechaj tak się stanie!

(Krak z Wandą, a za nimi Wojewodowie wychodzą z namiotu).

Chrowat. Sława ci, królu, po wiek wieków sława!
Z więzów niewoli wyrwałś ojczyznę;
Jak ona długa i szeroka, z piersi
Wdzięcznego ludu bije dziś głos w niebo:
Cześć tobie zbawco nasz i dobroczyńco!
A więc i czas już, byś ostatnim czynem
Uwieńczył dzieło i skroń bohaterską
Ubrał w koronę!

Krak.

Korona na głowie,
To nie czcza tylko i próżna ozdoba —
Ten pierścień, którym dookoła skroni
Ona by węzem szczelnie się oplata,
To znak widomy tej wielkiej jedności,

Jaką się naród cały z sobą łączy
W osobie władcy. Ha, więc dobrze, zgoda —
Dzisiaj już czas mam, dzisiaj sięgnąć mogę
Z swobodnem sercem po ten wielki zaszczyt,
Gdym mą powinność spełnił.

Luba.

Bogom chwała!

Starą koronę Lechów wydobędziem,
I na twą głowę włożymy ci, królu,

Chrowat. Tak jest, tę samą koronę, co niegdyś
Wienczyła skronie dawnych, sławnych królów.

Krak. Czyż ta korona jeszcze jest?

Chrowat. Jest, królu.

Krak. Słyszałem przecież, że gdzieś zaginęła
W czasach zawichrzeń po ostatnim z Lechów;
I wieść ta nowym przejęła mię smutkiem,
Bo była — wiecie to — do tej korony
W całym narodzie przywiązana wiara,
Że, póki ona gości w naszej ziemi,
Póty nie trzeba wątpić o ojczyźnie,
Choćby najsroźsze wstrząsały nią burze.

Chrowat. Pociesz się, królu, mamy tę koronę,
Wieść o jej zgubie nie była prawdziwa.
Gdy nowy rzeczy zrodził się porządek,
I gdy królewskość popadła w pogardę,
A szczęściem zdały się być młode rządy
Wojewodzińskie, wtedy trzech nas: Mikrosz,
Który niedawno legł na polu bitwy,
Ja i Ludywit, zaając przepowiednie,
Jakie lud łączył z losami korony,
Zamierzylśmy ten ostatni szczątek
Ubiegłych czasów zachować przyszłości,
Jakby w przeczuciu, że nadejdzie chwila,
Gdzie do niej będziem wyciągali ręce,
Jakby do znaku zbawienia i chwały.
Więc ukryliśmy koronę przed ludźmi,
Wieść rozpuściwszy, że kędyś przepadła,
I najstarszemu z nas, Ludywitowi,
Do przechowania pod opiekę dali.

Łuba. Stary Ludywit chowa ją w swym grodzie
Ze czią należną. (*Wskazując za scenę*). Widzisz,
[królu panie,
Tam, w tej mgle sinej, na tej góry szczycie
Oto gród jego. Dziś wczas, bardzo rano,
Ledwieśmy obóz w tych stronach rozbili,
Do Ludywita wystaliśmy gońca,
Aby się zjawił przed twojem obliczem
Razem z koroną.

Chrowat. Chcieliśmy, znienacka
Dając ją tobie, tem łatwiej cię skłonić
Do jej przyjęcia. A gdy to się stanie,
Świątynia Jessy, najwyższego z bogów,
Radosnym głosem zabrzmi twego ludu:
Cześć, nowy królu, wskrześco dawnej sławy!
(*Wchodzi Krak syn*).

Krak (*do wchodzącego*). Cóż tam?

Krak syn. W tej chwili kapłan ze świątyni
Bogini Łady przybył do obozu,
I chce przed ciebie być przyprowadzony,
Bo, jak powiada, ważną wieść przynosi.
Krak. Czekam na niego. (*Krak syn odchodzi*).

Łuba. Niech nie dadzą bogi!
Czy może stary Ludywit nie żyje?...
Świątynia Łady stoi w głuchym borze,
Który się ciągnie tuż pod jego grodem —
Czyżby ten kapłan w jego miejsce przyszedł,
By spełnić, czego już tamten nie może?

SCENA 3.

Krak. *Wanda. Wojewodowie. Żołnierze.* (*Wchodzą*). *Kapłan Łady, (za nim) Lech i Krak syn.*

Kapłan Łady. Królowi memu cześć i pozdrowienie!

Krak. Witaj nam, bogów świątobliwy słuگو.
Z czymże przychodzisz?

Kapłan Łady. Z smutnemi wieściami
Od Ludywita...

Więc dobrze przeczułem...

Łuba.
Krak.
Kapłan.

Czy może chory stary wojewoda?
Nie tyle chory, ile tem zmartwiony,
Że zaufanie swych przyjaciół zawiódł,
Że dziś, od niego kiedy zażądano
Korony jego zwierzonej opiece,
Powiedzieć musi, że jej nie posiada.

Łuba.
Kapłan.

Jakto? Ludywit nie ma już korony?...
Niestety! nie ma. I to powód właśnie,
Czemu się lękał spojrzeć w wasze oczy.

Łuba.
Chrowat.
Krak.

Bogi! i cóż się z tą koroną stało?
Czyż ją kto ukraść, zniszczył lub zatracił?
Koronę, z którą pomysłność ojczyzny
Z wyroku bogów była połączona...

Kapłan.

Ludywit zgrzeszył zbytkiem ostrożności.
W czasie tej strasznej zawieruchy, jaką
Napad Obrzymów przygnał w nasze kraje,
Gród jego nie zdał mu się dość bezpieczny
Do przechowania tak cennego skarbu.
Aby koronę tem pewniej uchronić
Przed tych łupieżców chciwością, do naszej
Starej świątyni Łady ją sprowadził
I w nasze ręce i opiekę oddał.

Dzikię, odwieczne, nieprzebrane bory,
Śród których głębi świątynia się wznosi,
Obronność miejsca jak i świętość jego
Mogły w istocie natchnąć go tą wiarą,
Że najbezpieczniej tam schowa koronę.
I według życzeń działa się czas długi,
Ni Frank ni Obrzym ani zajrzał do nas,
Choć wokół szerzył mordy i pożogi.
Już się zbliżała chwila wybawienia,
Jakie miecz Kraka przynieść miał tej ziemi,
Kiedy, tygodni temu ledwie kilka,
Z obrzymskich książąt najstraszniejszy, Hagan,
Wpadł niespodzianie w ciszę naszych borów,
Świątynię zdobył i w popiół obrócił,
Wszystkich kapłanów oprócz trzech nas wyciął,

- I między łupów niezliczonem mnóstwem
Uwiózł ze sobą i koronę Lechów.
- Krak.** Hagan! znów Hagan!... zbój, złodziej przekłety!...
Jedna to jeszcze więcej jego wina,
Dla których godzien iść pod topór kata
Albo na gałąź!... Ten podły łupieżca
Skradł nam koronę Lechów, tę pamiątkę
Skradł nam koronę Lechów, tę pamiątkę
I tego świadka naszej dawnej chwały!...
Ha! chyba ręka ta by mi uwiędła,
Gdyby na sucho uszła mu ta zbrodnia!
- (*Do synów*).
- Lechu i Krak! niechaj waszem dziełem
Będzie ta zemsta — ja na was ją zdaję.
Korona Lechów na mej starej głowie
Niedługo będzie spoczywać — wy młodzi
W spuściznie po mnie wkrótce ją weźmiecie —
Zasłużcie na nią, zdobądźcie ją sobie!
Niechaj w pamięci narodu zostanie,
Że to wy, przyszli tej ziemi królowie,
Z niej ostatniego wyplenili wroga.
Idźcie, wydrzyjcie koronę z rąk zbójcy,
I żywym albo martwym go porzućcie
Pod moje nogi. — Cóż? czy macie wolę?
- Krak syn.** Nie pytaj, ojcze, gdy wydajesz rozkaz,
Który wypełnić dla nas jest zaszczytem.
Mógłbyś o naszych siłach tylko wątpić,
Gdyby ta długa, ciężka, krwawa wojna,
W której się nieraz mierzyliśmy z wrogiem,
Nie przekonała cię, że podołamy
Niebezpieczeństwowi i trudom wszelakim.
- Krak.** A więc co prędejsz...
- Krak syn.** Pozwól jeszcze, ojcze,
Że jedną prośbę zaniosę do ciebie.
- Krak.** Prośbę?... i o co?
- Krak syn.** Niechaj ja sam idę...
- Lech.** Czemu sam tylko?... Do czegoś ty zdolny,
I ja wykonam... My pójdziemy obaj.
- Krak.** Tak, Lech ma słuszność, byłby pokrzywdzony...

- Krak syn.** Ojcie i bracie, bolesny mię zarzut
Z waszych ust spotkał — jam inaczej myślał.
Wszakże korona według praw starszeństwa
Na mnie w przyszłości ma spadać dziedzictwem,
Rzecz sprawiedliwa to zatem i słuszna,
Abym ja dla niej sam narażał głowę,
I nie dozwolił, by niebezpieczeństwa
On ze mną dzielił, nie dzieląc korzyści.
- Krak.** Wyroki niebios w przyszłości zakryte —
Jak rzekłem, pragnę. byście obaj poszli.
- Krak syn.** Przed twą wyraźną wolą schylam głowę.
Lecz kiedy tak już ma być, to postanów,
By równa miara była dla nas obu,
Aby ten, który pokona Hagana,
Nagrodę także otrzymał zwycięstwa.
Jeśli to szczęście mnie dadzą bogowie,
Niech kiedyś do mnie należy korona,
Lecz gdy Hagana Lecha miecz powali,
Niech moje prawo pierwszeństwa upadnie,
I Lech po tobie zostanie następcą.
- Wanda.** Bracie mój drogi, jakże ciebie Kocham!
- Krak** (*całując go w czoło*). Jam nie zrozumiał... Chłopcze,
[tyś szlachetny.
Zrobię, jak żądasz. A cóż zgoda, Lechu?
- Lech.** Nie chcę korzystać z chwili uniesienia;
Wspaniałomyślność tym co jej doznają,
Niekiedy bywa zbyt ciężkiem brzemieniem,
- Krak syn.** O, zawierz, bracie, szczeroci mych uczuć;
Gdybym był kiedyś królem, obowiązkiem
Byłoby dla mnie sprawować te rządy,
Jak tylko siły i zdolność pozwolą;
Lecz gdybyś zasiadł ty na tronie ojca,
Możebym wtedy uczuł więcej szczęścia.
- Krak** (*dając znak Lechowi*).
Dosyć już, Lechu, milcz! — to już zapadło.
A teraz weźcie najlepszą z mych drużyn,
I nie mieszkając, ruszajcie pod Wawel,
Zduście Hagana!...

Kapłan (*zbliżając się*). Powstrzymaj się, królu,
Nie czyn pośpiesznie, czegobys żałował...

Krak. Co mówisz?...

Kapłan. Synów nie ślij na Hagana...

Krak. Dlaczego?...

Kapłan. Hagan jest straszny.

Krak. Straszniejsi
Od naszych mieczów padali...

Kapłan. Nie wierzę.

Gdyby ten Hagan był tylko rycerzem;
Gdyby żelazna zbroja i miecz w rękę
Jak innych jego też były obroną,
Nie lękałbym się, królu, o twych synów,
Bo znam ich męstwo i siły młodzieńcze.
Nie każ im chodzić tam, zguba ich pewna.

Krak. Więc czem ten Hagan?

Kapłan. On czarnoksiężnikiem,

Piekielne moce ma pod swoją władzą,
Za pośrednictwem swej żony Welidy
Duchów nieczystych przyzywa pomocy,
Co wszelkiej ludzkiej urąga potędze.
Wzrok jego własność posiada nadludzką,
Gdy spojrzy, pryska najtwardsze żelazo
Jakby żdźbło kruche; dlatego nie zdoła
Żaden miecz nigdy piersi jego dosięść.
Lud okoliczny, co nieraz doświadczył
Jego nieludzkiej siły, zwie go smokiem,
I jak przed czartem drży na jego imię.

Łuba. Straszne nam rzeczy głosisz, święty ojczel!...
Królu, rozważyć możeby potrzeba...

Krak. Wszak lud wawelski równie jest mym ludem
Jak inni, których wydobyłem z więzów;
Mamże go w szponach zostawić łupiecy,
A z nim koronę moich poprzedników,
Przeto, że synom moim grozi większe
Niebezpieczeństwo, niż zrazu myślałem?
To być nie może... nie! com postanowił

I w jaki sposób, tak będzie spełnione...
Musi być — co chce, niech potem się stanie!

Wanda. Ach, ojcze, ojcze, widzę, jak cię drogo
Nad twojem sercem kosztuje zwycięstwo,
I braci moich żal mi, żal mi bardzo!
Lecz czyż to wyrok zapadł już ostatni,
Nieodwołalny u wszechmocnych bogów,
Że zło nad dobrem tryumfować musi?
Czyż niema w niebie dość potężnej siły,
Aby moc piekieł złamać i zniweczyć?
Ach! święty ojcze, naszych bóstw kapłanie,
Ty, niżli inni, lepiej musisz wiedzieć,
Gdzie na to radę znaleźć i sposoby.

Kapłan. Niewinnem sercem dziecka ty, dziewico,
Sięgnęłaś głębiej niż inni rozumem,
Lepiej poznałaś, gdzie szukać lekarstwa
Na zło, co z ducha nieczystego idzie.
I my kapłani w głębi swoich borów,
Słyszając o strasznych klęskach naszych braci,
Nieraz się nad tem zastanawialiśmy,
U stóp ołtarzów błagaliśmy bogów,
I wróżb wszelakich pytali się o to,
Kto i jak mógłby pokonać Hagana.

Wanda. I cóż bogowie, co odpowiedzieli?
Kapłan. Potrzeba siły czystej na nieczystą;
Wzrok zły Hagana zwalczy wzrok niewinny;
Dusza szlachetna, w której nie powstała
Żadna z żądź ludzkich, dla tego człowieka,
Co zbiorowiskiem jest zwierzęcych chuci,
Stanie się zgubą. Czartowska moc jego
Złamaną będzie przez niebiańską słabość.
Taką odpowiedź wróżby nasze dały.

Wanda. Taką odpowiedź?... odpowiedź to jasna...
Och! jestem pewna, żem ją zrozumiała...
Tak — wiem to — czuję, czego chcą bogowie...
Ojcze, ty nie dziw się temu, co powiem —
Ja pójdę razem z braćmi...

- Krak.** Co dziewczyno?
- Wanda.** Czyś ty szalona!...
Błagam, nie odmawiaj!
Nie szaf przeze mnie mówi nierozważny,
Lecz się objawia widać bogów wola.
Kiedym słuchała słów świętego męża,
Jakiś głos w głębi ozwał się mej duszy,
Wyraźny, jasny, tak jak twój przed chwilą
Albo mój teraz: Wando, ty idź z braćmi!...
Ja muszę iść tam — czuję, żem powinna,
Ze ja bezbronna będę im puklerzem,
Co ich przed mieczem ostoni Hagana.
- Krak.** Bogowie, czegoż ode mnie żądacie?...
- Kapłan.** Troje mych dzieci rzucić w paszczę smoka!...
- Krak.** Nie trwóż się, królu! i pozwól, niech spełni
Co zamierzyła...
Jakto? ty kapłanie,
Któryś dopiero wstrzymywał mych synów,
Dorośli mężów, zaprawionych w wojnie,
Odzianych w zbroję, władających mieczem —
Ty się nie wzdrygasz doradzać mi teraz,
Bym na tę walkę z strasznym przeciwnikiem
Posłał to dziecko, tę słabą dziewczynę?...
- Kapłan.** Tak jest, nie wzdrygam się, bo w jej niezwykłym
Postanowieniu widzę niebios wolę,
Natchnienie bogów, któremu nie wolno
Stawiać oporu. Kiedy oni mówią:
»Ufaj, to będzie dla twojego dobra!«
Trzeba im wiarę dać, bo widać z tego,
Ze chcą nas zbawić choćby nawet cudem,
Którego rozum pojąć nie jest zdolny.
- Wanda.** Ojcze, daj ucho tym słowom kapłana!
- Kapłan.** Porównaj, królu, w swojej myśli wróżby,
Którem tu głosił, nie mogąc przeczuwać
Tego co w sercu dzieje się twej córki,
Z tym jej zamiarem, tak dziwnym na pozór,
Z jej poświęceniem, z całą jej osobą —
Czyliż nie przyznasz, że w obu tych rzeczach

Krak. Jest pewien związek i cudowna łączność,
Jak gdyby wszystkim palec opatrności
Kierował w sposób naprzód obmyślany?
Prawda... przyznaję... jest w tem coś, co może
Pocieszyć nawet trwożne serce ojca,
Coś, co powiada, że tu bóg się miesza...
(*Z nagłym postanowieniem.*)

Więc, dzieci moje, idźcie, gdzie was woła
Los i powinność!... idźcie z wiarą, męstwem...
Idźcie... wracajcie!... ja wam błogosławię!
(*Wznosi ręce nad nimi, potem prędko zwraca się do
Chrowata.*)

Chrowacie, oddaj im swoją drużynę.
(*Chrowat wychodzi.*)

A teraz w pochód! co tchu na Hagana!
(*D. s.*) Za nimi zdala ją również pospieszę,
Czuwać nad mymi najdroższymi skarby.
(*Głos trąby odzywa się za sceną. Wszyscy zmiierzają ku
wyjściu. Lech zatrzymuje się w pół sceny, i kiedy ta już
się prawie opróżniła, mówi:.*)

Lech. I znów zagadka!... ta straszna zagadka,
Która już tyle dni i tyle nocy
Drepczy mą duszę!... Czyjaż ta korona?...
Moja czy jego?... Niechaj bogi z nieba,
Czy bogi z piekła już raz ją rozwiążą,
Niech mi pomogą osiągnąć cel życzeń,
Bom ich niełaski strasznie mścić się gotów!
(*Wychodzi za innymi. Znów słyhać trąby.*)

AKT TRZECI.

Jaskińia w skale Wawelu. Ściany obwieszane skórami niedźwiedziami i rysiami, zbrojami, łukami i mnóstwem różnych złotych i srebrnych naczyń. Gdzieś tronie głowy ułożone w różne figury. Nad jedną z panoplii na miejscu najwidoczniejszym wisi korona Lechów. U sklepienia w dwu różnych punktach wiszą dwa wielkie kagańce, oświetające wnętrze jaskini. Głęb jaskini ginie w pomroce tak, że końca jej nie widać. Po prawej stronie widać pewną, niewielką część otworu do jaskini, a nad nim kawałek horyzontu. Po lewej stoi stół i wielka ława przed nim okryta skórą niedźwiedzią. Na stole wielki dzban i kilka srebrnych czar.

SCENA 1.

Hagan siedzi na ławie, obok niego stoi Chramis, jeden z wodzów obrzymskich.

Hagan. Żal mi tych Kracząt! Dwa głupie młokosy
Jak dwa barany lecą w paszczę wilka:
Kości niedługo tylko z nich zostaną.
Krak widać myśli o nowych zalotach,
I dawnych dzieci pragnąłby się pozbyć,
Gdy tych chłopaków w gardziel smoka żenie,
W ognistą gardziel Wawelskiego smoka.
No, wypij, Chramis, jeszcze jedną czarę,
I do roboty! Gdy się do nas zbliżą,
Z za ostrokołów cinę strzał im sypnijcie,
Jak to umiecie, a po tem przyjęciu
Będą umykać z duszą na ramieniu.

Chramis *(bierze czarę ze stołu i podnosząc ją w górę mówi).*

Cześć ci, Haganie! *(Wypija).* Idę spełnić rozkaz.
(Wychodzi).

Hagan. (*D. s.*) Głupie Kraczęta! (*Pije i stawia czarę na stole.*)

(*Z głębi niewidzialnej słysząc głos Welidy.*)

Haganie! Haganie!

SCENA 2.

Hagan. (Wchodzi z głębi) Welida.

Hagan (*wstaje i podchodzi ku niej.*)

Cóż tak grobowyni wołasz na mnie głosem?

Welida. Haganie, wróżby złe, złe, nieszczęśliwe!

Potrzykroć Ducha zakląłam Czarnego,

Potrzykroć dał mi tę samą odpowiedź.

Jakieś nieznanne, niezbadane moce,

Stały wpoprzek naszemu losowi,

Czarnego Ducha siła zniestwiona

Wpływami duchów białych i świetlanych.

Na naszą przyszłość padł cień jak kir czarny.

Hagan. Czy rozumiałaś dobrze znaki wróżby?...
Welida. Potrzykroć Ducha zakląłam Czarnego —

Wszak ci mówiłam...

Hagan.

Czyżby to być mogło?

Z tyłu bitw strasznych wyszedłem zwycięzcą,

A miałbym uleść dzisiaj, gdy igraszką

Zdaje się dla mnie ten bój z dzieciuchami?

Lub czy mi bogi odmieniły ducha,

Czy mi odjęły czarodziejską siłę

Mojego wzroku? Niema w świecie miecza,

Coby do serca mego znalazł drogę,

Póki spojrzenie me i stał najtwardszą.

W drzazgi obraca! (*Pokazując na koronę Lechów.*)

Patrz, a ta korona?

Czyż nie związana z nią jest przepowiednia,

Że kto ją w rękach swych ma, ten i królem

Będzie tej ziemi? Przecież ja ją dzierzę,

Ja w posiadaniu mam, i przyjdzie chwila,

Gdzie ona kraj ten pod władzę mi odda,

Gdzie panowanie Kraka jak dym marny
W nicosć rozwieje się.

Welida.

Strzeż się, Haganie,
Sile i mocy swej nazbyt nie ufaj!
Jest coś, co grozi ci niebezpieczeństwem...
Jak?... skąd?... ja nie wiem — lecz grozi na
[pewne...]

Wróżby tak mówią... O, przez miłość dla mnie
Chroń się, ostrożny bądź!... Ja tak cię kocham,
Strasznie — bez granic — całym krwi mej żarem,
Całą mą duszą, że myśl o nieszczęściu,
Choćby najmniejszym, trwogą pierś mi wstrząsa...
Tyś tylko jeden jest na świecie całym
Straszny, potężny, jak zwierz w puszczy srogi,
Którego mogę uwielbiać i kochać!...
Haganie, jabym nie przeżyła ciebie,
Jeśli nie rozpacz, to ta ręka moja
Śmierćby zadała mi...

Hagan.

Kobieto płocha,
A gdzież przysięga twa?...

Welida.

Jaka przysięga?...

Hagan.

Więc nie pamiętasz tej okropnej nocy
W stepach Panonij, kiedym po rozbiciu
Mojego wojska, sam, ścigany zewsząd
Przez nieprzyjaciół, jak dzik albo niedźwiedź
Przez kły ogarów, z tobą tylko jedną,
Dni mego życia liczył na godziny,
Kiedym był pewny, że razem z wschodzącą
Na niebie jutrznią i śmierć moja przyjdzie...

Welida.

Tak, tak!... gotowam była umrzeć z tobą...
Jak dziś, jak zawsze...

Hagan.

A ja com ci kazał?

Welida.

Tyś żyć mi kazał i złożyć przysięgę,
Że jeśli kiedy podstępem lub zdradą
Padłbyś pod ciosem swoich nieprzyjaciół,
To ja cię pomszczę...

Hagan. Do końca żywota
Obowiązuje ciebie ta przysięga.

(Całuje ją w usta).

Ty czarodziejko! ty z cór całej ziemi
Najrozkoszniejsza, nie wolno ci umrzeć,
Póki za duszą swojego Hagana
I jego wroga duszy nie wyprawisz.

(Za sceną słychać głucho krzyki wojenne).

Ha! słyszysz?... śmierć tam wyprawia swe harce —
Tam miecz zagłębia się w wnętrze ludzkie,

I krew się wroga rozlewa po polu —
Krew wroga, która tak słodko mi pachnie

Jak usta twoje!... Ha! dalej, Haganie,
Idź zakosztować i ty tej słodyczy!

(Słychać głośniejsze krzyki z za sceny).

Welida. Słyszysz Haganie?... Co to za krzyk dziki!..,
To okrzyk trwogi z gardeł twych Obrzymów!

Hagan. Co?... moi ludzie mieliby ulegać!..

SCENA 3.

Hagan. Welida. (wbiega) Chramis.

Chramis. Haganie, pośpiesz, potrzeba tam ciebie!..

Nieprzyjaciele szalonem natarciem

Ostatnie nasze zdobyli już szance,

A wojsko twoje ich nadludzkim męstwem

Tak przerażone, że jak stado była

Na oslep w wszystkie rozbiega się strony.

Hagan. Piekła! czyż może być?... nikczemne tchórze!..

Chramis. Wszystkich zatrwożył jakiś anioł biały,

Który się zjawił wśród Krakowych szyków,

Gdy równocześnie gruba, ciężka chmura

Nad naszym wojskiem zaległa całunem.

Hagan. Czy czart czy anioł, niech równo przepada!

Welido, zaknij całą mocą czarów

Czarnego Ducha, niech na pomoc spieszy,

I wezwij burzę, niechaj swoje gromy

Na głowy wrogów z błyskawicą ciska!
Ty za mną!... Morzem krwi dziś ziemia spłynie!
(*Dobrywszy miecza, wybiega, za nim Chramis*).

SCENA 4.

Welida (*sama, idzie w głąb, bierze stamtąd długa czarno-
księską laskę, staje na środku sceny, laską zakreśla
koło, a potem podniósłszy ją w górę, mówi po-
ważnym, uroczystym głosem*).

Ty, coś równie jest potężny,
Choć się kryjesz w cieniach, nocy,
Jak ten bóg co światło sieje
Czarnobohu, wzywam ciebie!
Przyjdź szatańską siłą zbrojny,
Przyjdź z piorunem, z burzy rykiem,
Białych bogów masz zwyciężyć,
Na proch zetrzeć ich czcicieli!
Przyjdź, przyjdź! okaż swą potęgę,
Tym, co tobie się oddali,
Przynies pomoc i opiekę,
Naszych wrogów zniszcz, spal, wybij!

(*Od niejakiego czasu słycać coraz głośniejsze grzmoty;
błyskawice przedzierają się niekiedy przez otwór jaskini*).

Przyjdź, przyjdź, wielki Czarnobohu!...

SCENA 5.

Welida. Hagan (wbiega w wielkiem wzburzeniu).

Welida (*na jego widok rzuca laskę na ziemię*).

To ty, mój luby!.. Bogi, w jakim stanie!...

Hagan. Rycie pioruny, wyj burzo, potoki
Zalejcie ziemię po same bieguny!
Niechaj Duch Czarny wszystkie swoje kundle
Na lby poszczuje naszych przeciwników,
Niechaj ich pożre ziemia w swych otchłaniach,
Niechaj ich spalą płomienie niebieskie!...

Stało się! bitwa przegrana, Welido!
Wojska mojego pół poszło w okowy,
Drugie pół gryzie grunt własną krwią zlany...
Welida. Biada nam, biada!... spełniły się groźby
Gniewliwych bogów...

Hagan. Lecz jam niezwalczony!
Wścikłość olbrzymią we mnie moc zrodziła.
Nie mogłem spotkać się z żadnym z tych Kra-
[cząt;

Uciekających potok rozszalały
Porwał mię, ledwiem na plac boju zdążył,
I rzucił nazad. Lecz tu im się opre,
Z czarem mych spojrzeń, z tym niezłomnym
[mieczem,

Tą twardą skałą opasany wokół —
Niech ich tu przyjdzie dziesięciu, stu, trzystu,
Jeden po drugim zginą po kolei,
Jakby szli na mnie z trzcina nie żelazem!

(*Chwyta koronę Lechów ze ściany i kładzie ją na głowę*).

Koronę Lechów mam na mojej głowie,
Stąd jej nie zdejmie żaden człek śmiertelny,
I z tą koroną na świat potem wyjdę,
I z nią zdobędę tam państwo dla siebie.

SCENA 6.

(*Wielka błyskawica i krótki, urwany huk blizkiego piorunu. W tej chwili u wejścia do jaskini pokazuje się Wanda, w białej sukni, w zielonym wieńcu na głowie, za nią Krak Syn i Lech z dobytymi mieczami. Błyskawica oświeciła szczególnie wchodzącą Wandę. Hagan zdziwiony i zachwycony jej widokiem, utkwil w niej oczy i patrzy na nią ciągle jakby oczarowany. Równocześnie Lech spostrzega stojącą obok Hagana Welidę i ujęty jej pięknnością nie spuszcza z niej oka. Burza nagle się ucisza*).

Hagan (d s.) Co za zjawisko!... Czy to duch jest biały,
Czy to dziewczica ze śmiertelnych rodu?...

Kolana moje gną się na jej widok...
Jako?... to słabe i wątłe stworzenie
Miało odwagę stanąć tu przede mną,
Przed moim mieczem, co dla strasznych stra-
[szny?...

Idzie... nie zadrży... nie zblednie... wciąż idzie!

Lech (*zapatrzony w Welidę*).

Co za kobieta!... jaki czar z niej bije!..

Ach, jak ją kocham!..

(*Wanda, a z nią Krak syn, zbliżają się ku Haganowi, zostającemu ciągle pod urokiem*).

Krak syn (*w stronę Lecha*). Dalej ze mną, bracie!
Uderzmy śmiało! (*Przyskakując do Hagana*).

Giń, przebrzydły zbójco,

Koronę Lechów oddaj mi skradzioną!

(*Przeszywa go mieczem*).

Hagan (*padając*). Welido... ginę!..

Welida (*rzuca się z krzykiem na niego*). Haganie! Haganie!

Krak syn (*zdiera Haganowi koronę z głowy*).

Zwycięstwo przy nas! Naszą jest korona!

Wanda. Wielki cud, wielki sprawili bogowie!

Niech cię uścisknę... ach, jakżem szczęśliwa!

Krak syn. Spieszmy się, siostrzo, uspokoić ojca.

(*Trzymając koronę w jednej ręce, w drugiej miecz, wychodzi z Wandą*).

SCENA 7.

Welida. Hagan. Lech.

Hagan (*do klęczącej nad nim Welidy*).

Kto to był?... powiedz... to dziwne zjawisko?...

Anioł czy słaba dziewczica?... Nie mogłem

Oczu oderwać od niego... miecz wroga

Miał czas do piersi mojej znaleźć przystęp,

Zanim go siła mych spojrzeń strzaskała.

Welido... pomścij mię.

Welida.

Pomszczę, Haganie!

(*Hagan kona*).

Lech (*stojąc ciągle na tem samym miejscu*).

Co się to stało?...

(*Przesuwa ręką po czole, jakby odganiając odurzenie*).

Tam Hagan zabity...

Brata mojego niema... tak, on wyszedł

Z koroną w rękę... A więc on go zabił!...

Jak?... jakim cudem?... To nie do pojęcia!...

A ja com robił?... Jam tu stał wpatrzony

W twarz tej kobiety, tak cudną, tak piękną,

Jak drugiej w życiu nigdy nie spotkałem...

Co się tu działo, ja nic nie widziałem...

Tylko ją jedną!... Ha! gdyby nie ona,

Gdyby nie ona!...

Welida (*kłęcząc przy trupie Hagana, spogląda na Lecha — d. s.*).

Ten człowiek mię kocha...

Ten człowiek spełni każde me skinienie...

Lech. Ja nienawidzę jej!...

(*Zwraca się gwałtownie ku Welidzie z podniesionym mieczem*).

Zginiesz, nieszczęсна!

Ja cię zabiję...

Welida (*spokojnie*). Zabij! (*Wstaje i zbliża się ku Lechowi*).

Lech.

Nie strach tobie?...

Welida. Nie!

Lech. Nie?... ty mojej nie lękasz się zemsty?...

Ha! w cóż ty ufasz?...

Welida.

Ufam w mą niewinność.

Wszak ja nic złego nie zrobiłam tobie,

Nie znam cię, pierwszy raz widzę w tej chwili,

Nietylko mową lub uczynkiem, ale

Nawet ni myślą nie mogłam zawinąć

Naprzeciw ciębie. Gdyby wolno było

Podnieść mi skargę, to jaby'm rzecz mogła,

Żem pokrzywdzona przez was, żem popchnięta

Przez waszą rękę w samą otchłań nieszczęść.

Patrz, tam mojego małżonka i księcia

Miecz twego brata martwym zrobił trupem,

A ze mnie dumnej, wysokiej władczyni

- Nikczemną branke, której pan jej nowy
Może na szyję założyć powrozy.
- Lech.** Ze swoich nieszczęść ty się nie chęł — moje
Jeśli nie większe, pewnie równe twoim.
W tej samej chwili, gdyś straciła męża
I swoją godność, czy wiesz, com ja stracił?...
Cóż ty straciłeś?...
- Welida.** Straciłem koronę!
- Lech.** Koronę?... Jakto?... nie rozumiem ciebie...
- Welida.** Czyż twoją miała być korona Lechów?
- Lech.** Na długość miecza byłem tylko od niej.
Gdy na Hagana ojciec nas posyłał,
Powiedział: który z was dwóch mi przyniesie
Koronę Lechów, po mnie mieć ją będzie...
Mój brat ją zabrał...
- Welida.** Ha!... twój brat ją zabrał...
Twój brat zostanie następcą po ojcu,
Nie ty, lecz brat twój będzie kiedyś królem...
- Lech.** Tak jest, on — nie ja... a dlaczego, nie wiesz?...
Bo gdym krok pierwszy zrobił w tej jaskini,
Ciebie zobaczył i z twojej postaci
Oczu zdjąć nie mógł. Tyś mię zczarowała,
Straciłem pamięć o sobie i świecie,
Ośniony twoim cudownym widokiem —
Kiedym się ocknął, już było zapóźno...
Och! gdyby nie ty, mój miecz mógł tak samo
Jak miecz mojego brata zgnąć Hagana,
I moja ręka tak jak brata ręka
Mogła mu zerwać z łba koronę Lechów —
I byłbym królem... Czy teraz rozumiesz
Moją nienawiść?
- Welida.** Rozumiem. Nienawidź,
Nienawidź całym sercem!...
- Lech.** Więc przyznajesz,
Że ciebie słusznie mogę nienawidzić?...
- Welida.** Możesz i słusznie — powinieneś — musisz!
Czyliż jest strata twojej równa stracie?
Czyż większa komu wyrządzona krzywda?

Nic cenniejszego nie dali bogowie
Ludziom na ziemi nad ten blask królewski,
Który wynosi człowieka nad tłumy,
Kornie ścielące się przed jego twarzą;
Który z zwykłego śmiertelnika robi
Istotę wyższą, do bóstwa podobną.
Tyś mógł należeć do liczby wybranych,
Do tych szczególnych ulubieńców losu,
Na których, między innych milionami,
Szczęście przychylnie swe rzuca spojrzenie...
Lecz to nie stało się — bo mgnieniem oka
Brać cię uprzedził, bo w stanowczej chwili
Wzrok twój padł na mnie, zamiast na pierś wroga.
Kto tego doznał, ten może przeklinać
Ziemię i niebo i bogów i ludzi!
Ten, by wściekłości swej żar zaspokoić,
Może potoki krwi wylać bezkarnie!

(Nadstawiając piersi).

Lech. Zaczynij ode mnie swoją zemstę, spełnij
Co powiedziałeś!... Gdybym tobą była,
Jużby tu pierwszy trup legł u stóp moich!
Stój, stój, kobieto!... Nienawidzić ciebie?...
Ja nienawidzić ciebie?... Ja cię kocham,
Ja cię ubóstwiam od tej pierwszej chwili,
Kiedym cię ujrzał!... Ciebie nienawidzić?...
W ciężkiem szaleństwie wyrzekłem to słowo —
Bo cożes winna ty nieszczęściu memu?
Za to cię karać mam, żeś jest tak piękną,
Że wzrok mój spoczął na tobie z rozkoszą?
Czy ty koronę masz? czyś ty ją wzięła?
Tyś ją straciła, tak jak ja straciłem,
W upokorzenia ty tarzasz się prochu
Zarówno ze mną. W tobie mogę widzieć
Siostrę w nieszczęściu, mego sprzymierzeńca,
Mogę cię kochać, tak jak chce me serce,
Bez najmniejszego wyrzutu sumienia,
Że w nieprzyjazne oddałem je ręce...
Ha! nienawidzić kogom winien — wiem to!

Welida. Cyt!... jacyś ludzie u wstępu jaskini...

Lech (*spoglądając w stronę wejścia do groty, gdzie ukazują się Krak, Wanda, Krak syn, a następnie kilku Wojewodów*).

To ojciec, siostra, brat... Skryj mię przed nimi...

Welida. Chodź! (*Bierze go za rękę, idą w głąb i giną w niewidzialnej pomroce*).

SCENA 8.

Krak. *Wanda. Krak syn. Kilku Wojewodów. Żołnierz z pochodnią.*

Wanda. Gdzieś jest, Lechu?... czy jesteś tu, bracie?

Krak syn. I tu go niema!

Krak. Nie trwóście się próżno;

Wszak mówiliście, że był zdrow i cały,

Gdyście z jaskini z koroną wracali,

A wtedy Hagan był już zimnym trupem,

I nic się złego bratu stać nie mogło.

(*Postępuje dalej, spostrzegę leżącego Hagana*).

Ha! więc tu leży ten straszny morderca

Mego narodu, tu ten niezwalczony

Olbrzym, co czartów miał do swej pomocy —

Teraz bezwładny jak martwy kłoc drzewa.

Chciałem go widzieć, ale kiedy patrzę

Na to ogromne ciało, tę twarz dziką,

Na ten miecz ciężki i hartowną zbroję,

To mię dreszcz lęku przeszywa do kości,

Ze zbyt zuchwałą była wasza śmiałość

Stawać naprzeciw temu potworowi.

Dzielnyś jest, Krak, mężną jesteś, Wando,

Więcej niż wiek twój i twa płeć pozwala.

Krak syn. I Lech był dzielny. Szedł obok nas śmiało,

Bez cienia trwogi, dotarł równo z nami

Do środka jamy, tylko los pomyślny

Mnie a nie jego uczynił zwycięzcą.

Krak. Tu więc ostatni padł wróg naszej ziemi,

Koronę Lechów tu odzyskaliśmy,

I tu niebiosów niepojętym cudem
Troje mych dzieci wyrwanych jest śmierci.
Wskazówkę bogów widzieć w tem się godzi,
Że im to miejsce ponad inne miłsze.

Same ich ręce już tu twierdzą wzniosły
W tej groźnej skale, co nad okolicą
Jak dąb wyniosły ponad drobne krzaki
Dumnie się wznosi i swym wzrokiem sięga

Przez lasy, rzeki, aż tam do gór szczytów.
Nowej stolicy nowe chce królestwo —
Więc na tej skale groźnego Wawelu

Ja gród królewski wybuduję nowy
Dla mnie i moich następców na wieki.

Niech on strażnicą będzie dla narodu,
Pamiętką dziejów, skarbcem jego wspomnień,
I mocnym wałem przeciw nieprzyjaciół!...

Jutro, gdy pierwszy raz koronę Lechów
Na głowę wdzieję, i pod gród ten nowy
Kamień węgielny zarazem położę.

Chrowat. To twój gród będzie, to będzie gród Kraków!

Krak. Dobrze, gdy chcecie tak, niech zwie się Kraków.
(*Wszyscy wychodzą.*)

SCENA 9.

Lech i Welida (ukazują się po chwili z głębi).

Lech. Odeszli... Widok tych ludzi mię truże...
Ileż się uraz we mnie na nich skarży!

Welida (*ukleka tymczasem nad trupem Hagana; wyjmuje mu sztylet z za pasa, potem całuje go w czoło.*).
Żegnaj mi, drogi!... a com ci przyrzeka,
Tego dotrzymam.

Lech.

Welida (*wstając*). Pójdź od tego trupa!
Wzięłam dla siebie — przeszłość coś zostawić
Musi przyszłości... Ta skalna jaskinia,
Gdzie poległ, niechaj będzie mu grobowcem.

Lech. Tutaj skończone już wszystko na wieki,
Pójdź teraz ze mną!

Welida. Należę do ciebie,
Twą niewolnicą jestem...

Lech. Będiesz panią,
Będiesz królową moją! — Pójdź tam na świat,
Pójdź dla miłości żyć!

Welida (*półgłosem*). Tak, i dla zemsty!
(*Zmierzają ku wyjściu jaskini, zasłona spada.*)

AKT CZWARTY.

Las dębowy. Po lewej stronie w głębi obszerny, bogaty namiot nawpół otwarty, bliżej ławka pokryta kobiercem.

SCENA 1.

Welida i Sługa Lecha (stoją na środku sceny).

Sługa (*podając Welidzie dużą szkatułkę*).

To zaś jest skrzynka, którą pan mój, książę,
Oddać wam kazał. Miał sam ją tu przynieść,
Jako był przyrzekł, lecz dziś niespodzianie
Rozkaz królewski zatrzymał go w grodzie.

Welida. Z jakiej przyczyny?

Sługa.

Stary król z pośpiechem
Gród swój buduje; sam radzi, dogłąda,
Cały dzień prawie spędza przy tej pracy,
I dziś zatrzymał księcia do pomocy.

Welida. Więc szybko rośnie ten gród na Wawelu?
Sługa. Że w oczach prawie! Stary król się spieszy,
W nowej stolicy chciałby jeszcze zasiąść,
Zanim ją odda swojemu następcy.

Welida (*n. s.*). Niedługo mieszkać nie będzie w niej komu!
(*Głośno*) Za pamięć księciu ode mnie podziękuj.
(*Sługa oddaje ukłon i odchodzi.*)

SCENA 2.

Welida (*sama, kładąc szkatułkę na ławce.*)
Nikczemnik! ukradł koronę ze skarbcza,
By zadowolnić płoche me życzenie...
Ale tak dobrze!... po drabinie zbrodni
Coraz go wyżej prowadzę do szczytu.
Najprzód go klamać nauczyłam, kiedy
Moją osobę i swoją namiętność
Zakrywać musiał wykrętem i fałszem;
Teraz już umie cudzą ruszać własność,
A wkrótce... I to musi wnet nastąpić...
I jak najprędzej bodaj nastąpiło,
Bo mi już mierzną te jego uściski,
Bobym już chciała wyrwać się z niewoli
Najsroźszej, w jaką może wpaść kobieta,
Gdy musi ciało swe oddać bez duszy!...
Ciężko, Haganie, płacę za twą zemstę...

SCENA 3.

Welida. Sługa Lecha (powraca).

Sługa. Pani...

Welida. Co znowu?

Sługa. Pan mój tu przybywa...

Welida. Co? Lech?

Sługa. Tak, książę. Nawrócił mię z drogi,
Co tchu biedz kazał, aby cię uprzedzić.

Welida. Coś niezwykłego tam się stać musiało...

Sługa. Otóż i on sam, dowiesz się przyczyny.

SCENA 4.

Welida. Sługa. Lech.

Lech (*zatrzymując się w głębi, do Sługi*).

Wracaj do grodu. Gdyby król mię szukał,
Powiedz, że wrócę przed zachodem słońca,
Żem musiał odejść — że upał słoneczny
Spalił mi głowę i o ból przyprawił,
Tak żem odetchnąć chciał powietrzem lasu.

Sługa. Dobrze, mój książę. (*Kłania się, odchodzi*).

Welida (*rzucając mu się na piersi*). Witaj, drogi Lechu,
Niespodziewany, więc tem bardziej miły!

Lech. Przybycie moje cieszy cię tak bardzo?

Welida. O, bardzo! — Ale skąd ta nagła zmiana
Postanowienia? Dopiero przed chwilą
Sługa twój mówił, że dziś cię nie ujrzę,
A oto jesteś.

Lech. Czyż trudno ci zgadnąć,
Że miłość gna mię zawsze w twoje strony,
Że gdym widoku twego pozbawiony,
Czuję, że życia braknie mi połowy.
Lecz prócz mych uczuć dziś był powód drugi —
Obawa...

Welida. Jaka obawa?...

Lech. O ciebie.

Welida. O mnie?...

Lech. Wiadomość spóźniona mię doszła,
Że dziś w te lasy z licznym poczem strzelców
Brat mój polować wychodzi.

Welida. Tu... brat twój?...

Lech. Tak jest, on. Zrządzić mógł łatwo przypadek,
Że ktoś z sług jego, albo on sam także
Mógłby zabłąkać się do twej siedziby.
Odludna ona i w wielkiej skrytości
Zrobiona, aby schronić cię przed światem
I tajemnicą osłonić tę miłość,
Do której dotąd przyznać się nie mogę.
Pojmiesz, że mogłem mieć powód obawy,

Ażeby ciebie i twego schronienia
Nie wysłodziło jakie ludzkie oko,
Przez nieświadomość, ażebyś ty sama
Nie zdradziła się nierozważnym czynem...
Lecz o czym myślisz?...

Welida (*nie zupełnie panując nad swemi myślami*).

Ha, o czym ja myślę?...

O czym ja myślę?... Różne są zdarzenia...
Gdyby los tak się pokazał przychylny...
Gdyby...

Lech. Wylómacz się, co chcesz powiedzieć...

Welida. Nic, nic, rojenia, to tylko rojenia...

Chęci, co biegną zawczas przed możliwością...

Życzenia, co się naprzykrzają bogom...

Choć może... Cicho! dajmy temu pokój.

(*Prowadząc go ku ławie*).

Pójdź, siadź tu przy mnie, pragnę się nacieszyć

Twoim widokiem... Jak ty jesteś piękny,

Jak dzielny, jaki urok w twej osobie,

Jak ja szczęśliwa, że ciebie posiadam!

Lech. Welido!...

Welida (*otwierając szkatułkę*).

Słuchaj, ja ciebie prosiłam,

Byś tę koronę przyniósł tutaj do mnie —

Czyli wiesz na co?

Lech. Nie, nie wiem; tak chciałaś,

Więc dla mnie było dość na tem.

Welida. Dzieciństwem

Może to nazwiesz — zapragnąłem widzieć,

Jak ty wyglądać będziesz w tej koronie,

Chciałam mieć obraz jasny przed oczami,

Jak kiedyś, gnąc me kolana przed tobą,

Ujrzę cię w pełnym blasku majestatu.

Weź ją na głowę. (*Kładzie mu koronę*).

Lech. Daj!... Dobra myśl była!...

Jak gdyby na mnie zrobiona — nieprawda?

Czuję, że dobrze przystaje do skroni,

Czuję, że dobrze umiałbym ją nosić.

(Zdejmuje koronę z głowy i trzyma przed oczami).

Niechaj do syta dziś jej się napatrzę...
Dobłą myśl miałaś — nigdy sposobności
Równiej nie miałem napaść nią me oczy,
Choć w wyobraźni ciągle patrzę na nią —
Ona mi we dnie nie daje spokoju,
Ona mię ze snu budzi podczas nocy...
Mam ją w mych rękach, czuję ją, dotykam,
A jednak — piekła! próżna to igraszka!...
Zawczasem ty mi kładziesz ją na głowę —
Jeszcze daleko ode mnie korona!
Weź, weź ją!... widok jej truje mi serce!

(Oddaje jej koronę).

Welida. Biorę, i więcej nie oddam w twe ręce,
Byś ją do skarbcza królewskiego wrócił.

(Idąc do namiotu).

Patrz, tu ją chowam w mym namiocie, pewna
Że gdy nadejdzie znów dzień koronacy,
Ty, nie kto inny, przyjdiesz ją stąd zabrać
Tymczasem zawsze, gdy przybędziesz do mnie,
Jej widok niechaj tobie przypomina,
Do czego dążysz, co ci spełnić trzeba.

Lech *(d. s.)* O straszne, ciężkie czeka mnie zadanie,
Za to co pragnę, drogo muszę płacić!...

Welida *(wraca do niego, patrząc w niego bystro).*
Czemuś ponury?... dlaczego się trąpisz?
Zduś żmiję zwątpień, co ci piersi gryzie,
Okiem rozumu patrz na sprawy świata.
Pragniesz korony — czemuż masz jej nie mieć?
Czemuż posiadać ma ją ten, którego
Całą zasługą, że wprzód się urodził?
Niesprawiedliwe byłyby i głupie
Wyroki niebios, gdyby mu ją dały!
Ty i on!... bogi! co za porównanie?
Któżby nie poznał, patrząc na was obu,
Który godniejszy królewskiej purpury?
On błądy, wąty, z postawą dziewczyny,
Przy tobie zda się nieletnim dzieciakiem,

- Który się trzyma matczynej spódnicy;
Tyś mąż, tyś rycerz, od stóp aż do głowy!
Twoje spojrzenie dumne i surowe,
Twój głos, co dźwiękiem brzmi wojennej surmy,
Twój kędziór kruczy, co na barki spływa,
Wszystko to mówi, żeś został stworzony
Berło mieć w ręku, na skroni koronę.
I tybys kiedyś miał być jego sługą,
Jego poddanym jak najlichszy z ludzi,
On miałby tobie wydawać rozkazy,
Czci, posłuszeństwa od ciebie wymagać?
Światby się musiał obrócić na opak!
Lech. Wprzód zginę, nimby to miało nastąpić!
Lub raczej zginie ten, co mi na drodze
Stoi zawadą! Czy wcześniej czy później,
Na niczem innym skończyć się nie może.
Kiedy stanowcza przybliży się chwila,
I kiedy wybór przyjdzie mi uczynić
Pomiędzy jego a mem własnem dobrem,
Wiem, co mam robić...
- Welida.** Takim bądź mi zawsze!...
(*Słychać za sceną róg myśliwski.*)
Ha! słyszysz?...
- Lech.** Słyszę... ktoś tutaj się zbliża...
(*Patrzą za scenę.*)
- Głos Kraka** (*za sceną*). Hola, hej, hola!
- Lech.** To Krak!... to głos jego!...
- Welida.** Krak!?...
- Lech.** Niezawodnie.
- welida.** Sam czyli z kim więcej?
- Lech.** Nie widać jeszcze... Ha! wyszedł na ścieżkę...
(*Chowają się za drzewo i patrzą dalej.*)
- Welida.** Sam idzie... widzisz?... sam jeden!... tu zmierza...
Idź i w pobliżkim ukryj się wąwozie...
- Lech.** Ty tu zostaniesz?...
- Welida.** Idź, nie bój się o mnie...
Nie trzeba, żeby ciebie tutaj widział.
Dam ci znak, kiedy przybyć powinieneś...

Lech. Co myślisz czynić?..

Welida. Później się pokaże.

Idź, mówię! (*Lech odchodzi na lewo*).

Welida (*d. s.*) Cieniu Hagana, przyjdź w pomoc!
(*Ofa się w głąb ku namiotowi*).

SCENA 5.

Welida. (*Powolnym krokiem wchodzi*) *Krak syn, z łukiem na ramieniu, z rogiem myśliwskim u pasa.*

Krak syn (*nie widząc Welidy*).

Jakżem zmęczony!.. Ten upał słoneczny

Srodze dokucza nawet w głębi kniei,

A nigdzie źródła dopatrzeć nie mogę,

Choćby małego potoczka, by zgasić

Moje pragnienie. — Ktoś tu jest. Co widzę?

Czy oczy mylą? Kobieta! (*Zbliża się do Welidy*).

Niewiasto,

Daruj, że śmiem się odezwać do ciebie.

Goniąc za zwierzem, zbłąkałem się w borze

Zdała od reszty moich towarzyszy,

I ze zdziwieniem tutaj w głębi lasu,

Gdziem spotkać ludzkiej nie myślał istoty,

Widzę cię nagle.

Welida. Daleko wokoło

Oprócz mnie jednej nikt tutaj nie mieszka.

Nie jestem nawet rodem z tego kraju,

Mój mąż był Frankiem, poległ w czasie wojny,

Jaka się długo srożyła w tych stronach,

Lecz wprzód jeszcze dla mojej ochrony

W tym dzikim borze, zdaleka od ludzi,

Szałas zbudował i mnie w nim zostawił.

Krak syn. Dobra niewiasto, chociaż obca rodem,

Nie będziesz dla mnie pewnie niegościnną:

Jestem spragniony, daj mi kubek wody,

Lub wskaż gdzie jaką ciekącą krynicę.

Welida. Mogę ci innym usłużyć napojem.

(*Odchodzi do namiotu*).

Krak syn. Dziwne zaiste, cudowne zdarzenie,
Tam gdzie się dziki zwierz zwyczajnie gnieździ,
Znaleźć kobietę, co z mowy i wdzięku
Zda się być córką królewskiego rodu.

Welida *(wraca z kubkiem srebrnym w rękę, podając mu).*
Pij gościu, niechaj ci będzie na zdrowie!

Krak syn *(pije, potem stawia kubek na ławie).*
Dzięki serdeczne za me pokrzepienie.
Nieznajomego uraczyłaś hojnie,
Wiedźże przynajmniej, kto ci będzie wdzięcznym.
Jestem Krak, starszy syn królewski.

Welida. Bogi!

Królewicz w moim domu, moim gościem!

Krak syn. Nie z chępliwości wyznałem swe imię;
Los różnie ludźmi kieruje i rządzi —
Gdyby ci kiedy zdała się ma pomoc,
Chcę, byś wiedziała, do kogo się udać...
Jakże się czuję sennym... Czy mię zmorzył
Ten napój, czy trud wielki wśród gorąca,
Lecz nogi prawie gną mi się z omdlenia.
Żegnaj mi, dobra niewiasto. Tam w cieniu
Pod jakim starym dębem się ułożę.

Welida. Pod mym namiotem jest cienisty chłodnik,
Tam ci wygodniej będzie, królewiczu.

Krak syn. Dobrze, jak zechcesz... Dzięki za tę nową
Twoją uprzejmość, wskaż mi tylko drogę..
To dziwna, jaka senność mię opadła!

(Welida idzie naprzód, za nią Krak syn, wychodzą poza namiot. Po chwili wraca Welida gwałtownie wzburzona).

SCENA 6.

Welida *(sama).* Sen go już twardy objął w swe ramiona,
Spi bez obawy, bezbronny jak dziecko...
Ha! ty gołąbku, wpadłeś w szpony sępa...
Los, który tutaj przygnał twoje kroki,
Pragnął twej zguby!... Nie wyjdiesz stąd z duszą,
Już nie otworzysz oczu!... raz ostatni

Widziałeś słońce, kiedyś je zamykał
Do snu słodkiego!... Nic cię już nie wyrwie
Z moich rąk mściwych.. cała moc królewska
Twojego ojca ratunku ci nie da!
Jesteś skazany na śmierć od tej chwili,
Jesteś ofiarą mą, na którą patrząc
Mogę się zemsty napawać słodyczą!
Błogosławiony niechaj dzień ten będzie:
Który cię przyniósł pod próg mego domu,
Me najgorętsze uprzedzając chęci!

(Wydobywa nóż z zanadrza).

Mieczu Hagana, skąp się we krwi wroga,
Z którego dłoni twój pan stracił życie!
Zmyj nią swą hańbę, zgaś żar mej boleści!...
Giń, synu Kraka! giń przeklęty!...

(Z podniesionym nożem postępuje ku namiotowi, nagle zatrzymuje się).

Głupia,

Ślepa, szalona! co chciałam uczynić,
Folgując pierwszym uniesieniom gniewu?..

(Woła za scenę).

Hej! Lechu, Lechu! — W długich chwilach cierpień
Wszak inną, lepszą obmyślałam zemstę,
Co ten przeklęty ród cały dosięgnie,
Wszystkie ich serca zabije, jak piorun
Nieunikniona, straszna i potężna!

SCENA 7.

Welida (wchodzi) Lech (w końcu) Strzelcy.

Lech. I cóż?... a on gdzie jest?... gdzie on się podział?..
Welida. Tam jest.
Lech. U ciebie?
Welida. Tak..
Lech. Czyżby już?...
Welida. On spi!...
Lech. On spi?!...
Welida. Chodź, zobacz...

(Wchodzą do namiotu i w tej chwili wracają).

Dlaczego on zasnął?...

Lech. Dałam mu napój, po którym spać będzie...

Welida. Długo?...

Lech. Tak, długo...

Welida. Długo... No, a potem?...

Lech. Potem się zbudzi, wstanie orzeźwiony.

Welida. Zbudzi się... szkoda!

Lech. Co mówisz?

Welida. Ha, piekła!

Lech. Jakże mi głowa płonie... o Welido!

Welida. Czego tak patrzysz na mnie?

Lech. Co mam czynić?...

Welida. Iść za wskazówką losu. On ci w ręce

Oddał śpiącego — tu w tej głuchej kniei,

Gdzie żadne żywe oko cię nie strzeże...

Patrzaj! — po całym przestworze powietrza

Nie krąży nawet najmniejsza ptaszyna,

Liść jeden nie drgnie — jakby wszystkie spały,

Nie pragnąc widzieć, co się tu dzieć będzie.

Korzystaj z chwili, sposobność tak dobra

Nie prędko, może nigdy się nie zdarzy.

Lech. Tak, to już dawno jest postanowione,

Dawno myślałem o tem i pragnąłem

Podobnej chwili — dziś mi los ją zesał.

Trzeba korzystać... (*Zamyśla się*).

Welida. Coż, jeszcze tu stoisz?...

Lech. Trudno mi, ciężko... tak zabić śpiącego...

On spi tak słodko, tak lekko oddycha,

Na ustach taki ma uśmiech, jak gdyby

Czuł, że tu jestem, chciał wstać i mnie witać...

Welida. Jakieś ty dziecko! — karmić wyobraźnię

W podobnej chwili tak błahem rojeniem!...

Lech. Przecież to brat mój jest!... Ja go nie cierpię,

Ja nienawidzę — lecz czy wiesz, Welido,

Co mi w tej chwili na pamięć przychodzi?

Welida. Niedorzeczności jakieś!

- Lech.** Oto właśnie
Wspominam sobie, jak małemi dziećmi
W ojcowskim sadzie wspólnie igraliśmy
Pośród drzew, kwiatów, na zielonej trawie...
- Welida.** Dziś on już nie jest twym bratem, jest tylko
Współzawodnikiem z tobą do korony,
Co mówię? więcej niż współzawodnikiem,
Jest tym, który ci ukradł twą koronę.
Braterskich uczuć ty szukaj u niego,
Spytaj go, czyli dla brata miłości
Zrzeknie się tronu, a parskanie ci w oczy,
Jakby usłyszał szalonego mowę.
- Lech.** Masz słuszność, wszelkie tam milkną uczucia,
Gdzie się o stawkę tak wielką rozchodzi.
Krzywdą ma straszna!...
- Welida.** Gdy się nie odważysz
Na czyn stanowczy, nie spełnisz swych pragnień.
Jak możesz, powiedz, pozyskać koronę,
Póki on żyje? Ojciec ci jej nie da,
Póki ten jego ulubieniec żyje,
On sam nie zwróci, bo woli w nią ubrać
Własną swą głowę... Musisz go usunąć,
Musi go nie być, gdy ty chcesz być królem.
- Lech.** Tak, dobrze, dobrze mówisz... innej drogi
Niema już żadnej... ja nie mam wyboru —
Ja lub on!...
- Welida.** A więc niżli on, ty raczej!
- Lech.** Ha! idę... tak być musi... być powinno...
Tam mię popycha moje przeznaczenie —
Wielkość się cichem sercem nie zdobywa,
Na szczyty droga wiedzie przez przepaście...
Idę więc... idę... idę..
- Welida** (*wyjmując z zanadrza nóż*). Masz ten sztylet...
To broń Hagana... zatruty...
- Lech** (*biorąc nóż*). Pewniejszy!
- Welida.** Ha! teraz widzę w tobie męskie serce,
Takim cie mogę uwielbiać i kochać!
(*Całuje go w usta*).

Lech. Welido! całus twój wlał w moje żyły
Wrzące płomienie — dusza ma goreje!
(*Odchodzi prędko poza namiot.*)

Welida. Stało się wreszcie!
(*W milczeniu patrzy ciągle tam gdzie Lech poszedł.*
*Lech wraca po chwili, nieprzytomny, odurzony, z nożem
wzniesionym do góry).*)

Welida. I cóż?

Lech. Co?... co mówisz?...

Welida. I cóż?...

Lech. Weź ten nóż sobie!

Welida. Zakrwawiony!

Lech. Już się nie zbudzi!... ach! a spał tak słodko...
Raz tylko westchnął!... westchnął tak głęboko...
Nie otwarł nawet oczu... dobrze zrobił...
I ja zrobiłem dobrze... Cóż? nieprawda?...
Co sądzisz o mym czynie?... Miałem prawo...
Musiałem przecież... w jakiż inny sposób
Mógłbym koronę mieć?... Daj mi ją tutaj,
Podaj ją... niech się przypatrzę, niech widzę,
Niechaj to godło królewskie popieszcze...

(*Idzie do namiotu i wraca, trzymając koronę.*)

Ha! upragniona ty korono droga,
Chciano mi ciebie wydrzeć, zabrać ciebie —
Nie dałem... męskim zdobyłem cię czynem...
(*Kładzie ją sobie na głowę.*)

Mam cię na głowie... odtąd ty już moją
Będiesz na zawsze... ja sam a nikt inny
Będę tu królem...

Welida (*zdejmuje mu koronę*). Jeszcze ta korona
Nie twoja!...

Lech. Jeszcze nie moja?...

Welida. Nie dosyć

Było zabójstwa, jeszcze trzeba kłamstwa,
Aby osadzić ją na twojej głowie...

Lech. Co chcesz powiedzieć?...

Welida. Czyż mordercy Kraka
Dadzą koronę ojciec twój lub naród?

Lech. Mordercy Kraka?.. I któż to rzecz może,
Kto się odważy?... Nikt tego nie widział,
Nie było świadków... Najmniejsza ptaszyna
Nie unosiła się w przestworach nieba,
Żaden liść nie drgnął...

Welida. Krak wyszedł na łowy,
A tyś miał w domu pozostać przy ojcu;
Krak zginął, został zabity — ty właśnie
W tym samym czasie, wbrew króla rozkazom,
W las ten poszedłeś... Strasznie cię potępia
Ten nieszczęśliwy zbieg okoliczności.

Lech. Prawda, Welido... jam nie myślał o tem...
Co czynić?..

Welida. Nie bój się. Zwalczyć pozory
Bezwstydem kłamstwa. Co tchu bież do grodu,
Podnieś krzyk wielki, płacz, załamuj dłonie,
Klnij bogów, znowu wzywaj ich litości,
I ty wiadomość pierwszą zanieś ojcu,
Że brat nie żyje, że go w lesie zranił
Zwierz dziki, że go znalazłeś w konaniu,
I sam omałość nie padł przy nim martwy...
Ha, słyszysz?..

Lech. Słyszę, to rogi myśliwskie,
Trąbą na odzew... zwołują się, pewnie
Szukają...

Welida. Tego, który już nie żyje.
Krzycz, wołaj na nich, daj znak niech tu przyjdą,
Pomoc ci dadzą, bo twój brat nieszczęsny
Zginął, zabity...

Lech (*wołając za scenę*). Hej, hola, tu do mnie!
Strzelcy tu do mnie!... okropne nieszczęście,
Straszna rzecz... brat mój, brat mój nieszczęśliwy!...
(*Za sceną odzywają się coraz bliżej rogi*).

Welida. Idź! podrzej suknie na zabitym, twarz mu
Pokalecz mieczem!... Ja stąd się usunę,
Niech mię nie widzą.

(Lech wybiega za namiot, w stronę gdzie leży Krak. Welida wchodzi do namiotu. Kilku Strzelców wbiega z lewej strony).

1. **Strzelec.** Tu słyhać było krzyk ludzkie głosy...

2. **Strzelec.** To księżę pewnie sam wołał o pomoc...

3. **Strzelec.** Lecz gdzie on?...

Lech *(wraca).* Ludzie, stało się nieszczęście!...

Brat mój, czy żyje, nie wiem, czy nie żyje...

Pójdźcie, co prędzej nieście go do grodu,

Może go pomoc przywróci do życia.

(Strzelcy wychodzą za Lechem. Za chwilę widać jak odchodzą głębią z ciałem Kraka)

Welida *(występuje z namiotu w narzuconym na ramiona płaszczu, w ręku trzyma koronę).*

I ja za wami — jako pomsta niebios!

(Powolnym krokiem idzie za nimi).

AKT PIĄTY.

Na Wawelu. W głębi po jednej stronie widać część na-
wpół wzniesionych murów nowego grodu i Robotników
koło nich pracujących, po drugiej grupę drzew. Bliżej
widzów kilka wielkich kamieni ciosowych na sobie le-
żących.

SCENA 1.

Krak: *Ojciec, Wojewoda Chrowat i Sługa Lecha (wszyscy
nieco w głębi).*

Krak *(do Sługi Lecha).* Więc to już wszystko co ci pan
[rzec kazał?

Sługa. Wszystko już.

Krak. Dobrze. Możesz teraz odejść.
(*Sługa Lecha wychodzi.*)

(*Krak i Chrowat postępują więcej na przód sceny.*)

Chrowat. Postępek Lecha zmartwił cię, mój królu...

Krak. Rzecz to niewielka, niezaslugująca,
By o nią gniewać się lub martwić można,
Lecz przywołała mi na pamięć inne,
Niepokojące me ojcowskie serce.
Od dość już dawna w zachowaniu Lecha
Widzę nieszczerłość, jakiś dziwny przymus,
Brak zaufania względem mnie samego,
Jak względem siostry i starszego brata —
Zdawałoby się, niewytłómaczoną
Ze czuje do nas niechęć i urazę.
W czasach ostatnich do tych złych objawów
Dołączyła się jeszcze tajemniczość,
Jaką osłania wszystkie swoje kroki;
Często gdzieś znika, nie wiedzieć gdzie? czemu?
Pytany o to, milczy lub się płacze
W swych odpowiedziach — jasna rzecz, że kłamie,
Że to co robi światła dnia się lęka...

Chrowat. Młodość ma swoje błędy i wybryki,
Do których wstyd ją przyznać się starości,
I nieraz nawet szlachetne popędy
Swojego serca przed jej okiem kryje.

Krak. I to nie dobrze. Któż więcej niż ojciec
Może być dobrym przyjacielem syna?
Od zaślepienia młodzieńczych porywów
Któż może lepiej ostrzedz i ochronić,
Niż ten co kocha, a z własnego życia
Zna namiętności sidła i otchłanie?
Choć on mi równą nie płaci miłością
Jak jego starszy brat, ja kocham obu
Jednakim sercem i chciałbym, by obaj
Jednako byli dobrzy i szlachetni.

Chrowat. Cnotliwe chęci spełniają bogowie;
Tyleś doświadczył już ich życzliwości,
Że i tę ziszczą, nie wążp o tem, królu.

Krak.

Prawda. Byłoby czarną niewdzięcznością,
Gdybym dla małej i przelotnej chmurki
Nie uznał, ile było dni słonecznych.
Czegombądź pragnął i nie pragnął nawet,
Miałem nad moje zasługi i chęci.
Jestem szczęśliwym ojcem trojga dzieci,
Które są moją pociechą i dumą;
Dostatku w domu i miłości ludzkiej
Przez całe życie nigdy mi nie brakło;
Berło, korona po przestawnych królach
W niezasłużone moje przeszły ręce,
Prosty ziemianin ujrzałem się w blasku,
Jaki majestat królewski roztacza.
Nie dość wielkości, łaskawe niebiosa
Dały mi sławę, przykuły zwycięstwo
Do mych chorągwi; z wielkim wprawdzie trudem,
Lecz z powodzeniem nadspodzianem miecza
Ciemiężycieli wygnałem z ojczyzny,
Straconą wolność wróciłem ludowi,
I doczekałem tej najwyższej z nagród,
Że mnie zwie ojcem swym i dobroczyńcą.
A teraz — (*wskazując*) oto ostatnie me dzieło,
Ten gród, z dniem każdym wznoszący się wyżej,
Cieszy me oczy, cieszy serce moje.
Na jego murach zapisze się pamięć
Na długie wieki, żem duszy mej wszystkie
Poświęcił siły dla dobra tej ziemi —
I w późne, w późne kiedyś pokolenia
Moi następcy w tej nowej stolicy
Sprawować będą rządy nad tem państwem,
Dadzą bogowie! wielkiem i potężnem!...
Tak, mój Chrowacie, u dni moich kresu,
Rzadkim wyjątkiem między śmiertelnymi,
Mogę dziękczynne wzniesć dłonie do góry
I wołać: bogi, wyznaję przed wami,
Dużo pociechy doznałem w swem życiu,
Łaskawość wasza hojną dla mnie była —
Jestem szczęśliwy, czuję się szczęśliwy!...

(Z za sceny słycać bolesny, przesywający głos Wandy).
Mój ojciec!...

Krak. Wanda!... Co się stało?...
(Zmierza prędko w tamtą stronę).

SCENA 2.

Krak. Chrowat (wbiega) Wanda.

Wanda. Ojciec!

Najdroższy ojciec! cios niespodziewany,
Cios straszny w twoje uderzy dziś serce...

Uzbrój się w całą siłę swojej duszy,
Na wieść najgorszą przygotuj swe ucho!

Krak. Co?... co się stało?... mów, nieszczęsne dziecko!...

Wanda. Ojciec... nie mogę... dech słowa zapiera...
Nie mam odwagi... to rzecz tak okropna...
Nasz Krak...

Krak. Co? Wando!...

Wanda. Patrzaj... tu go niosą.

SCENA 3.

Krak. Chrowat. Wanda (wchodzą) Lech, Strzelcy, którzy niosą ciało Kraka syna, kilku Wojewodów, kilku Żołnierzy i innych Ludzi.

Krak *(przystępuje szybko do ciała syna, odrzuca pokrywającą je zasłonę).*

Krak!... Krak najdroższy!... *(Chwyta go za ręce).*

Ręce zimne, martwe...

Twarz poorana strasznymi ranami —

Więc on nie żyje! *(Rzuca się na ciało)* Synu
mój kochany!

Wstań — powiedz ojcu, że wyrzekł nieprawdę!...

Przecież to trudno pojąć, w to uwierzyć...

Dopiero życie płonęło w twej twarzy,

Byłeś zdrow, silny, świeży jak kwiat w maju,

A teraz bladość powlekła cię śmierci,

Nie spojrzysz, nie drgniesz, nie przemówisz słowem...

Och! ty mój Krakul!...

Lech. Niech będzie przeklęty
Ten dzień dzisiejszy, co wniósł taką straszną
W nasz dom żałobę!... Czemu się nie zaćmi
To słońce?... czyliż na tyle okrutne,
Że może patrzeć na takie zdarzenia,
Co w ludzkich żyłach krew lodem zmrażają,
Co im boleścią rozdzierają serca?...

Krak (*powstaje*) Jak się to stało?... gdzie on, przez co zginął?...

Lech. Zaledwie mogę zebrać swoje zmysły,
By dać odpowiedź... Dziki zwierz go napadł.
Gdy się w głąb lasu zapuścił...

Krak. Nikogo,
Nikogo więcej z nim razem nie było?...

Lech. Nikogo więcej, niestety! sam jeden
W borze się zbłąkał.

I. Strzelec. Jeszcze słońce stało
Wysoko, kiedy od nas się oddalił;

Lech. Potem już żywym go nie widzieliśmy,
Aż młodszy książę na pomoc nas zwołał.
Do tych miejsc blisko zawiódł mię przypadek —
Na krzyk, co wyszedł z konającej piersi,
Przybiegłem... bogi, nielitosne bogi!
Nie po to, aby pomódz nieszczęsnemu,
Lecz aby ducha oddał w mych objęciach...

Wanda (*klęka nad ciałem i patrzy na twarz zabitego*).
O Krak nieszczęsny! jakże śmierć miał straszną!
Jak srodze nad nim dziki zwierz się pastwił!
Ja łzami mogę te rany ci obmyć,
Lecz tchem mych piersi ciała nie ożywię.

Krak (*zwracając się ku zabitemu*).
Synu mój drogi! twoja śmierć przedwczesna
I twemu ojcu śmierć także przyspieszy!
Nie przeboleję ja nigdy twjej straty,
Twych cnót, twych zalet, twjej wielkiej miłości

Nic mi już w świecie nagrodzić nie zdoła!
Patrz! — otom wznosił dla ciebie stolicę,
Tam miałeś wkrótce, gdy ojca nie stanie,
Ty zasiąść... Jakżem często o tem marzył,
Jak mi się dumą podnosiło serce,
Że w tobie, moim najbliższym następcy,
Twoją szlachetność, twoją mądrość wielbiac
Świat i mą pamięć błogosławić będzie!...
Niemą cię... jedna zabrała cię chwila,
A dla mnie wszystkie zginęły pociechy!
(Zakrywa oczy rękami, po chwili).
Jesteś tu, Wando?... jesteś tu, mój Lechu?...
Dajcie mi ręce... Wy równie cierpicie
Jak i wasz ojciec... on utracił syna,
Wy brata...

Wanda. Z braci najlepszego w świecie.
Jakże był dobry, słodki, jak uprzejmy...
Jak... *(Płacz jej powstrzymuje mowę).*

Krak *(ściskając Wandę).* Biedne dziecię... uspokój się,
[utul —
Wiem, wiem, że bardzo ty kochałaś brata,
I dla tej wielkiej, gorącej miłości
W dwójnasób teraz ciebie kochać muszę.
(Przyciska Wandę do piersi, zwracając się w drugą stronę).
I ty, mój Lechu, pójdz do mego serca!...
Tyś teraz moją jedyną nadzieją,
Podporą rodu — tobie brat zostawił
W wczesnej spuściźnie swą krwawą koronę.
(Bierze Lecha w ramiona i długo przyciska).

SCENA 4.

Ciż. Wchodzi Welida okryta płaszczem, mijając innych obecnych, przystępuje do Kraka.

Welida. Odrzuć od piersi, królu, twego syna!...

Lech *(n. s.)* Welida!... wielkie bogi!...

Krak.

Co to znaczy?

- Welida.** Odrzuć od piersi, królu, swego syna —
On jest niegodzien leżeć na twem sercu —
On nędzny kłamca!
- Krak.** Kobieto, kto jesteś?
Welida. On jest mordercą!
Krak. Szalona, co mówisz?
Welida. On bratobójcą!
Lech. Ha!
Welida. Uszom nie wierzysz;
Zmysły odchodzą cię... jednak to prawda!
Nie zwierz to dziki zabił twego syna,
Lecz on, brat własny...
Lechu, czy ty słyszysz?...
- Wanda.** Opatrzcie lepiej ciało zabitego,
Welida. Znajdziecie na nim ranę prosto serca,
Nie kłem zadaną lub pazurem zwierza,
Lecz mieczem ludzkim...
Cóż, Lechu?... ty milczysz?...
- Krak.** Milczy — ogromem przygnieciony zemsty,
Welida. Jaką bogowie zbrodnie jego karzą!
Milczy — sumienia dręczony wyrzutem,
Gdy się zobaczył nad otchłanią zguby;
Milczy — bo słowa jednego nie może
Wydobyć z gardła na odparcie skargi!
- Wanda** (do *Lecha*).
Lechu, ty strasznie patrzysz!... Bogi, bogi,
Ja nie chcę dłużej widzieć jego twarzy!
(Z załamaniem rękami odbiega i klęka nad ciałem
Kraka).
- Krak** (do *Lecha*).
Cóż cię popchnęło do tej strasznej zbrodni,
Co wszelkie ludzkie przechodzi pojęcie?...
- Welida** (rzucając koronę, którą dotychczas trzymała pod
płaszczem, pod nogi *Krakowi*).
To!... marny kawał błyszczącego kruszcu,
Korona Lechów, którą z twego skarbcu
Wykradł, by zawczas stroić w nią swe czoło —
Korona, przedmiot jego wścieklej żądzy,

I nowy jeszcze dowód jego czynu,
Bo ona mogła do mych rąk się dostać
Tylko przez niego!

Krak.

Niebiosa się wala
Na moją głowę, ziemia się rozpada
Pod moją nogą!... Kto jesteś, kobieto,
Która tak straszne wniosłaś oskarżenie?
Czyś była świadkiem czy spółniczką jego?

Welida.

Jednem i drugim. Widziałam, gdy rękę
W miecz uzbrojoną wzniosł nad piersią brata,
I jam szeptała mu słowa podniety:
Uderz go! zabij!... Jam żona Hagana,
Tego Hagana, przed którym kraj cały
Przez długie czasy drżał z lęku i trwogi.
Mojego męża zabił ten, jak wiecie —
Lecz był powinien i mnie zabić razem,
Gdyby był wiedział, jakie Furycie gniewu,
Jakie tortury bólu w mojem sercu
Zbudzi tą śmiercią!... Poprzysięgam wtedy
Cieniom Hagana zemstę nad zabójcą,
Nad nim, nad całym nienawistnym rodem,
Z którego wyszedł... I ślub mój spełniłam!
Z dumą, z rozkoszą patrzę na swe dzieło!
Ten zginął — a ten, głupie i ślepe narzędzie
W mej dłoni, żądz swych szalonych ofiara,
Zarówno zginie... Za nimi wnet pójdzie
I król wasz stary — nie wytrzyma bólu,
Nie zniesie hańby, które mu zadała
Ma mściwa ręka... Zginie i to miasto,
Co się wznieść miało nad grobem Hagana,
Gdy mu zabraknie królów i dziedziców!...
I tak się stanie, jak gdyby śmierć przeszła,
Gdzie przeszła stopa Haganowej żony —
Jak gdyby boskie padło tam przekleństwo,
Gdzie z mych zbolałych ust padło przekleństwo!
(*Wśród ogólnego osłupienia wychodzi.*)

SCENA 5.

Ciż bez Welidy.

Krak. Milczy! on milczy!... okropne milczenie!..
Ryki piorunu nie są takie straszne,
Jak cisza, która skuła jego wargi!

Lech (*d. s.*) Welida?... ona, ona mię zdradziła?...
Bogi — mściciele, widać was w tym czynie!

Krak. Pod straż go weźcie!
(*Na dany znak Chrowata kilku Żołnierzy otacza Lecha.*)
Gdzie jest ta kobieta?

Ona jest także spółniczką tych zbrodni,
Gońcie, chwytajcie ją!
(*Jeden z Wojewodów z kilkoma Żołnierzami wychodzą za Welidą.*)

Krak (*do Lecha*) Trzykroć przeklęty,
Cóżś uczynił?!... Jakież jędze piekła
W twem sercu sobie obrały siedlisko?
Widziałaż ziemia równą twojej zbrodni?
Do domu mego wniosłeś mord i hańbę.
Której nie zmyje nic, nawet łyzy krwawe,
Któremi płakać będę aż do śmierci!..
I to ja tego spłodziłem potwora,
Z pod serca mojej żony wyszedł zbójca
Swojego brata!... Bogi, bogi, bogi!
Czyż jest nade mnie nieszczęśliwszy człowiek!..
Życie za życie!... winien jesteś śmierci —
Lecz zbyt łagodna byłaby to kara,
Sroższej dla ciebie żąda sprawiedliwość.
Idź, tak jak stoisz, nędzny, opuszczony,
W świat jak najdalszy na wieczne tułactwo.
Niech niedostatek, bieda, pośmiewisko
Towarzyszami będą ci do zgonu;
Wyciągaj rękę do nieznanym ludzi,
Jedź w pocie czoła twardy chleba kawał,
Kryj się z imieniem, znoś urągawisko
Jak żebrak, nędzny bez dachu włóczęga!
Idź! a za to tobą niechaj idą Furye

Twego sumienia, niech wspomnieniem zbrodni
Codzień smagają pamięć twą i serce!
Niechaj za tobą idzie me przekleństwo!
Gdzie stąpisz, niech cię ściga widmo brata!...
Bierzcie go!

Wanda.

Ojczy, liłości!...

Krak.

Dla niego

Niema liłości!... Bierzcie go z mych oczu!
(Lech odchodzi chwiejnym krokiem, z głową spuszczoną na dół; za nim kilku Żołnierzy).

SCENA 6.

Ciż bez Lecha.

Krak. To straszne!... serce nie pękni z bóleści!
(Robi kilka kroków naprzód, słupia się i upada na jedno kolano).

Wanda *(podbiega do niego i podtrzymuje go).*
Co ci jest, ojczy?... chwiejesz się!... tyś chory?...
O, miejże liłość ty nad sobą samym,
Nade mną liłość i nad biednym krajem —
Cóż my sieroty poczniemy bez ciebie!

Krak *(podnosząc się z trudem).*
Nie, jaszczem żywy, pocziwe me dziecęg...
Człowiek w tem życiu strasznie dużo zniesie,
Choćby sto razy umrzeć z tego winien...
(Zbliża się do ciała Kraka syna).

Więc tu mój słodki Krak w śnie wiecznym leży...
Wando, idź, oddaj ostatnią posługę
Biednemu ciału naszego kochanka,
Niech mu obmyją te ohydne rany,
Niech go położą na szkarłatnem łożu,
Łoże kwiatami posypią wonnymi,
Dadzą mu zbroję i ten miecz do boku,
Którym za wolność ojczyzny wojował.
Mnie tutaj jaszcz trzyma obowiązek,
Ostatni, jaki w życiu spełnić muszę.

{Strzelcy wynoszą ciało Kraka syna, obok którego postępuje Wanda, wychodzą. Wojewoda i Żołnierze, którzy wyszli za Welidą, wracają}.

Wojewoda. Królu, Hagana żona już nie żyje.

Krak. Co się z nią stało?

Wojewoda. Za jej śladem biegnąc,

Znaleźliśmy ją w jaskini Wawelu,
Tam przy pochodni blasku ujrzeliśmy,
Jak w najciemniejszym tej jamy zakątku
Na trupie męża z nożem tkwiącym w piersiach
Martwa leżała.

Krak.

Zadość uczyniła
Sprawiedliwości sama. — Jedno słowo,
Wojewodowie, do was. Tę koronę,
Która tu leży w prochu znieważona,
Podnieście. (*Chrowat podnosi koronę*).

Sławna daliście i czystą
Niegdyś w me ręce — dziś wam ją powracam
Zhańbioną, strasznym poplamioną czynem —
Przebaczcie mi to, już skarany srodze...

Chrowat. Co myślisz, królu?...

Krak.

Wracam ją, skąd wziąłem —
W ręce narodu. Komuż mam ją oddać?
Niema dziedziców po mnie do spuścizny...
Miałem dwóch synów jeszcze dziś, lecz teraz
Nie mam żadnego... wszak wiecie? żadnego!

Dni moich wątek lada chwila przerwie,
A gdy bogowie przedłużą mi życie,
Aby mych cierpień powiększyć katusze,
Ja już nie będę zdolny wami rządzić —
Boleść mię złamie, zgrzyzota przetrawi...

Chrowat. Niech od nas cios ten odwróca bogowie!

Jeszcze odzyskasz dawną siłę, spokój...

Krak.

Nie, nie! Spełnijcie, czego chcę i żądam.
Spokojniej umrę, gdy w ostatnich chwilach
Będę następcę widział na mym tronie,
Kiedy pociechą dla mnie ta myśl będzie,
Ze państwo, z martwych powstałe niedawno,

Nie dozna znowu świeżych burz i wstrząśnień.
Jest was tu kilku z mej królewskiej rady,
Idźcie, i bacząc na dobro ojczyzny,
Już dziś uchwalcie, komu z dniem mej śmierci
Ma być oddaną ta korona Lechów.

Chrowat. Kiedy tak każesz, spełnić to musimy.
Wojewodowie, pójdźmy złożyć radę.

(Trzymając koronę w rękę, wychodzi. Za nim inni Wojewodowie).

Krak. Wy inni, także odejdźcie ode mnie,
Proszę — odejdźcie. Tamtym, co pracują
Około grodu, rozkażcie zaniechać
Dalszej roboty — już mi niepotrzebna...
Sam-na-sam z duszą się swą chcę rozmówić,
Nad swą niedolą podumać w tem miejscu,
Gdziem lubił marzyć o jasnych dniach przy-
[szłych,

Chcę się uskarżyć bogom i niebiosom,
I koniec mąk mych wyprosić najprędzsy.
*(Dworzanie, Robotnicy, Żołnierze i Lud w czasie ostatnich
słów Kraka opuszczają scenę).*

SCENA 7.

Krak *(sam, usiada na kamieniach bliżej przodu sceny
leżących).*

W proch rozsypało się całe me szczęście...
Gdzie życie kwitło, tam teraz ruina,
A rozpacz miejsce zajęła nadziei...
Ogołocony z pociech i zbolały,
Runę jak stary dąb, który grom zwałił...
Całe me serce — jedna wielka rana...
Gdzie tylko myślą dotknę go, dolega
I strasznie boli... Czuję, że zdrój życia
W jednej godzinie wysechł już na wieki —
Nic już nie zdoła wskrzesić mię na nowo,
Siły me znikły, omdlewam i gasnę,
Jak lampa, gdy jej zabrakło oliwy...

Bogowie! wy mnie do siebie weźmiecie
Wkrótce, niedługo... Widzę, jak się zbliża
Jasna dłoń śmierci ku mej biednej głowie,
Ażeby schwycić me ostatnie tchnienie...
Skróń moja cięży, opada na rękę,
Mgła przed oczami rozsuwa się biała...
Nie mogę powstać, ni oczu otworzyć —
Nie wiem, czy sen to, czy śmierć jego siostra?...
(Z głową opartą na dłoni zasypia).

SCENA 8.

Krak (śpiący), Geniusz Narodu i Zjawiska.

(W oddaleniu daje się słyszeć przyciszona muzyka, która trwa do końca tej sceny. Równocześnie zapada zmrok i mgła zalega całą scenę. Zpośród tej mgły występuje Geniusz Narodu ze skrzydłami, z wieniec laurowym na głowie, trzymając w jednej ręce miecz, w drugiej tarczę z orłem białym. Zbliża się do śpiącego Kraka, staje naprzeciw niego i mówi).

Geniusz Narodu.

Ty, który patrząc śmiertelnem okiem,
Ponad obecną nie widzisz chwilę,
I pod ciężarem nieszczęść upadasz —
Patrz teraz tutaj! *(Wskazuje mieczem).*

Przyszłość daleka

Swe tajemnice tobie objawi,
Poznaj z nich losy swego narodu,
Swietność państw twoich i twego miasta —
Poznaj, i słodką czerp stąd pociechę!

(W miejscu, gdzie Geniusz Narodu wskazał swym mieczem, mgła się rozrzedza i robi się całkiem jasno. W dalszej perspektywie tego miejsca pokazuje się widok Krakowa, na tle którego występują po kolei postacie historyczne; najprzód Bolesław Chrobry).

Geniusz Narodu.

Oto król Chrobry, co miecz zwycięski
Od Elby wzniesie aż po Dniepr siny,

A gdy rozszerzy ojczyzny kresy,
Tu, w twojem mieście, siądzie na tronie.
(Zjawisko znika. Pokazuje się Władysław Łokietek).

To znów Łokietek, który gdy członki
Rozpierzchłę państwa jednością spoi,
Na utwierdzenie swojego dzieła,
W twoim Krakowie wdzieje koronę.

(Pokazuje się Kazimierz W.).

Ten prawodawca, słabych obrońca,
Gród twój ubierze w mury, świątynie,
Przybytek wiedzy wzniesie w nim sławny,
Skąd światło spłynie na całą północ.

(Pokazuje się Jadwiga i Władysław Jagiełło, trzymający się za ręce).

Ta święta pani, z księżciem Litwy
Łącząc się ślubem w twojej stolicy,
Dwa ludy węzłem zwiąże braterskim,
W dwójnasób większą zrobi ojczyznę.

(Pokazuje się Zygmunt Stary).

To ich potomek, którego rządy
Jako wiek złoty zastyną w dziejach,
A ile razy spiżowym dźwiękiem
Dzwon z twego grodu zabrzmiał wspaniały,
Wspominać będą czasy Zygmunta
Po ojcach syny, po dziadach wnuki.

(Pokazuje się Stefan Batory).

I ten w stolicy twojej zasiądzie,
Co obcy rodem, wzniesie ojczyznę
Jak mało który, ręką i głową,
Dzielnością woli i miecza siłą.

(Pokazuje się Jan Sobieski).

Z twojego miasta ten król-wojownik
Pójdzie na zachód bić wrogów wiary,
A świat się cały dziwować będzie
Jego i ludu rycerskiej duszy.

(Pokazuje się Kościuszko).

Ten szlachetnego serca bohater,
W twem mieście oręż wnosząc na wroga,

Hańbę z imienia zmyje narodu.
Za to mu później wzniosą mogiłę,
Twojej królewskiej równą mogiłę,
I kości w twojej złożą stolicy.

(Pokazuje się Mickiewicz).

Ten choć nie mocarz, ale król ducha,
Największy pieśniarz twego narodu,
Więc jakby króla, jak bohatera
Jego popioły w twym spoczna grodzie,
Aby do blasku twojej stolicy
I tej błyszczącej nie brakło gwiazdy.

(Fo zniknięciu tego ostatniego zjawiska mgła znów zakrywa dotąd jasne miejsce).

Geniusz Narodu *(mówi do Kraka).*

Widziałeś wieków świetność i sławę,
Podnieś się duchem nad ból chwilowy!

(Geniusz znika napowrót we mgle. Mgła rozchodzi się, robi się jasno jak przedtem, muzyka cichnie, Krak się budzi).

Krak.

Gdzież jestem?... jakież postacie świetlane,
Postacie sławnych królów, wielkich mężów,
Przed mojej duszy snuły się oczami,
Wlewając we mnie spokój i pociechę?...
Księga przyszłości otwarła się dla mnie
I w niej czytałem dzieje lat tysiąca,
Widziałem wielkość mojego narodu,
Widziałem świetność przyszlą mych następców,
I wielką sławę tej mojej stolicy...
Bogowie! wasza nie myli mię wróżba;
Co przyrzekliście dziś mnie nieszczęsnemu,
To wypełnicie dla przyszłych pokolei.
Nie zginie moje państwo, gród nie zginie —
Com ja zbudował, żyć będzie po wieki!
Ta myśl obudza nowe życie we mnie,
I bólów moich dotkliwość uśmierza.

SCENA 9.

Krak. (Wchodzą) Wojewodowie, później Wanda w gronie Dziewic, Lud, Żołnierze i t. p.

Chrowat. Stało się, królu, jak sobie życzyłeś,
Zgodnymi głósy już wyznaczylśmy,
Kto ma koronę z twoich rąk odebrać.

Krak. Na kogóż wybór wasz padł?

Chrowat. Na twą córkę.

Krak. Co?... jakto?... Wanda?... ona ma być królem,
Słaba niewiasta ma rządzić mężami?...

Chrowat. Wbrew zwyczajowi powszechnemu w świecie,
Aby dać poznać, jak krew nam twa droga,
I dla uczczenia twoich wielkich zasług,
Dla zachowania we wdzięcznej pamięci
Dalszych pokoleń twojego imienia,
Dla tej dziewicy rzadkich cnót i zalet,
Chcemy, po tobie niech ona króluje.

Krak. Cudowne wasze zrządzenia, bogowie!
Zdawało mi się, że mój ród już wygaś
Do szczętu, a wy w tem dziewiczem ciele
Nową królewską tworzycie latorośl.
Ten cud pomnaża w mojem sercu wiarę
Do tych, com od was odebrał przyrzeczeń.

*(Wchodzi Wanda w orszaku Dziewic, z koroną na głowie;
za niemi w pomieszany tłumie wchodzi Lud i Żołnierze.*

Wanda zbliża się do Kraka i ukleka przed nim).

Krak. Błogosławieństwo przyjm z ojcowskiej ręki
Na ciężką, trudną twego życia drogę!
Dla ciebie teraz stawiać będę dalej
To miasto moje i dla tych co przyjdą,
Więksi od ciebie, w jego murach władać.

*(Robiąc kilka kroków w kierunku wznoszących się murów
razem z Wandą, którą trzyma za rękę).*

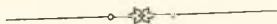
Dalej! pracujmy dla wielkiej przyszłości,
By na jej wdzięczność i pamięć zasłużyć!

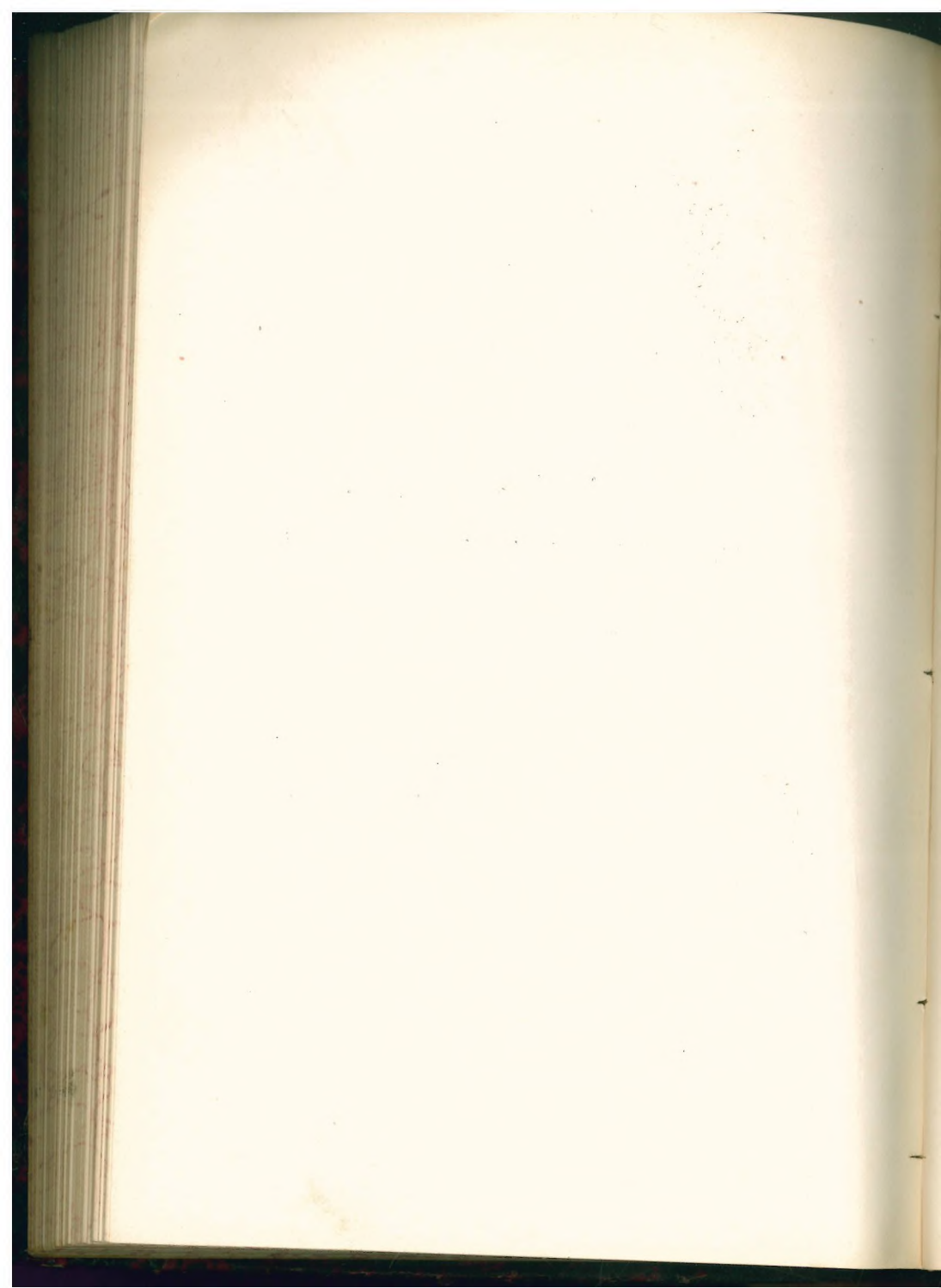
Wszyscy. Cześć tobie, Krak! cześć twojemu miastu!



PRZEKUPKA WARSZAWSKA.

OBRAZ HISTORYCZNY W 4 AKTACH A W 5 ODSŁONACH.





PRZEKUPKA WARSZAWSKA.

AKT PIERWSZY.

OBIAD PANA NACZELNIKA.

OSOBY.

Tadeusz Kościuszko.

Generał Dąbrowski.

Generał Zajączek.

Generał Madaliński.

Ks. Józef Poniatowski.

Magda.

Jakób, strzelec ks. Michała Poniatowskiego.

Wańko, żołnierz.

Jan, lokaj Kościuszki.

Oficer wyższy polski.

Inny oficer.

Adjutant Kościuszki.

Żołnierze polscy.

Rzecz dzieje się w obozie Kościuszki pod Mokotowem.

(W głębi kilka namiotów na tle okolicy wiejskiej; bliżej większy namiot Kościuszki, otwarty. Najbliżej widzów kilkunastu Żołnierzy polskich rozmaicie ugrupowanych. Niektórzy zajęci czyszczeniem broni, rzemieni itp., inni siedzą, inni znów leżą na ziemi. Broń ustawioną w kozły widać z boku. Z daleka słychać co chwila kánonadę).

SCENA 1.

Kilkunastu Żołnierzy.

1. żołnierz (*leżąc*). Bum! (*Po chwili, za nowem uderzeniem z działa*). Bum! (*Po chwili*). Bum! Cóż, nie będzie dziś temu końca?
2. żołn. Dużo dziś kul nawyrzucają Prusaczki; paupry będą miały co sprzedawać.
1. żołn. (*j. w.*) Bum! (*Po chwili*). No, no, jeszcze?... czy już dosyć?
3. żołn. Bum! jeszcze nie dosyć.
1. żołn. Ciekawym, wiele też prochu te Niemiaszki przez te sześć tygodni sobie wypsuły.
3. żołn. Usypałyby już chyba z tego taką górę, jak król Zygmunt na Krakowskiem Przedmieściu.
1. żołn. Ee! może i wyższą. Uważacie: już nic nie słychać; powiedzieli sobie: basta na dzisiaj.
2. żołn. A niechby sobie tam jeszcze popukali. Cóż nam to szkodzi?
4. żołn. Pan Kościuszko to, dalipan, mądry inżynier, wiedział, jak się okopać, bo inaczej, jakby nam Prusaki ze swoich trzystu armat byli zagrali, toby nam w trzech dniach podziurawili wszystkie dachy i wieże w Warszawie, a nas tu z obozu wymietli jak wióra.
1. żołn. Oj, co mądry, to mądry! Z nim można iść śmiało choćby do piekła.
5. żołn. (*leżąc*). Ależ to dzisiaj słońce doskwiera. Takbym się napił czego.
- Wańko. Naprzykład anyżówki pana Wojciecha, co?
5. żołn. Coś go dziś nie widać. Oj, co prawda, dobrą ma anyżówkę i serce dobre, bo biednego żołnierza nią poczęstuje.

SCENA 2.

Żołnierze. Jan, lokaj Kościuszki (wchodzi od strony namiotu).

Jan. Ot, nieszczęście, prawdziwe nieszczęście się stało!

2. żołn. Cóż znów takiego, panie kamerdynerze?

Jan. Zabieram się właśnie zastawić do stołu panu Naczelnikowi, bo już lada chwila może nadjechać z inspekcji, a wtem przychodzi chłopak z wiadomością od kucharza Wojciecha, że kucharz od samego rana leży ranny w lazarecie.

3. żołn. A to jakim sposobem?

Jan. A wyszedł sobie dzisiejszej nocy z tymi wolontarzami, municypałami (bo to strasznie zapalczywe dusze!) znowu pod baterie pruskie...

2. żołn. Na małe polowańko na kanonyerów pruskich?

Jan. Tak właśnie. To była ich pasya. Ale w końcu urwało się ucho u dzbana. Gumiński, kamerdyner pani hetmanowej, padł trupem na miejscu, a kucharza postrzelili Prusacy w nogę.

Wańko. To im się nie tego udało.

5. żołn. Oj, biedny pan Wojciech! Jakże mi go żal.

Jan. I mnie go żal, ale żeby choć był wcześniej dał znać, nie w ostatniej chwili. Obiada dla pana Naczelnika nie mam — co teraz zrobić? Ot, nieszczęście, prawdziwe nieszczęście! (*Wychodzi zakłopotany w tę samą stronę, z której przyszedł.*)

Wańko (*do 5-go żołnierza*). Wdziej teraz, bratku, żałobę po manierce pana Wojciecha, bo przy tej awanturze pewnie ją dyabli wzięli.

5. żołn. Żeby tylko nie wpadła w ręce Prusaków! Oj, nie darowałbym im tego!

(*Za sceną słuchać głos Magdy: »Obwarzanki, jaja, kiełbasa, ser!... Obwarzanki ser!«*)

1. żołn. Oho, nasza pocziwa Magda!

2. żołn. Nasza śliczna Magda!

Kilku innych. Magda! Magda!

Wańko. A cóż ją tak witacie jak Żydzi Mesyasa!

SCENA 3.

Żołnierze, Magda (wchodzi z prawej strony, na ręku kosz pełny wiktuałów).

Magda. No, Magda, Magda! Czego się tak drzecie, jak opętani? Bardzo się wam chce jeść? Macie tu świeże obwarzanki, doskonałą kielbasę, co kto chce.

1. żołn. Daj mi kielbasy!

2. żołn. Mnie obwarzanek!

5. żołn. Mnie sera i obwarzanek!

Kilku razem. Sera, jaj, obwarzanek! (*Żołnierze obstępują ją.*)

Magda. Zaraz, zaraz, nie tak nagle! Masz... To twój ser... Dziesięciu rąk przecie nie mam. Tobie obwarzanek, a tobie kielbasy?

1. i 2. żołn. Daj, Magda, daj!

Magda. Macie, macie! Smakuje wam, wiarusy? Jedzcie i niech wam służy na zdrowie, niech Prusaki na swej skórze poczują, że polski chleb i polska kielbasa dobrze sił dodają.

5. żołn. Ej, Magda, wszystko smaczne, co u ciebie w koszu, ale masz ty jeszcze smaczniejsze rzeczy...

Magda. Tylko z tem się nie odzywaj, wara! Sprzedaję uczciwie mój towar, ty mi za to zapłacisz, a gdybyś nie miał, to ci dam za darmo, bo się bijesz za ojczyznę, ale z umizgami daj sobie spokój!

2. żołn. (*do 5-go*). Ho, ho, ty jej nie znasz jeszcze. Do niej nie przystępuj, bo cię gotowa lunąć między oczy.

Magda. Gotowam!

Wańko. He, he, bo to my tylko prości żołnierze, ale gdyby tak jaki wyszamerowany oficer...

Magda. Choćby senator czy ksiązę, jak mu się zachce umizgów, może doświadczyć, jaką siłę mam w pięści.

1. żołn. Oj, harda Magda, harda!

- 3. żołn.** Szkoda tych jarzących ślepek i tego rumianego buziaka!
- Wańko.** To takim cudem tyś jeszcze żadnego chłopca nie kochała?
- Magda.** A co tobie do tego? czyś ty ksiądz na spowiedzi?
- Wańko.** Widzicie, widzicie, coś się zaczyna plątać!
- Magda.** Nieprawda. Ale kiedy tak, to nie kochałam żadnego.
- Wańko.** No i rozumie się, nie będziesz nigdy kochać?
- Magda.** Czyś ty się uwziął na mnie? A na co mi tego? Gdybym kochała, tobym wiedziała, jakiego kochać.
- Wańko.** No, jakiego, powiedz, jakiego?
- Magda.** Takiego, coby wart był kochania, takiego, które-gobym jak święty obrazek mogła postawić na ołtarzu i modlić się do niego.
- Wańko.** Ha, ha, ha! co ona gada!
- Magda.** No, nie rozumiesz tego? Kochałabym takiego rycerza, coby nam Polskę wywalczył.
- 5. żołn.** Ha, ha, ha! co się tej Magdzie roi!
- Wańko.** Kiedy tak, to musisz kochać pana Naczelnika?
- Magda.** A kocham, to się wie.
- Wańko.** A generała Dąbrowskiego?
- Magda.** Kocham także.
- Wańko.** A to i księcia Józefa?
- Magda.** I tego kocham.
- Wańko.** A Madalińskiego?
- Magda.** I tego.
- Wańku.** Patrzajcie, co ta Magda ma kochanków! każde-goby kochała, ha, ha, ha!
(*Inni Żołnierze śmieją się także.*)
- Magda.** Oj głupcy, głupcy, wy tego nie rozumiecie!... Pfe!
- 1. żołn.** Nie gniewaj się, Magda, nie gniewaj. To ten Wańko taki uszczypliwy i z każdymby się prze-komarzał.
- Magda.** Ja się nie gniewam. Wiem, żeście poczciwe du-sze, skoro tu jesteście w obozie, tylko wam tro-

chę pstro w głowie. No, teraz płąćcie, co kto winien; pójdę do innych. (*Stawia kosz na ziemi, obchodzi żołnierzy, oni jej płacą*). Bóg zapłać za pieniądze! (*Bierze kosz na rękę*). Bywajcie zdrowi, wiarusy! do widzenia!

Kilku żołnierzy. Do zobaczenia, Magdo, do zobaczenia!
(*Magda odchodzi w głąb na lewo. Żołnierze wracają do swych zajęć, niektórzy kończą jeść*).

1. **żołn.** Walna dziewczucha ta Magda!

2. **żołn.** I taka dla nas przyjacielska, jakby siostra dla braci.

Wańko. Tylko jej tak bardzo nie przechwalajcie, bo co przechwalone, to się łatwo zepsuć może. (*Za sceną słycać głośny krzyk Magdy: »Ojej! ojej!«*)

3. **żołn.** Czegóż ona tak krzyczy? (*Żołnierze zbiegają się w jedno miejsce i patrzą za scenę*).

Wańko. Zobaczyła tego szpiega, co dynda na gałęzi, i na złamanie karku ucieka. Ha, ha!

Magda (*wbiega zdyszana i przerażona*). Ojej!... O Jezus!... Jakiż to straszny ten wisielec!... Jakżem się przełękła!

1. **żołn.** Nie bój się, Magda, to szpieg, którego dziś o świecie powiesili.

Magda. Wolałabym była go nie widzieć. Czemuście mi o tem nie powiedzieli, że on tam wisi?

1. **żołn.** Ee, my już o tem zapomnieli. Na wojnie to chleb powszedni widzieć człowieka bez duszy.

Magda. Chociaż to szpieg i zdrajca, okropna to rzecz widzieć stworzenie boskie ze stryczkiem na szyi i z gębą tak wykrzywioną. Brr! zimno mną trzęsie! Będzie mi się śnił choć przez tydzień.

2. **żołn.** Bronił się też do ostatnich sił przed tym stryczkiem i prosił na wszystkie świętości o kulę. Ale nie, dla szpiegów łajdaków tylko stryczek!

Magda. Cóż to był za człowiek?

2. **żołn.** Oficer pruski, co się przebrał za chłopą i zakradł do naszego obozu, aby nas tu wyspiegować, gdzie nas najłatwiej mają napaść.

- Magda.** Oficer?... i oficera mogą także powiesić?
- 1. żołn.** A jakżeś ty chciała? Oficera i generała nawet powieszają, gdyby go na tem złapali. Niema większej zbrodni podczas wojny jak szpiegostwo. Przez takiego jednego szpiega można przegrać bitwę, można stracić fortecę, tysiące żołnierzy mogą paść trupem. Dla takiego łajdaka i stryzynek to za mała kara.
- Wańko.** Widzisz, Magda, na wojnie to nie przelewki. Gdybyś i ty była szpiegiem, toby cię powiesili, choć kobiet zresztą na świecie nie wieszają.
- Magda.** A niechże Pan Bóg i mnie i każdego broni od takiej śmierci! Uu! ciągle mi na oczach stoi).
(*Słychać bębnienie za sceną.*)
- Kapral** (*wchodzi*). Apell za broń!
- Kilku żołnierzy.** Za broń! za broń! (*Biegna, gdzie karabiny ustawione w kozły, każdy bierze swój, ustawiają się.*)
- Kapral.** Formuj dwójki! Naprzód, marsz! (*Żołnierze wychodzą.*)
- Magda.** Już w tamtą stronę nie pójde, nie! (*Zamyślona zamierza się wyjść na prawo, bliżej proscenium i zderza się z Jakóbem, przebranym za smolarza.*)

SCENA 4.

Magda. Jakób.

- Magda** (*wlepiwszy w niego oczy ze zdziwieniem*). A toć przecie Kuba! (*Jakób odwraca nagle głowę zmieszany i mijając ją idzie dalej.*)
- Magda.** Odezwiży się, kiedy do ciebie mówię.
- Jakób.** (*stając w pewnej odległości*). Do mnie mówita?
- Magda.** A juści. Przecież nie do tego pnia.
- Jakób.** Cegóz wy chceta?
- Magda.** Tylko nie bałamuć! Cóż to? nie poznałam cię, choć się umurdałeś na twarzy? Jesteś Kuba, strzelec od księcia Michała Poniatowskiego.

- Jakób.** Jestem Bartek z puscy Kampinoskiej, nie zaden Kuba. Psyjechałem do obozu z mazią na osie od harmat.
- Magda.** Odmieniłeś mowę, ale głos twój poznaje. Cóż to? nie mieszkaliśmy dwa lata naprzeciwko pałacu księcia? a mało mi to nazagładałeś w oczy? (*chwytając go prędko za rękę*), a ten twój mały palec, czy nie krzywy?
- Jakób.** Odcep się ode mnie, dziewucho, i idź swoja drogą. (*Idzie dalej*).
- Magda** (*patrzac za nim i kiwając głową*). To mi się coś nie podoba. (*Idzie za nim prędko*). Słuchajno, Kuba, jak nie staniesz i nie przyznasz się, to zawołam na żołnierzy i powiem, kim jesteś.
- Jakób** (*otrząsnawszy się mimowolnie, staje nagle i robi dobroduszną minę*). Ha, ha, ha! nie udało mi się. Chciałem trochę pożartować z tobą, ale tyś nie w ciemię bita.
- Magda.** O, mnie nie tak łatwo oczy zamydlić. A cóż ty tu robisz?
- Jakób.** Co?... No, widzisz, idę do pana adjutanta Dzie duszyckiego, żeby się zaciągnąć do wojska.
- Magda.** Dobrze robisz, Kuba. Tylu chłopców i tylu mężów i ojców bije się za ojczyznę, że byłby wstyd takiemu, co młody i zdrów, siedzieć w domu za piecem.
- Jakób.** Ja też tak sobie myślałem.
- Magda.** Ale dlaczego wdziałeś na siebie tę brudną siermięgę i twarz sobie poczerniłeś, jakby na jaką maskaradę? ty taki wymuskany fircyk?
- Jakób.** To mój podstęp. Mnieby zabrali pewnie do kawaleryi albo do fizylierów, a ja, widzisz, mam serdeczną ochotę służyć w kosynierach, chcę mieć taką kosę, jak ci co się pod Racławicami bili. Więc dlatego przebrałem się za chłopą, bo chłopu najprędzej kosę dadzą.

- Magda.** Kiedy tak, niech ci Pan Bóg szczęści w twych zamiarach i Najświętsza Panna niech się tobą opiekuje. (*Podaje mu rękę*). Bądź zdrow!
- Jakób.** Bądź zdrowa, Magda! Ale... proszę cię bardzo, nie mów nikomu, że mnie tu widziałas. Nie chcę, żeby się doniosło do księcia Michała, że ja przystałem do pana Kościuszki, bo księżę... rozumiesz?...
- Magda.** Bo księżę niedobry Polak, nie lubi pana Kościuszki i nie kocha ojczyzny. Tak ludzie gadają po Warszawie.
- Jakób.** No, no, cicho tam o tem! Bądź zdrowa! (*Odchodząc d. s.*) Żebyśmy tylko mógł szczęśliwie dostać się do okopów! (*Wychodzi na lewo*).
- Magda.** (*patrząc za nim przez chwilę*). A gdyby on poco innego przyszedł do obozu?... Ee! tak sobie nabiłam głowę tym powieszonym szpiegiem, że w każdym gotowam szpiega widzieć. (*Wychodzi na prawo, wołając w kulisie* : » *Obwarzanki świeże, kiełbasa, ser!*« *Za sceną słychać tentent koni, potem głos* : » *Prezentuj broń!*« *i krótkie bębnienie. Młody Oficer wchodzi*).

SCENA 5.

Oficer i lokaj Jan (później) Kościuszko i Świta.

- Oficer.** Janie! Janie! (*Lokaj wychodzi z za namiotu*).
- Jan.** Jestem, jestem!
- Oficer.** Pan Naczelnik jedzie. Przygotujcie mu szklanekę wody, a potem jeść co prędzej (*Wychodzi*).
- Jan.** Oj, będzie skweres! (*Wychodzi. Za chwilę widać go, jak na stoliku w namiocie stawia szklanekę wody. Tymczasem Kościuszko i kilku wyższych Oficerów wjeżdżają na scenę i zsiadają z koni. Pojawiają się Żołnierze służbowi i zabierają konie. Kościuszko i Oficerowie zbliżają się nieco naprzód*).
- Kościuszko.** Tak jest, mości panowie, musimy mieć ciąglą bacność, we dnie i w nocy, na najmniejszy nawet ruch nieprzyjaciela. Na coś się zanosi,

niema wątpliwości, zanosi się na coś ważnego z ich strony.

Jeden z Oficerów. Spełnimy ściśle rozkazy pana Naczelnika.

Kościuszko. A teraz dziękuję wam za towarzystwo. Potrzebuję trochę odpocząć i posilić się, a i wy tem nie pogardzicie. Do widzenia, moiści panowie, do widzenia! (*Podaje im rękę; do jednego z Oficerów*). Panie Rudnicki, powiedz pan po drodze panu Niemcewiczowi, niech zaprosi do mnie generałów ze wszystkich pozycyi za godzinę do raportu. (*Oficerowie salutują i wychodzą*).

Kościuszko. Jestem zmęczony nie na żarty. Pić i jeść! (*Wchodzi do namiotu, wypija szklanekę stojącą na stole, usiada*). Janie! Czemu go dziś wołać potrzeba? (*Lokaj wchodzi*). Daj mi jak najprędzej jeść. Jestem głodny bardzo.

Jan. Jaśnie wielmożny panie Naczelniku, zdarzyło się nieszczęście...

Kościuszko. Co takiego?

Jan. Kucharz Wojciech został tej nocy zraniony w nogę przez Prusaków...

Kościuszko. Biedny poczciwy Wojciech! Ale nie niebezpiecznie?

Jan. Za kilka dni będzie zdrow, ale dopiero przed godziną dał znać z lazaretu o swoim wypadku i...

Kościuszko. I ja nie mam obiadu.

Jan. Ponieważ musiałem czekać każdej chwili na przybycie jaśnie wielmożnego pana, nie mogłem się oddalić, aby...

Kościuszko. No, no, nie twoja wina, wiem. Fatalnie to dla mnie wypadło właśnie, kiedy mi się tak jeść chce. Skocz na jednej nodze i o cokolwiek mi się postaraj. (*Za sceną słychać głos Magdy: »Obwarzanki, jaja, kiełbasa, ser! Obwarzanki, ser!« Kościuszko uderzony tem*). He?... Obwarzanki, ser! (*Patrząc za scenę*). Zawołaj tej przepkupi tu do mnie. (*Lokaj wybiega w kierunku głosu Magdy. Kościuszko d. s. z uśmiechem*).

Młody Sanguszko powiada wprawdzie, że ja powietrzem żyję, ale czasem potrzebuję widać i posilniejszego pożywienia. (*Wychodzi z namiotu. Lokaj i Magda wchodzą z prawej strony.*)

SCENA 6.

Kościuszko. Magda. Jan.

- Magda** (*wchodząc*). Jakto? pan Naczelnik kazał mnie wołać?... pan Naczelnik Kościuszko — mnie?...
- Jan**. Tak jest, tak — no, idźże!
- Magda**. Kiedy bo... (*d. s.*) Jakże się kolana trzęsą pode mną!
- Kościuszko**. No, młoda obywatelko, pójdzże tu bliżej. Pokażno mi, co tam masz w swoim koszu.
- Magda**. Jaśnie wielmożny panie Naczelniku, to proste jadło dla biednych żołnierzy.
- Kościuszko**. Pokaż, pokaż. (*Bierze obwarzanek i je*). Ależ wyborne, doskonałe! — świeżutkie i smaczne. — Janie, nie pójdziesz już po nic. (*Lokaj odchodzi w stronę namiotu*).
- Magda**. Czy to naprawdę jaśnie wielmożnemu Naczelnikowi smakuje? Ach, jakżem szczęśliwa!
- Kościuszko**. Jeśli moim żołnierzom smakuje, dczegóżby mnie smakować nie miało? A przytem, moje dziecko, głód to najlepszy kucharz. Od świtu nie miałem nic w ustach, a przekłusowałem się przez dziesięć godzin na koniu.
- Magda**. Ojej, dla takiej osoby taka straszna fatyga!
- Kościuszko**. Fatyga jak fatyga, żołnierz musi być do niej zahartowany, ale że przytem i wilczy apetyt przyszedł, to naturalna. A tu, jak na nieszczęście, mój kucharz poszedł do lazaretu i nie ugotował mi obiadu.
- Magda**. O, biedny pan Naczelnik!
- Kościuszko**. Nie lamentuj tak bardzo nade mną, skoro w twoim koszu mam tyle specyałów. (*Biorąc nowy obwarzanek*). O, widzisz, jak mi twoje jadło

- smakuje. (*Dając jej pieniądze*). Tu masz za swój towar. (*Widząc, że Magda nie bierze*). Może za mało, a może za dużo i nie masz reszty — cóż?
- Magda** (*stawia kosz na ziemi i składa ręce jak do modlitwy*). Panie Naczelniku nasz najukochańszy, czy mogę prosić o łaskę?
- Kościuszko**. Cóż chcesz?
- Magda**. Niech mi pan Naczelnik nie płaci za to jadlo.
- Kościuszko**. Moja obywatelko, jesteś biedna dziewczyna, żyjesz z tego co zarobisz, nie mogę brać od ciebie darowizny.
- Magda**. Pan Naczelnik wynagrodzi mi tem hojniej, niż gdyby mi dał worek dukatów, bo ja będę miała pamiątkę na całe życie, do śmierci, że najpierwszy bohater polski, ten, co podniósł pierwszy broń za honor i całość nieszczęśliwej ojczyzny, którego cały naród czei i kocha jak świętego, jadł moje obwarzanki — obwarzanki biednej przekupki warszawskiej.
- Kościuszko**. Widzę, że jesteś nie tylko pocziwą dziewczyną, ale i dobrą patryotką. Niech będzie, jak chcesz. Ten pieniądz oddam na rannych, (*kładzie go do bocznej kieszonki*) dobrze?
- Magda**. O, dobrze, panie Naczelniku! Jaki pan Naczelnik na mnie bardzo łaskawy!
- Kościuszko**. Dzięki tobie zaspokoilem głód. Jan może od biedy zrobi mi jeszcze kawy, i nie będę czuł, że nie dostałem obiadu. Tak to, moje dziecko, żyje się na wojnie, jak ptak, czem się zdarzy, raz lepiej, drugi raz gorzej.
- Magda**. Jeśli pan Naczelnik pozwoli, to ja panu Naczelnikowi ugotuję kawy.
- Kościuszko**. A umiesz?
- Magda**. Jakżeby kobieta nie umiała ugotować kawy! O, znam się na tem doskonale, i pan Naczelnik będzie zadowolniony, — jeśli tylko pan Naczelnik pozwoli.

Kościuszko. To ugotuj, jeśliś tak dobra, bo przyznam ci się, że kawę bardzo lubię. Kawa, imbryk i woda są tam, *(pokazuje na namiot)* Jan ci poda.

Magda. A tutaj pełno chrustu i krzaków; mam krzesiwko i w jednej chwili ogień buchnie aż miło. *(Zbiera chrust po ziemi i gałązki z krzaków, układa na kupkę i krzesze ogień. Potem za kilku nawrotami przynosi z namiotu potrzebne rzeczy, przy pomocy Jana, który następnie się oddala. Ognisko powinno być umieszczone niedaleko od namiotu i tuż przy kulisie, tak aby czynności Magdy nie bardzo podpadały pod oczy widzów. Kościuszko wynosi stołek przed namiot i siada. Podczas krzątania się Magdy prowadzi się następująca rozmowa.)*

Kościuszko *(patrząc chwilę w milczeniu na Magdę d. s.)* Pocziwe serca u tego ludu. Boże, daj mi się przyczynić, żebym go wydobył z niewoli nieprzyjaciół! *(Po chwili, głośno).* Jak tobie na imię, dziewczyno?

Magda. Magda, proszę jaśnie pana Naczelnika.

Kościuszko. Ja widzę, Magdo, że gdybyś ty była chłopcem, to miałbym pod swoją chorągwią jednego więcej dzielnego żołnierza.

Magda. Oj, święta prawda, panie Naczelniku! Ja nieraz sobie w tych czasach myślałam: czemu ja, mój Boże, nie jestem mężczyzną? przydałabym się przecie na coś na świecie. Ale cóż? niema na to rady.

Kościuszko. Więc ty bardzo kochasz ojczyznę?

Magda. A cóżby to za potwór musiał być, coby nie kochał Polski, a zwłaszcza teraz, kiedy ona taka nieszczęśliwa, kiedy nieprzyjaciele ze wszystkich stron biją na nią! — O, panie Naczelniku, woda już wre.

Kościuszko. Prędko się uwijasz.

Magda. Duchembyśmy chciała. — Ale my, panie Naczelniku, damy sobie z nimi rady? Prusaki nie wezmą Warszawy, prawda?

Kościuszko. Bóg się opiekował nad nami, że o trzy dni wyprzedziłem ich przyście pod Warszawę, i że mieliśmy czas przedsiębrać środki potrzebne do obrony.

Magda. Będą musieli iść z kwitkiem, tak mi coś w sercu mówi. Kawa już — już naciągnie, panie Naczelniku.

Kościuszko. Moja kochana, byłby to prawdziwy cud boski, gdyby tak poszli z kwitkiem. Król pruski sam dowodzi oblężeniem i jego ambicya strasznie drażnięta, że mu się Warszawa, po sześciu blisko tygodniach szturmów i bombardowania, dotąd nie poddała, i nimby z pod niej ustąpił, użyje wprzód wszelkich sposobów, poruszy niebo i ziemię, aby nie odejść ze wstydem. Jedynem naszym zbawieniem mogłoby być, gdyby Wielkopolska zrobiła powstanie, ale Wielkopolska dotąd mileży, jakby umarła.

Magda. O mój mocny Boże, co się to jeszcze krwi musi polać! O te Prusaki, o te Prusaki, czego oni od nas chcą, po co oni wleźli w naszą ziemię! — Pan Naczelnik lubi kawę gorącą czy chłodną?

Kościuszko. Dobrze gorącą.

Magda. To ta będzie dobra. (*Stawiając szklanke na stoliku w namiocie, z dygiem*). Proszę bardzo.

Kościuszko (*przechodzi do namiotu i siada przy stoliku; pijąc*). Doskonała! — Wyborna z ciebie gospodyni, Magdo.

Magda. Bardzo się cieszę, że panu Naczelnikowi do gustu.

Kościuszko. (*popijając*). Tak, tak, na ciężkie jeszcze dni musimy się gotować. Muszę ci się przyznać, że wielkie mam teraz zmartwienie i ciągłą troskę, bo widzę, że Prusacy o czemś groźnem dla nas przemysłiwają, że wyteżą wszystkie siły, poruszą wszystkie sprężyny, i gdy przemoc nie wystarczy, użyją podstępu i zdrady. Niestety! boleśnie to wyznać, że nawet między naszymi, w samej Warszawie, mogą znaleźć pomocne do tego ręce.

Magda. Czyżby się mogły znaleźć takie wyrodk!

Kościuszko. Cała Targowica nam wroga, a rojaliści niechętni, bo w powstaniu widzą rewolucyą i narodową klęskę. Kto wie, czy już dzisiaj nie istnieje ohydny spisek między Prusakami a zdrajcami i tchórzami w Warszawie.

Magda (*d. s.*) Boże!... ten Kuba!...

Kościuszko. A na nieszczęście nic nie wiem, co się w obozie pruskim dzieje, nie mam najmniejszego pojęcia, co tam zamysłają i jakie knują machinacye.

Magda. I to żadnym sposobem nie możnaby się ustrzedz przed Prusakami i dowiedzieć się, co oni przeciw nam gotują?

Kościuszko. Zwyczajna wojskowa przezorność tu nie wystarczy; trzebaby podstęp na podstęp; trzebaby wykraść im ich tajemnice; pomiędzy nimi, w ich własnym obozie, może w kwaterze samego króla, podsłuchać i podpatrzeć, co robią, co mówią, i z czem się kryją. A kto mi to powie? skąd ja się o tem dowiem?

Magda. Panu Naczelnikowi koniecznie potrzeba wiedzieć o tem, co się tam dzieje?

Kościuszko. Och, gdyby można, gdyby można, nie wątpiłbym o Warszawie!

Magda. Tak?... to taka rzecz ważna? Panie Naczelniku, przecież taka przekupka jak ja, co sprzedaje jadło polskim żołnierzom, może także iść do obozu pruskiego i wołać: Obwarzanki, kiełbasa, jaja, ser! Przecież oni jej za to od razu nie zabiją?

Kościuszko (*wstając*). Dziewczyno, co ty mówisz!

Magda. Zaraz jutro z najlepszymi obwarzankami i kiełbasą wybiorę się do Prusaków. Oni tam często muszą przyciągać pasa, to zobaczy pan Naczelnik, jak mię słodko powitają.

Kościuszko. Ty naprawdę o tem myślisz? Zastanów się, że to rzecz trudna i niebezpieczna.

Magda. O, ja nie jestem głupia dziewczyna, panie Naczelniku, o nie! Ja potrafię zrozumieć to co widzę

i słyszę, potrafię się nawet domyśleć, co gdzie na spodzie się kryje.

Kościszko. Ale czy ty wiesz, na co się narażasz? Niech cię Prusacy złapią choćby na jednym nierozważnym słówku, niech powezmą najślabsze podejrzenie, czeka cię jako szpiega śmierć...

Magda. Szubienica — wiem o tem.

Kościszko. Więc widzisz, coby cię mogło spotkać.

Magda. No, nie chciałabym umierać na szubienicy... brr! to straszne i szkaradne!... ale ufam w boskiej opiece, bo ja przecież nie robiłabym tego przez podłość, dla pieniędzy i zysku...

Kościszko. I najszlachetniejsi giną często haniebnie!

Magda. Nie, nie boję się!... już ja znajdę na to sposób.

Kościszko. Ależ nierozsądnie mówisz, na to niema sposobu.

Magda. Oho, już oni mię nie powieszają, nie! (*D. s.*) Pójdę do pana Wasilewskiego, a on mi da co ma najlepszego w aptece. (*Głośno*). Więc jakże, pan Naczelnik mi pozwala? Nie chciałabym robić tego bez pozwolenia pana Naczelnika, a czuję, że ta myśl tak mi się uczepiła głowy, że się jej i krzyżem świętym nie opędzę. Więc jakże, panie Naczelniku?... jakże?

Kościszko (*po chwili*). Nie mam sumienia popychać cię do tego kroku, ale jeśli czujesz tyle ducha w sobie i tyle ufności w opatrność, jeśli gorąca miłość ojczyzny gna cię aż do poświęcenia — czyni, co ci dyktuje twoje serce.

Magda. O panie Naczelniku, dziękuję! bardzo panu Naczelnikowi dziękuję.

(*Za sceną słychać tentent koni i głos: »Prezentuj broń!«*)

Kościszko. To generałowie przybywają do mnie. Oddal się, niech cię tu nie zastaną, i nie mów nikomu nic, żeś się ze mną widziała, i ze mną mówiła. Mój lokaj wie, że kupowałam u ciebie obwarzanki i żeś mi gotowała kawę. O czemkolwiek innym nawet nie pomyśli. Najściślejsza tajemnica, to

pierwszy warunek powodzenia. Bóg z tobą! (*Magda klęka przed nim, całuje go w rękę. Kościuszko robi nad jej głową znak krzyża*). Bóg z tobą, Magdo!

Magda (*powstaje z radością*). Gdy mnie pan Kościuszko pobłogosławił, nie stanie mi się nic złego! (*Podnosi prędko swój kosz, i gdy zamierza się wyjść na prawo bliżej widzów, w głębi pokazują się: Dąbrowski, Zajączek, ks. Józef i Madaliński. Kościuszko wszedł tymczasem do namiotu. Generałowie idą do niego, witają go, Kościuszko podaje im rękę. Magda już blisko kulisy, obracając się ku namiotowi*). Jakże ja was kocham, wy polscy rycerze! jakże ja was kocham! (*Wybiega szybko*).

AKT DRUGI.

Z D R A D A.

OSOBY:

Manstein, generał-adjutant pruski.
Szekuli, Węgier, pułkownik w służbie pruskiej.
Magda.
Jakób, strzelec ks. Michała Poniatowskiego.
Ks. Józef Poniatowski.
Generał Zajączek.
Kapral pruski.
Kamerdyner ks. Józefa.
Kilku wyższych i niższych Oficerów polskich.
Żołnierze pruscy.

ODSŁONA I.

(W obozie pruskim pod Warszawą. W głębi Żołnierze pruscy zajęci robotą około nowej reduty. Jedni wożą ziemię taczkami, inni ubijają, inni kopią. Roboty już na ukończeniu. Na wałach już gotowych stoją armaty lawetami zwrócone ku widzom. Na przodzie sceny, po prawej, grupa dużych drzew).

SCENA 1.

Żołnierze pruscy. Kapral.

Kapral (*przechodząc przez scenę wzdłuż wałów, macha kijem*). Nur zu! nur zu! schnell! schnell! nie

próżnować! Pana generała-adjutanta tylko co nie widać. Kończcie, kończcie! (*Wychodzi drugą stroną*).

1. żołn. Dobrze ci tak wrzeszczać, kiedy nic nie robisz, tylko kijem wywijasz nad głowami! (*Ubija ziemię*).
2. żołn. (*wysypując taczkę ziemi*). Już dosyć tego! Kreuz-donnerwetter! już nie mogę, ledwie mi się krzyże nie złamią. (*Siada na ziemi*).
3. żołn. Lepiej ci było ze swoją Kati młócić zboże w Gän-sendorfie, nieprawda?
4. żołn. He, he! kto też tam teraz z jego Kati młóci?
2. żołn. Bodaj ci język spuchł, ty psi pysku jakiś!
1. żołn. Sakramenckie rebelanty Polaki, to wszystko przez nich! Tyle tygodni człowiek nie doje, nie dospi, raz poci się w skwarze jak ruda mysz, drugi raz topi w wodzie i błocie jak żaba.
3. żołn. A oni siedzą sobie w Warszawie za okopami i drwią sobie z nas. (*Nuci*)
»Choć ma trzysta dział król pruski,
To za mało dla Kościuszki«.
1. żołn. Cóż to jest?
3. żołn. A to ich piosenka, którą sobie w obozie wy-spiewują.
2. żołn. A huncfoty! Damy my im za to, damy! Kamień na kamieniu nie zostanie z Warszawy! Spalimy i zrabujemy do gołej ziemi.
3. żołn. Hurra! żeby się tylko dostać do tej Warszawy!
1. żołn. Dopierobyśmy użyli, no! Te szelmy mają dobre rzeczy u siebie.
4. żołn. Pyszna u nich gorzalka, a jakie kielbasy! fu! fu! godne lepszej gęby, niż u tych psów polskich.
2. żołn. Nim słońce wejdzie, rosa oczy wyje. Dyabli wiedzą, kto tego doczeka i kiedy.
1. żołn. Może i niedługo. Panowie generałowie teraz coś lepsze mają humory. Widać im coś po myśli idzie.
3. żołn. Ja wam coś powiem.
4. żołn. No?

3. żołn. Kapral Fryc mi mówił, że jak on kiedyś był na dyżurze u pana generała Mansteina, to przyszedł ten Polak od jakiegoś wielkiego pana z Warszawy. A jak ten Polak odszedł, a pan generał wyszedł do przedpokoju, to taki był uradowany, że Fryca uszczypał w policzek, kazał lokajowi przynieść mu wódki i powiedział: Pij za zdrowie króla jegomości, żeby prędko wszedł do Warszawy.
2. żołn. I to naprawdę tak było?
3. żołn. Kapral Fryc przysięgał mi się na to.
2. żołn. Hm! toby coś znaczyło.
1. żołn. Pan generał, taki skąpy, kazał dać wódki... hm! hm!
4. żołn. A bodajby się już ta nasza mizerya raz skończyła!
- Kapral (za sceną). Verfluchte Kerls! jak mi który stanie, wyłoję kijem, a potem dwadzieścia cztery godzin krumm geschlossen!
4. żołn. (naumyślnie podniesionym głosem). Zwijajcie się, chłopcy, zwijajcie! (Żołnierze biorą się znów do roboty).
- Kapral (wchodzi). Pan generał-adjutant i pan oberszt jadą; róbcie, komu grzbiet miły! schnell! schnell! (Staje naprężony jak struna, salutuje).
- (Za sceną słychać zsiadających z koni Mansteina i Szekulięgo).

SCENA 2.

Manstein. Szekuli. Żołnierze. Kapral.

- Szekuli (do Kaprala). Robota idzie?
- Kapral. Podług rozkazu, panie oberszcie.
- Szekuli (do Mansteina). Panie generale, proszę tędy.
(Wchodzi do środka reduty).
- Manstein (do pracujących Żołnierzy). Nie żałujecie, ludzie, rąk; dostaniecie wódki. (Patrzy przez lunetę poza redutę). Pozycja doskonale obrona; reduta domi-

nuje nad całą równiną; może nam oddać wyśmienite usługi. (*Przypatrując się działom*). Ta armata grzęźnie w ziemię; trzeba pod koła podsypać kamieni. (*Schodzi z Szekulim z reduty*). Przed wieczorem wszystko będzie gotowe?

Szekuli. Nieinaczej, panie generale.

Manstein. Jestem zadowolniony, panie pułkowniku. Prawdopodobnie dziś w nocy jeszcze reduta pełnić będzie służbę.

Szekuli. Czy tak? panie generale.

Manstein. Chybaby zaszedł jakiś nadzwyczajny wypadek. Miej pan swój pułk w pogotowiu.

Szekuli. Podług rozkazu, panie generale.

Manstein. Będzie to atak ważniejszy od wszystkich dotychczas. Już byłyby czas przełamać nieprzyjaciela.

Szekuli. Wielka prawda, panie generale.

Manstein. Jego królewska mość ma słuszny powód być z nas niezadowolnionym. Taka nędzna forteca, jak Warszawa, za długo nam się opiera. Myśmymy ten kurnik powinni byli, jak sprawiedliwie jego królewska mość powiedziała, na drugi dzień mieć w rękach. To wstyd, to hańba, żeby taka armia jak nasza, wymustrowana, wyegzercytowana, wyekwipowana jak żadna inna w świecie, nie mogła dać rady tej polskiej ruchawce, tej zbieraninie chłopów i szewców!

Szekuli. A co mi to za generał ten pan Kosiusko! Czy on to w szkole Fryderyka Wielkiego, wiekopomnej pamięci, uczył się jak my służby wojskowej? Generał amerykańskich bawełniarzy i chłopskich kosynierów! Basamteretete!

Manstein. Nerozum i niewdzięczność Polaków nie mają granic. Na pierwsze wezwanie jego królewskiej mości powinni byli poddać się pod jego berło, które jedynie zdolne jest wyrwać ich ze stułtnej anarchii i błogosławieństwa cywilizacji wprowadzić na ten kraj barbarzyński.

Szekuli. Dummes Vieh, dummes Vieh! panie generale.

Manstein. Na szczęście dla nich, a z pewnością i dla nas korzyścią, znaleźli się i między nimi ludzie, którym otwarty się na to oczy, że dla nich lepiej będzie, jeśli w Warszawie rozpoczną się lojalne, ojcowskie rządy jego królewskiej mości, niż gdyby władcami w niej pozostali tacy Jakobini jak Kościuszek i Kołłontaj.

Szekuli. Słyszałem coś o tem, panie generale. Ale czy tym ludziom można zaufać? Polacy to chytry naród; oni przez patryotyzm udają czasem i zdrajców.

Manstein. Tych ludzi łączą z nami interes. Oni są teraz w tej oplakanej alternatywie, że mają do oddania albo sakiewkę, albo sakiewkę i życie. Naturalnie, wolą oddać sakiewkę nam, niż sakiewkę i życie wyuzdanej rewolucji.

Szekuli. Teraz rozumiem, panie generale, teraz rozumiem! To jasne jak słońce.

Manstein. Bądź pan zatem ze swym pułkiem na dzisiejszą noc gotowy. Bo jeśli z Warszawy nie przyjdzie odwołanie ostatnich wiadomości, to jeszcze dzisiaj... Zresztą słuchaj pan bacznie na sygnał alarmowy i nie kładź się spać. Ale jeszcze jedno.

Szekuli. Co pan generał rozkaże?

Manstein. Ten gaik, który dotąd ukrywał robotę koło reedyty przed oczami nieprzyjaciela, za nadejściem zmierzchu trzeba wyciąć.

Szekuli. Rozumiem, panie generale.

Manstein. Nasz ogień z tej baterji pójdzie prosto na Powązki. Będzie to niespodzianka dla panów Polaków.

Szekuli. Ha, ha, ha! miła niespodzianka!

Manstein. Teraz wracam zdać raport jego królewskiej mości; pan tu przypilnujesz ostatnich robót. Servus!

Szekuli. Gehorsamster Diener, panie generale! (*Salutuje.*
Manstein wychodzi na lewo. Szekuli po jego odej-

ściu wchodzi do reduty i, przyglądając się robocie, powoli wychodzi redutą na prawo. Po chwili sły-chać jego głos za sceną:) Krucifix nochamal!... co to jest?... Każę cię w dyby skuć!... nie umiesz łopatą ruszać!... Basamteretete!

1. żołn. Oho! ten nie szpasuje, jak w złość wpadnie. Nie chciałbym się dostać wtedy w jego łapy.

SCENA 3.

Żołnierze. Kapral. Magda.

Magda (za sceną). Obwarzanki, jaja, kielbasa, ser! (Wchodzi z prawej, poniżej reduty).

Kapral (przybiegając do niej ze złością). Sakramencka!... Halts Maul!... cicho! pan oberszt tu są.

Magda. Przepraszam was, panie kapral, bardzo przepraszam... będę się cichutko sprawiać. To dla was kielbaska, wyborna, fajna! — za to, że mi pozwo-licie utargować.

Kapral. Wpakuj ją tam.

Magda (wkłada mu kielbasę w tylną kieszeń fraka, po-tem podchodzi do Żołnierzy robiących w reducie). Gut Morgen, robaczki. Przyniosłam wam świe-żutkie obwarzanki i kielbasę, że król mógłby jej dać gęby. (Żołnierze zbliżają się do niej, biorą towar).

1. żołn. Daj, Magda, daj!

2. żołn. Jeść się chce, czekaliśmy na ciebie.

Magda. O, ja o was nie zapomnę, robaczki. (Podaje in-nyim Żołnierzom różne jadalne i tak powoli wchodzi wyżej do reduty). Ho, ho, to wyście tu znowu coś nowego zrobili. Przed trzema dniami tu nic nie było.

4. żołn. Napociliśmy się aż ha! ale też to największa ze wszystkich reduta.

Magda. I armatki ładnie na niej ustawiliście!... tyle ich tutaj!... (spojrzawszy i za scenę n. s.) ośmnaście.

4. żołn. Same dwunastofuntowe.

Magda (*n. s.*) Dwunastofuntowe. (*Patrząc w głąb za redutę*).
Ojej, a toć to stąd tak blisko Powązki widać!

1. żołn. A podobno, że to Powązki.

Magda. Teraz po tej ciężkiej robocie to choć tydzień będziecie leżeć na brzuchu?

1. żołn. Kaduk tam wie. Jest befeł, żeby się na krok z reduty nie oddalać, to mogą i dziś jeszcze zabębnić na nas pod gwer.

Magda. Jeszcze dziś!... Biedne wy robaczki z taką straccą!

4. żołn. Masz recht, Magda, masz recht. Jak się tak człowiek uziaje, to nawet twój buziakby mu nie smakował.

Magda (*d. s.*). Wprzódbym ci oczy wydrapała, obrzydły Szwabie!

2. żołn. (*przystępując do Magdy*). Hej, dziewucha, daj mi jeszcze z pół łokcia kiełbasy i sześć jaj.

Magda. Ej, panie wojak, wczoraj nie zapłaciliście, a dziś tyle nabieracie — co to będzie?

2. żołn. Co to będzie? — ot, to będzie! (*Bierze pełnemi garściami z kosza Magdy i rozdaje między Żołnierzy*). Masz, Schulze! Masz, Müller! Masz, Schmidt! Masz, Majer! To ja wam wszystko daję, za to nie potrzebujecie nic płacić. (*Biorąc znowu i zjadając*). A to dla mnie!

Magda (*trochę tem odurzona*). Panie wojak, co robicie?

2. żołn. Widzisz przecie, co robię: biorę.

Magda. Ależ to moje?

2. żołn. Twoje?... Głupiasz ty dziewucha! Twoje? Zabrałem ci, to moje i kwita. Apeluj sobie teraz do Pana Boga. (*Żołnierze się śmieją*). To wszystko wokoło (*robi ruch ręką*), to nasze, i co macie w domach i w skrzyniach, to nasze! Możesz to powiedzieć tym rebelantom w Warszawie, że jak Warszawę weźmiemy, to ich zostawimy w jednej koszuli. — A co, kamraci, czy wam nie lepiej smakuje, że za to nie trza płacić?

1. żołn. Masz recht, lepiej smakuje.

3. żołn. (*zajadając*). Co lepiej, to lepiej!

4. żołn. Hi, hi! ty, Moryc, masz zawsze paradne koncepta.

Magda. Ech, ja wiem, co wy tylko tak sobie żartujecie. Jak nie dziś, to mi oddacie później, nie wszystko, to trochę. Ha! ciężkie czasy, byle handel szedł.

2. żołn. No, kiedyś taka zgodna i kielbasę masz fein, to my dla ciebie zrobimy wyjątek. Jak weźmiemy Warszawę, przyjdź do nas, a my się pokażemy honorowo.

Magda (*z ukrytą ironią*). Jak weźmiecie Warszawę? — to jakbym miała w kieszeni.

SCENA 4.

Żołnierze. Kapral. Magda. Szekuli.

Szekuli (*wchodzi z prawej, poniżej wałów*). Basamteretel!... Kapral!... Co to za bagaż kręci się między żołnierzami?

Kapral (*przybiegając do niego*). Melduję pokornie, panie oberszt, to przekupka, co im jadło sprzedaje.

Szekuli. Kto pozwolił!... Wołaj ją tu zaraz!

Kapral (*idąc w głąb, d. s.*). Żeby tylko nie było jakiej biedy! (*Do Magdy*). Dziewczyna, pan oberszt każał ci przyjść.

Magda (*przestraszona d. s.*). Ojej! (*Głośno*) Pan oberszt?... Jestem na rozkazy pana oberszta w tej chwili. (*Zbliża się prędko*).

Szekuli. Co ty za jedna?

Magda. Przekupka, proszę jaśnie pana oberszta.

Szekuli. Co tu robisz w reducie? Czy wiesz, że tu żadnemu cywilowi nogą stanąć nie wolno?

Magda. Nie wiedziałam, proszę łaski pana oberszta, że ja jestem cywilem. Ja już nieraz byłam w obozie u panów Prusaków, to tam, to owdzie, i przynoszę im zawsze jadło na sprzedaż. Panowie żołnierze bardzo je sobie chwala.

Szekuli. Kapral, czy to prawda?

- Kapral.** Tak jest, panie oberszt, ona ma dobry towar.
- Szekuli.** A skąd ty przychodzisz?
- Magda.** Z Warszawy, proszę jaśnie pana oberszta.
- Szekuli.** Z Warszawy?... (*d. s.*) Ona się tak otwarcie do tego przyznaje! (*Głośno*) To ty zamiast Polakom w Warszawie jadło sprzedawać, przynosisz je tutaj dla Prusaków?... Hm, hm! wiesz ty, że to mocno podejrzane.
- Magda.** Ej, za przeproszeniem pana oberszta, to bardzo rzecz prosta. Te rebelanty warszawskie to same hołusze, bez grosza przy duszy. Każdyby chciał brać, ale za darmo, i jeszcze naburczą i naszturkają człowieka, bo oni się przecie biją za ojczyznę, to im się wszystko należy. Ale ba! cóż mnie z tego? Ja z tego żyję, co zarobię, a jakbym jeszcze miała dopłacić, to dziękuję za to. Panowie Prusaki, to co innego; rzetelni ludzie; co który weźmie, za to zapłaci. Ja też wolę panom Prusakom sprzedawać.
- Szekuli.** Jest logika w tem, co mówisz. Ale ty pewnie jesteś patriotka?
- Magda.** Nie, proszę pana oberszta, jestem przekupka.
- Szekuli.** No tak, przekupka, ale patriotka?
- Magda.** Ja rozumiem, co znaczy szwaczka, praczka, hafciarka, modniarka, ale jakie to rzemiosło patriotka, to nie wiem.
- Szekuli.** To ja ci wytłómaczę. Oto ty krzyczysz razem z drugimi w Warszawie: Vivat pan Kosiusko! Niech zginą Prusaki! Niech żyje ojczyzna!
- Magda.** Ja, proszę pana oberszta krzyczę tak: Obwarzanki, kielbasa, jaja, ser! Obwarzanki, ser! i tak się tego nakryczę przez cały dzień, że mi aż chrypie w gardle, i co innego krzyżeć już mi się nie chce.
- Szekuli.** No, no, to ty wcale nieźle masz tutaj (*pokazuje na czoło*). Ty nie waryujesz za tą waszą ojczyzną?
- Magda.** Ojczyzna dobra dla panów, nie dla takich biedaków, jak ja; mnie ojczyzna trzewików nie

kupi, to i ja sobie o ojczyznę nie łamię głowy.
(D. s.) O łajdaku, że ty mnie zmuszasz do takich
bluźnierstw!

Szekuli (d. s.). Dummes Vieh, aber dabei eine ganz ge-
scheidte Person! (*Głośno*) No, słuchaj! ja tobie
pozwalam sprzedawać tu żołnierzom, skoro im
przynosisz dobre jądło, bo żołnierz im lepiej so-
bie podje, tem się i bije lepiej; ale pamiętaj
sobie, gdybym cię złapał kiedy na czem, coby
mi się nie podobało, jakem oberszt Szekuli, każe
cię bez pardonu, basamteretete! powiesić na
pierwszej gałęzi.

Magda. A cóżbym ja śmiała robić, coby się panu ober-
sztowi nie podobało? Taka biedna przekupka
jak ja, nie może nic zrobić, za coby się szubie-
nicy obawiała. (*Dotykając się gorsetu d. s.*) Mam
tu... Mojej trupa moglibyście powiesić, mnie nie!

Szekuli. No, marsz! idź sobie!

Magda. Dziękuję pokornie panu obersztowi. (*Ukłonwszy
się bardzo nisko, odchodzi na bok, zajmuje się
dla pozorów porządkowaniem swego kosza, liczeniem
pieniędzy, często rzucając badawcze spojrzenia
i nadstuchując szczególnie co mówi Szekuli*).

Szekuli. Kapral! (*Kapral zbliża się*). Poślej człowieka do
kapitana Webera, niech przyjdzie do mnie zaraz
do mojej kwatery. (*Kapral wychodzi na lewo*).

Szekuli (*wchodzi do reduty, przygląda się w różnych
punktach robocie*). Tu już wszystko w porządku.

Kapral (*wraca, salutując*). Melduję pokornie, posłałem.

Szekuli. Zaprowadzisz tych ludzi na drugą stronę wału;
tam jeszcze trzeba nadsypać i ubić ziemię. Pa-
miętaj, żeby wszystko było gotowe koniecznie
przed nocą. Ja przyjdę jeszcze zwizyterować.
Rozumiesz, co to znaczy?

Kapral. Rozumiem, panie oberszt.

Szekuli. Marsz! — Słuchaj jeszcze. Świeżego konia przy-
gotujesz mi na noc. Płaszcz — pistolety w olstrach.

Kapral. Podług rozkazu, panie oberszt.

Szekuli. Marsz! (*Kapral odchodzi do Żołnierzy i wydaje im rozkazy. Żołnierze ze swemi narzędziami wychodzą po chwili za nim w dalszą część reduty na prawo.*)

Magda. (*zajęta niby liczeniem pieniędzy w głębi d. s.*)
Coś się strasznie na dzisiejszą noc gotuje!

Szekuli. Parno bardzo. (*Patrząc w niebo*) Od zachodu idą czarne chmury. Ciemna noc przydałaby się nam dzisiaj. (*Odchodzi na lewo.*)

Magda (*zabierając się do odejścia*) Będę miała dziś dość nowego powiedzieć panu Naczelnikowi. — Boże drogi, jakież wicher się rusza! (*Oddalone grzmoty, potężne błyskawice, w ciągu następnej sceny burza coraz bardziej się wzmaga. Magda zamierza się odejść na prawo koło drzew i spotyka się oko w oko z Jakóbem.*)

SCENA 5.

Magda. Jakób. (w końcu) trzech Żołnierzy pruskich.

Magda. Kuba, ty znowu tutaj!

Jakób. Ty Magda, tutaj? (*Patrzą sobie chwilę w oczy*)

Magda. (*chwytając go za rękę*) Chyba mię oczy mylą?...
Co ty tu robisz?

Jakób. A ty, co tu robisz?

Magda. Przyszedłam sprzedawać swój towar Prusakom.
Ale ty tak służysz u kosynierów?

Jakób. Ho, ho, powiedz to głupiemu, nie mnie! Przyszedłaś sprzedawać swój towar Prusakom — ty?

Magda. A po coś ty tu przyszedł, ja wiem.

Jakób. Wiesz?... wiesz?... Ej, Magda, to źle dla ciebie!
I pójdziesz do Warszawy i powiesz tam co wiesz?

Magda. Powiem — jak będzie trzeba.

Jakób. Magda, teraz ja cię trzymam, jak ty mnie niedawno! Tylko krzyknę na Prusaków i powiem, żeś tu przyszła na przeszpiegi...

- Magda.** Ha, wydałeś się sam! To ty tak dobrze jesteś z Prusakami, że ci na słowo uwierzą?... Kuba, widzę teraz jasno: ty jesteś zdrajca!
- Jakób.** Milcz, przeklęta dziewczyno, bo ci kości połamię! Milcz, bo zawołam Prusaków!
- Magda.** To sobie wołaj i powiedz im, że tu przyszła wyspiegować, co oni robią i co zamierzają!
- Jakób.** To ty się nie boisz?
- Magda.** Nie boję się niczego; mam czyste sumienie. Ale ty się boisz, żebym nie powiedziała w Warszawie, że zdradzasz swoich i Prusakom nosisz wiadomości. Tybyś się pod ziemię teraz schował, boś dyabłu duszę zaprzedał.
- Jakób.** Tyś się wściekła, Magda!... Zresztą rób, jak chcesz, ja także zrobię swoje.
- Magda.** Nie zrobisz! Chyba przejdiesz po moim trupie, bo ja cię nie puszcę. Kto wie, jakie ty masz wiadomości! Jedno twoje słowo może zdolne oddać Warszawę w ręce Prusaków!... (*Gwałtowna błyskawica i grzmot*) O, jeżeli tak jest, Boże, zesłaj swój piorun na tego człowieka!
- Jakób.** Magda, nie mów takich rzeczy!... nie wzywaj na mnie Pana Boga!...
- Magda.** Musiałeś drogo sprzedać się Prusakom? dali ci pewnie za to tyle złota, ile sam zaważysz?
- Jakób.** Ja się nie sprzedałem Prusakom, oni mi nic nie dali!
- Magda.** Nie sprzedałeś się? Więc tak ich kochasz, że z miłości dla nich chcesz im pod miecz wydać swoich rodaków?
- Jakób.** Jabych ich w łyżce wody utopił, gdybym mógł—nie gadaj mi tego, Magda!
- Magda.** Tak mówisz?... To ty może nie jesteś taki zły człowiek, jak mi się wydawało? Może ciebie kto do tego namówił, może cię otumanił i skusił, jak czart grzeszną duszę?... Nie odpowiadasz nic? Powiedz, Kuba, powiedz—proszę cię bardzo!

Jakób. Ej, daj mi spokój i puść mię swoją drogą!

Magda. Żebyś poszedł do Prusaków i zaniósł im swoje wiadomości?... Nie, Kuba, nie, to być nie może! Wejdz w swoje sumienie, rozważ co chciałeś uczynić, a dyabeł ustąpi z twego serca! (*Burza się wzmagą*) Słyszysz, Kuba? tam z nieba Pan Bóg grozi złym i niegodziwym ludziom. A ty byłbyś najgorszym ze zbrodniarzy, gdybyś swój zamiar do skutku doprowadził. O Kuba, zastanów się, co byś ty zrobił! Przez swoją zdradę mógłbyś Warszawę oddać w moc nieprzyjacielowi, a z Warszawą upadłaby i ojczyzna. Wszyscy, co żyjemy w Polsce, dostalibyśmy się w niewolę, i nietylko my teraz, ale i ci co po nas się urodzą, przez lat może sto, może dwieście, może więcej, bo ktoś może wiedzieć, kiedyby się Bogu podobało pokazać nam znowu swoje miłosierdzie? I przez tyle lat, tyle milionów ludzi byłoby niewolnikami swoich wrogów, musiałoby słuchać obcych panów, korzyć się przed najpodlejszymi z ich sług! nie byłoby im wolno wyznawać swojej wiary, mówić swoim językiem, czcić swoich przodków i bohaterów. A ile razy chcieliby skruszyć swe kajdany i pokazać światu, że są Polakami, to wrogi męczyliby ich na torturach, zamykali w zimnych lochach, pędzili na wygnanie w kraj daleki, bili knutami i kijami i wieszali na szubienicach. O, pomyśl tylko, Kuba, ileby to nieszczęść na nas spadło, gdybyśmy stracili ojczyznę! ileby to krwi naszej się wylało, ile łez popłynęło, na jakie męczarnie byłiby skazani i ojcowie i matki, i mężowie i żony, i starcy nad mogiłą i dzieci w kołyskach! Kuba, przecież ty to rozumiesz i nie będziesz chciał brać na swoje sumienie tak strasznej zbrodni?

Jakób. Przestań, na miłość Boga, Magda, bo mię coś dławi w gardle! Nie, już nie wytrzymam dłu-

- żej!... Niech się co chce dzieje, powiem ci wszystko, jak było i co miałem zrobić.
- Magda.** Ach, mój Boże!... Powiedz, mój Kuba, powiedz! — zobaczysz, to ci ulży. Nieprawda? ja się dobrze domyślałam, ktoś ciebie namówił?
- Jakób.** Zgadłaś, Magda. Mój pan, księżę Michał Poniatowski,...
- Magda.** O najśłodszy Jezu, rodzony brat królewski!...
- Jakób.** Umiał mi tak na rozum wytłómaczyć, że ja dobrze zrobię, jeśli zrobię to, co on mi każe. Powiadał mi, że im Warszawa dłużej się będzie opierać, tem większy tylko będzie rozlew krwi i sroższa zemsta Prusaków, a w samej Warszawie może wybuchnąć straszna rewolucya, i jeden stan powstanie przeciw drugiemu, i będzie okropna bratobójcza wojna.
- Magda.** I cóż on tobie kazał robić, powiedz mi.
- Jakób.** Z jego rozkazu byłem w obozie pana Kościuszki, by przepatrzeć, co się tam dzieje — przypominasz sobie?
- Magda.** Och, mnie od razu coś wtedy tknęło — i cóż?
- Jakób.** Nastraszyłaś mię, i wyniosłem się z niczem co prędzej.
- Magda.** Cóż jeszcze więcej?
- Jakób.** Dwa razy nosiłem od księcia Michała kartki do pruskiego generała...
- Magda.** O Jezus Marya! No, a dzisiaj masz także kartkę?
- Jakób.** Mam. (*Wyjmuje*) Niech idzie na wszystkie cztery wiatry! (*Chce podrzeć*)
- Magda.** Stój, Kuba! Cóżbys ty zrobił najlepszego! Ta kartka może zbawić Warszawę... tę kartkę trzeba oddać panu Kościuszcze, albo któremu z naszych generałów.
- Jakób.** Ja nie śmiałbym stanąć przed nimi z tą kartką..
- Magda.** Daj mnie, ja im zaniosę. Z tej kartki mogą się dowiedzieć, co Prusacy wiedzą i skąd nam grozi niebezpieczeństwo. Daj mi ją!
- Jakób.** Masz. Zrób, jak powiedziałaś. Ale co ja teraz

- z sobą poczną nieszczęsny? gdzie się obrócę?...
Ha, wiem już! Teraz już naprawdę pójdę do
kosynierów pana Kościuszki.
- Magda.** Pan Bóg oczyścił i wyratował twą duszę, Ku-
ba! — Słuchajno, ty nieraz oberwałeś ode mnie
kułakiem... ja ciebie teraz sama pocałuję...
chcesz? (*Całuje go*).
- Jakób.** Ty dobra jesteś dziewczyna, Magdo; ty cieszysz
się z mojej skruchy.
- Magda.** A teraz biegnijmy, gdzie najbliżej do naszych. —
- Jakób.** Najbliżej do Powązek.
- Magda.** Tam generałem ksiązę Józef Poniatowski?
- Jakób.** Ksiązę Józef. Jemu nie można oddać tej kartki..
- Magda.** Właśnie jemu. On pierwszy powinien o niej wie-
dzieć. Chodźmy! Ależ to deszcz leje jak z ce-
bra, i tak strasznie ciemno się zrobiło! (*Odcho-
dzą prędko na prawo. Słychać grzmoty. Z lewej
strony nadbiega trzech Żołnierzy pruskich z ka-
rabinami w ręku*)
1. żołn. (*krzyczy za odchodzącymi*) Halt!
2. żołn. Jakaś kobieta !..
3. żołn. To przekupka z Warszawy.
2. żołn. Tamta była sama jedna, a tam biegnie dwoje
ludzi...
1. żołn. Dalej za nimi! (*Wybiegają na prawo. Po krót-
kiej chwili słychać za sceną głos: Halt! halt!
a potem strzały karabinowe*).

ODSŁONA 2.

Kwatera księcia Józefa na Powązkach. Obszerny, wy-
soki, zwyczajny pokój naprędce dywanami, makatami
itp. udekorowany. Po ścianach pałasze, pistolety itp. Na
lewo, na przodzie sceny, duży stół, na którym leży roz-
łożona mapa, luneta i przybory do pisania. W samej

głębi na prawo inny stół, przy którym kilku Oficerów gra w karty. Kilku innych to siedząc, to stojąc zajmuje się rozmową. Wieczór. Na obu stołach świece zapalone, butelki z winem i kieliszki.

SCENA 6.

Książę Józef. Generał Zajączek (siedzą osobno przy dużym stole) Oficerowie z ich świty (później) Kamerdyner i Magda.

Zajączek. Burza już ucichła. Czas mi pożegnać księcia.

Książę Józef. Jeszcze nie, mój generale. Wprawdzie wiem, że tylko burzy zawdzięczam twą wizytę, ale miłoby mi było dłużej cię u siebie widzieć.

Zajączek. Książę także wyjeżdżasz dziś na kolacją do Zamku.

Książę Józef. Muszę. Król napał się koniecznie tego. Podobno jakaś uroczystość domowa, imieniny czy urodziny pani Grabowskiej, sam nie wiem co. Nie bardzo tam bywa zabawnie i, ściśle rzeczy biorąc, może niepowinienbym oddalać się z obozu, ale ponieważ to tylko dziesięć minut drogi, na pierwszy sygnał, gdyby było potrzeba, jestem znów na miejscu.

Zajączek. A zatem czas już...

Książę Józef. O, jeszcze dużo czasu; na Zamku żyją więcej w nocy niż we dnie. Jeszcze chwilę, generale. *(Popijając do niego)* Za twoje zdrowie!

Zajączek. Dziękuję, mości książę. *(Pije)* Przez odejście Mokronowskiego pozycja księcia jest teraz jak dom, w którymby usunięto jedną ścianę.

Książę Józef. Prawda, zostałem osłabiony od prawego skrzydła. Ale muszę przyznać, że Naczelnik nie mógł zrobić inaczej. Trzeba było koniecznie, nawet w tak trudnem położeniu Warszawy, posłać te parę tysięcy ludzi na Litwę, skąd nowy nieprzyjaciel nie na żarty nam zagraża. Mam za to od niego pewne wynagrodzenie.

Zajączek. Municypalność.

Książę Józef. Tak jest, na każde zawołanie obiecał mi Naczelnik przystać w pomoc całą municypalność, ośmnaście tysięcy ludzi.

Zajączek. To coś znaczy. Choć to wolontaryusze, biją się jak stary żołnierz.

Kamerdyner (*wchodzi głębią, zbliża się do Księcia*) Karetą księcia pana zaprzężona.

Zajączek. A widzisz, książę?

Książę Józef. (*do Kamerdynera*) Niech czeka. (*Kamerdyner wychodzi*) Wierzaj mi, generale, że mi tu daleko przyjemniej z wami niż tam, a mogę nie jechać najmniej jeszcze godzinę. (*Wstają, ścisnąc się za ręce i zbliżają do stolika grających*).

Książę Józef. Komuż tam fortuna sprzyja?

I. Oficer z grających. Nikogo jeszcze za stałego faworyta nie obrała.

Zajączek. Walczycie panowie dotąd aequo Marte, i gotowa was tak rozjąc nie noc, ale pruska kanonada.

Książę Józef. Po tym wściekłym ogniu przez pół dnia, chyba już dzisiaj dadzą sobie spokój.

Zajączek. Tak książę myślisz? Mnie też się zdaje, że oni chyba ostatkami gonią, bo strasznie zbytują.

(*Książę i Zajączek przypatrują się grającym. Drzwi w głębi na wpół się otwierają. Widać Kamerdynera, który zatrzymuje chcącą wejść Magdę*).

Kamerdyner. Powiedziałem ci raz: nie można! Idź sobie! Książę pan ma gości.

Magda (*trzymając drzwi ręką*) Choćby sam król był u księcia pana, muszę się z nim widzieć!

Kamerdyner. Możesz poczekać...

Magda. Nie mogę. (*Podniesionym głosem*) Ja przychodzę z obozu pruskiego!

Książę Józef, Zajączek i paru Oficerów bliżej drzwi się znajdujących. Co? z obozu pruskiego?

Książę Józef. Pójdź tu, dziewczyno! (*Magda wchodzi*).

Kamerdyner znika za drzwiami, które zamknął.
Chciałaś ze mną się zobaczyć?

Magda. Tylko na osobności mogę księciu panu coś powiedzieć.

Ksiązę Józef. Panowie darujecie — to zdaje się coś ważnego, muszę z nią się rozmówić. *(Do Magdy)* Proszę cię tutaj. *(Postępuje z Magdą na przód sceny na lewo. Zajączek i Oficerowie w głębi; niektórzy grają ciagle).*

Ksiązę Józef. Ach, tyś zmoczona do nitki — drżysz cała!

Magda. To nie!... leciałam tylko co tchu...

Ksiązę Józef. Mówiłaś, że przychodzisz z obozu pruskiego?

Magda. Tak jest.

Ksiązę Józef. Masz mi coś powiedzieć?

Magda. Och!... Gdybym nie musiała, nie powiedziałabym tego nigdy i nikomu... I ksiązę pan się nie obrazi...

Ksiązę Józef. Co ty mówisz? Dlaczego bym ja miał się obrażać?

Magda. Prawda, ksiązę pan nie powinien się tem obrażać, a moim obowiązkiem wszystko wręcz wypowiedzieć, wyjawić całą prawdę, choćby księcia pana serce zabolalo.

Ksiązę Józef. Mówisz samemi zagadkami... Prędszej do rzeczy!

Magda. Niech ksiązę pan mi daruje... taka jestem pomieszana... Więc — przed godziną zesłałam się tuż pod obozem pruskim z Jakóbem, strzelcem od księcia Michała...

Ksiązę Józef. Mojego stryja?

Magda. Tak, stryja księcia pana.

Ksiązę Józef. I cóż?...

Magda. Przyznał mi się, że zanosił do pruskiego generała kilka już kartek pisanych przez...

Ksiązę Józef. Przez mego stryja?!

Magda *(potakując głową ze spuszczonei oczami, po cichu)*
Tak, ksiązę panie.

- Książę Józef.** Gdzie jest ten człowiek?
- Magda.** Nie żyje. Gdyśmy uciekali, Prusacy strzelali za nami i Kuba, zaledwie dowlókszy się do naszych forpoczt, wyzionął ducha.
- Książę Józef.** Ech, dziewczyno, ty coś kłamiesz i wdałaś się w jakąś nieczystą sprawę! W takich rzeczach gołosłownemu twierdzeniu bez dowodów się nie wierzy.
- Magda.** Ja kłamię!... Jabym wprzód paźnokciami serce sobie z piersi wydarła, nimbym się dopuściła takiej ohydy!... To jest ostatnia kartka, którą Kuba dziś zanośli. Książę pan pozna, kto ją pisał.
- Książę Józef** (*rozwiija spazmatycznie kartkę*) Wielki Boże, to jego pismo!... tak jest, jego pismo! (*Czyta szybko, drżącym ze wzruszenia głosem*) »Potwierdzam dawne wiadomości. Położenie niezmienione. Pozycya na prawem skrzydle osłabiona. Książę na Zamku«... Ha!... i mnie w to wmieszał!... »Dziś o północy. M. P.« (*Z głośnym krzykiem*) Zdrada! najoczywistsza zdrada! (*Grający Oficerowie rzucają karty, powstają. Wszyscy patrzą z ciekawością i przerażeniem na Księcia*).
- Zajączek i Oficerowie.** Zdrada?!
- Książę Józef** (*przystępuje prędko do Oficerów*) Mości panowie! Książę Michał Poniatowski dał nieprzyjacielowi wiadomość o słabych punktach naszej obrony w celu ułatwienia mu zdobycia Warszawy. Dziś o północy nastąpi szturm. Ponieważ noszę toż samo nazwisko co książę Michał, ponieważ jestem jego bratankiem, uważałem za obowiązek honoru powiedzieć panom całą prawdę, skoro się tylko o niej dowiedziałem. A to jest dowód. (*Rzuca kartkę na stół*) Macie, czytajcie! (*D. s.*) Co za hańba, co za hańba!... Boże, za co mię tak karzesz!
- Magda** (*patrząc z podziwieniem na Księcia Józefa*) Ach, jaki on piękny teraz, ten książę Józef!

Oficerowie. Zdrada! zdrada! (*Zaczynają się zbierać, niektórzy przypasują pałasze itp., potem oprócz trzech ze świty Zajączka wybiegają jeden po drugim głębią; z za sceny słychać jeszcze ich głosy: „Zdrada! — Księżę Michał! — Do broni!”*).

Księżę Józef (*do Zajączka*) Panie generale, donieś o tem jak najprędzej Najwyższemu Naczelnikowi. Powiedz mu o wszystkim — o wszystkim! (*Patrząc na swój zegarek kieszonkowy*) Godzina dziewiąta... Trzy godziny czasu... Pójdę teraz bronić honoru, a potem wracam tu, bić się za ojczyznę. Do widzenia! (*podaje mu rękę*).

Zajączek. Straszna rzecz! Do widzenia, mości księżę!

(*Wychodzi pospiesznie ze swymi Oficerami*).

Księżę Józef (*do Kamerdynera, który przed chwilą wszedł*) Karetą! (*Kamerdyner wybiega*) Teraz na Zamek, do króla! (*Zabiera kartkę ze stołu i zbliżywszy się do Magdy, chwyta ją za rękę*) Ty ze mną! (*Wychodzą prędko głębią. Za sceną, pod oknami, słychać od niejakiego czasu powtarzające się pojedyncze głosy: „Zdrada! — księżę Michał! — Zdrada!” przytem szczeł broni przebiegających wojskowych i w końcu bębnienie*).

AKT TRZECI.
NOC NA ZAMKU KRÓLEWSKIM.

OSOBY:

Król Stanisław August.
Pani Grabowska.
Pani Hetmanowa, siostra króla.
Książę Józef Poniatowski.
Magda.
Kicki, koniuszy koronny.
Oficer gwardyi królewskiej.
Kamerdyner pani Grabowskiej.
Deputowany mieszczanin.
Dwóch innych Deputowanych.

Na Zamku królewskim, w apartamentach zajmowanych przez panią Grabowską. Salon oświetlony. Po prawej ręce duży stół okryty kobiercem, na nim różne drobiazgi i przybory do pisania; po lewej obszerna, niska sofa. Drzwi w głębi i po obu stronach.

SCENA 1.

Król. Pani Hetmanowa. Pani Grabowska.

(Król stoi przy nawpół uchylonych drzwiach na lewo, zegnając się z kimś za sceną. Kobiety siedzą przy stole, patrząc w stronę króla).

Król *(mówiąc za scenę)*. Bonne nuit, mon frère. *(Odchodzi powoli ode drzwi i w zamyśleniu usiada ciężko na sofie).*

- P. Grabowska** (*do pani Hetmanowej*). Dziwny ten książę Michał! tak nalegał kiedyś na króla, żeby dziś kazał dać okazalszą kolacyą i księcia Józefa na nią zaprosił, a teraz sam tak wczesnie, mimo naszych próśb, się oddala.
- P. Hetmanowa**. Wydawał mi się niezwykle roztargnionym; ciałem był między nami, lecz myślą gdzieś indziej.
- P. Grabowska**. Ach! w tych ciężkich czasach, w jakich żyjemy, nawet tak silny i trzeźwy umysł jak księcia, może się zachwiać i rozstroić.
- Król** (*podnosząc głowę*). Czy wiecie, co mi książę Michał mówił, tuż przed odejściem.
- P. Grabowska**. Cóż takiego?
- Król**. Myślę i myślę o tem, i w głowie mi się to pomieścić nie może. Ni mniej ni więcej mówił bowiem, że przeczuwa, że niedługo los nasz na lepsze się odmieni.
- P. Hetmanowa**. Bógby dał! — ale jakim sposobem?
- Król**. Tym — mówił książę Michał dalej — iż zdaje mi się rzeczą pewną, że Prusacy prędeej, niż się kto spodziewa, zdobędą Warszawę.
- P. Grabowska**. To w istocie mogłoby dla nas być zbawieniem.
- P. Hetmanowa**. Bolesna to przecież rzecz widzieć swoje nadzieje związane z powodzeniem i zwycięstwem nieprzyjaciela.
- P. Grabowska**. Gdy jednak niema innej nadziei?...
- Król**. Prawda, gdy niema innej nadziei! Bo gdzież i w czem jest inna? To życie, jakie teraz widzimy, to przecież straszna męczarnia! Ciągłe drżenie, mieć ciągle przed oczami obawę detronizacyi, więzienia, rewolucyjnych sądów i krwawego szafotu — no, to świat może obmierznać i rozpacz ogarnąć serce!
- P. Hetmanowa**. Te straszne sceny, jakie odegrały się w Paryżu, nie wierzę, aby u nas mogły się po-

wtórzyć. Charakter narodu sprzeciwia się temu. U nas Ludwik XVI nie zginąłby pod gilotyną.

Król.

A jednak przyznasz, że Polska zaraziła się już mocno rewolucją od Francji. Stan rzeczy od kilku miesięcy gwałtownie się odmienił. Jestem tutaj i nazywam się królem, ale nie mam władzy i znaczenia na tyle — samowładnym panem, niby dyktator ludowy, jest pan generał Kościuszko. Mamy w Warszawie Radę Najwyższą Narodową i Najwyższy Sąd Kryminalny zupełnie tak samo, jak jakobiński Paryż ma Konwencyą Narodową i Trybunał Rewolucyjny. Dla dopełnienia podobieństwa, czyż już nie jestem więźniem takim prawie, jak Ludwik XVI w Temple? Za mury tego zamku prawie mi się wydalić nie wolno. Najwyższa Rada kazała mię zawiadomić, abym dla usunięcia wszelkich przyczyn do podejrliwości ludu nie wyjeżdżał za okopy. Rozumiecie, co się pod temi delikatnemi radami ukrywa? »Dla usunięcia podejrzeń!« — a więc mogą być, może już są podejrzenia, a jeśli będę uznany zdrajcą, to...

P. Grabowska. Ależ do tego nie mogłoby przyjść, nie mogłoby przyjść!...

Król. Albo do czego zmierzało to nikczemne doniesienie, jakie zrobiła Gazeta Rządowa, drukując moje nazwisko między tymi, co brali pensye od ościenych dworów? Czyż nie do tego, żeby mnie zohydzić w opinii, pomieścić w liczbie zdrajców i utorować drogę terorystom do sięgnięcia przy najpierwszej sposobności po moją głowę?

P. Hetmanowa. Wszakże wydrukowali potem i twój protest i wyjaśnienie.

Król. Tak, ale w tych krwawych czasach raz zostać oskarżonym, znaczy tyle, co być potępionym. Dopóki jeszcze czem innem zajęci, dopóki mają przed sobą nieprzyjaciela, którego się obawiają, mnie dają spokój, lecz niechby Kościuszko zwy-

ciężył, ogłoszą z pewnością republikę z polskim Washingtonem, albo z polskim Robespierrem na czele. Ze mną zrobią wtedy, co im się spodoba.

P. Grabowska. Tak, tak, książę Michał ma rację... mnie to nieraz przechodziło przez głowę: Prusacy mogliby nam dać najprędzej bezpieczeństwo.

Król. Ach, niestety! mnie się zdaje, że i książę Michał się myli. Wprzód nimby Prusacy zajęli Warszawę i ostonili nas swymi bagnietami, wściekłość i zemsta rozszalałego ludu szukać będzie ofiar dla siebie — najprzód tu, między nami... Ach, pamiętacie dobrze, co to jest rozwścieczony lud, pamiętacie owe szubienice w czerwcu, na któreśmy ze zgrozą z tych okien patrzyli, owych hetmanów i senatorów wleczonych przez ulice!...

P. Hetmanowa. I znowu te wspomnienia!... Kościuszki wtenczas nie było w Warszawie, a dzisiaj jest i do tegoby nie dopuścić. Tę sprawiedliwość trzeba mu oddać.

P. Grabowska. Jednak, jeśli książę Michał mówił tak, jak nam wasza królewska mość powiedziałaś, musi mieć do tego jakieś podstawy. Gdzie chodzi o życie lub śmierć, głosić fałszywe, nierozsądne opinie, byłoby ciężkim grzechem, którego tak mądry człowiek jak on, zwłaszcza względem brata, którego kocha, z pewnościąby się nie dopuścił.

Król. Więc należałoby chyba przypuścić, że Prusacy mogliby tak nagle i niespodzianie opanować Warszawę, żeby rewolucya nie miała czasu przystąpić do swojego krwawego dzieła.

P. Grabowska. Wszakże to nie zdaje się niemożliwe? Prusacy są mistrzami w sztuce wojennej.

P. Hetmanowa. W sztuce wojennej i w intrydze.

Król. I książę Michał musiałby coś wiedzieć o tem?

P. Grabowska. Dlaczego nie? Jest on rozumny i przeczorny, a różnemi drogami można przyjść do różnych wiadomości.

Król. Prawda, książę Michał nie mówiłby tak na wiatr... Przy najbliższej sposobności poproszę go, by mi to jaśniej wytłómaczył.. Ha, Bógby dał, Bógby dał! Dla Polski miałyby to z pewnością lepsze następstwa, niż chwilowe zwycięstwo powstania, które w końcu przewadze ościennych państw uledeć musi. Naturalnie, mocarstwa zażądałyby na odszkodowanie za tę wojnę, nie przez nie wywołaną, jakichś wynagrodzeń... posunęłyby dalej swoje kordony... możeby przyszło do trzeciego rozbioru... Ale z Polski jeszczeby coś zostało... Warszawy niktby nie zabrał — no, i po jednej i drugiej stronie Wisły musiałyby mocarstwa jakiś kawał ziemi zostawić dla króla polskiego... Zmiluj się, Boże, żebym umarł na tronie i nie padł ofiarą swoich, albo u obcych nie musiał szukać przytułku!

SCENA 2.

Ciż sami. (Wchodzi) Kamerdyner pani Grabowskiej (później) Kicki.

Kamerdyner (*podchodząc do pani Grabowskiej*). Kiedy jaśnie pani rozkaże podać kolacyą?

P. Grabowska (*patrzac na zegar ścienny, do Pani Hetmanowej*). Prince Joseph ne viendra pas avant une heure, n'est-ce pas?

P. Hetmanowa. Mais, sans doute.

P. Grabowska (*do Kamerdynera*). Nie wcześniej, jak za godzinę. Panu Bacciarrellemu i panu Trembeckiemu powiesz, że ich czekamy. (*Słysząc blizki wystrzał armatni*).

Król (*zrywając się*). Co to jest?

Kobiety. Boże, co to jest? (*Biegną patrzeć do okna*).

Król. Sygnał alarmowy pod kolumną Zygmunta, niema wątpliwości.

P. Grabowska. Więc coś się stało?

- Król. Musiało się coś stać! *(Do Kamerdynera)* Gdzie pan Kicki? Wołaj zaraz pana Kickiego. *(Kamerdyner wybiega głębia).*
- P. Hetmanowa. Ach, Boże, wielki Boże, znów coś nowego!
- Król. Może niespodziewany atak Prusaków, i zwołują municypalność pod broń. Nic więcej nie słyhać, nic nie widać?
- P. Grabowska. Nic, nie stąd nie widać. *(Kicki wchodzi głębia).*
- Król. Panie Kicki, co to jest?
- Kicki. Szambelan Wolski właśnie wrócił z miasta...
- Król. I cóż powiada?
- Kicki. Na placu Zygmunta dano strzał alarmowy, słyhać krzyki: do broni!
- Król. Więc pewnie Prusacy...
- Kicki. Najpewniej to, ale oprócz tego jeszcze i coś innego... Słyhać jakieś głosy oburzenia, jakieś pogroźki...
- Król. Więc rozruch ludowy, zbiegowisko uliczne... najgorsze co być może!... Lecz z jakiej przyczyny?
- Kicki. Niewiadomo, najjaśniejszy panie.
- Król. Mój kochany Kicki, biegnij co prędzej, staraj się dowiedzieć co to jest i wracaj nam donieść.
- Kicki. Co tylko będę mógł. *(Kiedy się zbliża ku drzwiom w głębi, drzwi się otwierają i wchodzi Książę Józef z Magdą).*
- Kicki. Mości książę, co w mieście?...
- Książę Józef. Wszystko powiem. Teraz zamknij pan drzwi, i niech tu nikt nie wchodzi. *(Kicki spogląda ze zdziwieniem na Magdę i wychodzi głębia. Książę Józef pozostawia Magdę przy drzwiach, sam postępuje szybko ku Królowi).*

SCENA 3.

- Król. P. Grabowska. P. Hetmanowa. Książę Józef i Magda.
- Król. Mój drogi, co się to znaczy?...
- Książę Józef. Najjaśniejszy panie, czy książę Michał jest na Zamku?

Król. Był niedawno, i pożegnał nas wcześniej, niż się spodziewaliśmy. Ale co tobie jest?... Takis zmieniony... coś bardzo złego zdarzyć się musiało...

Książę Józef. Najjaśniejszy panie, przychodzę do ciebie, jako do króla i głowy rodziny. Książę Michał był w porozumieniu z Prusakami, dopuścił się zdrady względem narodu, a nas spotkała hańba, że mamy zdrajcę między sobą.

P. Hetmanowa. Wielki Boże! jakto?... zdradził?...

Książę Józef. Jak najzupełniej! Ten jego ostatni bilet, do generała pruskiego pisany, dowodzi jak najwyraźniej, że udzielał nieprzyjacielowi wiadomości i odkrył słaby punkt naszej pozycji. Przypatrz się, najjaśniejszy panie, to jego ręka — nieprawdaż?

Król (*czytając*). Nie można zaprzeczyć... jego pismo... jego! Skąd ta kartka dostała się do ciebie?

Książę Józef. Oddała mi ją ta dziewczyna, którą tu przyprowadziłem ze sobą na świadectwo. (*Wszyscy inni zwracają się nagle ku Magdzie, której dotąd nie spostrzegali*).

Król. Ach, ta dziewczyna!

P. Hetmanowa (*zbliżając się ku Magdzie*). Ach, moje dziecko, dobrześ zrobiła, oddając tę kartkę księciu. Nie mówiłaś przed tem o niej nikomu?

Magda (*mocno onieśmielona*). Nie, nikomu.

P. Grabowska. I nie powiesz nigdy?... wszak prawda?

Król. Czyż książę Michał mógł pismo tej treści oddać takiej dziewczynie?

Książę Józef. Nie, tę kartkę dał jej strzelec, zaufany sługa księcia Michała, którego sumienie w ostatniej chwili powstrzymało.

Król. A on gdzie jest?

Książę Józef. Nie żyje. Prusacy zastrzelili go pod swemi okopami.

Król (*z uczuciem ulgi*). Ach, tak! Więc o tym strasznym dowodzie nie wie nikt więcej, tylko my tu obecni...

Magda. Tak nie jest, najjaśniejszy panie...

Król. Co?

Kobiety. Jakto?... (*Spoglądają ze zdziwieniem to na Magdę, to na księcia Józefa.*)

Książę Józef. Tak być nie mogło. Kiedym tę kartkę otrzymał, był w mej kwaterze generał Zajaczek, trzech jego oficerów i kilku moich podwładnych. Tym wszystkim w głos i wyraźnie powiedziałem, co ta kartka w sobie zawiera i dałem im ją do czytania z tem poleceniem, aby jak najprędzej o wszystkim donieśli Naczelnikowi.

Król. Ach, nieszczęśliwy, jak mogłeś się tak zapomnieć!

Książę Józef. To nie było zapomnienie. Jestem żołnierzem i generałem, najjaśniejszy panie. Mój honor nakazuje mi bronić sprawy, której służę, na każdym kroku, we wszelaki sposób, z poświęceniem własnego życia, z poświęceniem wszystkich innych związków i uczuć.

Król. Więc o tem wie już cały obóz?

Książę Józef. Cały obóz! i wkrótce będzie wiedzieć i całe miasto, które już zaalarmowano sygnałem. Ci, którzy byli zagrożeni przez zdradę, powinni byli najprzód o niej się dowiedzieć, by ją odeprzeć.

Król. Mój nieszczęśliwy brat zgubiony, my wszyscy zgubieni!

P. Grabowska i P. Hetmanowa. Boże! Boże!

Książę Józef. Tak jest, książę Michał zgubiony, musiał zostać zgubiony, jeśli się dopuścił tak ciężkiej zbrodni. Bądźmy bezstronni, najjaśniejszy panie, zapomnijmy, że on naszym bratem i stryjem. Wina jego dowiedziona, a jakikolwiek trybunałby go sądził, czyby republikański był, czy rojalistyczny, czy polski, czy też pruski lub moskiewski, każdy musiałby orzec: ponieważ dopuścił się takiego czynu, więc jest zdrajcą!

P. Hetmanowa. Jeden z Poniatowskich zdrajcą — to okropne!

P. Grabowska. Książę Michał działał zbyt śmiało i nieogłębnie!

Król (*głuchym głosem*). I cóż będzie dalej?

Książę Józef. Albo Najwyższy Sąd Kryminalny, albo lud warszawski dostaną go w swoje ręce i—ukarzą jak zdrajcę.

P. Hetmanowa. P. Grabowska (*załamując ręce*). Straszna rzecz, straszna!

Król. Co za hańba! co za hańba!... Książę Poniatowski—mój brat—brat królewski, miałby tak jak tamci w czerwcu... och!... Nie, przecież do tego nie powinniśmy dopuścić!

Książę Józef. Nie powinniśmy!—dobrze wasza królewska mość powiedziałaś. Opatrzność, ostrzegając nas na czas, chciała, zdaje się, pokazać nam swoją łaskę. Oczyszczyć i ocalić księcia Michała nie jest już w mocy ludzkiej. Sam się potępił i skazał, i ta plama, którą rzucił na swą osobę, przyłgnie także i do nas. Ale przynajmniej od jednego jeszcze obronić się możemy, od tej najostateczniejszej i namacalnej hańby, żeby ktoś, co nosi nasze nazwisko...

P. Hetmanowa. O, nie kończ, na miłość Boga, nie kończ!

Książę Józef. Jeżeli jedna iskra honoru tli się w nim jeszcze, książę Michał powinien uprzedzić sprawiedliwość ludzką i sam ją sobie wymierzyć...

Król. Odebrać sobie życie?...

Książę Józef. Nieinaczej.

Król. Czy zechce?...

Książę Józef. Ach, przecież tu niema co jednej chwili się wahać! A gdyby się sam do tego nie poczuwał, my wszyscy mamy prawo żądać tego od niego, ty, najjaśniejszy panie, możesz mu to nakazać.

Król. Boże! czyż już niema innego ratunku!

Książę Józef. Niema żadnego. Najjaśniejszy panie, czas nagli, poslej po księcia Michała i użyj na niego całego swojego wpływu, by zrobił co jego i nasz honor rozkazuje.

Król (*zwracając się do kobiet*). I cóż wy na to?

P. Grabowska. Od zmysłów odchodzę, nie umiem nic powiedzieć.

P. Hetmanowa. Książę Józef ma racją... Nasze imię byłoby skalane na wieki... Michał musi siebie i nas od strasznej hańby w ten okropny sposób ratować.

Król. Więc mam go wezwać do siebie?

Książę Józef. Jak najprędzej, najjaśniejszy panie!

Król. I powiedzieć mu cośmy tu mówili?...

Książę Józef. Książę Michał powinien sobie sam to powiedzieć.

Król. W istocie, większa hańba nie mogłaby na nas spaść, i precedens byłby okropny... Wolałbym sam pierwiej umrzeć... Dajcie mi pióro i papieru. (*Siada przy stole. Pani Grabowska podsuwa mu przybory do pisania. Król wpada w nagłe zamyslenie*).

Książę Józef. Prędzej, najjaśniejszy panie, prędzej!

Król (*otrząsa się, bierze prędko za pióro i spazmatycznie kresli kilka słów. Wstaje, składa pismo we dwoje i podaje ks. Józefowi*). Masz, poślej przez Kłickiego.

Książę Józef. Moja karetka przywiezie tutaj księcia Michała. (*Wychodzi drzwiami w głębi*).

Król. Ratuj nas, Boże!

P. Hetmanowa (*rzucając się w ramiona Pani Grabowskiej*). Ach, co my musimy wycierpieć! (*Obie ściskają się i wybuchają głośnym płaczem. Król usiada przygnębiony na sofie*).

Książę Józef (*wraca, do Króla*). Odwagi, najjaśniejszy panie, odwagi! Ten kielich goryczy musimy spełnić do dna; nie wolno nam do końca tracić zimnej krwi; musimy ją mieć za siebie i za niego. Obmyślmy więc wszystko naprzód.

Król. Nie jestem w stanie o niczem myśleć, mam otów na mózgu.

Książę Józef. A jednak, jeśli książę zastrzeli się, rzuci z okna czy powiesi, będzie to dla wszystkich widoczne, że sam śmierć sobie zadał. Czynem tym przyzna się zatem sam do swej winy, i każdy powie: zabił się, aby ująć haniebną kary za zdradę.

Król. A więc cóż? ten straszny czyn nie doprowadzi do niczego?

Książę Józef. Najlepszym rodzajem śmierci byłby ten, który do śmierci naturalnej byłby najpodobniejszy, któryby żadnych widocznych oznak na jego osobie nie pozostawiał, tak że moglibyśmy powiedzieć: Książę Michał umarł, nie przyłożywszy do siebie ręki. Najjaśniejszy panie, potrzeba nam trucizny...

Król. Trucizny?... skąd jej weźmiemy?

Książę Józef. Może który z medyków waszej królewskiej mości?...

Król. Nie, żaden z nich nie ma trucizny...

Książę Józef. Niech jej dostanie z apteki...

Król. Medyk królewski? Iluż jeszcze ludzi trzebaby wtajemniczać w nasze nieszczęście i w naszą hańbę!

Książę Józef. A jednak to być musi!... i jak najprędzej!... My nie wiemy, co się tam teraz dzieje w mieście... jedna chwila za późno, a czeka nas niezmazana hańba!

Magda (*zbliża się do Księcia Józefa*). Księciu panu tak bardzo potrzebna trucizna?

Książę Józef. O, tak jest! W tej chwili nad wszystko w świecie wolałbym posiadać szczyptę trucizny.

Magda. Ja księciu panu mogę dać truciznę...

Książę Józef. Możesz mi dać?... niepodobna!... skąd jej weźmiesz?

Magda. Mam ją przy sobie. Oto jest. (*Podaje mu truciznę w papierku*).

Książę Józef. Ha, mamy, czego potrzeba!

Król. Czy to rzeczywiście trucizna?... to się nie zdaje prawdziwe.

Magda. Mogę przysiąc na to, że to trucizna, trucizna bardzo silna, która w jednej chwili śmierć przynosi.

Książę Józef. Taka właśnie, jakiej nam potrzeba. Dziękuję ci, bardzo ci dziękuję.

P. Grabowska (do pani Hetmanowej). Dziwna ta dziewczyna!... (Kicki wchodzi głębią).

SCENA 4.

Poprzedni i Kicki.

Kicki. Najjaśniejszy panie, książę Michał przyjechał i zapytuje, gdzie ma się widzieć z jego królewską mością.

Król. Przyjechał... i wezwaniu memu chętnie uczynił zadosyć?

Kicki. Tak jest. Zdawało mi się nawet, że go ono dość ucieszyło. Gdym wszedł do księcia, zastałem go pomieszany i niespokojny, z widoczną trwogą zapytywał mnie, co się dzieje w mieście.

Król. I cóż mu powiedziałeś?

Kicki. To, com widział, że tłumy zbrojnych i niezbrojnych ludzi snują się po ulicach, że jedni skupiają się w gromady, inni biegną w różne strony, a wszyscy rozgorączkowani i niespokojni. Czasem słyhać krzyk: do broni! to znowu: zdrada!

Król i Książę Józef. Ach!

Kicki. Gdyśmy odjeżdżali z pałacu księcia, kilkunastu ludzi chciało nas zatrzymać, ale poznali karetę księcia Józefa, poznali jego stangreta i strzelca, i puścili nas wolno.

Król. A książę Michał co robił przez ten czas?

Kicki. Weisnął się w głąb karety i nie odezwał się ani słowem.

Król. Idź, powiedz księciu, że chcę się z nim widzieć w moim gabinecie. (d. s.) Tam wisi Chrystus rozpięty na krzyżu! (Kicki wychodzi głębią).

SCENA 5.

Ciż sami bez Kického.

Ksiązę Józef. To jest kartka księcia Michała, a to truci- zna: występek i kara. Zanieś mu je obie, najja- śniejszy panie.

Król. A więc koniecznie mam być jego katem?

Ksiązę Józef. Lepiej, że będzie nim wasza królewska mość, niżli kto inny.

Król. Boże, Boże, dodaj mi siły!

P. Grabowska. Boże, zmiłuj się nad biednym królem!

P. Hetmanowa. Boże, zmiłuj się nad nieszczęśliwymi braćmi! *(Obie łkają. Za sceną słychać głuchą ale silną wrzawę tłumów).*

Ksiązę Józef. Czy słyszysz, najjaśniejszy panie? To lud nadciąga — zwiedziało się już, gdzie ksiązę Michał się znajduje. *(P. Grabowska i P. Hetmanowa zbliżają się zatrwożone do okna).*

P. Hetmanowa. Tłum z pochodniami pędzi ku Zamkowi...

P. Grabowska. Gole pałasze i bagnety się błyszczą...

P. Hetmanowa. Coraz bliżej i coraz ich więcej... *(Wyraż- niejsze okrzyki, wśród których można już rozróżnić głosy: zdrada! zdrada! — Oficer od gwardyi królewskiej wchodzi głębia).*

SCENA 6.

Ciż sami i Oficer.

Oficer. Najjaśniejszy panie, przychodzę po rozkazy. Tłumy ludu podeszły pod zamek i chcą się dostać do środka...

Ksiązę Józef. Czy bramy zamknięte?

Oficer. Zamknięte, ale lud uderzy na nie.

Ksiązę Józef. Ile możności starać się, by jak najpóźniej stał się ich panem, a jeśli już wędrze się przez nie, nie dopuścić do najmniejszego rozlewu krwi.

- Niech idą bez oporu, gdzie chcą. Wszakże tak, najjaśniejszy panie?
- Król.** Taki jest mój rozkaz. *(Oficer salutuje i wychodzi głębia. Krzyki i hałas coraz silniejsze).*
- Książę Józef.** Jednej minuty niema do stracenia. Najjaśniejszy panie, śpiesz się!
- Król** *(z ruchem rozpaczliwej rezygnacji).* To straszna rzecz! *(Do kobiet).* Módlcie się tu za nas! *(Wychodzi przedko w drzwi na prawo. P. Grabowska i P. Hetmanowa padają z głośnem łkaniem na kolana).*
- Magda** *(w oddaleniu, również klękając. O Najświętsza Panno, pociesz tych nieszczęśliwych! Oni tacy wielcy, tacy bogaci i potężni, a tak strasznie cierpią i takie gorzkie łzy wylewają, jak najędzniejsi żebracy!*

SCENA 7.

Książę Józef. P. Grabowska. P. Hetmanowa. Magda.

(Książę Józef przystępuje do okna i patrzy co się dzieje na zewnątrz. Chwila milczenia. Słychać tylko łkania dwóch kobiet i z poza sceny hałaśliwy gwar tłumu, huk siekier uderzających o bramę i pomieszane okrzyki).

Książę Józef. Fala ludu coraz silniej napiera... wyważają bramę... niedługo ją wyważą... A gdyby książę Michał nie usłuchał króla?... gdyby miał tak tchórzliwe serce, i nie zdołał zadać sobie śmierci, która i tak go czeka z ręki oprawcy?... ha!... *(Po krótkim milczeniu).* A ta dziewczyna, czy ona naprawdę dała mi truciznę?... *(Odstepuje od okna, zbliża się do Magdy i spostrzega ją klęczącą).* I ty się także modlisz?

Magda. Któżby się modlił w takim nieszczęściu! *(Wstaje).*

Książę Józef. Słuchaj mnie, dobra dziewczyno. Mnie na tem wiele zależy wiedzieć, czy to, co mi dałaś, było rzeczywiście trucizną.

Magda. Dlaczegożbym miała kłamać przed księciem panem?

- Książę Józef.** Bo widzisz, jest to rzecz zadziwiająca, skąd ty mogłaś mieć przy sobie truciznę. Gdyby w tem była jakaś pomyłka lub czyj podstęp, następstwa tego w takiej chwili byłyby dla nas okropne. Powiedz mi więc szczerze.
- Magda.** Widzę, że dla uspokojenia księcia pana, muszę powiedzieć to, czegoby nikt ode mnie nie usłyszał. Ja tę truciznę miałam dla siebie...
- Książę Józef.** Dla siebie?... Nie może być!... Z twoich oczu patrzy świeża młodość i czysta dusza — ty miałabyś się truć? Dlaczego?... Powiedz wszystko, żebym ci uwierzył.
- Magda.** Ha! kiedy to już się skończyło, to księciu panu mogę z czystym sumieniem wyjawić. Ja chodziłam do obozu pruskiego, między pruskich żołnierzy i sprzedawałam im jadło — jako zwyczajnie przekupka — ale robiłam to dlatego, aby się dowiedzieć, co się u nich dzieje, co oni gotują przeciw Warszawie... Książę pan rozumie?... Gdyby się tego Prusacy byli dorozumieli...
- Książę Józef.** Ach, więc to tak!
- Magda.** Tak, książę panie. Ja śmierci się nie bałam — o nie! — tylu innych narażają życie, dlaczegożbym ja nie miała? — ale bałam się okrutnie szubienicy. Poszłam więc naprzód do pana Wasilewskiego — do apteki — książę pan zna go zapewne?
- Książę Józef.** Tak, słyszałem...
- Magda.** Pan Wasilewski poczciwy stary człowiek, dobry Polak, gdym mu się pod przysięgą ze wszystkiego zwierzyła, dał mi tę truciznę, najlepszą, jaką miał u siebie. I odtąd nosiłam ją przy sobie, na wypadek, broń Boże, nieszczęścia.
- Książę Józef.** Podaj mi rękę, szlachetna dziewczyno. Poświęcałaś swoje młode życie dla ojczyzny ze szczerzem uczuciem niż niejeden, któremu za bohaterstwo stawiają posągi. (*Ścisła ją z rozrzwinięciem za rękę; nawpół do siebie*). Dziwne

zrządzenie opatrności! to co miało być zbawieniem dla poświęcenia, stało się karą dla zbrodni. A teraz, *(spoglądając ku drzwiom na prawo)* żeby tylko książe Michał!.. *(Wchodzi z prawej strony Król, błądy, ze zwieszoną głową. Książe Józef odstępkuje od Magdy. P. Grabowska i P. Hetmanowa powstają z klęczek).*

SCENA 8.

Ciż i Król (później) Kicki.

Książe Józef, P. Grabowska i P. Hetmanowa. I cóż?

Król. Zgodził się.

Książe Józef *(z uczuciem ulgi)*. Ach!

Król. Wzdrygał się zrazu i mówił, że samobójstwo to grzech wielki... ale na łzy moje.. gdy słyszał co raz zapalczywsze uderzenia siekiery o bramę... te przerażające krzyki... gorzko się uśmiechnął i rzekł: Widzę — niema wyboru!

P. Hetmanowa. Nieszczęśliwy Michał! *(Płacze)*.

Książe Józef. I zażył truciznę?

Król. Nie miałem serca patrzeć na jego męczarnie i pożegnawszy go niemym uściskiem, odszedłem. Ale zostawiłem tam Kickiego. Kiedy się to skończy, Kicki da nam znać. *(Za sceną słychać łoskot wyważonej bramy i okrzyk uradowanego tłumy)*.

P. Grabowska i P. Hetmanowa. Wielki Boże!

Książe Józef *(zbliżywszy się do okna)*. Wyważyli bramę — tłum wtargnął już za mur... Och, Książe Michał mógłby już skończyć z sobą! *(Całkiem blisko okrzyki za sceną: Wydać zdrajcę! — sąd na zdrajcę!)*

Kicki *(wchodzi z drzwi na prawo; wszyscy zwracają się ku niemu)*. Książe Michał skonał.

Król *(po chwili)*. Czy cierpiał bardzo?

Kicki. Nie. Śmierć była prędką i bez bóleści.

Król. Czy co nie mówił?

Kicki. Odezwał się do mnie: Powiedz królowi, że ja przecież myślałem, że to, co robiłem, będzie dla jego dobra.

P. Hetmanowa. Nieszczęśliwy brat! (*Okrzyki za sceną: Wydać zdrajcę! Wydać zdrajcę!*)

Książę Józef. Panie Kicki, powiedz pan przez okno ludowi, że książę Michał nagle umarł.

Król. Tak jest — powiedz!

(*Kicki otwiera okno. Krzyki: sąd na zdrajcę! wzmagają się. Kicki daje ręką znak, że chce mówić; krzyki cokolwiek się uciszają.*)

Kicki. Obywatele!... (*Jeszcze mniejszy hałas*). obywatele! oznajmiam wam, obywatele, że książę Michał, dotknięty nagłą śmiercią, nie żyje.

(*Szydercze śmiechy i oznaki niewiary za sceną, potem znów gwałtowny krzyk: Sąd na zdrajcę! Wydać zdrajcę!*)

Kicki. Nie wierzą mi.

Książę Józef. Najjaśniejszy panie, mnsisz sam przemówić. (*Do Kickiego*). Powiedz im pan, że król chce mówić.

Kicki (*do okna*). Obywatele! jego królewska mość chce sam do was przemówić. (*Wrzawa ucicha, słychać tylko głuchy szmer*).

Król (*zbliża się do okna*). Obywatele! Podobało się Bogu księcia Michała nagle powołać przed siebie... (*Kilka pojedynczych szyderczych głosów za sceną: Ha! ha!*)

Król (*do obecnych na scenie*). I mnie nie wierzą!

Książę Józef. Niech przysła deputacją dla przekonania się.

Król (*do okna*). Obywatele! jeśli chcecie przekonać się naocznie o prawdziwości tego smutnego wypadku, wybierzcie kilku z pomiędzy siebie i niech oni tu przyjdą. (*Za sceną gwar pewnego zadowolenia*).

Król (*odchodząc od okna*). Ileż w tem upokorzenia! (*Rzuca się na sofę. P. Grabowska i P. Hetmanowa siadają po obu jego stronach. Chwila milczenia. Drzwiami w głębi wchodzi trzech poważnych, starszych Obywateli jako deputacja*).

SCENA 9.

Ciż sami i Deputowani.

(Deputowani wszedłszy kłaniają się Królowi).

Król *(odkłoniwszy się)*. Panie Kicki, zaprowadź tych panów. *(Kicki naprzód, Deputowani za nim wychodzą w drzwi na prawo)*.

Król. Przecież trupa jego nie będą chcieli zabrać?

Księżę Józef. Nie przypuszczaj tego, najjaśniejszy panie. Ci ludzie są rozdrażnieni nieszczęściami ojczyzny, ale mają serce. Majestat śmierci ich rozbroi.
(Deputowani z Kickim wracają).

Król. Przekonaliście się waćpanowie?

I. Deputowany. Tak jest, najjaśniejszy panie. *(Przystępuje do okna)*. Obywatele! pod słowem i uczciwością naszą oświadczamy wam, że znaleźliśmy księcia Michała umarłym. Tam, gdzie się ręka boska dotknęła, sprawiedliwość ludzka nie ma sięgać. Opuśćcie Zamek w spokoju i powadze. *(Zamyka okno i odchodzi od niego)*. Racz nas usprawiedliwić, najjaśniejszy panie, naszym smutnym obowiązkiem i przyjąć nasze pożegnanie. *(Deputowani kłaniają się Królowi)*.

Król *(skinąwszy głową, smutnie lecz uprzejmie)*. Dobranoc waćpanom. *(Deputowani wychodzą głębιά)*.

Księżę Józef. Nareszcie!

Król *(który dotąd siłą woli panował nad sobą)*. Czuję się ogromnie osłabionym — wszystkie nerwy drgają we mnie. Pomóźcie mi odejść do siebie. *(Podnosi się z trudnością z sofy; Kicki i P. Hetmanowa podtrzymują go z obu stron)*.

Król *(zwracając się do Księcia Józefa)*. Przeżyliśmy ciężką chwilę. Ale co będzie jeszcze dalej?

P. Grabowska *(tymczasem zbliża się do stołu, dzwoni i mówi do wchodzącego Kamerdynera)*. Doktora dla królewskiej mości, jak najprędzej! *(Król z Kickim i P. Hetmanową, a za nimi P. Grabowska wychodzą na prawo)*.

SCENA 10.

Książę Józef i Magda.

Książę Józef (*patrząc na zegar ścienny*). Trzy kwadransy na jedenastą... Dość mam czasu do przygotowania się na nieprzyjaciela. (*Zbliża się do Magdy*). Pocziwa dziewczyno, oddałaś dziś dwie wielkie przysługi: Polsce i naszej rodzinie. O jedno jeszcze prosić cię będę: o tem wszystkiem, cokolwiek tu widziałas i słyszałaś, milcz przed całym światem.

Magda. Książę panie, ja umiem milczeć.

Książę Józef. Wiem, że jesteś z liczby tych ludzi, których złotem się nie wynagradza, powiedz jednak, co mógłbym dla ciebie uczynić, bo jutro może nie już nie będę mógł.

Magda. Niech książę pan nie da Warszawy Prusakom, a będę udarowana więcej, niż gdyby mi kto dał królestwo!

Książę Józef. Bądź pewna, że zrobię wszystko com powinien, choćby mię to miało ostatnią kroplę krwi kosztować. Bądź zdrowa! Na mnie czas!

Magda. Niech książę pan nie zapomni o nowej reducie pruskiej.

Książę Józef (*odchodząc*). Nie zapomnę!

Magda. Niech Bóg księcia pana prowadzi i da mu zwycięstwo! (*Wychodzą głębia: Książę Józef naprzód, Magda za nim*).

AKT CZWARTY.
NAGRODA MAGDY.

OSOBY:

Kościuszko.
Książę Józef Poniatowski.
Generał Dąbrowski.
Generał Madaliński.
Generał Zajączek.
Brygadyer Kopeć.
Kilku wyższych Oficerów polskich.
Magda.
Wańko, żołnierz.
Dwóch młodych Oficerów polskich.
Goniec z Wielkopolski.
Adjutant Kościuszki.
Żołnierze polscy. Kosyniery.

(W obozie Kościuszki pod Mokotowem. Dekoracja taż sama co w Akcie pierwszym).

SCENA 1.

(Kościuszko stoi w środku sceny, po obu jego bokach Książę Józef, generałowie: Dąbrowski, Zajączek i Madaliński i kilku innych wyższych Oficerów. Nieco w tyle za Kościuszką jego dyżurny młodszy Oficer).

Kościuszko. Mości panowie, po tej strasznej nocy słońce, co dziś wstało nad Warszawą, przyniosło ze

sobą blaski nadziei. Zwyciężyliśmy, odparliśmy nieprzyjaciela, i jeśli nie stanowczo, to na długo złamaliśmy jego siły. Zasluga tego zwycięstwa należy do wszystkich. I lud warszawski i wojsko i wy, jego starszyzna, wszyscy walczyli po bohaterku, jak wierni synowie ojczyzny. Gdyby ojczyzna była bogatą i potężną, mogłaby złotem i zaszczytami wynagrodzić choć w części to wielkie poświęcenie. Niestety! dziś nie stać jej na to. Ale na słabe uczczenie waszej obywatelskiej cnoty, na pamiątkę tego dla polskiej broni zaszczytnego dnia, przyjmijcie ode mnie te skromne obrączki, które w tym celu zrobić kazałem. Jako ozdoba są zbyt niepokazne, jako wartość są prawie bez żadnej ceny, ale w oczach waszych, myślę, doda im znaczenia wryty na nich napis: Ojczyzna obrońcy swemu — bo czyż jest większy nad to zaszczyt, jak być swej ojczyzny obrońcą? — Tobie najprzód daję taką obrączkę, generale Dąbrowski, i tobie, generale Poniatowski. Na was spadło najcięższe zadanie przy odparciu strasznego szturm na stolicę, i spełniliście je, że gorliwiej i chwalebniej nie można. Tę parę innych obrączek (*biorąc je od Oficera dyżurnego, który za nim stoi*) przeznaczam dla najzasłużeńszych z pomiędzy waszych podwładnych, których z waszych raportów poznałem; rozdacie im je według nazwisk przeze mnie oznaczonych. Tę jedną obrączkę wreszcie zachowuję dla kogoś, co nie walczył z bronią w rękę, ale równie oddawał swe życie dla ojczyzny, którego czyny nie były widne dla oczu ludzkich, bo on w cichości i tajemnicy poświęcał się dla sprawy ogólnej, bez nadziei nagrody, bez tej nawet pociechy, by mu rodacy przyznali, że godzien jest za swe poświęcenie ich wdzięczności i chwały.

Książę Józef. Ta obrączka ma być dla przekupki Magdy.

Kościuszko. Zgadłeś, mości książę. Wszak przyznasz, że godna jest nosić oznakę przeznaczoną dla walecznych? Narażając się dobrowolnie na śmierć sto razy straszniejszą niż na polu bitwy, dowiodła i miłości ojczyzny i męstwa, i gdyby nie ona, gdyby nie to, że odkryła na czas zdradę i ostrzegła nas przed niebezpieczeństwem, kto wie, czy bylibyśmy zdolni odeprzeć szturm tej nocy, czy dziś Warszawa nie byłaby już w ręku nieprzyjaciół.

Książę Józef. Naczelniku, nie tylko przyznaję ci słuszność, ale składam od siebie podziękowanie za to, żeś postanowił uczcić i nagrodzić tę, której ja z długu osobistej wdzięczności uścić się nie mam sposobu. Z prawdziwą radością ujrzę na palcu Magdy tę zaszczytną odznakę, którą i mnie obdarzyć ci się podobało. Niech żyje ojczyzna! niech żyje Kościuszko!

Kościuszko. Niech żyją wszyscy, co dobrze służą ojczyźnie! (*Dają się słyszeć odległe strzały karabinowe*).

Kościuszko. Prusacy znowu strzelają? (*Wbiega szybko Oficer*).

Oficer. Najwyższy Naczelniku, na całej linii naszych forpoczt nieprzyjaciół wypuścił gęsty ogień karabinowy, tu i owdzie także konnica przypuszcza szarżę i niepokoi nas.

Kościuszko. Co to może być, nie pojmuję; o nowym szturmie Prusacy nie mogą myśleć, o tem niema mowy. Ale te ich alarmy muszą maskować jakieś nowe, ukryte ich zamiary. Mości panowie, podążmy własnymi oczami przekonać się o tem na miejscu. (*Kościuszko, Generałowie i Oficerowie wychodzą na lewo*).

SCENA 2.

(Z prawej strony wchodzi Wańko i kilku innych Żołnierzy bez broni).

Wańko (z lewą ręką na temblaku, chwytając się za nią)
Aj! aj! jak to boli!

1. żołnierz. I cóż tam masz w tej ręce, kulę czy ranę od pałasza?

Wańko. Kulę, kulę, przeklętą kulę pruską!

2. żołnierz. Chirurg mówił, że cię kula tylko lekko drasnęła, że za trzy dni będziesz zdrow.

Wańko. Ej, co tam głupi chirurg wie! Czy on we mnie siedzi, żeby wiedział, czy ja mam w sobie kulę czy nie, albo czy ja cierpię. Oj, Chryste Jezu, jak to piecze, jakby ogniem palił! A to wszystko człowiek musi cierpieć przez tych zdrajców!

1. żołnierz. Oj, ci zdrajcy, ci zdrajcy! kiedyż ich zabraknie!

Wańko. Szelmy zdrajcy naprowadzili na nas Prusaków, żeby nas wydać na rzeź; bez nich Prusacy nie byłiby się ośmielili nas napadać. Bodaj z piekła nie wyrzeli za te moje bole! Najgłówniejszego już dyabli porwali jak swego, ale przyjdzie kolej i na innych. Oj, jak to boli!... przyjdzie kolej i na tę Magdę...

2. żołnierz. Na Magdę zaś?... Powiedzcie mi, czy to może być prawda, co ludzie o niej gadają.

Wańko. Dobry sobie! on się jeszcze o to pyta? Powiedzcież mu, jeśli jeszcze nie wie.

1. żołnierz. Tak, tak, to wszystko prawda. Są na to dowody, ludzie widzieli ją i wiedzą co robiła.

Wańko. Myszkowała po naszym obozie, wszędzie było jej pełno, niby to sprzedawała kiełbasy i obwarzanki, a patrzyła tylko, co się u nas dzieje. Potem poszła do Prusaków, powiedziała im co wiedziała, i odtąd zniknęła jak kamfora. Ja zawsze nie lubiłem tej łajdaczki, czułem przez skórę, co to za ziółko. Ostrzegąłem też ludzi o tem,

ale nie chcieli wierzyć, aż się teraz przekonali.
Bodaj ją czart wziął! Oj, jak to boli!

2. żołnierz. Ktoby to był powiedział, taka się wydawała dla nas życzliwa i pocziwa dziewczyna.

Wańko. Tylko nigdy nie wierz tym, co ze swą pocziwością paradują, tak jak ona. (*Słychać znów strzały. Kilku innych Żołnierzy wchodzi.*)

3. żołnierz. (*ze świeżo przybyłych*) Cóż te Prusaki zwaryowały? znowu strzelają. Czy się znowu na co zanosi?

1. żołnierz. Nie zdaje się, bo u nas niema żadnego alarmu ani apelu.

4. żołnierz. Pan Kościuszko pojechał na forpoczty.

1. żołnierz. On tam najlepiej zmiarkuje, czy się coś święci.

2. żołnierz. No, jeśli się na tej Magdzie zawiodł, to już nikomu wierzyć nie będę! (*Za sceną słychać głos Magdy: Obwarzanki, jaja, kiełbasa, ser! obwarzanki, ser!*)

2. żołnierz. Adyć to głos Magdy!

Wańko. Bezczelnic! ma jeszcze śmiałość na oczy nam się pokazać. (*Żołnierze usuwają się na lewo przed Magdą, wchodzącą z prawej strony.*)

SCENA 3.

Wańko. Żołnierze. Magda.

Magda. Jak się macie, moje zuchy? No, chwała Bogu, wy wszyscy zdrowi i cali. Dzielnieście się popisali, wiarusy, dzielnie! Nie daliście Warszawy Prusakom, choć mieli na nią taki apetyt, nie! Oj, jaki to wesoły dziś dzień, nieprawda? Ja, bo tak się cieszę jak nigdy, takam lekka i swobodna, jakbym się dziś dopiero narodziła, a śpiewałabym sobie ciągle — oj, śpiewała! (*Nuci*)

»Hej, hej! rycerze,

Serca nasze radość bierze.«

Ale co tam ja! Teraz o was trzeba pamiętać,

coście się tak strasznie namęczyli i piersi swe nadstawiali na kule i bagnety. Co było najlepszego, to wam dzisiaj przyniosłam. Bierzcie chłopcy i jedzcie! (*Widząc, że żaden się nie rusza*) Cóż to? nie chcecie już obwarzanków i kiełbasy od waszej Magdy? Jak nie macie pieniędzy, to bierzcie i darmo. Dziś taki świąteczny dzień, że mogę sobie ten bankiet sprawić i na moje obwarzanki i kiełbasy was zaprosić. Bierzcie!

1. żołnierz. Idź sobie, Magda, od nas!

2. żołnierz. Choćby i darmo nie chcemy twojego jadła!

Magda. O, o, a to co znowu? Takeście zharnieli, że pogardzacie mem jadłem, a patrzycie na mnie tak strasznie z pod chmury... No, nie bądźcie głupi, bierzcie!

Wańko (*podbija kosz Magdy, który pada na ziemię*) Daj nam spokój, pókiś cała! — idź sobie lepiej do Prusaków!

Magda. Do Prusaków?... po co ja mam chodzić do Prusaków?

Wańko. Po co?... po to, po coś już do nich chodziła. — Aha! widzicie, jak jej się zaraz zamknęła gęba.

2. żołnierz. No, powiedz, Magda, czyś nie chodziła do Prusaków?

Wańko. No, powiedz, powiedz! — czekamy.

Magda. No, chodziłam — to i cóż z tego?

Wańko. A, widzicie! chodziła, sama przyznaje, że chodziła. A po coś chodziła?

Magda. Po co?... po co?...

Wańko. Język ci się płacze, trudno ci coś zełgać.

Magda. Chodziłam im sprzedawać jadło — po cóż innego miałam chodzić?

1. żołnierz. Wstydź się, Magda, chodziłaś sprzedawać nieprzyjacielowi jadło tak jak nam, co bronimy przed nim ojczyzny, pfe!

Magda. Ależ...

Wańko. Żeby to tylko to, byłyby fraszki. Tyś po co in-

nego tam chodziła, a Prusacy przyjmowali cię jak dobrą znajomą, bo wiedzieli dlaczego.

Magda. Po co innego?... Kiedy tak dobrze wiesz, to powiedz mi tu w oczy, przed tymi ludźmi.

Wańko. Co wiem, to wiem, a po co mam gadać? Ty nam powiedz i wytłómacz się, coś tam porabiała. Po nic dobrego do nich chodzić nie mogłaś.

2. żołnierz. No, Magda, wytłómacz się, powiedz!

3. żołnierz. Prawda, niech się usprawiedliwi!

Kilku innych. Prawda, prawda!

Magda (*po krótkiej walce z sobą*) Nie mogę wam tego powiedzieć. Gdyby to był mój tylko sekret, powiedziałabym wszystko, ale to należy także i do kogoś innego.

Wańko. Ha, ha, to krętarka! Myśli, że my tacy głupi i uwierzymy jej andronom.

1. żołnierz. Nie kłam próżno! Po co byś chodziła do pruskiego obozu, gdybyś nie robiła co złego.

Magda. Ludzie, więc to naprawdę?... cóż wy sobie o mnie myślicie!

Wańko. Co?... żeś godna gałęzi, i ta pewnie cię nie minie, skoro który z generałów o twoich sprawkach się dowie.

Magda. Ależ ja wam na Najświętszą Pannę przysięgnę!..

Wańko. Nie bluźń i nie łżej! — na nic ci się to nie przyda. A listy od tego zdrajcy, księcia Michała, do generała pruskiego kto nosił? czy nie ty?...

Magda. Ja?... listy od księcia Michała?...

Wańko. Czy cię nie przychwyłali z takim listem żołnierze księcia Józefa? Czy jeden z naszych, co cię pod obozem pruskim przydybał, nie zginął przez Prusaków postrzelony? A czy nie uciekałaś w karecie z księciem Michałem na Zamek? No, mówże, czy to wszystko nieprawda, mów!

Magda. Jezu najświętszy!..

1. żołnierz. Tylu ludzi to widziało, tylu ludzi to słyszało, ty się nie możesz tego zaprzecć.

Wańko. Wiesz teraz, czem jesteś: jesteś szpiegiem i zdraj-

cą! Tyś naprowadziła Prusaków na Warszawę, przez ciebie tyle naszej krwi się wylało, przez ciebie i ja może zostanę kaleką na całe życie! Prusaki dobrze musieli ci to wszystko zapłacić, musisz mieć od nich duży worek dukatów, ale każdy uczciwy człowiek plunie na ciebie, i jak nie skończysz na gałęzi, to zginiesz pod płotem— ty łajdaczko!

Magda. Boże, Boże mój, co się ze mną dzieje!... czy to prawda, że ja to wszystko słyszę?... A ja ci mówię, Wańko, że cała mowa twoja to kłamstwo i fałsz. Żli jacyś ludzie napletli wam o mnie, sami nie wiedząc co, a wy na ich słowo rzucacie na mnie straszne, najstraszniejsze, jakie może być posądzenie. Ale ja jestem niewinna i czysta, świadczę się Bogiem, jak to słońce teraz świeci, jak sobie pragnę wiecznego zbawienia!...

Wańko. Ha, ha, ha! widzicie, jaka bezczelna!

Magda. No, powiedzcie, powiedzcie, proszę, że mi wierzycie!

2. żołnierz. Nie, nie możemy tego powiedzieć, bo ty sama nie możesz temu zaprzeczyć, coś robiła i gdzieś chodziła.

1. żołnierz. Nie, nie możemy ci wierzyć, nie! i w całym obozie nikt ci nie uwierzy i wszyscy wiedzą, coś ty za jedna.

Wańko. Idź precz od nas! Niemiło nam na ciebie patrzeć, jak na gada.

Magda. Tak?... tak?... O, jak to boli, jak to boli!... Więc jabym miała zdradzać Polaków... pokazywać wrogowi drogę do Warszawy?... ja, któraby dla was?... ja, któraby za was?... O, to boli, strasznie boli!.. oszaleć przyjdzie z tego bolul... (*Nowa salwa za sceną*) Słyszycie, jak tam znów Prusacy strzelają?... O, oni będą moimi przyjaciołmi! Skoro od swoich takiej doznałam krzywdy, pójdę do nich — oni lepsi będą dla mnie, ulitują się nade mną... i wpakują mi kulę

w piersi — w samo serce!... Bądźcie zdrowi!
(*Wybiegając na lewo w pierwszą kulisę*) Niech żyje Polska! Strzelajcie, Prusacy!

1. żołnierz. Co ona myśli?

2. żołnierz. Pędzi jak szalona!

3. żołnierz. Ależ ona leci wprost na ogień pruski!

2. żołnierz (*wołając*) Hej, Magda, stój! (*Część Żołnierzy wybiega za Magdą*).

Wańko. Nie bójcie się o nią, komedye wyprawia!

Inny żołnierz. Cóż to z tego będzie za historia?

Wańko. Mała szkoda, choćby ją dyabli wzięli. (*Reszta Żołnierzy, za nini Wańko wychodzą za Magdą*).

SCENA 4.

Dwóch młodszych Oficerów wchodzi z prawej strony, później Kościuszko i Generałowie.

1. Oficer. Pana Naczelnika niema?

2. Oficer. Niema. Pojechał w tamtą stronę do forpocztów.

1. Oficer. Wielka szkoda. Przybył goniec z Wielkopolski, który jak najprędzej chce się z nim widzieć

2. Oficer. (*patrzac w lewą stronę*) Ale — zdaje mi się, że i pan Naczelnik powraca. Masz pan szczęście, tak, to on.

Kościuszko (*wchodząc z lewej z Generałami*). Prawdę mówiąc, nie umiem sobie tej niespodzianej kano-nady pruskiej wytłómaczyć. Albo to chyba jakiś nierozsądny figiel wojenny, albo, gdybym śmiał to przypuścić, zapowiedź ich odwrotu z pod Warszawy.

1. Oficer (*zbliżając się*) Najwyższy Naczelniku, goniec z Wielkopolski, przybyły w tej chwili, żąda jak najprędzej widzieć się z panem Naczelnikiem.

Kościuszko. Goniec z Wielkopolski?... (*do Generałów*) Panowie, to ważna nowina!

1. Oficer. Człowiek ten musiał strasznie się spieszyć. Tak obłany potem, zakurzony i zablocony cały, że prawie do ludzi niepodobny, a ledwie po wypiciu szklanki wina mógł złapać dosyć tchu, aby kilka słów wypowiedzieć.

Kościuszko. Przyprowadź go pan przede mnie. (*Oficer wychodzi na prawo*).

Kościuszko (*do Generałów*). Dwojake mogą być stamtąd wiadomości: albo Wielkopolska, zteroryzowana postrachem potęgi pruskiej palcem nawet nie ruszy, albo, idąc za przykładem Małopolski i Mazowsza, także powstała. W tym drugim wypadku Warszawa zostałaby uwolniona. (*Z prawej strony wchodzi: Goniec i 1. Oficer*).

SCENA 5.

Ciż sami i Goniec. (Później) Brygadyer Kopeć.

Kościuszko. Ależ ten biedny człowiek ledwie idzie! (*Podchodząc do niego*). Co nam waćpan przynosisz? czy to, co nas pocieszyć, czy to, co zasmucić może?

Goniec. Naczelniku... Wielkopolska... powstała!

Kościuszko. Boże najwyższy, dzięki ci!

Goniec (*wyjmując z zanadrza*). To papiery... od kasztelana Mniewskiego... Trzy konie padły pode mną. Naczelniku, nie mogę więcej...

Kościuszko (*przeglądając papiery*). Tak, tak, to prawda... Amunicya i działa pruskie wiezione pod Warszawę schwyte przez powstańców... dywersya na tyłach nieprzyjaciela... Na pierwszą o tem wiadomość Prusacy muszą się cofnąć z pod Warszawy. (*Do Gońca*). Mości panie, przyjmij moje dzięki za tę szczęśliwą wiadomość i swoje poświęcenie. Później pomówimy z sobą więcej, a teraz idź waćpan co prędzej spać i odpoczywać; spać i odpoczywać choćby dwadzieścia cztery godzin. Panie adjutantcie, moje łóżko dla tego pana.

Goniec. Naczelniku... nie można...

Kościuszko. Ależ można, można i potrzeba. Do widzenia waćpanu. *(Podaje mu rękę. Goniec i 1. Oficer wychodzą przez namiot za scenę. Słychać nowe salwy karabinowe pruskie).*

Kościuszko. Teraz rzecz jasna, co znaczy ta strzelanina: Prusacy rozpoczynają odwrót. *(Patrzac na lewo).* Ho, brygadyer Kopeć pędzi do nas! *(Brygadyer Kopeć wchodzi pośpiesznie).* Panie brygadyerze, przynosisz nam wiadomość, że nieprzyjacieli rejteruje...

Kopeć. Tak jest, panie Naczelniku — na całej linii. Ze wszystkich forpoczt przyszła równobrzmiąca o tem wiadomość.

Kościuszko. Wracaj waćpan i weź swą brygadę, generałowie Kołysko i Kamiński niech także wezmą swoje i udajcie się w pościg za nieprzyjacielem. *(Kopeć wychodzi).* Tę radosną nowinę trzeba jak najprędzej ogłosić naszym dzielnym żołnierzom. Niech i ich serca pocieszą się i pokrzepią. — Panie adjutancie, niech tu wystąpi pułk Działyńskiego i moje kosyniery. *(Adjutant odchodzi).* Potem pójdziemy zaśpiewać z ludem warszawskim »Te Deum« u Świętego Jana.

(Za sceną słychać bębnienie, potem wesoły marsz wojskowy. Kościuszko i Generałowie postępują na przód sceny i tu się po prawej stronie grupują. Wchodzą na scenę: oddział Kosynierów i pułk piechoty, każdy ze sztandarem. Kiedy się ustawią, muzyka milknie).

SCENA 6 i OSTATNIA.

Kościuszko. *Generałowie. Oficerowie. Żołnierze i Kosyniery (później) Magda i 2. Żołnierzy.*

Kościuszko *(postępując przed front Żołnierzy).* »Waleczni żołnierze, koledzy moi! Dzielicie chętnie ze mną niebezpieczeństwa, dzielcież, bracia, i radość moją«. Szczęśliwy jestem, że mogę wam obwieścić

- wesołą nowinę: Prusacy ustępują z pod Warszawy, Warszawa jest wolna! Niech żyje ojczyzna!
- Żołnierze.** Niech żyje ojczyzna! Niech żyje Kościuszko! Niech żyje wolna Warszawa!
- Magda** (*która na ostatnie słowa Kościuszki weszła z pierwszej kulisy po lewej stronie ranna i prowadzona przez dwóch Żołnierzy*). Prusacy ustępują!... Warszawa wolna!... O Boże!
- Kościuszko** (*spostrzegłszy ją, prędko się do niej zbliża*). Co to jest?... Magdo, co się tobie stało?... tyś ranna?
- Magda.** Chciałam jeszcze raz widzieć pana Naczelnika... Ci ludzie byli tak dobrzy i przywieśli mnie...
- Kościuszko.** Ale cóż to się z nią stało?
- I. z Żołnierzy prowadzących Magdę.** Wybiegła za daleko za nasze forpoczty i Prusacy ją postrzelili.
- Magda.** Tak, Prusacy mię postrzelili, Prusacy... To nie boli... to nie boli... (*Jeden z Żołnierzy przynosi z namiotu Kościuszki krzesło i stawia je blisko Magdy*).
- Kościuszko.** Ułóżcie ją wygodnie. Lekarza co prędej! (*Sadzają Magdę na krzesło*).
- Magda.** Nie trzeba, panie Naczelniku, nie trzeba... nie już nie pomoże... A szkoda, mogłabym była jeszcze żyć!... Warszawa teraz wolna... Uniosłam się nazbyt i zapomniała... Ha, trudno!
- Książę Józef** (*zbliża się i bierze ją za rękę*). Biedna Magdo, co za nieszczęśliwy wypadek!
- Magda.** I książę pan tutaj... o, jak to dobrze!... Książę pan nie dał Warszawy Prusakom, oj, nie dał!
- Kościuszko.** Jakże się czujesz, biedne dziecko?
- Magda.** Dobrze, bardzo dobrze, panie Naczelniku. Taka jestem spokojna i szczęśliwa, żebym tylko śpiewała, gdyby... gdyby nie tutaj coś w piersiach...
- Książę Józef** (*do Kościuszki*). Ona jest umierająca.
- Kościuszko.** Niestety! Dużobym dał, żeby się to nie było stało. To dziewczę godne było lepszego losu. Niech jej chociaż nie minie ostatnia w życiu po-

ciecha i nagroda. (*Nachylając się nad Magdą*).

Magda. Magdo, ty wiesz, że ja jestem twoim dłużnikiem... Pan Naczelnik mówi o tych obwarzankach?... Dobrze były, prawda?... Och, nie będę już tak wołać: obwarzanki, kielbasa, ser!

Kościuszko. Nie, moje dziecko. Ojczyzna jest twoją dłużniczką. Dla jej miłości narażałaś swe życie i przyczyniłaś się dużo do jej obrony i naszego zwycięstwa. Widzisz, takie obrączki ja daję tym, co z liczby obrońców ojczyzny są najdzielniejsi; taką obrączkę przeznaczyłem także dla ciebie, nie przeczując, że ci ją w tak smutnej chwili doręcę. Więc daję ci ją teraz, tutaj, w obliczu tych generałów, oficerów i tych walecznych żołnierzy, żeby wszyscy wiedzieli, jak wielkie twoje zasługi i że ci się ten honor należy. Magdo, pozwól, niech ci tę obrączkę włożę na palec.

Magda. Ach, panie Naczelniku, ja się wstydzić tego muszę... Cóż ja tak wielkiego zrobiłam?... Choćbym była chciała zrobić, cóż jabym była mogła?...

Kościuszko. Kochałaś ojczyznę i poświęcałaś się dla niej z duszą i ciałem.

Magda (*całując obrączkę*). Droga, kochana, święta moja obrączka!... Panie Naczelniku, ale mi każesz dać ją do trumny -- prawda?

Kościuszko (*zakrywając sobie oczy ręką*). Ach, biedne, biedne moje dziecko!

Magda. Panie Naczelniku, proszę nie płakać... dziś płakać nie wolno... to byłby grzech... dziś wielkie święto... dziś Warszawa uwolniona!... (*Prostując się na krześle*). A i Polska będzie wolna, nieprawda, panie Naczelniku?

Kościuszko. My będziemy robić co zdołamy — ale Ten tam w górze o nas postanowi!

Magda. O, będzie wolna, będzie!... Dlaczegożby nie miała być?... Wszystkie narody na świecie powinny być wolne... (*Podnosi się z krzesła*) Ja już zaraz idę do Pana Boga... ja tam klęknę obok Naj-

świętszej Panny i naszych Patronów u stóp Jego tronu (*klęka*), i z podniesionymi rękami rano i wieczór będę się modlić do Niego: Boże, zachowaj nam ojczyznę!.. Boże, daj nam wolną Polskę!... (*Stania się nu krzesło i umiera*).

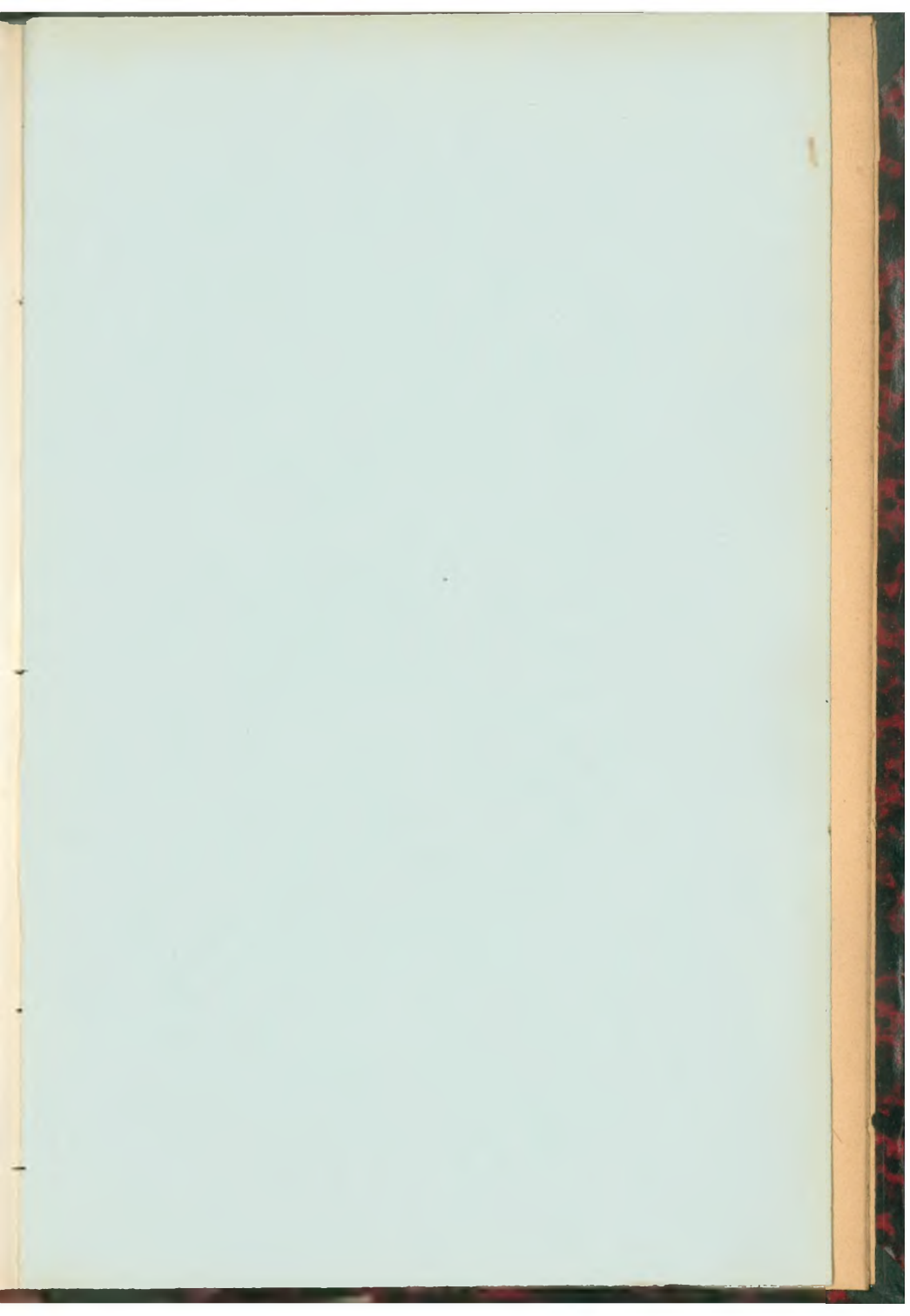
Kościuszko. Amen!

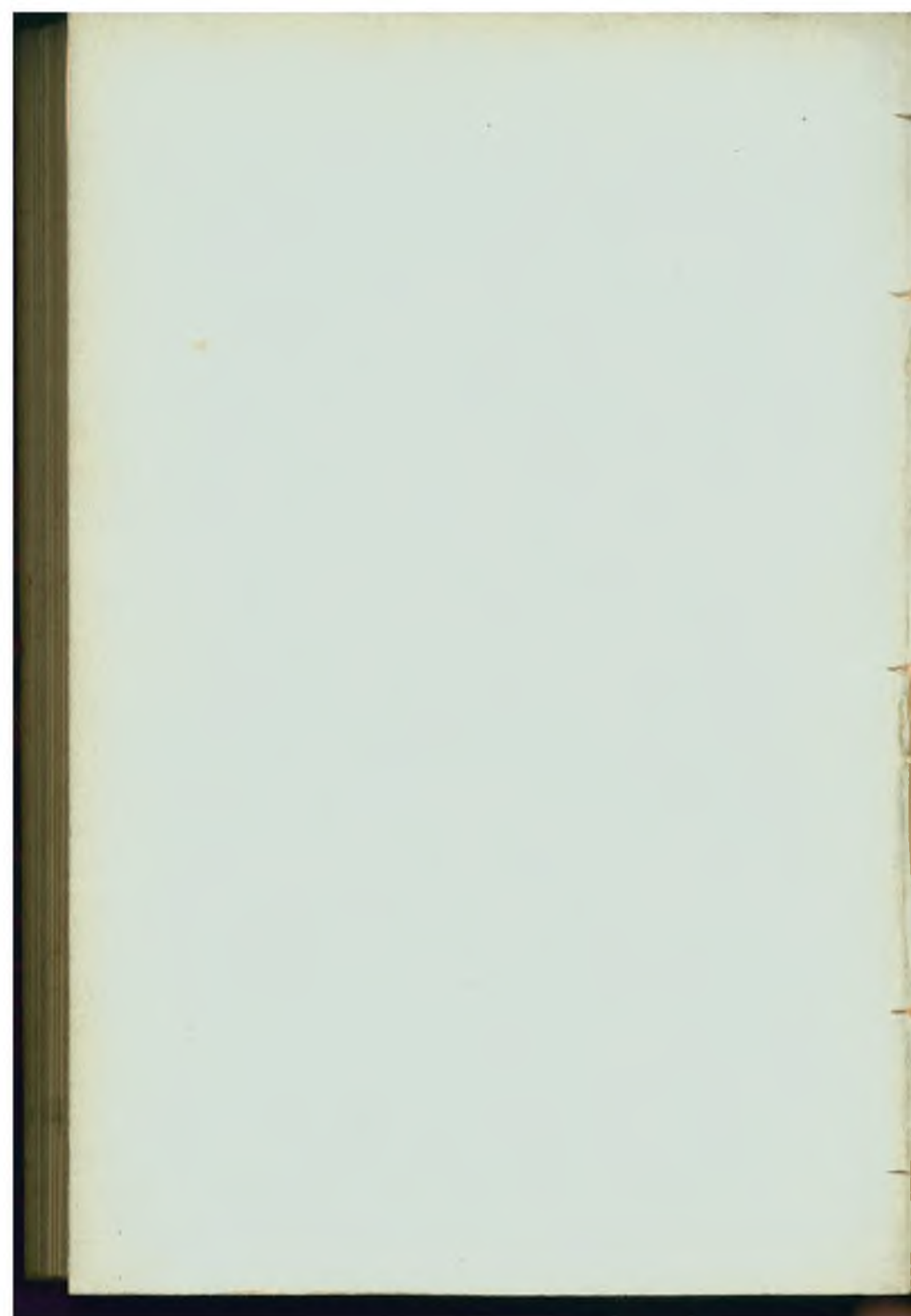
(*Kościuszko i Generałowie odkrywają głowy, grupując się obok Magdy, patrzą ze smutkiem na jej ciało*).

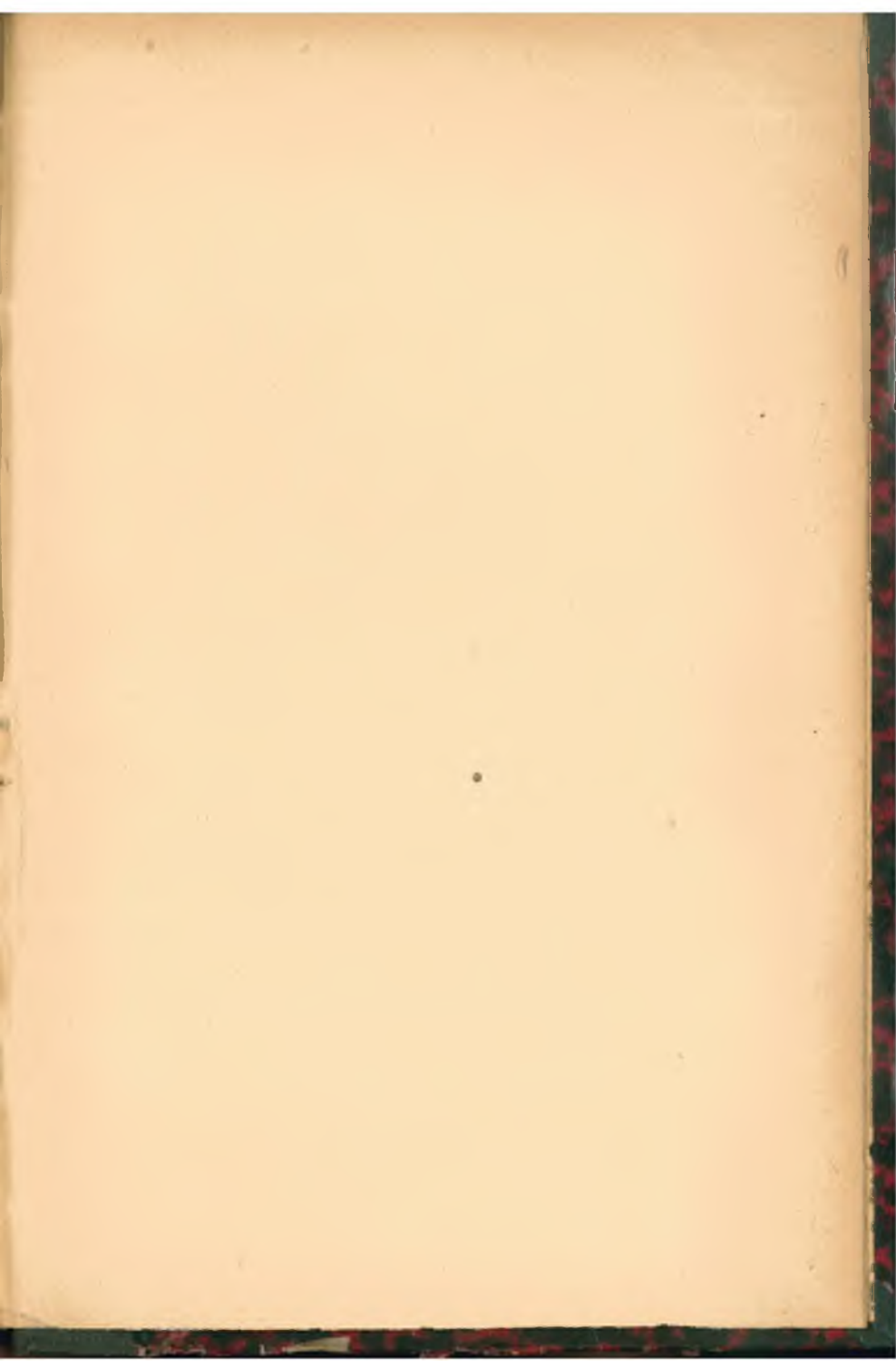
Kościuszko (*po chwili, zwracając się do wojska*). Pochylcie przed tem ciałem sztandary!

(*Wojsko prezentuje broń, sztandary pochylają się, z za sceny słyhać głucho, powolne uderzenie w bęben, jak na pogrzebie wojskowym. Zastona spada powoli*).

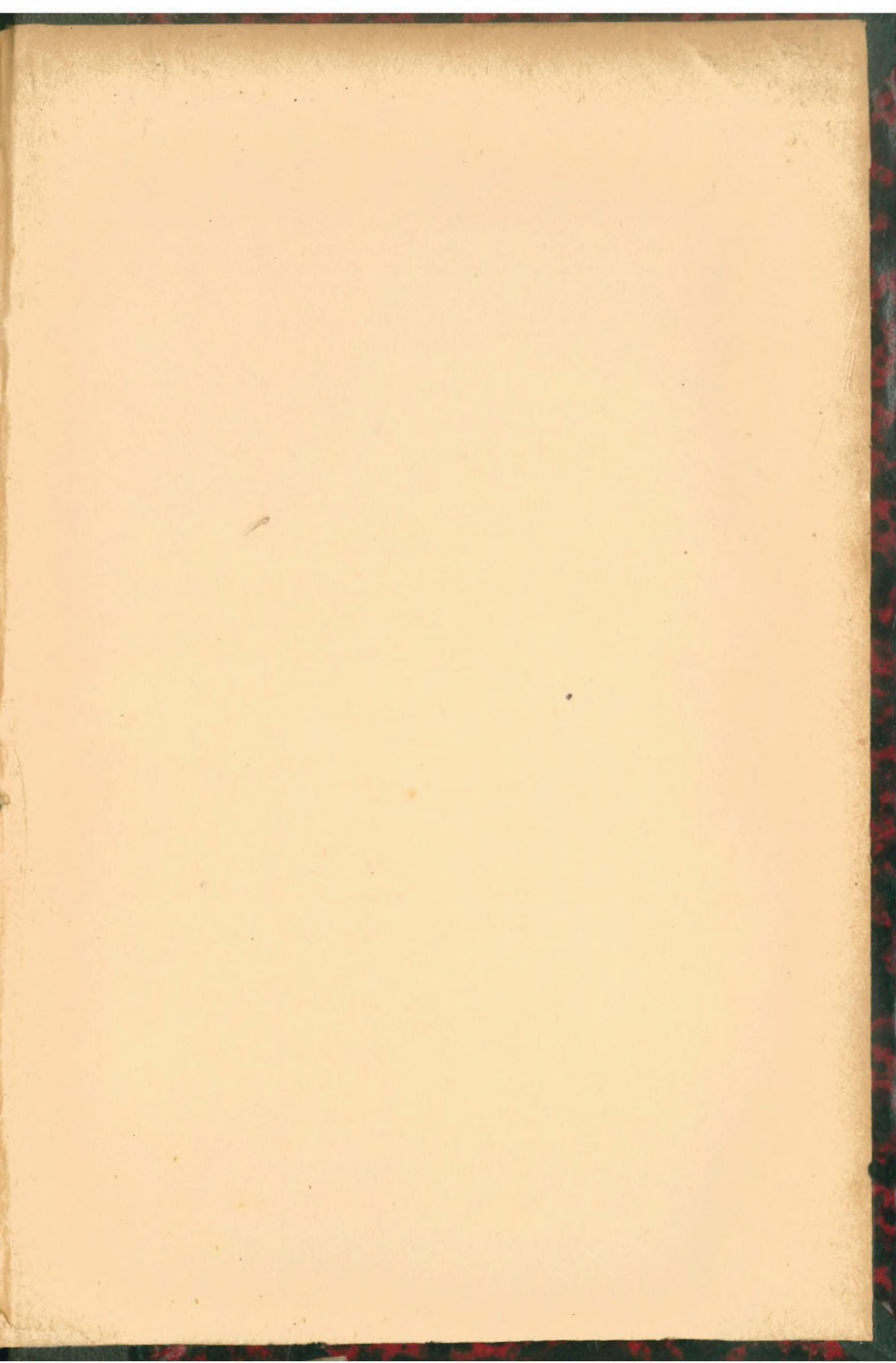












WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

66.073

Biblioteka WSP Kielce



0179275